Małgorzata

KLUNDER

Niziołkowie z ulicy Pamiątkowej

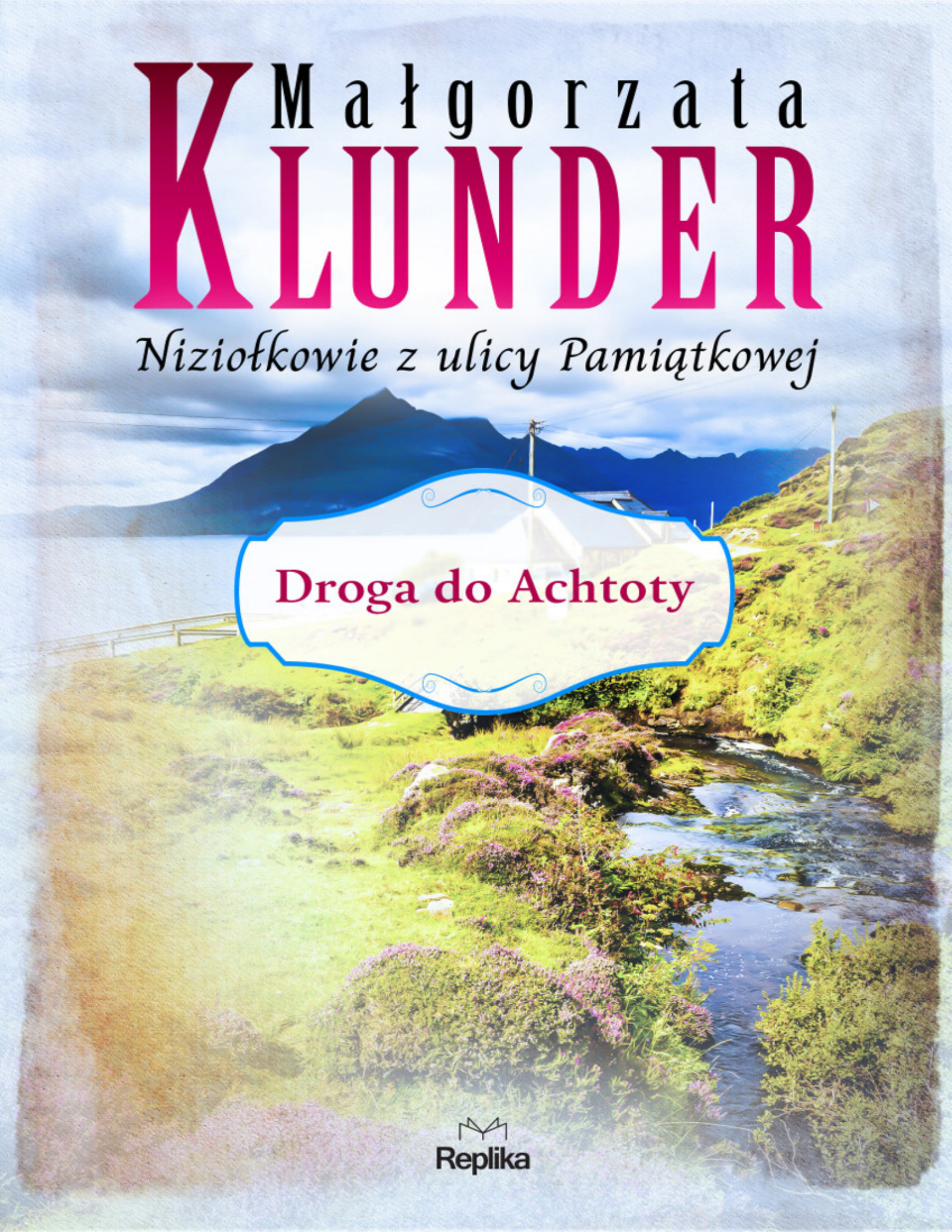

Droga do Achtoty

Replika

Droga do Achtoty

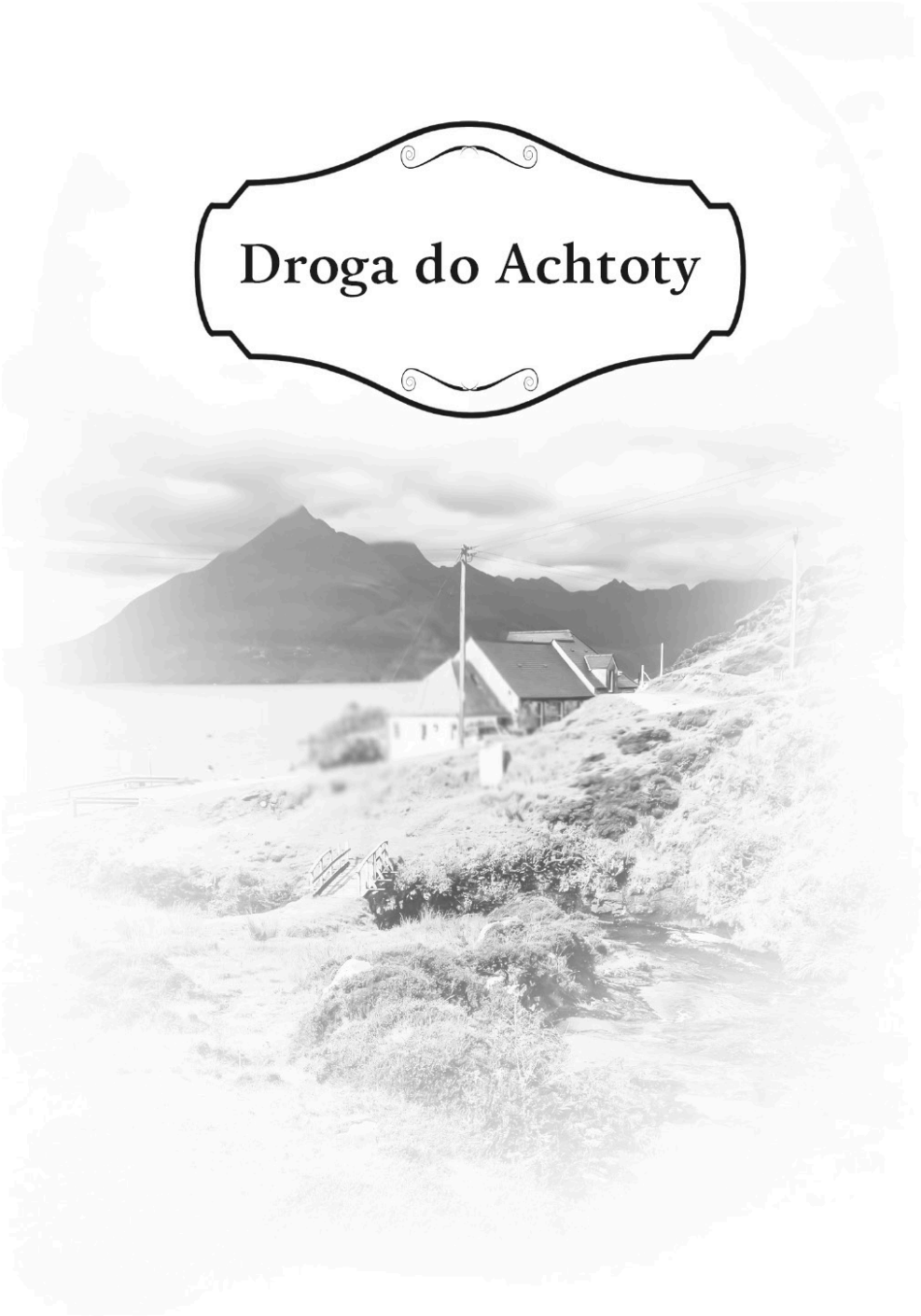

Małgorzata

KLUNDER

Niziołkowie z ulicy Pamiątkowej

Droga do Achtoty

Replika

Copyright © Małgorzata Klunder
Copyright © Wydawnictwo Replika, 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja
Monika Orłowska

Projekt okładki
Mikołaj Piotrowicz

Skład i łamanie
Maciej Martin

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej
Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2020

eISBN 978-83-66481-20-6

Wydawnictwo Replika
ul. Szarotkowa 134, 60-175 Poznań
tel./faks 61 868 25 37
replika@replika.eu

Ewie,
bo bez niej by tego nie było,
a przynajmniej nie takie samo

Drzewo genealogiczne rodziny Niziołków

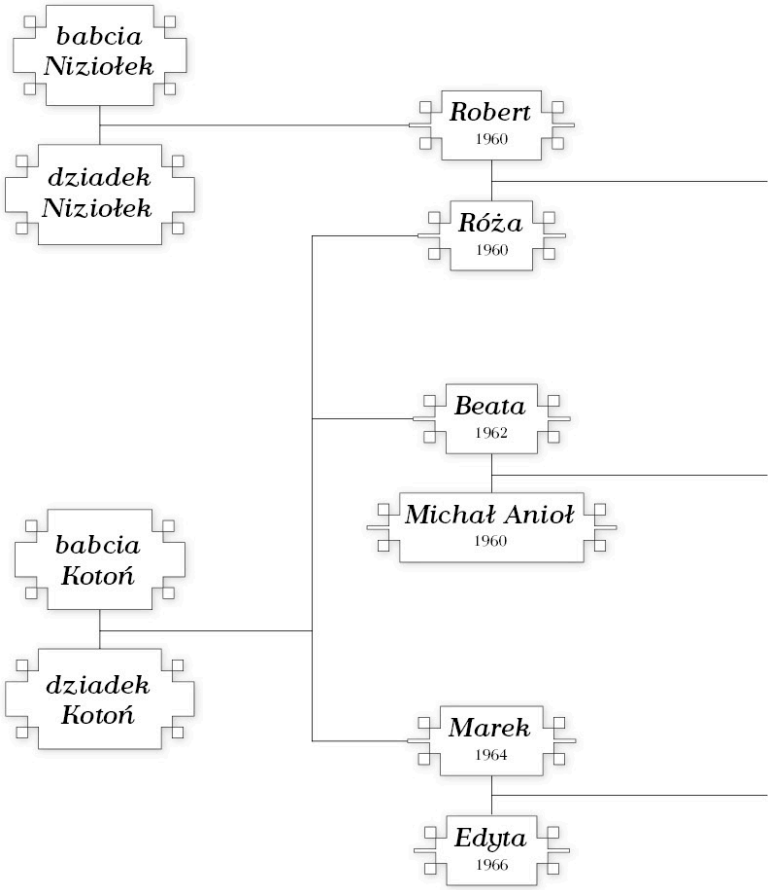

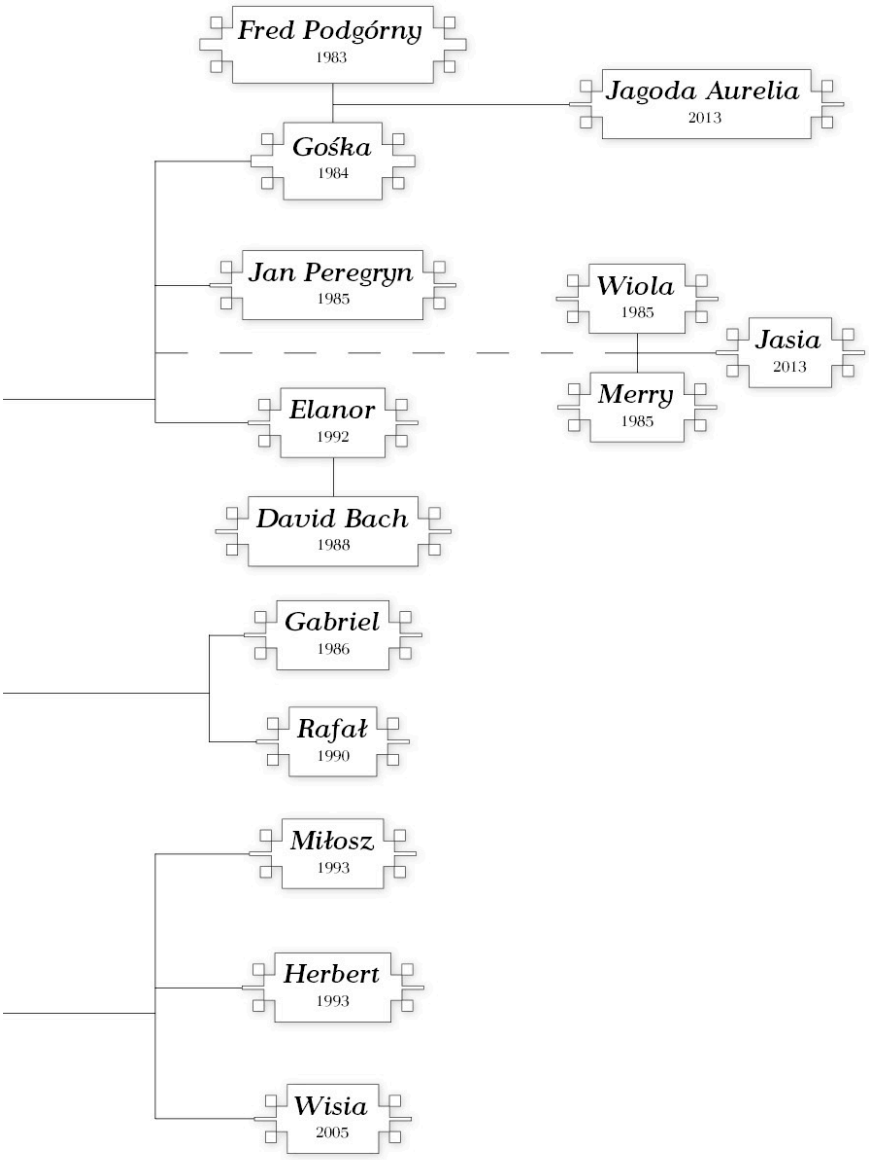
Fred Podgórny
1983
Jagoda Aurelia
2013
Gośka
1984
Jan Peregryn
1985
Wiola
1985
Jasia
2013
Merry
1985
Elanor
1992
David Bach
1988
Gabriel
1986
Rafał
1990
Miłosz
1993
Herbert
1993
Wisia
2005

Who is who

czyli alfabetyczna repetycja znanych już osób, z pominięciem postaci trzecioplanowych i epizodycznych

- *babcia Kotoń* – mama Róży;
- *babcia Niziołek* – mama Roberta;
- *Beata Anioł* – siosxtra Róży, ma męża Michała oraz synów Rafała i Gabriela;
- *Brendan Bach* – Walijczyk, odwieczny przyjaciel Roberta, mąż Jennifer, ojciec Davida i Uny;
- *David Bach* – syn Brendana, z którym Ela odbyła szaloną i chyba owocną pod każdym względem podróż po Szkocji;
- *Elka* – czyli Elanora Pulcheria Niziołek, córka Roberta i Róży, siostra Janka;
- *Gośka* – starsza siostra Eli, żona Freda Podgórnego;
- *Fred* – mąż Gośki;
- *Jagódka* – Jagoda Aurelia, córeczka Gośki i Freda;
- *ksiądz Janek* – ksiądz Jan Peregryn Niziołek, syn Roberta i Róży, stuknięty jak jego rodzice, choć niekoniecznie na tle Władcy Pierścieni;
- *ksiądz Tadeusz Wieczorek* – proboszcz parafii na Krzesinach;
- *Marek Kotoń* – brat Róży, ma żonę Edytę, synów Miłosza i Herberta oraz córkę Wisię; na pocieszenie dodaje się, że Robert był jedynakiem, więc oszczędza to czytelnikowi krewnych po mieczu;
- *Merry i Wiola Szczęśni* – odwieczni przyjaciele Janka;
- *Robert Niziołek* – tata Gośki, Janka i Eli;
- *Róża Niziołek* – mama powyższych osobników.

Rozdział I

Na dobry początek

Kolejne dwa tygodnie po urodzeniu dzieciny przeleciały bardzo szybko. O dziwo, kiedy tylko przeszedł pierwszy wstrząs, będący reakcją na pojawienie się Jagody Aurelii w miejsce planowanego Boromira, Róża zachowywała się całkiem sensownie. Każdego ranka meldowała się u Gośki i mówiła:

– Wykorzystaj matkę, póki ma wakacje! Co mam robić? Sprzątać, iść po zakupy czy zająć się małą, żebyś ty się mogła wyspać?

Doskonale sama pamiętała, jak to przy pierwszym dziecku wszystko leciało jej z rąk, w chacie był burdel, bo z niczym nie mogła nadążyć, a w dodatku lewitowała z niewyspania. Jagódki nie zabierało się jeszcze na spacer, wystawiali ją tylko na balkon, więc Gośka przeważnie szła się zdrzemnąć, chociaż lubiła też sobie od czasu do czasu skoczyć na zakupy. Wtedy zaczynały działać mama z młodszą córką: jedna zajmowała się dzieciątkiem, całkiem spokojnym zresztą – mama twierdziła, że to zbawienny wpływ pampersów; Gośka i Pip w zwykłych tetrowych pieluchach ponoć nie byli tacy grzeczni – a druga sprzątała i gotowała obiad. Tak niepostrzeżenie zrobił się dwudziesty piąty sierpnia.

A następnego dnia miał przylecieć David.

Rodzice cały czas nie kojarzyli związku przyczynowo-skutkowego, polecili tylko Elce wysprzątać apartamencik gościnny po Gośce i Fredzie i pościelić łóżko. Tata zapytał w przelocie:

– O której David przylatuje? Tak jak zawsze po jedenastej? – A na potwierdzenie córeczki dodał: – Wyjdziesz po niego, prawda? Ja będę w domu dopiero koło czwartej, a mama ma radę pedagogiczną. Spotkamy się na obiedzie.

„Spotkamy się, spotkamy”… – pomyślała Ela.

Nieszczęśni rodzice nie byli świadomi precyzyjnego planu swojej najmłodszej latorośli: podpuściła Gośkę, żeby pierwszy raz wyjechała z Jagódką i razem z Fredem przyszła na Pamiątkową na obiad. Wolała mieć wsparcie w postaci ukochanej siostry i ulubionego szwagra.

W poniedziałek panna Niziołek wyszła po Davida na Ławicę, przy czym należy nadmienić, że oboje skrzętnie wykorzystali lotniskowy klimat, aby powitać się w sposób, który nikogo nie będzie tam szokował. Następnie cały czas zgodnie z planem ruszyli prosto na giełdę kwiatową na Bema. Tam David wybrał snopek metrowych czerwonych róż, a usłyszawszy cenę, skomentował:

– Tanio tu u was!

Cóż, w Cardiff za dziesięć funtów, czyli nasze pięćdziesiąt złotych, takiego bukietu by nie kupił. Pewnie dlatego, żeby nie wyjść na skąpiradło, kupił w drodze do domu czerwone wytrawne wino, które dwukrotnie przebiło kwiaty. Jak szaleć, to szaleć.

Czas do szesnastej wcale się Eluni i Davidowi nie dłużył. Nie, nie, niech czytelnik nie dostaje momentalnie robaczywych myśli. To nie było tak, jak sobie wyobraża. Powiedzmy, nie do końca. Przez większą część czasu Ela robiła ekstraobiad, a David myszkował na półce z angielskimi książkami taty. Kretyni, pomyśli czytelnik. Ależ skąd, stosowali tylko w praktyce zapis o unikaniu okazji czy jak to tam brzmi. I powiedzmy, że im się to prawie udało.

Wreszcie rodzice wrócili. Przywitali się z Davidem serdecznie, acz z lekkim roztargnieniem – tata błądził myślami przy tłumaczonym właśnie przez siebie szkockim kryminale, mama natomiast jedną półkulą mózgową była w Marii Magdalenie, gdzie wyjątkowo dołożyli jej klasy matematyczno-fizyczne, a drugą z punktu zaabsorbowała Gośka z Jagódką.

Elka pogoniła ich wszystkich do stołu. Na widok białego obrusu, wina i widelczyków od Thorina Dębowej Tarczy rodzice nieco

oprzytomnieli.

– O, jak ładnie – zdziwił się tata. – A z jakiej to okazji?

Wtedy w drzwiach pojawił się David, dzierżąc bukiet, ukryty wcześniej w Komórce Pod Schodami. Nie miał na sobie maturalnego garnituru jak Wolfi i nie rzucał się na kolana, ale i tak zbijał z nóg. David, nie bukiet, chociaż bukiet też.

– *Uncle Robert*, *aunt Rose* – odezwał się uroczyście – mam zaszczyt prosić was o rękę Elanor. – Na moment zawahał się, komu ma wręczyć kwiaty, zupełnie jak Baltona oświadczający się o Patrycję, wreszcie wepchnął je w ręce mamy. Wepchnął, bo mamę zamurowało. Oderwanie jej od Marii Magdaleny i Gośki z dzieckiem było brutalne.

Pierwszy ochłonął tata.

– Bardzo nam miło – wyrzekł kurtuazyjnie. – Chyba macie nam dużo do opowiedzenia, siadajcie, proszę, do wieczora daleko…

Faktycznie, przez następne kilka godzin Ela i David opowiadali o wyprawie po Szkocji i jej konsekwencjach. Najmłodsza Niziołkówna miała satysfakcję jak stąd do Wodogrzmotów Rauros – nareszcie wszyscy słuchali jej z zapartym tchem.

– Uzgodniliśmy wstępnie – mówił ze swadą David – że wzięlibyśmy ślub w przyszłym roku w czerwcu, jak tylko skończę studia. Elanor będzie wtedy po drugim roku i tak pokombinujemy, żeby mogła przenieść się do Newport School of Art, Media and Design.

W tym momencie tata powiedział coś do Davida po walijsku, co piętrową składnią i długością wypowiedzi przypominało nieco słynne zaklęcie użyte w konwersacji ze szpitalem w Cardiff. Gośka, która walijski miała w małym palcu, zacisnęła z całej siły usta i pod pretekstem, że musi nakarmić Jagódkę, wyniosła się do pokoju siostry. Ela z kolei wymruczała, że zrobi herbaty, i ruszyła za nią.

– Co tata powiedział?! – O cóż innego mogła nieszczęsna zapytać.

Gośka zachichotała.

– Że jak ci zrobi krzywdę, to on mu wybije wszystkie zęby i zamiecie na szufelkę – zaraportowała ochoczo.

Co takiego?!

– I dobrze – odezwał się z progu Fred i wyszczerzył niewybite zęby. – Też mu tak chciałem powiedzieć, ale musiałbym poszukać

sobie paru słów u wujka Google.

Ela miała bardzo, ale to bardzo jednoznaczny wyraz twarzy, bo starsza siostra się nad nią ulitowała.

– No co ty, żartuję. Tata powiedział coś w rodzaju „mazeł tow".

Żartowała wtedy czy żartuje teraz?! Elunia wcale nie była tego pewna.

Wróciła do dużego pokoju. Nie mogła zostawiać Davida starszym na pożarcie. O dziwo, ten radził sobie bardzo dobrze, opowiadając o swojej praktyce wśród zebranych z całego Cardiff elementów podatnych na *drugs and alcohol*. Na widok ukochanej uśmiechnął się radośnie.

– Skoro ciocia i wujek nie mają nic przeciwko, chciałbym jeszcze dzisiaj w waszej obecności wręczyć to Elanor – powiedział i wyjął pudełeczko z pierścionkiem. Niedużym, ale z brylancikiem.

Klamka zapadła, zanim się kto obejrzał.

Tyle że od następnego dnia rodzinka zmieniła taktykę. Tak jak przedtem to Ela musiała za nimi łazić i prosić się o chwilę uwagi, tak teraz oni na chwilę nie zostawiali jej sam na sam z gościem. Dobra, z narzeczonym, niech będzie.

Tata oznajmił, że ma mnóstwo pracy przy tłumaczeniu, i zasiadł do swojego domowego komputera. Gośka oświadczyła, że teraz już nie potrzebuje tyle pomocy, bo coraz lepiej radzą sobie sami. W związku z czym mama wsparła tatę w trzymaniu straży. Za każdym razem, kiedy Elka wracała z Davidem do domu, czujna obecność rodzicieli była dla nich aż nadto namacalna.

Najgorzej było wieczorami. Ile razy Ela przechodziła do łazienki, której drzwi, jak pamiętacie, znajdowały się tuż obok apartamentu gościnnego, momentalnie albo mama, albo tata wystawiali głowę na korytarz. A raz, kiedy siedziała sobie z Davidem w dużym pokoju, słuchając *Koncertu brandenburskiego*, najpierw wszedł tata i zaczął pilnie szukać czegoś między słownikami, a zaraz potem mama wzięła się do układania w szafie wyglancowanych szklaneczek do drinków.

„No kurczę blade!" – pomyślała z furią Elka. „Czy oni sobie nie zdają sprawy, że tak to zachowywał się Pawlak w *Nie ma mocnych*?!"

Wtedy po raz pierwszy miała okazję zobaczyć Davida w akcji. Jej najdroższy facet wstał, uśmiechnął się pod wąsem i wyłożył swoją

kwestię bezpośrednio i łopatologicznie:

– Tato, mamo… Mogę chyba już tak mówić? – To był ukłon cudzoziemca wobec polskich zwyczajów, w Wielkiej Brytanii mówi się do teściów po imieniu. – Nie bójcie się o Elanor. Nigdy bym nie nadużył gościnności i waszego zaufania. W Szkocji mieliśmy sto i jedną okazję do grzechu, a dostaliście córkę nietkniętą z powrotem. Ja też uważam, że panna młoda powinna być dziewicą w dniu ślubu.

Krótko, zwięźle i bez krępacji. Ach, ci Brytyjczycy. Komuż by u nas taka kwestia przez usta przeszła? I do tego to „też" specjalnie podkreślone z jakimś leciutkim akcencikiem, bo ja wiem, kpiny?

Trzeba oddać mamie i tacie, że umieli się znaleźć, roześmieli się oboje, uściskali młodzież, to jest, hm, narzeczonych, i więcej im się już nie naprzykrzali. Było jeden zero dla Davida.

A Elka zaczęła się zastanawiać.

Co miało znaczyć to „też"? Do czego David robił aluzje? O czym takim wiedział, czego nie wiedziała ona? Czy coś mu powiedział ojciec? Co to takiego mogło być? To, że mama i tata byli dla siebie pierwszą dziewczyną i pierwszym chłopakiem, wiedziała doskonale, bo nie robili z tego tajemnicy. Ale czy czasami jednak, niech czytelnik wybaczy, nie pobłądzili przed ślubem? A Brendan mógł mieć jakieś przecieki od przyjaciela…

Tylko gdzie oni to pobłądzenie mogli uskuteczniać? Nie u Kotoniów przecież, bo tam zawsze byli na głowie albo Beatka, albo Mareczek. Na żadne praktyki razem nie wyjeżdżali. No to ewentualnie u taty na Poznańskiej, kiedy babcia z dziadkiem poszli na brydża, a chadzali często…

W każdym razie rodzice dali młodym spokój i tylko co najwyżej doradzali, jak mają zorganizować sobie przyszłość. O dziwo, nie padły żadne propozycje w stylu „a może byście poczekali, aż Elcia zrobi chociażby licencjat". Mieli siebie samych przed oczami, ot co. Trzeba uczciwie przyznać, że Ela doceniała ich powściągliwość, bo przecież w perspektywie mieli samotny pobyt w stumetrowym mieszkaniu pełnym książek: córki wydane, syn księdzem…

W piątek rozanielona para narzeczonych pojechała do Jaśka na Krzesiny, bo ksiądz wikary właśnie tego dnia miał wrócić ze swoimi uczniami z wędrówki po Beskidzie Żywieckim. Elkę zżerała

ciekawość, czy temu zwierzęciu bezkomórkowemu rodzinny wywiad zdołał donieść o ostatnich wydarzeniach. Okazało się, że zdołał. Cóż, chyba jednak Janeczek musiał się złamać i komórkę sobie sprawić, chociażby ze względu na proboszcza.

Jasiek wyszedł przed próg, uściskał swoją małą siostrzyczkę, potem podał po męsku rękę szwagrowi *in spe*…

I wtedy Ela z osłupieniem zobaczyła w oczach księdza Niziołka dwie siekiery, a na czole wypisaną groźbę: „Spróbuj ją zawieść, to powieszę cię na twoich własnych flakach!”.

On też?!

„E, chyba mi się tak tylko wydawało…” – pomyślała optymistycznie Elka.

Towarzystwo weszło do środka, na dowcipasy z suchymi wafelkami wedle znanej już czytelnikowi receptury Jasiek widocznie nie miał humoru, i rozpoczęła się konwersacja na tematy, jak przystało na miejsce, religijne. Mianowicie David zwrócił się do fachowca, jak powinni z Elą załatwić wszystkie formalności związane ze ślubem.

Ukochany braciszek słodkiej narzeczonej, zamiast powiedzieć krótko i zwięźle, a z właściwą sobie beztroską: „Załatwi się!”, zaczął coś truć o zezwoleniu biskupa, przy czym Ela miała oświadczyć, że „jest gotowa odsunąć od siebie niebezpieczeństwo utraty wiary”.

Elunia pomaleńku zaczęła mutować w tygrysa szablastozębnego.

„Co za głupoty! Jakie niebezpieczeństwo?! Z Davidem, który tak specjalnie wycelował w tym Ullapool, żebym tylko zdążyła na mszę?!” – oburzyła się. Jeszcze w duchu. „Że co ten baran ględzi? Dzieci mają być ochrzczone po katolicku? No przecież jasne, David właśnie tak mówił!”

– A czy ja będę mógł przyjąć na mszy komunię? – zapytał nagle David.

I znowu, zamiast odpowiedzieć jak człowiek, przedstawiciel kleru rozpoczął wykład, z którego Elka zrozumiała tylko tyle, że ich małżeństwo w ogóle nie powinno zostać zawarte na mszy. Naprawdę mówił to ten sam Jasiek, który zawsze najpierw robił, a potem pytał? Nie, nie, to źle powiedziane, Janek nigdy lub prawie nigdy nie pytał i najwyżej po fakcie pokornie przyjmował reprymendę. A teraz co?!

Zęby tygrysa wydłużyły się ponad wszelkie prawa gatunkowe, nawet machajrodonów. Za chwilę miała polać się krew.

Jednakże David miał refleks i zdołał uprzedzić działania gwałtowne:

– Ciężkie u was te formalności… – powiedział w zamyśleniu.

W oczach Jasieńka jego siostra ujrzała już z całą pewnością nie po jednej, ale po dwie siekiery.

– …trzeba by to jakoś uprościć… – ciągnął David, jakby nie zauważył niebezpieczeństwa.

Siekiery zamieniły się w zestaw toporów bojowych krasnoludów, w lewym oku Thorina, w prawym – Gimlego. Oj, niedobrze!

– …więc przejdę na katolicyzm! – ogłosił David.

Topory bojowe zredukowały się do jednego w każdym oku.

– Przez dziewięć miesięcy będę miał dosyć czasu, żeby to zrobić porządnie – dodał jeszcze narzeczony.

Topory zamieniły się w znaki zapytania, ale w końcu Jasiek uznał, że „dziewięć miesięcy" wystąpiło w tej wypowiedzi li tylko przez przypadek.

I wtedy nareszcie w oczach swojego najdroższego brata Ela zobaczyła stary, znajomy, dobry uśmiech. Wrócił do normy, drań. I na co było to wszystko?!

Dwa zero dla Davida. Błyskotliwie wygrał z dwoma kochanymi mężczyznami swojej wybranki i zdobył dla siebie odpowiednią pozycję.

W drodze powrotnej do domu Ela zahaczyła go o tę konwersję.

– Twój tata nie będzie miał nic przeciwko temu? – spytała otwarcie. Zaczynała doceniać walory rozmowy po angielsku, kiedy to pewne kwestie wygłaszało się z dużo większą swobodą niż w języku ojczystym.

– E, nie – zapewnił ją David. – Tata już od jakiegoś czasu był wkurzony na naszego pastora, bo mieszkała na plebanii ze swoją kochanką i jeszcze się z tym obnosiła.

Elę zatkało. Przez moment zawahała się, czy aby dobrze zrozumiała. Ale przecież *she*, *her* i *mistress* usłyszała doskonale!

– Może zrobię w chacie wyłom i wszystkich sprowadzę – dorzucił jeszcze lekko David.

„No, ładnie” – pomyślała Elka. „Jak w dziewiętnastowiecznym romansie!”

– A Brendan wiedział, po co jedziesz? – zapytała jeszcze.

– Tak – powiedział z uśmiechem David. – Ale prosiłem, żeby nie kablował twojemu tacie, dopóki sam wszystkiego nie załatwię.

– Lubisz go – wyskoczyła Elka tak po prostu. Chyba zaczynała przejmować sposób bycia swojego ukochanego mężczyzny.

– No pewnie, że lubię, starszy jest w porzo gość – odpowiedział ukochany z właściwą sobie dezynwolturą. – Ale ty też lubisz swojego, i brata tak samo. Widziałem, jak na niego patrzyłaś. Cholernie ci zależało, żeby mnie wreszcie zaakceptował.

„Wszystko rozumie!” – westchnęła sobie w duchu Elka z satysfakcją z jednej strony i motylim trzepotem serca z drugiej.

Rozmowa w sposób naturalny zeszła na Janka: Elka potoczyście opowiedziała o braterskich ciągotach do mszy trydenckiej, przy czym zauważyła, że Davidowi jej gadanina bardzo przypadła do gustu. W ogóle Bach junior wydawał się taki jakiś dużo bardziej konserwatywny od niejednego polskiego katolika. Wobec tego Ela z rozpędu opowiedziała mu historię kompatybilną, o mniejszym jednakże ciężarze gatunkowym:

– Janek uważa, że ksiądz powinien chodzić cały czas w sutannie, a kiedy naprawdę jest mu niewygodnie, to przynajmniej w koloratce. Mówi, że to jak obrączka żonatego mężczyzny, jakby ją zdjął, to byłby sygnał, że chce robić skok w bok. – David z aprobatą potakiwał. – No i jak szedł ze swoimi uczniami po górach, to tak samo. A w schroniskach, kiedy szli spać, zamiast góry od piżamy zakładał T-shirt z napisem: JESTEM KSIĘDZEM! – Zaśmiała się, bo wyobraziła sobie Janka na Rysiance w kolejce pod prysznic, z rozczochranymi hobbickimi włosami, w krótkich spodniach i koszulce z takim nadrukiem. David jej zawtórował.

Chyba zaczęły mu chodzić po głowie jakieś plany.

Chwilowo postanowił zdobyć trzeci przyczółek. Mianowicie na kolejny dzień zaawizował się do Podgórnych.

Gośka i Fred przyjęli ich gościnnie, uprzejmie, bez broni zaczepno-odpornej w oczach. Może tylko Elka by wolała, żeby jej siostrzyczka powarczała na nich po swojemu, zamiast uśmiechać się tak

ulepkowato; Fred natomiast mógłby opowiedzieć jakiś dobry kawał. A stał tylko w kącie i przyglądał się.

David podszedł do wózeczka, w którym leżała Jagódka.

– *Hello, Goldberry, River-woman's daughter!* – powiedział i swobodnie, jakby wychował piątkę własnych dzieci, podniósł ją na ręce, zgrabnie przytrzymując główkę. A Gośka tak się bała na początku trzymać małą w pionie i zawsze prosiła mamę o pomoc!

Nie trzeba dodawać, że po chwili siedzieli we czworo w świętej zgodzie przy stole, pytlując zawzięcie o polityce. Można by rzec: gdzie się podziały te brytyjskie konwenanse? I nie tylko brytyjskie, polskie też. David dopytywał, co szwagrostwo sądzą o katastrofie smoleńskiej, więc Gośka z Fredem uświadomili go tak ochoczo i tak skrupulatnie, że wyszedł z Elką od nich o pierwszej w nocy, żegnany czułymi „*see you!*"

Trzy zero.

Wracali powolutku po nocy na Pamiątkową, a Ela uprzytomniła sobie, że przez cały wieczór nie dostała ani jednego esemesa w rodzaju „o której wracacie?". Mało tego, mama i tata nie czekali na nich, światło mieli zgaszone i żadne nie wyjrzało na korytarz w celu skontrolowania sytuacji, to jest czasokresu[1] mówienia sobie dobranoc.

Veni, *vidi*, *vici*.

Żeby nie te obietnice, psiakrew! A tak cóż, język nie cholewa…

Ale Davidowi było mało, widocznie postanowił mieć taki wynik, jak przed wiekami polska reprezentacja w meczu z Haiti. (Było to bardzo, bardzo dawno temu, w zamierzchłych czasach dzieciństwa Elkowych staruszków, ale często jej o tym opowiadali i jeszcze o jakimś Wembley).

Babcię Niziołkową na samym wstępie ujął wygłoszonym po polsku powitaniem; co prawda Ela zamarła, czy aby nie dołoży do niego frazy, której nauczył się od niej pod Applecross, ale na szczęście poprzestał na „dzień dobry, bardzo mi miło". Potem zebrał sobie w oczach babci maksa, bo z żołnierskim apetytem, nieomalże jak Marcinek z *Harpii*, zjadał wszystko, cokolwiek przed nim postawiła: nadziewaną paprykę, faszerowane jajka, frankfurterki (*delicious!*), surową szynkę z chrzanem (!), dwa rodzaje tortów i sałatkę

owocową, popijając to jednocześnie kawą, herbatą i sokiem pomarańczowym. Na sam widok małojadce Eli robiło się słabo, ale babcia była zachwycona, co potem dyskretnie wyszeptała w korytarzu wnusi do ucha.

Z kolei z babcią Kotoń poprowadził David może nieco kulawą, z uwagi na konieczność usług translatorskich w wykonaniu Eluni, ale gorącą dyskusję na temat jakichś kompletnie przedpotopowych aktorów. Elka nie bardzo wiedziała, czy chodziło o Filipa Gerarda czy też może odwrotnie, za to była pewna co do aktorki Hepburn dwojga imion, Katharine Audrey. Babcia wyciągnęła albumy z fotosami filmowymi i oboje z Davidem cmokali z zachwytem, aż Ela przyrzekła sobie w duchu podciągnąć się z tych staroci.

Z wujkiem Markiem umówili się na Tumie, po którym miał ich fachowo jako historyk oprowadzić. Tym razem David zasłużył się tym, że znał datę chrztu Polski i wymawiał zupełnie prawidłowo „Mieszko" i „Bolesław", nie wspominając już o Jordanie czysto po polsku przez jot. Doprawdy nie wiadomo, jak on to robił, Eli nie pytał, nie prosił o kursy wymowy; musiał szukać sobie w internecie, ale że mu się tak chciało! Czytelnik zapewne się domyśla, że tym razem Elka postanowiła poduczyć się historii Walii i poprosić Gośkę o kilka lekcji „walijskiego dla idiotów". Jak to miłość znakomicie wpływa na intelekt, nieprawdaż?

Na sam koniec David zostawił sobie Aniołów. Znał ich już przecież, pomieszkali u jego rodziców w warunkach ekstremalnych, kiedy ważyły się losy Rafała, ale mimo to, a może właśnie dlatego poprosił:

– Pojedziemy do Gołuchowa, dobrze?

Pojechali następnego dnia autobusem, w południe dotarli na miejsce. Do wuja Michała i ciotki Beaty, którzy mieszkali w pofolwarcznych zabudowaniach, bardzo fajnych, szło się przez park. Dla Elki był to widok znany od najmłodszych lat i przywykła uważać to miejsce za najnormalniejsze w świecie. Teraz spojrzała na Gołuchów, park, zamek i całą resztę oczami Davida i stwierdziła, ku własnemu zaskoczeniu: Jak tu ładnie! Dlaczego właściwie Rafał tak wyrywał się w świat, skoro miał szczęście dorastać w takim cudownym Tajemniczym Ogrodzie? Ciągoty plenerowe Davida

rozumiała doskonale i, jak czytelnik wie, podzielała co najmniej od miejscowości Callander; podczas jego pobytu w Poznaniu też łazili choćby na Dębinę czy do ogrodu botanicznego, byle nie męczyć się w mieście. A Rafał zupełnie odwrotnie…

W domu zastali tylko Rafała i ciocię, bo jej lektoraty na wydziale zamiejscowym UAM w Kaliszu zaczynały się dopiero w październiku. Wujek i Gabriel byli na wykopaliskach w Kościelnej Wsi i mieli wrócić po południu. I wtedy David zadysponował:

– Porozmawiaj sobie z ciocią, opowiedz jej o wszystkim, a ja się przejdę z Rafałem!

Elka była na takim etapie zakochania, że do głowy jej nie przyszło dyskutować. Całkowicie niegenderowo uznała, że panowie mają jakieś swoje męskie sprawy, więc ona nie będzie się wtrącać. Och, co ta miłość robi z człowiekiem…

Usiadły na werandzie, Ela bez odrobiny znudzenia opowiedziała wszystko dokładnie po raz piąty czy może szósty, a potem rozkrochmaliła się ciotka. Że Rafał jest nie do życia, że nie widzi przed sobą przyszłości, że… Tu Beacie głos zadrżał, a bystra siostrzenica domyśliła się w lot, o co chodzi: o to samo, co i ona, jak Scarlett O'Hara, odsuwała od siebie, póki się dało.

David i Rafał wrócili równo z wujkiem i Gabrielem; Rafał był całkiem do rzeczy, nawet śmiał się i pokpiwał, że starzy kumple Robert i Brendan postanowili swoje latorośle wyswatać.

„Kretyn, nie wie, co gada!" – pomyślała z wyższością Ela. Ale jakieś tam ziarnko niepewności kuzyn posiał jej w duszy. O czym ojcowie gadali wtedy na Skypie? Nie, niemożliwe, tata nie umiałby zagrać takiego doskonałego zaskoczenia!… To może sam Brendan namotał intrygę? A, nawet jeżeli tak, to niech mu na zdrowie będzie!

Kiedy wracali do domu pociągiem z Pleszewa – wuj ich podrzucił – David powiedział:

– Przepraszam, że cię zostawiłem i tak długo gadałem z Rafałem. Ale trzeba było. – Pomyślał trochę i dodał: – Wiesz, nie chciałem cię w to mieszać, wiedziałem, że rozmowa będzie trudna. No i jemu było łatwiej w cztery oczy.

– Ja rozumiem! – zapewniła Ela. I zupełnie niespodziewanie dla samej siebie, szczerze do bólu, zupełnie jak uczniowie Jaśka na

religii, zapytała: – On się boi, że ma przed sobą dwadzieścia lat, prawda?

David spojrzał na nią krótko.

– Tak – odpowiedział. – Ale doszliśmy w końcu do porozumienia. Opierniczyłem go i powiedziałem, że jeżeli tak uważa, to nie ma gnić, tylko brać się do roboty. Szkoda czasu.

– I co?

– I spakuje manatki, przyjedzie do nas do Cardiff, w końcu będziemy teraz rodziną. Powiedziałem, że mogę mu załatwić zlecenie na dokumentację fotograficzną wybrzeża aż do Bangor. Kupi sobie takiego grata jak mój i będzie powolutku jeździł.

Elka osłupiała.

– Rany, co ciotka z wujem na to powiedzą?!

– Jeżeli są mądrymi ludźmi, a chyba są, to zrozumieją.

Chyba tak… To znaczy są mądrzy, więc chyba zrozumieją.

Ile to już było? Siedem zero? Jak w meczu z Haiti.

Ale, jak się okazało, David miał w planach jeszcze puentę. Mogła się była Elka domyślić, co zamierza, bo całkiem wyjątkowo pojechali do ścisłego centrum. Tam David wcisnął ją do Omnibusa na Świętym Marcinie pod hasłem „kup sobie coś ode mnie na urodziny", a sam podskoczył do Copyshopu, gdzie uskuteczniał jakieś tajne machinacje. Też chyba to wyszukał w internecie, no bo jak inaczej!

W niedzielę poszli do Janka na mszę po angielsku. Trochę się Ela bała, żeby jej rozkoszny braciszek znowu z czymś nie wyskoczył, a drań to widział i usta mu drżały, ale sobie darował i tylko kazał swoim dzieciakom pomodlić się za narzeczonych i zakochanych. No, dobra, niech będzie. Odprowadzili go na plebanię, a David zagadnął:

– To cześć, stary, jutro lecę! Jakbyś na przyszłe lato planował z uczniami jakąś większą wyprawę, to proponuję Szkocję, Elanor ci wszystko zaplanuje i da namiary na git schroniska. – Jasiek popatrzył na siostrę w skupieniu, ale chyba znaków zapytania w jego oczach tym razem nie było. – A to dla ciebie, gdybyś się zdecydował. – I David podał mu metalową puszkę. – Otwórz, otwórz! – dodał radośnie.

Weszli do kuchni, Janek sięgnął po otwieracz, trochę się pomęczył, bo puszka była solidna, wyciągnął zrolowany kawałek materiału,

rozpostarł… i oczom wszystkich obecnych, łącznie z proboszczem, który zajrzał ciekawie, słysząc śmiechy, ukazała się biała koszulka z napisem: I'M A PRIEST!

David był lepszy od polskiej reprezentacji w Monachium.

„I jak ja mam teraz wytrzymać bez niego tyle miesięcy?!" – pomyślała w popłochu Ela.

[1] Że co, że nie mówi się „czasokres"? To zajrzyjcie sobie do rozdziału trzynastego. Ale nie teraz, potem, przyjdzie na to czas! Nie okres.

Rozdział II

Czy zostanie gwiaździsty dyjament

Z początkiem października Ela zaczęła chodzić na uczelnię, co bardzo jej się przydało, bo z tęsknoty łaziła po ścianach. I co z tego, że codziennie rozmawiała z Davidem na Skypie? Pomagało tylko trochę. Co prawda byli umówieni, że na Boże Narodzenie Elka przyleci do Cardiff i wtedy oficjalnie zostanie przedstawiona całej rodzinie, ale tak czy inaczej, oznaczało to dwa i pół miesiąca czekania!

Na razie była na bieżąco informowana o sprawach dotyczących konwersji narzeczonego. (Ha! Narzeczonego! Jak to pięknie brzmi!). Zgodnie z przewidywaniami Brendan nie zgłosił żadnych zastrzeżeń, mało tego, jego dysputy z tatą nasiliły się tak bardzo, że Ela zaczęła się zastanawiać: czyżby od początku chodziło im o sprawy religii i tak jak Janek ze swoimi uczniami po angielsku, tak i oni, dla większej dyskrecji, gadali sobie na te trudne tematy po walijsku? A jeżeli tak, to tacie nieomalże przypadła rola Tolkiena, który wszak nawracał Lewisa. W każdym razie David był na etapie regularnych kontaktów z katolickim proboszczem, który bardzo skrupulatnie wyznaczał mu kolejne konferencje. Czasami Elka aż się czuła zażenowana, bo David potrafił zadawać jej tak specjalistyczne pytania, że nie mogła sobie z nimi poradzić. O transsubstancjację na przykład. Wstyd powiedzieć, ale nie miała zielonego pojęcia, co to jest. Może go przekierować do taty, niech obsłuży całą rodzinę Bachów za jednym zamachem?

Na razie postanowiła edukować się intensywnie w angielskiej liturgii, w związku z czym odważnie pomaszerowała do Janka na mszę. Niech gada, co chce.

Jasiek nic nie gadał, a spostrzegawcza siostra bez trudu zauważyła, że jest jakiś przytłamszony, może nawet zdenerwowany, co doprawdy nieczęsto mu się zdarzało. Zabrała się z nim potem na plebanię; księdza Tadeusza nie było, bo pojechał kogoś tam odwiedzić; mogli gadać do woli.

– Janek, co się dzieje? – zapytała energicznie. Ostatnio czuła się jakaś taka starsza i poważniejsza, więc to ona zapytała jego, jakby różnica wieku pomiędzy nimi zaczęła się zacierać.

Jasiek westchnął. Dziwne, zawsze taki wesoły, a teraz wzdycha. Szkoła każdego potrafi wykończyć, ale żeby w miesiąc? Księdza Niziołka?

– Elka, bo już mi się we łbie gotuje od tej pedofilii – wyznał Jasiek prosto z mostu. – W każdej gazecie, na każdym kanale, w internecie, w lodówce… no ruszyć się nie można! – Fakt, i Ela, i mama miały tego serdecznie dość i uciekały od telewizora. Tylko tata katował się masochistycznie. – Dzieciaki w szkole na okrągło mnie o to pytają. W końcu im się odszczeknąłem, że odpowiadam za siebie, nie za innych, i jakby mnie na czymś złapali, to mogą ukamienować na szkolnym placyku.

– No i dobrze.

– Nie, Elka, niedobrze. Problem w tym, że ja jestem odpowiedzialny nie tylko za siebie. To jest mój Kościół i moja odpowiedzialność przed ludźmi za niego. W piątek jedna nauczycielka przywitała mnie słowami: „I co nowego u twojego kumpla?”. Wiesz, o kogo chodziło, prawda?

– Wiem, wiem! – Aż taka głupia Elunia nie była, tak zupełnie od telewizji przy tacie odciąć się nie dało. – Bez przesady, Pip, jak w Anglii Polak kogoś zabije, to mam się za niego wstydzić, bo jestem Polką?

– Ale trochę ci jednak głupio, prawda? A wiesz, co jest w tym najgorsze? Że zaczynam uważać. Jak ktoś jest ze mną sam na sam w klasie, to otwieram drzwi na korytarz. Spowiedź tylko w konfesjonale, żadnych rozmów w cztery oczy na plebanii. Ręce

przy sobie, żadnego poklepywania po ramieniu. To jest chore, rozumiesz? Czuję się, jakbym miał się wyrzygać!

Elce było go serdecznie żal.

– Stary, nie przejmuj się, rób swoje…

– Niby robię. Jeszcze latem, jak byliśmy w górach, kilka tygodni temu dosłownie, wszystko było dobrze. Staliśmy w kolejce do łazienki, ja miałem na sobie swoją koszulkę z napisem… Czego się śmiejesz, głupia małpo?

– Nic, nic, przepraszam, jedź dalej!

– Podszedł do mnie chłopak i zapytał, czy naprawdę jestem księdzem czy tylko tak się wygłupiam. Jak potwierdziłem, to poprosił, żeby go wyspowiadać. Poszliśmy do jadalni, siedliśmy obok siebie w kącie i trwało to do późnej nocy. Do głowy mi nie przyszło, żeby uważać, dystansować się… A dzisiaj… Elka, dzisiaj bym się od niego odgrodził stołem i jeszcze tak usiadł, żeby wszyscy doskonale widzieli, że pomiędzy nami nic się nie dzieje! Bo gdzieś tam w podświadomości miałbym sygnał, że, bo ja wiem, może to podpucha, może jego koleś nagrywa mnie komórką i potem wrzuci do netu? To kretyństwo! Brzydzę się samego siebie, rozumiesz?

– Janek, słuchaj, rozsądek to nie kretyństwo. Debile się zdarzają i musisz być na to przygotowany. Jeszcze raz ci powiem: rób swoje, bądź taki jak zawsze, dobry, życzliwy… – Jasiek chyba się zarumienił. – A że będziesz trzymał odrobinę dystansu, to nic takiego, traktuj to jak, bo ja wiem, procedury, konwenanse, nie wiem, jak to nazwać…

– Mojaś ty mądra siostrzyczko, nie sądziłem, że potrafisz tak znakomicie poradzić, twój psycholog ma na ciebie piorunujący wpływ – zakpił Janek; jak to dobrze, chyba już mu zaczęło przechodzić. – Przepraszam, że ci tak wylewam swoje żale, nie powinienem.

– Czemu by nie? Od tego jest rodzina, żeby przytrzymać ci strzemię. – Słowa taty same wyleciały Eli z ust. Jasiek chyba znowu trochę się speszył, ale popatrzył na siostrę z uznaniem. – A skoro już sam wspomniałeś o moim psychologu… powiedz, co ty miałeś, względnie jeszcze ciągle masz do niego? – No proszę, rzeczywiście Ela robiła się przy bracie coraz bardziej stanowcza.

– Oj, Elka, sama musisz przyznać, że poszło to piorunem! Ile czasu wam trzeba było na podjęcie decyzji o ślubie? Tydzień? Góra dwa! To

nie dziw się, że twoi bliscy patrzą na to nieco… sceptycznie.

„Tylko się nie wkurzaj” – pomyślała sobie Elka. „Rzeczowe argumenty, ot, czego tu trzeba”.

– Po pierwsze, David nie jest obcym człowiekiem. Jest synem najlepszego przyjaciela taty i znamy się z nim od dziecka. – Znali się, fakt! Shrewsbury wyleciało Eli z pamięci, ale doskonale odtwarzała epizod, jak ośmioletni Davidek straszył ją w ogrodzie pająkiem. – Po drugie, braciszku, powiedz mi, proszę, ile ty sam miałeś lat, kiedy postanowiłeś zostać księdzem?

Janek milczał chwilę, wreszcie uczciwie odpowiedział:

– Piętnaście.

Ela tylko się roześmiała.

– Kochany, i o czym my mówimy?! Ty jako piętnastolatek potrafiłeś podjąć taką decyzję i wytrwać w niej, a dwoje dorosłych ludzi nie ma prawa bardzo szybko dojrzeć do małżeństwa? Tak, tak, wiem, pojechałeś po maturze do Anglii, żeby pewne rzeczy przemyśleć. – Przypomniała sobie, co mówiła jej sto lat temu Gośka. – My też z Davidem będziemy czekać prawie rok. Jeżeli nasze postanowienia się nie zmienią, czy nie będzie to świadczyło o ich dojrzałości? I jeszcze coś ci powiem – podniosła głos, nikt jej nie mógł w tej chwili powstrzymać – bo masz to na twarzy wypisane, tylko przez gardło ci nie może przejść, kabotynie jeden: nie spaliśmy ze sobą, jasne?! To ja, rozumiesz, ja raz mu zaproponowałam, żebyśmy nocowali pod jednym dachem, ale on był rozsądniejszy ode mnie i od razu mówił nie. Więc odczep się od niego i zaufaj nam! – Chciała dodać „do cholery!”, ale się powstrzymała, bo i bez tego wygrała w cuglach. Takie przynajmniej miała wrażenie.

Wtedy ten drań złapał ją w ramiona i wychlipał:

– Moja mała dziewczynka dorosła i poszła mordować ludzi! – A ona pomyślała, że rzeczywiście zadusi swojego najdroższego braciszka na miejscu. Kanalia sparodiował smoka Mushu z *Mulan* i postawił kropkę nad „i”, za jednym zamachem obśmiewając niegdysiejsze siostrzane fascynacje i wytrącając jej oręż z rąk!

Ale oczywiście długo nie mogła się na niego boczyć. Poza tym skoro atmosfera zrobiła się taka bardziej jak niegdyś na Roztoce,

chociaż teraz Elka była nieskazitelnie trzeźwa, można było wypytać o pewne rzeczy.

– Pip, słuchaj… Powiedziałeś, że miałeś piętnaście lat. To znaczy kiedy? Po tej lekcji polskiego?

– W zasadzie tak, trudno powiedzieć, Elciu. Ze mną było tak trochę dziwnie, pamiętasz, jak próbowałem wam z Gośką tłumaczyć? Najpierw się zdecydowałem, chyba można tak to w uproszczeniu powiedzieć. Potem przez lata to we mnie rosło, dojrzewało. A do Anglii pojechałem, żeby się sprawdzić. Żeby się przekonać, czy potrafię żyć sam, bez was, bez Merry'ego. Nigdy wam nie mówiłem, ale przez pierwszy miesiąc było mi bardzo trudno, chociaż mój szef był w porządku, nie dokuczał, nie czepiał się, że coś tam źle zrobiłem, tylko tłumaczył. No i mogłem sobie pograć, to też mi pomagało.

– Janek… A przez ten cały czas nie spotkałeś żadnej dziewczyny, która by ci się podobała? – No proszę, bez alkoholu też można zadać takie pytanie!

– To nie tak, Elka. W szkole miałem fajne koleżanki, nigdy przed nimi nie uciekałem, umiałem porozmawiać. – Pewnie, że umiał, i to jeszcze w muzycznej, a potem w piątce; zawsze byli z Merrym lubiani, przez dziewczyny i przez chłopaków. – W Lewes pracowały ze mną takie dwie bardzo sympatyczne kelnerki. Były ładne, miłe… i tak, podobały mi się. Tyle tylko, że nie myślałem o nich jako o kandydatkach na dziewczynę, na narzeczoną, rozumiesz? Po prawdzie, to nie kosztowało mnie aż takiego wysiłku – Janek uśmiechnął się szelmowsko – bo one były starsze, a ja dla nich trochę za smarkaty. Ale też nie szukałem tego rodzaju znajomości, w ogóle w to nie wchodziłem.

– Jak cukrzyk?

– Co takiego?!

– No, cukrzyk nie może jeść słodyczy, bo mu szkodzi.

– Nie, co ty, jeżeli już można to do czegoś przyrównać, powiem ci tak: jak pianista, który powinien umieć sobie odmówić jazdy na nartach.

Ooo, Jasiek sam z własnej woli poruszył bardzo delikatny temat!

– Pip, ty sugerujesz, że twoje decyzje to była ekspiacja za tamten wypadek?

– Nie, to też nie tak. To nie byłaby dobra motywacja: za pokutę. Tak nie można. Ale niewykluczone, że gdyby Merry wtedy się nie rozwalił, gdybyśmy nie odeszli razem z muzycznej, moje życie wyglądałoby zupełnie inaczej. A tak… oj, Elciu, nie masz pojęcia, jak ciężko mi się o tym mówi… Chyba po prostu otworzyły mi się oczy na pewne sprawy, tak po ludzku mówiąc, bo nie chcę ci tu truć księżowskim slangiem.

– Może powiedz jak porucznik Dan do Forresta Gumpa?

– Że spotkałem Jezusa? – Jasiek chwycił od razu i uśmiechnął się, *Forresta Gumpa* oglądało się na Pamiątkowej na okrągło. – Może być. To jedna strona medalu. Z drugiej strony masz rację, że ja cały czas mam poczucie winy za Merry'ego…

– Ty? To przez ciebie?

– W dużej mierze tak, siostrzyczko. Rodzice Merry'ego pozwolili nam zjeżdżać tylko niebieskim szlakiem, to wiesz. Dwóch kretynów nie uważało, pomyliło się. Tak bywa. Ale jak tylko zobaczyliśmy, że jesteśmy na czarnym, trzeba było się wycofać, tylko że nam było nie honor. No i ja wtedy podpuściłem Merry'ego, powiedziałem coś w stylu: „A, dalej, jazda!". Przybiliśmy piątkę i pojechaliśmy… Resztę już znasz.

– A Merry… kiedykolwiek… no wiesz… miał do ciebie żal?

– Nie, coś ty. On uważał, że wina była wspólna. A jego rodzice potraktowali to po prostu jak wypadek. Nikt mi złego słowa nie powiedział. I co z tego…

– Janek…

– Tak, siostrzyczko?

– W filmie amerykańskim by powiedzieli: „Nie dręcz się, to nie twoja wina, patrz przed siebie". Ja ci powiem: Merry ma w tobie najlepszego przyjaciela i zawsze może na ciebie liczyć. Ciesz się z tego. Poza tym Merry przyszedł do piątki po Wiolę. Coś za coś.

– Oj, mała, chyba muszę przestać tak do ciebie mówić. Robisz się taka dorosła, faktycznie miłość ci służy!

– Dopiero teraz powinieneś tak do mnie mówić! – odszczeknęła się Ela łobuzowi, a widząc, że jej błyskotliwy braciszek tym razem

jednak nie załapał, dodała: – „Bach” to znaczy „Mały”, nieprawdaż?

Wygrała, mogła zmienić temat.

– Jak już jesteśmy przy Merrym, to opowiedz, co u nich. – Rzeczywiście, nie pomyślała o przyjaciołach od wieków całych, chyba od maja, aż jej się wstyd zrobiło. Najpierw była sesja, potem pojechała do Cardiff, a jeszcze potem miała w głowie już tylko jedno.

– Mieszkają w takim śmiesznym mieszkanku przy Góreckiej, rodzina ich obdarowała. Merry robi najróżniejsze prace zlecone, muzykę do reklam, filmów dokumentalnych, dwa razy do Teatru Telewizji. Wiolka siedzi w firmie produkującej okna, ale będzie tam tylko do grudnia…

– Zwalniają ją?

– Nie. – Jasiek uśmiechnął się. – Idzie na urlop macierzyński.

– To czemu mi wcześniej nie mówiłeś?!

– Bo nie pytałaś! Miłość cię zaślepia…

– Janek, ty naprawdę nie chcesz przeżyć! I co, dziewczynka czy chłopiec?

– Nie wiem, oni też nie pytali, postanowili, że ma się to odbyć tradycyjnie. – Aha, po wyczynach Gośki nie mają zaufania do techniki! – Dobra, Elka, spadaj, muszę iść, wieczorną mszę też ja odprawiam, proboszcz wróci dopiero jutro.

– Cześć, Peregrynie, synu Roberta!

„Dobrze mieć takiego brata” – pomyślała Ela. „Od razu łatwiej się czeka”.

W domu natrafiła na Gośkę i Freda z Jagódką. Jej siostrzeniczka rosła w oczach!

Gośka pokazała ozdobny bilecik.

– Zobacz, co dostałam od starszych na urodziny!

Na karteczce widniał napis: „Talon na jeden z dowolnie wybranych produktów: a) książka Sławomira Cenckiewicza *Wałęsa – człowiek z teczki*; b) dwa bilety na film Andrzeja Wajdy *Wałęsa – człowiek z nadziei* + zajęcie się dzieckiem”.

Elka zachichotała.

– I co wybrałaś?

Gośka spojrzała na nią przeciągle.

– A jest w ogóle jakiś wybór?

– Próbowałem pertraktować o bilety na *Grawitację* Cuaróna – wtrącił Fred. – Wiesz, to ten gość, co reżyserował *Więźnia Azkabanu*. Podobno świetne efekty specjalne. Ale niestety nie było takiej opcji.

– No więc sama rozumiesz, przecież nie pójdziemy na ten produkcyjniak – dopowiedziała Gośka.

– A wy idziecie? – zwróciła się do mamy i taty młodsza córeczka.

Popatrzyli na siebie z niepewnymi uśmiechami.

– Jeszcze nie wiemy. To tak jak z flagą na trzydziestego pierwszego sierpnia – wyjaśniła mama.

Ela wiedziała doskonale, o co chodzi. Od dobrych kilku lat rano trzydziestego pierwszego sierpnia dochodziło między rodzicami do ognistej wymiany zdań. W tym roku trochę się hamowali ze względu na Davida, ale i tak było ich słychać, a ona musiała to wszystko tłumaczyć, w obu tego słowa znaczeniach. Spracowała się wtedy straszliwie, wreszcie poprosiła tatę, że jak już przekomarzają się publicznie, to niech on sam udzieli zięciowi merytorycznych wyjaśnień w bezbłędnej angielszczyźnie. Co też uczynił niezwłocznie i z satysfakcją:

– Moja żona twierdzi, że dzisiejsza Solidarność odeszła tak daleko od swoich korzeni, że nie ma sensu firmować jej poprzez wywieszanie flagi. Ja jestem zdania, że trzeba patrzeć historycznie i oddać hołd tamtym czasom i tamtym ludziom.

– Nie będę na siłę gloryfikować swojej młodości – skoczyła mama. – Mam wywieszać flagę tylko dlatego, żeby się lepiej poczuć? Trzeba umieć spojrzeć prawdzie w oczy: Bolek skakał przez płot, to jest, co ja gadam, właśnie nie skakał, a ja mam udawać, że nic się nie stało? Wytłumacz to, proszę, kochanie, Davidowi! – Po trzydziestu trzech latach pożycia z anglistą mama wszystko rozumiała i mówiła płynnie, ale w sytuacjach szczególnych zostawiała konwersację fachowcom.

Oj, spracował się ojczulek, spracował! W każdym razie rezultat jazgotania starszych był zawsze taki sam: flaga zostawała wywieszona. Więc pewnie teraz też pójdą do kina.

Mówiąc szczerze, Ela nie bardzo rozumiała ich obiekcje, to znaczy przede wszystkim Gośki i Freda, którzy na Wajdę mieli długie zęby.

– Gośka, a który film Wajdy ty najbardziej lubisz? – zapytała siostrzyczkę ze szczerością głupiego Jasia, z przeproszeniem Jana

Peregryna.

Gośka prychnęła, ale zastanowiła się uczciwie i odpowiedziała:

– *Ziemię obiecaną*.

Taki wybór Elka rozumiała doskonale, chociaż *Ziemia obiecana* nie mieściła się w stylistyce romantycznej dwudziestolatki, bo była za bardzo drapieżna. Kiedyś, jeszcze w liceum, matka-matematyczka załadowała płytę do odtwarzacza i prawie przemocą usadziła Elę przed telewizorem w celu uzupełnienia rażących braków w ogólnym wykształceniu humanistycznym, jak to określiła nielojalnie wobec kolegi po fachu.

– Tylko uprzedzam od razu – powiedziała szczerze do bólu – film jest momentami obrzydliwy, a ja sama trzy dni nie jadłam, kiedy go pierwszy raz zobaczyłam!

Chyba była trochę za delikatna, oceniła po fakcie Elka. Owszem, pan Pszoniak rzygał tak sobie mało estetycznie, a ludzkie kotlety fruwające po hali z kołem zamachowym były hardkorowe, ale żeby zaraz trzy dni? A jak zniosła *Szeregowca Ryana*? No fakt, *Szeregowiec Ryan* i różne takie inne, chociażby te *Wschodnie obietnice*, były wiele lat później, mama miała czas, żeby okrzepnąć i przyzwyczaić się.

– Ja też, jak już mam wybierać – dołączył się Fred. – Jest tam parę dobrych kawałków, na przykład jak nie oddawać pieniędzy wierzycielom albo jak wylatywać z pracy, wrzuć sobie takie hasło na YouTube, zobacz, co ci wyskoczy!

– No! – przyłączyła się ochoczo Gośka. – Takie coś ekstra dla Davida, możesz mu to przesłać: wykład Moryca o wyższości katolicyzmu nad protestantyzmem! Cóż to za firma, protestantyzm, a? Papież, to jest firma! A czy ja idę do kościoła po to, żeby się denerwować? Jak ja się narobię cały tydzień, to ja potrzebuję odpocząć. Chcę pójść do ładnej sali, gdzie są ładne obrazy, ładna architektura, ładna ceremonia… kawałek ładnego koncertu…

– Chcesz w łeb? – warknął mały drapieżnik i zwrócił się do rodziców. – A wy pewnie coś z waszych czasów? *Popiół i diament*?

Mama popatrzyła na córcię przeciągle.

– Twoim zdaniem ile ja mam lat, co? Za naszych czasów to był *Człowiek z marmuru*. Ale rzeczywiście, *Popiół i diament* stawiałabym

w czołówce.

Dla Eli *Popiół i diament* był kompletnie przedpotopowy, jak Gérard Philipe (sprawdziła w Wikipedii!); nie lubiła filmów biało-czarnych, główny bohater zupełnie do niej nie przemawiał, a grający go aktor był taki jakiś… niedzisiejszy, teatralny. Jak już miałaby na coś postawić, wybrałaby filmy najnowsze, *Pana Tadeusza* albo *Katyń*.

– Mamo, a co wy z tatą o tym myślicie. – Przy okazji coś chciała sobie wyjaśnić. – W „Do Rzeczy" było napisane, że Wajda na każdym etapie swojego życia uskuteczniał kolejny produkcyjniak. – Gośka też użyła tego słowa. – I że w *Popiele i diamencie* napluł w twarz żołnierzom wyklętym, bo dał do zrozumienia, że ich miejsce jest na śmietniku historii.

– A to akurat bzdura do kwadratu – burknęła Gośka. Gośka? Dobrze usłyszała?! Jej siostrzyczka z nożem w zębach? – Maciek Chełmicki umiera na śmietniku, fakt. – Kto? Aha, główny bohater, Ela nie pamiętała nazwiska. – Ale niech mi kto pokaże, że Wajda się pod tym podpisuje! Co oni tacy prymitywni, środków wyrazu nie rozumieją? Nie wiedzą co to ironia? Parabola? Jak w *Korczaku*! Też filosemici porąbani Wajdę zgnoili, że fałszuje zakończenie, kompletni bezmózgowcy, nie chwytają symbolu?

„Za chwileczkę się zgubię" – pomyślała Ela. Przeskok od *Popiołu i diamentu*, który znała słabo, do *Korczaka*, którego z kolei nie miała siły obejrzeć do końca, był zbyt karkołomny na jej możliwości.

– Toteż później pierwsza kamera RP już nie eksperymentowała, tylko wypuszczała filmy poprawne politycznie, jak *Wielki Tydzień* – wtrącił Fred. – I lektury szkolne z pedofilem w roli głównej! Nie ma to jak solidarność zawodowa!

No to się Elunia zgubiła. Jaki pedofil? Pogłupieli wszyscy z tą pedofilią dzisiaj?!

Gośka zauważyła niepewną minę siostry.

– *Zemsta*, mała. I Polański w roli Papkina. No wiesz, Polański, ten reżyser, który nie może wrócić do Ameryki, bo by go od razu przyhaczyli za stosunki seksualne z nieletnią.

Elka już wiedziała. „Daleko odeszliśmy od żołnierzy wyklętych" – przemknęło jej przez myśl.

Na szczęście tata postanowił wrócić.

– Panowie z „Do Rzeczy” nie potrafią myśleć historycznie. – Ooo, ulubiona gadka taty! Zawsze tak było, jak tylko progenitura przepytywała go chociażby z inkwizycji albo o zdobycie Jerozolimy w pierwszej wyprawie krzyżowej, słyszała: „Myślcie historycznie!”, po czym następował wykład. – W pięćdziesiątym ósmym ludzie byli wdzięczni Wajdzie za przełamanie milczenia, a Cybulskiego ktoś zaczepił po premierze i powiedział mu: „Jak ja się cieszę, że pan jednak żyje!”.

– Byłam w drugiej licealnej, kiedy pan profesor od polskiego kazał nam iść na *Człowieka z marmuru* – dołączyła mama. – Wiesz, że babcia musiała mi parę spraw solidnie wytłumaczyć? – A jakże, wszyscy znali tę domową historię. Mama między innymi nie rozumiała, dlaczego przyjaciel Birkuta próbuje się na sali sądowej rozebrać. – Jeden z kolegów zgodnie z poleceniem napisał taaaką recenzję i odczytał ją z satysfakcją na lekcji. Wszystko tam było, i UB katujący ludzi, i wypadki na Wybrzeżu w grudniu siedemdziesiątego… Słuchaliśmy jak zaklęci, niby mówił rzeczy nam znane i oczywiste, ale pierwszy raz oficjalnie, na lekcji, rozumiesz? – Zamyśliła się. – Potem ten nauczyciel dostał po uszach.

– Ktoś doniósł?

– Nie, chyba nie, przynajmniej nie z naszej klasy. Raczej dyrektor na hospitacji zerknął do naszych zeszytów. W każdym razie Naszpanpolonista musiał się tłumaczyć w Wydziale Oświaty. Ale do matury nas uczył, wyleciał dopiero w stanie wojennym. W każdym razie nikt nie traktował tego filmu jako „licencjonowaną opozycję”, ani my, ani oni.

– A *Człowiek z żelaza*?

Mama pomyślała chwilę.

– Wtedy mi się podobał. Dzisiaj… tak sobie. Średnio – powiedziała szczerze. Oni oboje byli cholernie uczciwi, nie zełgaliby, nie wcisnęli kitu, że od początku uważali ten czy inny film albo książkę za łajno.

– Ale można go nazwać produkcyjniakiem tamtych czasów? – Ela była uparta.

– Jeżeli przez produkcyjniak rozumiemy film robiony na zamówienie, to tak – powiedział ku jej zaskoczeniu tata.

– A jeżeli jako naukę moralną, taką do przewidzenia z góry, i to łopatologicznie podaną, to też – sekundowała mama; proszę, jak się zgadzali! – Tylko powiedz mi, córeczko, czy *Braveheart* to produkcyjniak?

– No coś ty!

– A łopatologiczny do bólu. I do bólu jednostronny.

– Nieścisły historycznie! – wyskoczył tata. – Ale…

– …ale jesteś cały czas po stronie Szkocji, prawda? – dokończyła mama.

– I po stronie Amerykanów w *Patriocie*! – Gadali jednym głosem, jedno uzupełniało drugie. *Patriotę* Elka znała i chociaż „Wyborcza" dawała mu uparcie jedną gwiazdkę, bardzo jej się podobał. Nawiasem mówiąc, przez cały film nie mogła rozszyfrować, skąd zna aktora, który grał Pierwszego Złego, dopiero Gośka uświadomiła jej, że to Lucjusz Malfoy!

– Więc jeżeli chodzi o Wajdę, to niech się jeden z drugim nie zapierają tamtych emocji! – leciała dalej mama. – Łysiak taki ostry, taki bezwzględny… – O, mama weszła na swojego ulubionego konika! – …a zapomniał, co napisał na początku lat dziewięćdziesiątych w *Najlepszym*? Jak kreował Wałęsę na trybuna ludowego, jak przypisywał mu naturalny instynkt polityczny, chociażby w scenie opisującej zamach na papieża? Tak nawiasem mówiąc, papieża wtedy też zupełnie inaczej traktował!…

„Jak mama wejdzie na papieża, to do rana nie skończymy" – przestraszyła się Elka.

– To w końcu pójdziecie z tatą do kina czy nie? – zapytała pośpiesznie z prostotą godną Tuka.

– No pewnie, że pójdą – mruknęła Gośka. – Chociażby po to, żeby się przekonać. Co ty, swoich starych nie znasz? Czy oni sobie coś kiedyś dali wcisnąć na wiarę?

„No, kitu o *Harrym* na pewno sobie wcisnąć nie dali" – z dumą pomyślała Elunia.

– Tylko że ja się zgadzam z Gosią i Fredem, że stary Wajda… – Mama odrobinę przystopowała, chyba miała na końcu języka jakieś niecenzuralne słowo – …bardzo dba o poprawność polityczną i nie powie nic nieprzewidywalnego.

– Stary czy zawsze? – Ela koniecznie chciała to wiedzieć i wyjaśnić sobie wszelkie wątpliwości. – Bo w tym artykule było napisane, że od socrealizmu zaczął i tak samo skończył!

– Proszę bardzo, możemy sobie zrobić domowy DKF! – zaproponowała mama. – Co piąteczek jeden film, a potem dyskusja!

„Ale sobie narobiłam!" – jęknęła w duchu Elanor Piękna. „Piąteczek" to było jej hasło wywoławcze i oznaczało miłą wieczorną labę po tygodniu harówki. A teraz zamiast skoczyć gdzieś z Dominiką, będzie musiała oglądać starocie. Ależ ją wystawiła pani matematyczka!

– Chyba chcesz sobie wyrobić własne zdanie? – dodała jeszcze słodko rodzicielka.

Wtedy zadzwoniła komórka Freda. Fred spojrzał, uniósł brwi ze zdziwieniem i powiedział:

– Cześć, Janek, co jest? – Na co wszyscy obecni czujnie nadstawili uszu i Wajda momentalnie wyparował im z głowy.

Chyba jednak nic złego się nie działo; Fred słuchał, potakiwał monosylabami, w końcu dodał:

– OK, stary, załatwione, jutro po pracy do ciebie wpadnę i wszystko sobie uzgodnimy. – Odwrócił się do reszty i powiedział z zadowoleniem:

– No, będzie wesoło!

Rozdział III

Owszem, zechcę

Była sobota, dziewiętnasty października, godzina siedemnasta.

Ksiądz Tadeusz Wieczorek, proboszcz parafii krzesińskiej, przeżywał najgorsze chwile swojego życia. A wszystko przez tego kretyna wikarego.

Po co on wtedy do niego zadzwonił?! No tak, chciał się przed kimś wygadać, a w ciągu z górą roku nauczył się, że Janeczek, nawet jak nie poradzi, to na pewno wysłucha.

Teraz Jasiek radził sobie znakomicie. Tak ze trzy razy za dobrze.

W ostatnią niedzielę ksiądz proboszcz pojechał do Słupcy do starych parafian, Magdy i Romka, którzy jakiś czas temu wybyli z Poznania, nie zrywając więzów przyjaźni. Mieli kłopoty i trzeba ich było utulić, a jakby się nie dało, to chociaż wesprzeć dobrym słowem i wiernym trwaniem. Tym razem jednak problem przerósł księdza Tadeusza: synkowi Magdy i Romka na gwałt potrzebna była elektroniczna proteza dłoni. Coś takiego kosztowało minimum pięćdziesiąt tysięcy, z NFZ-u i pokrewnych instytucji dostawali maksymalnie pięć. Brakowało czterdziestu pięciu.

Proboszcz zadzwonił do Janka, pomstując na politykę zdrowotną rządu, ministra zdrowia i tę panią minister, to jest, pardon, ministrę, co to lekką ręką daje forsę na koncert Madonny, a dla dzieci nie ma już nic. Chciał wyrzucić z siebie bezsilną złość. Nie przewidział, że Janeczek odpowie:

– Niech ksiądz śpi spokojnie, wymyślimy coś!

Gdyby wiedział, co jego wikaremu momentalnie zaczęło chodzić po głowie, na pewno nie zmrużyłby oka do rana.

Jasiek, jak wiemy, pierwsze, co zrobił, to przekonsultował swój pomysł ze szwagrem. Fred był na to jak na lato i następnego dnia przedstawił szczegółowy plan bitwy:

– Urządzamy w najbliższą sobotę festyn, jak będzie pogoda, to na świeżym powietrzu, a jakby co, to schowamy się do szkoły. Z dyrektorem Janek już załatwił. Będą tańce, grill, zabawy towarzyskie, wszystko płatne na cel dobroczynny.

Zabawy towarzyskie… Nikt nie zdawał sobie jeszcze wtedy sprawy, co kryje się pod tym miłym mianem.

– Trzeba zawiadomić jak najwięcej ludzi – instruował rodzinę Fred. – Radnych, osoby publiczne. Mają przyjść i uświetniać imprezę swoją obecnością, to ważne. Tato, podzwonisz po waszych kumplach?

– Jasne. – Tata był pełen dobrych chęci. Nawet gdyby wiedział, co syn i zięć mają w planach, i tak by się nie wycofał.

– Merry zapewni oprawę muzyczną, to też już zaklepane – kontynuował Fred. – Elka, słuchaj, prośba do ciebie.

„O, do mnie?" – zdziwiła się Ela. „Ciekawe, o co chodzi?"

– Dasz radę do soboty powycinać z kartonu tak z pięć-dziesięć sylwetek różnych polityków? Bez twarzy, żeby nikt się nie przyczepił, ale żeby uchwycić charakterystyczne cechy profilu?

– No pewnie, że dam! A do czego to będzie służyć?

Fred odchrząknął.

– Planujemy rzuty zgniłym pomidorem, po dysze od rzutu. Ściągniemy z Franowa kilka skrzynek.

Jedna rozrywka towarzyska została odtajniona!

– Fajnie! – Gośka aż podskoczyła z uciechy. – Zrób Tuska z takim długim nosem!…

– Ela sobie poradzi, nie martw się – ostudziła jej zapał mama. – Fredziu, słuchaj, mam taki pomysł… Rzut pomidorem w polityków to dla starszych. A przecież tam będzie pełno dzieciaków. Może by dla nich równolegle zrobić rzuty w nauczycieli? – Tego się po mamie nikt nie spodziewał! Czy ona aby na pewno jest dorosła?

– Kurczę, to jest coś! – zapalił się Fred. – Już notuję! Elka, to jeszcze taka sama porcja dla małolatów! Wejdź sobie na stronę

szkoły, poszukaj zdjęć w galerii!

– Tylko Janek musi ich poprosić o zgodę – wtrącił przytomnie tata. – Na pewno kilku się zdecyduje, w końcu to szczytny cel. – Ciekawe, że w stosunku do VIP-ów nie miał takich skrupułów. I absolutnie nikt z domowych liberałów nie zapytał, czy Janek postara się o kwit w odpowiednich urzędach na zbiórkę pieniędzy, sprzedawanie żarcia i inne duperele[2].

– Dobra, zapisuję. To zacznij od polityków, Elka, a potem dam ci cynk.

– A co ty będziesz robić? – zapytała ciekawie szwagierka.

– Będę wodzirejem tego całego interesu i poprowadzę aukcję.

– Aukcję?

– To ma być gwóźdź programu. Przez ten tydzień dzieciaki mają pozbierać, co się da, i będziemy licytować, jak Qwilleran! – Fred zastanowił się. – Elka, słuchaj… Janek chciał, żebym cię poprosił o zgodę…

– Gadaj!

– Nie będziesz miała nic przeciwko temu, żeby wystawić twoją kapę, tę z cmentarza?

Ela odrobinkę się zawahała, ale odpowiedziała pewnym głosem:

– No przecież to Janka, on decyduje! Będę zaszczycona, tylko kto to będzie chciał kupić?

– Właśnie, mamo, teraz prośba do ciebie… Gdybyś mogła skoczyć do ojca Góry, najlepiej jeszcze dzisiaj, żeby był zapas czasu… Zasugerowałabyś mu, żeby trochę popiszczał wśród swoich ludzi, że mu zimno i przydałaby mu się taka kapa do odprawiania drogi krzyżowej na Lednicy…

– Fredziu, litości, drogi krzyżowej?! Mamy październik!

– No to różańca…

– Różańca nie odprawia się w fiolecie!

– Mamo, wymyśl coś! Na roraty! Po prostu chciałby mieć coś takiego na Lednicy do nabożeństw pokutnych, on lubi ładne rzeczy. Jak zapragnął sekretarzyka Brandstaettera, to też się znalazł sponsor. Kapa Elki nie gorsza! A my ze swojej strony postaramy się o konkurencję. Może nawet zagraniczną, *on-line* – dodał z dwuznacznym uśmieszkiem.

Impreza zapowiadała się coraz ciekawiej.

– A ja co bym miała zrobić? – zapytała Gośka.

– Tobie powiem w domu. Na razie tajemnica.

Rzeczywiście, było coraz ciekawiej. A każdy następny dzień przynosił coś nowego.

Najpierw Janek oznajmił, że do rzutu pomidorem zgłosiło się dwunastu nauczycieli. Największy entuzjazm okazała pani od angielskiego, która wśród uczniów nosiła ksywkę taką, jak doktor House nadał Amber Volakis, co zostało pruderyjnie przetłumaczone na polski jako „Zołza".

– Wybierz sześciu najbardziej charakterystycznych, raczej z tych starszych – radośnie instruował siostrę Janeczek. – Młodszych wykorzystamy do czegoś innego, też będzie fajnie – dodał enigmatycznie.

Elka była zdumiona i nie omieszkała przekonsultować problemu z mamą.

– Oni się nie boją kompromitacji? Tak bardzo zależy im na pomocy dla tego dziecka?

– To chyba ładnie o nich świadczy, prawda, kotku? A poza tym pamiętaj, że poprosił ich Janek. Janek… musisz się zgodzić, że ma dar przekonywania, czyż nie?

„Oj, tak!" – pomyślała z czułością Ela. „Więc oni robili to wszystko dla niego?"

Poczuła błogość na duszy.

Potem wszystkich zastrzelił tata.

– Rozmawiałem z Bronkiem – relacjonował przy obiedzie; Bronek też był wydawcą i w odróżnieniu od taty nie miał oporów w publikacji kontrowersyjnych, delikatnie rzecz ujmując, pozycji. – Wyśmiał mnie, że takimi metodami to możemy sobie uzbierać na waciki. Więc się z nim założyłem. Przy świadkach.

– Tato, założyłeś się?!

– Ano tak. Jeżeli zbierzemy dwadzieścia pięć tysięcy lub więcej, to on dokłada drugie tyle. Jak mniej, to ja jemu płacę kwotę brakującą do dwudziestu pięciu…

Ukochana córeczka tatusia struchlała. Ojciec chyba postradał rozum.

– Nic się nie bój, Elciu, będzie dobrze – oznajmił beztrosko inkryminowany osobnik.

On też dla swojego Jaśka zrobiłby wszystko.

Następny w kolejce był wuj Anioł. Robił właśnie nadzór archeologiczny jakiemuś potentatowi wędliniarskiemu przy budowie nowej przetwórni i obiecano mu trzydzieści kilogramów najlepszych kiełbasek na grilla. Ciotka Edyta, która pracowała w laboratorium lotniska wojskowego, też w Krzesinach – to już był trzeci członek szeroko pojętej rodziny w tym samym fyrtlu – przyniosła dla Freda całe naręcze starych, zużytych roboczych kombinezonów lotniczych. Po co, na Boga?! Nawiasem mówiąc, funkcjonowało tabu niepytania się, co właściwie ciotka w tym laboratorium robi; dla jaj mówiło się o niej „tajna Edyta" albo jeszcze lepiej – „kuzynka Edyta".

Miłosz i Herbert natomiast ochoczo zgłosili się do obsługi stanowisk strzeleckich. Wobec tego Elce nic nie pozostało, jak solidnie przyłożyć się do produkcji sylwetek, i chyba poszło jej nieźle, bo co która schodziła z warsztatu, to Fred wył i tarzał się po korytarzu z uciechy. Cny szwagier upodobał sobie zwłaszcza sylwetkę chłopobaby z rozkudłana fryzurą i tę drugą, której cechą charakterystyczną był szeroki uśmiech, przy czym ażurek z wyszczerzonych zębów był szczególnie pracochłonny, bo Ela musiała go wycinać żyletką w grubym kartonie. Córeczka tatusia-domowego polityka starała się przy tym utrzymać proporcje klubów parlamentarnych, dla każdego coś miłego. Miała problem z rzecznikiem prasowym PiS-u, bo przychodziły jej do głowy tylko nieprzyzwoite pomysły, ale w końcu i z tym się uporała. Kiedy doszła do nauczycieli, za konsultantki służyły jej zaprzyjaźnione dziewczyny z Lednicy, teraz już licealistki. To właśnie one podpowiedziały, żeby pani od angielskiego dołożyć pod każdą pachę po jednym kocie. Chyba wiedziały, co mówią.

W piątek od rana padało i wiał wściekły wiatr, ale w końcu się przetarło i w sobotni poranek zaświeciło słońce. Impreza zaczynała się o jedenastej spokojnym kiermaszem rozmaitości i grillem, jeszcze na pół gwizdka, żeby się rozruszać. W tak zwanym międzyczasie Elka przy pomocy Herberta i Miłosza zgromadziła wszystkie sylwetki w bezpiecznym miejscu i ruszyła zakosami po placu, aby dać zadość

rozkazowi Freda: „Jesteś głównym koordynatorem! Miej oczy szeroko otwarte i jakby co, melduj!”.

Na dwunastą planowano początek aukcji. U wejścia do szkoły przygotowano zadaszone podium dla Freda i orkiestry, czyli jak się za chwilę okazało, dla Merry’ego, Wioli i Jaśka, jak za dawnych dobrych czasów. Wiolka wyglądała świetnie i z dumą obnosiła swoją ciążę.

Zabrzmiał gong i Fred przemówił:

– Szanowni państwo, rozpoczynamy naszą absolutnie wyjątkową aukcję, bo tylko tu i teraz będą mogli państwo stać się właścicielami absolutnie wyjątkowych przedmiotów! Przypominam, że cały dochód z dzisiejszego festynu przeznaczamy dla małego Szymka, synka dobrze wam znanych starych mieszkańców Krzesin. A oto eksponat numer jeden, rzutnik Bajka z roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego, całkowicie sprawny, plus dziesięć filmów, cena wywoławcza pięćdziesiąt złotych, kto da sześćdziesiąt?!

Rzutnik kupiono za sto dwadzieścia, całkiem nieźle; Fred się rozgrzewał, orkiestra przygrywała, poszło już tak z kilkanaście całkiem fajnych bibelotów, jakby żywcem wziętych z *Awantury w Niekłaju* świętej pamięci Niziurskiego, w tym głowa łosia reklamowana przez Freda jako trofeum prezydenckie. Wreszcie ulubiony szwagier Eli zapowiedział:

– A teraz proszę państwa o szczególną uwagę! Mam przyjemność zaproponować państwu rzecz niepowtarzalną, jedyne w swoim rodzaju dzieło sztuki liturgicznej, wykonane ręcznie według indywidualnego projektu! – I została wniesiona Elkowa kapa. – Chwileczkę, szanowni państwo, właśnie się dowiedziałem… – Aha, właśnie się dowiedział, gadaj zdrów! – …że do naszej licytacji postanowił dołączyć *on-line* obywatel Wielkiej Brytanii, szczególnie zainteresowany tym, jak już powiedziałem, unikatowym przedmiotem! Prosimy o podłączenie do sieci! – Na wniesionym skwapliwie przez Jaśkowych gimnazjalistów ekranie Ela zobaczyła uśmiechniętą twarz Davida. Oj, Fred, można się było tego domyślić!

– Uwaga, zaczynamy licytację, cena wywoławcza tysiąc złotych!

„Tysiąc?! Oszalał ten Fred?!” – pomyślała w popłochu Elka.

– Kto da tysiąc dwieście? Pan w drugim rzędzie, proszę bardzo! Czy ktoś powie tysiąc trzysta? *Is anyone bidding one thousand three*

hundred? – zasuflerował bezczelnie Davidowi.

– *One thousand five hundred!* – ryknął radośnie David.

„Przesadzają!" – Ela pokiwała tylko głową.

– Tysiąc sześćset! – zawołała pani w kraciastej pelerynie.

– Tysiąc siedemset! – nie pozostał jej dłużny pan z łysiną w kształcie benedyktyńskiej tonsury.

Przy dwóch tysiącach sześciuset Elka przestała się dziwić. Dwoje pretorianów Jana Góry zwarło się w klinczu, zaś David ochoczo dolewał oliwy do ognia według recepty Szlangbauma z *Lalki*: „Panie Wokulski, ja panu dam jeszcze jakie dystyngowane dame, co za dziesięć rubelków będzie podbijać i jeszcze z parę Żydki, po pięć rubelków… Zrobi się taka licytacja, co pan może zapłacić za ten dom choćby sto pięćdziesiąt tysięcy i nikt nie zmiarkuje, jaki jest interes…".

– Dwa tysiące siedemset!

– Dwa tysiące siedemset po raz pierwszy! Dwa tysiące siedemset po raz drugi!…

– *Two thousand eight hundred!*

„David, przystopuj, rany boskie, za chwilę zostaniecie z Fredem z moją kapą w garści i kto będzie płacił?" – pomyślała w popłochu luba narzeczona.

– Dwa tysiące osiemset po raz pierwszy! Dwa tysiące osiemset po raz drugi!…

„A nie mówiłam?! […]" – Tu należy oszczędzić czytelnikowi soczystego epitetu.

– Ludzie! – zawołał z determinacją Fred. – Pozwolicie na to, żeby katolicki przedmiot liturgiczny trafił w ręce heretyka?

„Nie żyjesz, szwagier!"

– Trzy tysiące! – przekrzyczał wszystkich pan z tonsurą.

Licytacja była skończona. Fred otarł zroszone potem czoło. David pomachał ręką.

– Gratulacje, mała – usłyszała z boku Ela. To dołączyła niepostrzeżenie Gośka z Jagódką w wózku. – Pomyśl serio o założeniu linii produkcyjnej…

– Odczep się – warknęła mała siostrzyczka. – Dwóch kretynów się znalazło!

– Tylko dwóch? – zakpiła Gośka. – Myślałam, że więcej!…

Oj, tak! Ela zaczęła liczyć: „Ile oni mogli zarobić na kiermaszu? Tysiąc? Drugie tyle z kiełbasek… Licytacja razem z kapą góra sześć tysięcy… Dalej jesteśmy w lesie! Choćby całe Krzesiny ćwiczyły rzut pomidorem, do dwudziestu pięciu tysięcy nie dociągniemy! Tata pójdzie z torbami”…

Zabrzmiał triumfalny akord i dał się słyszeć radosny głos Freda, który widocznie błyskawicznie się zregenerował:

– A teraz, szanowni państwo, specjalny finał naszej nadzwyczajnej licytacji, proszę przygotować czeki albo dane do przelewu! Motocykl księdza Janka! Honda rocznik dwa tysiące sześć, mało używana, bo ksiądz cały czas siedzi albo w kościele, albo w szkole, a po zakupy chodzi na piechotę. Cena wywoławcza dziesięć tysięcy, kask i gogle gratis!

Elka osłupiała. Janek oddaje swój motor?

– Gośka – szepnęła. – O co tu chodzi? Janek chce pomóc tacie?

– I tak, i nie – powiedziała z rozbawieniem Gośka. – Ten baran planował to od samego początku, od niedzieli, Fred mi mówił. Ale przy okazji ma szansę uratować starszemu tyłek…

– Tata o tym wiedział, jak się zakładał z Bronkiem?

– A skąd! Nie znasz naszego tajemniczego braciszka?

Kolejna para szaleńców; Gośka miała rację! Pippin, syn Samwise’a, i na odwrót, krew z krwi…

Zdumiona Elka obserwowała, jak motor Janka licytowany jest do piętnastu tysięcy, chociaż na Allegro kosztowałby góra dwanaście. Cuda, cuda… Ale faktycznie teraz szanse stały się realne!

Orkiestra zagrała coś ze Straussa, o ile w tym bitewnym szale jeszcze cokolwiek można było rozróżnić, a Fred zaprosił wszystkich, jak to ujął, na strzelnicę. Zgodnie z zapowiedzią jeden rzut dziesięć złotych.

– Tylko u nas, tylko dzisiaj! – brylował szwagier księdza. – Szanowni państwo i wy, droga młodzieży, macie okazję dać upust swojej frustracji poprzez rzut pomidorem… a do jakiego celu, sami zobaczcie! Zapraszamy!

Po przeciwnej stronie podium ustawiły się dwie długie kolejki, gdzieś tam z przodu mignęli rodzice. Pierwsi odważni wzięli zamach,

zupa pomidorowa spłynęła po wizerunkach premiera i pana od informatyki, a Ela kątem oka zauważyła wjeżdżającą cichuteńko na plac TVP Poznań. Natychmiast odszukała Freda.

– Słuchaj, uważajcie, mamy telewizję na karku! – zaraportowała pośpiesznie.

– Genialnie! – odpowiedział z satysfakcją Fred. – O to chodziło! Zobaczysz, co się teraz będzie działo!

Na widok kamer z różnych kątów powychodziły VIP-y i tak niby przypadkiem zaczęły przechadzać się w pobliżu wozu transmisyjnego. Elka naliczyła co najmniej pięciu radnych z różnych klubów, w przelocie mignęła jej charakterystyczna fryzura prezydenta miasta.

„A ten facet, tam z boku, skąd ja go znam?" – zastanowiła się przelotnie. „Łysy, wąskie wargi…" Nie kojarzyła, od telewizora zawsze starała się uciekać. Kogo ten tata podpuścił, że udało mu się przyciągnąć takie gremium?

Poszła sprawdzić stanowisko Miłosza i Herberta. A nuż doszło do jakiś ekscesów?

– Jak leci? – spytała półgębkiem.

Za odpowiedź wystarczyły jej rozpromienione gęby kuzynów i demonstracja kasetki pełnej banknotów. „Dobrze, że siedzi z nimi pan Bogdan, jeszcze by im to ktoś ukradł w tym rozgardiaszu" – oceniła sceptycznie. Zauważyła, że wszystkie figury są już porządnie sponiewierane, jedna pozostała tylko nieskalana – pani od angielskiego. Co to, nikt nie miał ochoty sobie odreagować? A może się bali?

Wtem jak na zamówienie pojawił się młodzian, który z pańskim gestem zażyczył sobie pięciu strzałów. Z pomidorami w koszyczku ustawił się na wyznaczonej linii i wycelował do sylwetki Cutthroat Bi…, to jest, pardon, Zołzy. Pierwszy rzut… Pudło. Drugi tak samo. Trzeci prawie że musnął jednego z kotów, za to czwarty poszedł Panu Bogu w okno. Chłopię przyczaiło się do ostatniego rzutu, kiedy za jego plecami odezwał się głos:

– I co, Wojtusiu, jakoś ci dzisiaj nie idzie? Jak zawsze zawalamy?

Pani od angielskiego z błyskiem w oku obserwowała wysiłki nieszczęśnika. Wojtuś zebrał w sobie całą dzielność, popatrzył tak, że

pani powinna paść trupem na miejscu, i cisnął ostatnim pomidorem. Przeleciał o dobry metr za wysoko.

– Oj, biedaku, i ty chciałeś ze mną wygrać? – judziła pani. – To zrobimy tak: zafunduję ci jeszcze jeden strzał, tylko postaraj się, proszę, bo wyjdzie na to, że jesteś zniewolony przez ukryte kompleksy…

Miłosz zainkasował dychę i usłużnie podał pomidor.

– Dalej, synu, dalej, obroń honor klasy! – podpuszczała Wojtusia pani od angielskiego.

Delikwent zacisnął zęby, skupił się w sobie i z głuchym stęknięciem rozpaczy machnął jak nigdy w życiu.

Pomidor z prędkością światła ominął cel i rozmaślił się na twarzy przechodzącego obok łysego pana z wąskimi ustami. Tak się złożyło, że pan zgodnie z intencjami był właśnie w kadrze podążającej za nim kamery.

Kamerzysta z satysfakcją pokazał koledze uniesiony kciuk, gwardia narodowa kopnęła się obetrzeć ofiarę, a Ela w tym momencie skojarzyła jej tożsamość.

W jednej chwili była przy Fredzie.

– Dawaj szybko następną zapowiedź, rzuć im coś na pożarcie, bo będzie chryja! Kazio dostał pomidorem i telewizja to nakręciła! Jaja jak berety!

– Kto taki? – nie zrozumiał w pierwszej chwili ukochany szwagier, bo niby czemu telewizja miałaby się interesować właścicielem lokalnego sklepu spożywczego, nawet jeśli ten sklep, dzięki fantastycznym drożdżówkom, jest znany także poza Krzesinami. Już w drugiej skojarzył, że Elka myśli kategoriami co najmniej krajowymi, i oczy zaświeciły mu się niczym zdublowana latarnia morska Jacksona.

– Nie gadaj, ciotka! No to masz u mnie dużą wódkę!

I zawołał do mikrofonu:

– Orkiestra, tusz! Szanowni państwo, zapraszamy do następnej zabawy! Najpierw nasza dzielna młodzież nauczy wszystkich, jakie są jej reguły! Niech każdy wejrzy w otchłanie serca i sam zdecyduje, czy istnieje ktoś, kogo miałby ochotę przeczołgać po błocie? Jeśli tak, prosimy!

Elka popatrzyła śpiesznie we wskazanym przez Freda kierunku. Po prawej stronie stanowisk strzeleckich czekało już sześciu dzielnych młodych nauczycieli w kombinezonach lotniczych.

– Droga młodzieży płci obojga, zaszczyt przeczołgania swojego nauczyciela jest bezcenny! Tego nie można kupić za marną dychę! Zrzucajcie się, kochani, stówa od łebka!

Męskim krokiem wystąpiła grupka licealistów ze stówą w garści i zadysponowała:

– Prosimy pana profesora Nowaczyka!

Pan od WF-u rzucił się dzielnie w błoto i z profesjonalną wprawą poczołgał przez wyznaczony odcinek. Wkrótce inni podążyli w jego ślady. Tłum wiwatował, orkiestra rżnęła, TVP filmowała, a Elka ocierała pot z czoła, bo wiedziała, że na tym się nie skończy.

– A teraz, proszę państwa, chwila prawdy! Kto ze zgromadzonych tu jakże drogich naszemu sercu ojców… i matek miasta – dodał pośpiesznie Fred – da dobry przykład i przyczyni się swoim udziałem do uświetnienia tegoż tu dobroczynnego festynu? Przypominam, że dochód przeznaczony jest dla sześcioletniego Szymka po amputacji dłoni!

Ku przerażeniu dzielnego koordynatora wystąpił kumpel taty, radny sejmiku wojewódzkiego, i począł wdziewać na siebie kombinezon.

– Brawo dla odważnego! – ryknął Fred. – A teraz, szanowni państwo, proszę o zrzutkę tych wszystkich, którzy pana radnego chcieliby przeczołgać!… Nie, nie, proszę państwa, stówę to mogli dać licealiści, państwa stać na więcej! Niżej trzech nie schodzimy!

Rzeczywiście, nie zeszli. Prezydent wprawdzie gdzieś zniknął, ale za to jego zastępca zapewnił wpływ rekordowej kwoty sześciuset złotych, po czym popełzł przez kałużę z mniejszą wprawdzie wprawą niż wuefista, ale za to z widocznym zapałem.

Kamerzysta z TVP zawołał do kolegi:

– Dajemy na ogólnopolską!

Ela trzęsła się z emocji, bo uświadomiła sobie, że urobek kiermaszu musi być bardzo bliski dwudziestu pięciu tysięcy. Fred, masz coś jeszcze w zanadrzu?

Fred jakby usłyszał.

– Porzućmy brudne igraszki! Zapraszamy teraz do wielkiego finału! Proszę państwa, tylko dzisiaj, tylko u nas możecie zatańczyć z niedostępną dotąd personą! Wystarczy wylicytować określoną kwotę i ruszać w tan! Kto pierwszy?!

– Sto złotych za pana dyrektora! – zadysponowała lekko drżącym, ale stanowczym głosem wiotka maturzystka.

– Oklaski dla pierwszej pary! Kto następny?!

Po chwili na parkiecie, to jest na szkolnym boisku oczywiście, wirowało już kilkanaście par, w tym pani od angielskiego z Wojtusiem, z tym że to ona wylicytowała sobie partnera. Wojtuś nie uciekł chyba tylko dlatego, że nogi kompletnie mu zmiękły. Dobrze, że orkiestra grała klasycznego walca…

– Dalej, proszę państwa, kto jeszcze jest chętny! Prosimy!

Za radnych oferowano przeciętnie po trzysta złotych, za nauczycieli stówę. Elka zaczęła żałować, że prezydent miasta się zwinął, bo na bank uciągnęłoby się na nim powyżej pięciuset. „Zaczynam się zachowywać wypisz, wymaluj jak Wokulski, który wyceniał garderobę panny Izabeli” – skarciła się w myślach.

Do mikrofonu przepchała się statecznie wyglądająca starsza niewiasta z półdługimi tlenionymi włosami.

– Pani dyrektor!… – zasyczał Herbert nieprzystojnym epitetem wprost do ucha Eli.

„Kto taki?” – nie zrozumiała od razu. Ale już w chwilę później przypomniała sobie szefową teatru o nazwie sugerującej jakieś związki z adwentystami, ewentualnie z Hłaską. No, tę, co to potraktowała anatomicznie papieża. Inaczej ją sobie wyobrażała, swoją drogą.

– Tysiąc złotych za księdza wikarego! – powiedziała gromko pani dyrektor.

Wirujące pary na moment zamarły.

– Szanowna pani wybaczy – powiedział kurtuazyjnie Fred. – Może pani wskaże kogoś innego? Ksiądz jest osobą duchowną, on nie zechce…

– Owszem, zechcę! – padło niczym wystrzał od strony orkiestry. Janeczek wstał i podążył w lansadach do pani dyrektor.

No, nie, to Gośka musiała im ustawić ten dialog! Nawet oczytany wikary nie byłby w stanie z taką swobodą zacytować *Przeminęło z wiatrem*, i to jeszcze tak typowo babskiego momentu!

Osamotnieni Merry z Wiolą zagrali tango argentyńskie. Mieli poczucie humoru, łotry.

Ela ze zgrozą patrzyła, jak Jasiek raz za razem okręca panią dyrektor w kolejnej figurze tańca. Gdzie on się tego nauczył? Ostatni raz widziała go tańczącego sto lat temu, za czasów licealnych chyba, z okazji jakiegoś sylwestra czy czegoś w tym guście! Na ślubie Gośki tylko grał i śpiewał. Na Lednicy, owszem, tańczyło się, ale nie tańce towarzyskie. A teraz szło mu to tak, jakby w seminarium na co dzień uczyli tanga! I pamiętać należy, że czynił to w pełnym umundurowaniu, zgodnie ze swoimi zasadami!

Elka przepchała się do Freda.

– Zwariowaliście?! – zasyczała. – Przecież ta baba gotowa go nagrać! Będzie wypytywać o pedofilię i molestowanie, a potem to ogłosi wszem i wobec!

– Spoko, Elka, Janek sobie poradzi! – beztrosko odpowiedział szwagier i dodał, promieniejąc satysfakcją: – Lecimy na pasku w TVP Info!

Ela poczuła, że się dusi. Nie wiedziała jeszcze wtedy, że najgorsze było przed nimi…

Orkiestra wygrała ostatni akord, Jasiek skłonił się w pas pani dyrektor i poszedł odprowadzić ją na miejsce, to jest gdzieś na bok.

„Cholera, niech z nią nie gada!” – warknął sobie w duchu tygrys szablasty, a Fred zakrzyknął radośnie:

– Panie i panowie, mam teraz zaszczyt przedstawić naszego głównego sponsora, pana Bronisława! Właśnie przekroczyliśmy kwotę dwudziestu pięciu tysięcy złotych i zgodnie z obietnicą pan Bronisław ofiarowuje dla Szymka drugie tyle!

Zgromadzeni zaczęli bić brawo, Bronek robił dobrą minę do złej gry, uśmiechając się pogodnie i rozdając ukłony z podium, a tata entuzjastycznie pomachał córce z daleka. Jak pierwsza naiwna Elka odetchnęła głęboko i pomyślała: „Koniec! Udało się!”.

Wtedy Fred spuentował:

– Panie i panowie, gratuluję wszystkim hojności i dobrego serca, ale poproszę was o jeszcze jeden wysiłek. Chcemy przekazać rodzicom Szymka równe pięćdziesiąt tysięcy, a przecież urząd skarbowy za diabła nie odpuści i będzie chciał swoją dolę. Zatem ostatnie dwa i pół tysiąca na fiskusa! I na osłodę ostatnia, ale za to niepowtarzalna atrakcja dzisiejszego wieczora! Jako że robi się już zimno, zapraszamy do szkoły pod gabinet pielęgniarski, gdzie za jedyne dziesięć złotych od osoby będziecie mogli obejrzeć sobie dziecko księdza Janka!… To jest, co ja gadam, proszę państwa, siostrzenicę księdza Janka, oczywiście! A kto wyłoży dwadzieścia, będzie mógł strzelić sobie z nią zdjęcie!…

Była sobota, dziewiętnasty października, godzina siedemnasta.

Ela przecisnęła się z trudem przez zwarty tłum, który jak jeden mąż runął oglądać dziecko… to jest siostrzenicę księdza Janka. Pani pielęgniarka zgrabnie dyrygowała wchodzącymi: każdy po kolei zagoniony był do mycia rąk i dostawał jednorazową maseczkę na twarz.

„Higieniści, psiakrew!” – pomyślała z furią siostra wikarego.

Nagle zobaczyła księdza proboszcza, który wyglądał dziwnie blado.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – zakrzyknęła, przywołując miły uśmiech na wzburzone oblicze.

– Na wieki wieków! – odpowiedział automatycznie ksiądz Tadeusz i przejechał po niej oczami od góry do dołu, a potem przeniósł wzrok na promieniejącą Gośkę z Jagódką na rękach.

Wtedy Ela zrozumiała, o co mu chodzi.

Wszyscy wiedzieli, że jest siostrą Janka; byli do siebie podobni, oboje niewielkiego wzrostu, czarnowłosi i ciemnoocy. A Gośka była jasną szatynką i nawet bez obcasów górowała nad swoim małym bratem…

Siostrzenica księdza Janka, tak?

Ksiądz Tadeusz przeżywał najgorsze chwile swojego życia.

Niedziela i poniedziałek minęły spokojnie, jeżeli nie liczyć namolnie powtarzanych w telewizji migawek z festynu. We wtorek po południu, kiedy Jasiek wrócił ze szkoły na plebanię, stanął oko w oko z proboszczem.

– Dzwonili z kurii, synu – obwieścił szef grobowo. – Jutro o dziesiątej.

Swoją drogą, tempo mieli ekspresowe jak na powolne młyny Kościoła, chyba ze względu na panującą atmosferę.

– Dobrze – zgodził się pogodnie Jasiek.

W proboszczu przez dwa i pół dnia walczyły ze sobą wdzięczność za zdobyte pieniądze i frustracja ze sposobu zdobycia tychże, więc odzywał się dotąd półsłówkami, ale teraz się poddał, schował żale za pazuchę i zadeklarował bohatersko:

– Pójdę z tobą! Spróbuję wytłumaczyć!…

– Nie, proszę księdza – stanowczo zaprotestował Janek. – Ksiądz tu musi pilnować interesu. Ja wszystko załatwię.

Janeczek miał swoje zasady: kto narozrabiał, powinien zapłacić.

Proboszcz bezradnie machnął ręką.

– Kudły sobie chociaż ostrzyż! – powiedział z bezsilną złością.

Janek posłusznie wziął maszynkę i poszedł do łazienki. W chwilę później proboszcz usłyszał krótki kwik i ujrzał widok osobliwy: jego wikary miał na potylicy pasek wygolony do żywego mięsa, zupełnie jak chłopiec ze skeczu o Jasiu Fasoli.

– Bo te ostrza były jakieś takie… – wyznał bezradnie Janeczek.

Proboszcz eksplodował.

– Zrobiłeś to specjalnie! Aż takim kretynem nie jesteś!

– To bardzo nieładnie nabijać się z upośledzenia – powiedział z wyrzutem Janek i na powrót zniknął w czeluściach łazienki.

Kiedy przyszedł na kolację, proboszcz starał się nie patrzeć na jego ogoloną na zero głowę.

– Może byśmy jakiś film pooglądali? – powiedział ugodowo. Ze wszystkich sił odsuwał od siebie myśl: „Zabiorą mi go!”.

Jasiek pogrzebał w swoich zasobach i nastawił *Gladiatora*. Trzeba przyznać, że braciszek Elki zawsze miał poczucie humoru.

Kiedy osaczony Maximus wypowiadał kwestię „niech to będzie szybka, żołnierska śmierć”, proboszcz wstał i poszedł nalać sobie lufę koniaku. Jankowi nawet nie proponował, bo wiedział, że jego wikary poza winem mszalnym co najwyżej umoczy dziób w odrobinie piwa.

„Przez tego małego drania wpadnę w alkoholizm i skompromituję parafię do reszty!” – pomyślał filozoficznie.

Następnego dnia czas wlókł mu się przez potwornie długie godziny „mąk oczekiwania". Trwało to jeszcze dłużej niż normalnie, bo Jasiek, pozbawiony wszak motoru, musiał załatwić wszystko komunikacją miejską.

W końcu wikary wrócił. Na twarzy błąkał mu się uśmieszek, ale proboszczowi nic to nie mówiło, bo identyczny uśmieszek miałby Janek nawet wstępując na szafot.

– No i co?! – wyskoczył ksiądz Tadeusz całkowicie nietaktycznie i niehierarchicznie.

Janek westchnął.

– Najpierw ksiądz biskup pytał, czemu mam taką dziwną fryzurę. Powiedziałem, że to za pokutę. Potem już jakoś poszło. Opowiedziałem mu, jak ewangelizowałem panią dyrektor… To wtedy zaproponował, czy nie chciałbym robić doktoratu. Wyjaśniłem, że nie, nie mam czasu, bo muszę uczyć moich licealistów matematyki, a testy są takie trudne, że ledwo dociągam na rozszerzeniu do osiemdziesięciu procent. Swoją drogą, kiedyś miałem z matmy szóstkę. Jak to w seminarium potrafią odmóżdżyć człowieka…

Proboszcz zazgrzytał zębami.

– A dziecko?

– Jakie dziecko? – zdumiał się Janek. – A, dziecko, no tak! Wyjaśniłem, że to był kawał mojego szwagra, żeby zdobyć pieniądze na podatek. Przeprosiłem, że to całkowicie moja wina i że następnym razem już nie będziemy kwestować. W taki sposób.

Proboszcz oklapnął jak przekłuty balonik. Nie miał już nawet siły krzyczeć na tego głąba. Chciał wiedzieć tylko jedno.

– Zostajesz?…

Jasiek popatrzył uważnie i uśmiechnął się najmilszym ze swoich uśmiechów.

– Proszę księdza… Kiedyś mnie przeniosą, taka jest uroda wikariatu. Ale nie dziś. Jeszcze nie.

Na taką puentę żywcem zerżniętą z *Gladiatora* proboszcz mógł tylko tego potwora uściskać.

[2] Tylko do wiadomości czytelnika: nie postarał się. A po co?

Rozdział IV

High cross

Jako że Janeczek odziedziczył po tacie sztukę dyplomacji, a przy tym proboszcza szczerze lubił i szanował, swoją opowieść o wizycie w kurii poddał lekkiej cenzurze. Nie kłamał, skąd, broń Boże! Tyle tylko, że nie powiedział całej prawdy, bo jeszcze by ksiądz padł na zawał albo wylew, i po co to…

Prawdą i tylko prawdą był epizod o nauczaniu licealistów matematyki. Jednakowoż Jasiek przemilczał pytanie biskupa, które padło potem:

– Czy są to chłopcy, czy dziewczęta?

Zaś w sposób szczególny nieprzeznaczoną dla uszu proboszcza uznał swoją odpowiedź:

– A którą opcję ksiądz biskup uważa za gorszą?

Na moment zapadło lodowate milczenie, ale Janek, jak to on, absolutnie się tym nie przejął i dokończył:

– Bo właśnie chciałem poradzić się księdza biskupa co do nękających mnie wątpliwości… – I przez kolejne pół godziny nawijał zwierzchnikowi z grubsza rzecz biorąc to, co siostrze w przedostatnią niedzielę, tylko podane w bardziej barokowy i literacki sposób. Biskup poczuł się w obowiązku udzielić mu pasterskiej porady i w ten oto sposób krzesiński wikary zwekslował rozmowę na swój teren i zgodnie ze swoimi, a nie biskupa, intencjami. Rozstawali się w całkowitej zgodzie, a biskup pełen był z jednej strony uznania dla tego miłego księdza, tak chętnie proszącego go o wsparcie duchowe,

z drugiej obiekcji co do metod wychowawczych proboszcza, który zadał penitentowi jakże ciężką, średniowieczną wręcz pokutę w postaci zgolenia włosów na zero, bo właśnie tak zinterpretował sobie dwuznaczne słowa Jaśka.

Ciekawe, że w identyczny sposób został potraktowany Janek w szkole. Co kto rzucił okiem na jego głowę, bez różnicy, czy był to nauczyciel, licealista czy gimnazjalista, na jego twarzy pojawiała się najpierw konsternacja, a potem bezgłębne współczucie. Nikt o nic nie pytał, ale wodzono za nim wzrokiem pełnym solidarności. To właśnie było typowe dla Jaśka: nawet jeżeli coś wyszło mu niechcący, potem układało się na jego korzyść. Bóg jeden wie, czy ten pierwszy ruch maszynką był zaplanowany czy faktycznie Janeczek z roztargnienia nie nastawił odpowiedniej długości ostrza. Ale rezultat tego działania na pewno potrafił zdyskontować w sposób perfekcyjny.

Szczególnego aktu wierności zaznał ze strony licealistów z pierwszej b, których ujrzał o godzinie trzynastej czterdzieści twardo czekających na jego przyjście pod drzwiami sali w stuprocentowym składzie.

– Jak to? – zdumiał się. – Przecież wypadły wam dwie lekcje polskiego! Nie poszliście do domu?

– Chcieliśmy poczekać na księdza – oznajmiła niezłomnie klasa.

– Ja bym nie czekał – przyznał szczerze Janek.

Oni czekali, i to, jak było powiedziane, w pełnym składzie. Wierzący i ateiści. Bo na lekcjach Janka zawsze był komplet. Kiedyś, na samym początku, pewne dziewczę imieniem Tosia specjalnie warowało na nowego księdza pod klasą po to, żeby z wdziękiem mu oznajmić:

– Bo, proszę księdza, ja jestem ateistką!

Na co Janek odrzekł:

– I bardzo dobrze, będziemy mieli o czym sobie podyskutować.

Tosia była wściekła i wyartykułowała to przyjaciółce z rozbrajającą szczerością:

– Nic go nie ruszyło! Po prostu wytrącił mi broń z ręki!

Po czym nie opuściła ani jednej religii, a wraz z nią kilka takich osób, które zastrzegły sobie, żeby nie wpisywać im stopni do

dziennika, bo one pragną pozostać wolnymi słuchaczami. Na co Janek bez oporów przystał, a nawet dyskretnie wypytał na stronie, czy należy zachować konfidencję przed rodzicami. Tu już chyba przesadził, bo dzieciątka nie były jeszcze wtedy pełnoletnie. A może i nie? Może i w tym przypadku miał rację? Rodzice zdarzali się w tej klasie specyficzni i to nie tylko dlatego, że co poniektórzy tatusiowie wymieniali sobie mamusie na młodszy model…

Niewiele czasu też trzeba było, żeby wszyscy pojęli, że ich ksiądz ma narąbane ze śpiewaniem i graniem. Na religii było oczywistością, że pierwszy kwadrans przeznaczony jest na wprawki muzyczne. Dopiero potem w zależności od dnia tygodnia brano się albo za analizę Biblii, albo za historię Kościoła, albo – to w starszych klasach – za elementy filozofii i teologii. Janek bowiem oficjalnym programem się nie przejmował, a przesłodzone podręczniki do religii, szczególnie te z gimnazjum, uznawał za nieporozumienie, bo twierdził, że nie dają ani wiedzy, ani formacji.

Ciekawe, czy młódź rozszyfrowała, tak jak ci z Marii Magdaleny w przypadku mamy, że wystarczy wspomnieć dwa momenty z dziejów Kościoła polskiego, a ksiądz niechybnie utraci poczucie czasu i kontakt z twardą rzeczywistością. Nie, chyba jednak kolejne roczniki potrzebowałyby więcej doświadczenia, jak ci ze *Sposobu na Alcybiadesa* Niziurskiego. W każdym razie hasło wywoławcze „Gdzie Mieszko się ochrzcił?” mieli przemaglowane na wszystkie strony i mogli uchodzić za ekspertów. No, gdzie? – zapytacie. A, to trochę delikatna sprawa. Wszelkie prawdopodobieństwo wskazywałoby na Poznań, czego Jasiek doskonale był świadomy, ale z wierności do ojca Góry przez usta mu to przejść nie chciało. Zawsze więc tak wywinął tok narracji, że padało na Lednicę.

Poza tym Jasiek zdołał wcisnąć młodzieży szkolnej swoją kolejną *idée fixe*, i to tak bezczelnie, że nikt chyba nie zdawał sobie sprawy ze stopnia jej autoryzacji. Ze śmiertelną powagą twierdził bowiem, że imię chrzestne Mieszka brzmiało Lambert.

– Druga żona Mieszka, ta przebrzydła Oda, dała swoim synom imiona Mieszko i Lambert. A Bolesław Chrobry, który macochy nie cierpiał jak zarazy, swojego syna z kolei nazwał Mieszko Lambert. Dla jaj tak sobie te plagiaty uprawiali czy z innych, oczywistych

względów? – tak mniej więcej argumentował już od liceum Jan Peregryn i trzeba przyznać, że mogło to przemawiać do wyobraźni.

Drugą kwestią, jeszcze bardziej delikatną, był casus „Bolesław Śmiały i święty Stanisław".

Jasiek był rdzennym poznaniakiem, więc nabożeństwa do świętego Stanisława, w odróżnieniu od świętego Wojciecha, nie miał. Ojciec nauczył go myśleć historycznie, a matka, ostatni rycerz króla Bolesława, wpoiła twardą zasadę, że nie wolno wynosić nikogo za cenę cudzej, niezasłużonej hańby. To była jedna strona medalu. Z drugiej strony był, jak by nie było, księdzem, kochał papieża dużo bardziej konsekwentnie niż Łysiak i wzdragał się przed zrobieniem jakiejkolwiek przykrości ojcu Górze. Papież, wiadomo, jako krakowiak miał do świętego Stanisława stosunek oczywisty, wystarczy przywołać jego kazanie z pierwszej pielgrzymki w 1979 roku. Nie to z placu Zwycięstwa ze słynnymi słowami: „Niech zstąpi Duch Twój! I odnowi oblicze ziemi. Tej Ziemi!", tylko o tydzień późniejsze z Błoni krakowskich, kiedy przyrównał męczeństwo Stanisława do bierzmowania Polski i powiedział: „Święty Stanisław stał się też w dziejach duchowych Polaków patronem owej wielkiej, zasadniczej próby wiary i próby charakteru". Mama w tym momencie zawsze zaczynała bić głową w ścianę i krzyczeć za Łysiakiem „Boh mój!". Z kolei ojciec Góra, duchowo ukształtowany w Krakowie i do tego uczeń profesora Plezi, o świętym Stanisławie mówił jednym głosem z papieżem.

Cóż począć? A Jasiek był doskonale świadomy, że jeżeli raz młodzież złapie księdza na kicie czy nierzetelności, to drugi raz nie zaufa.

Technikę ściągnął z jednej strony od wujka Marka, z drugiej od licealnego profesora taty. Wujek Marek startował jako nauczyciel historii praktycznie pod sam koniec komuny, więc było mu stosunkowo łatwo, ale o Katyniu i siedemnastym września mówił zawsze ze stoickim spokojem otwartym tekstem i żaden czynnik oficjalny nigdy nie zareagował. Nauczyciel taty robił to samo, tylko że w latach siedemdziesiątych, a był przy tym tak skrupulatny w odpytywaniu młodzi co do jednej ruskiej dywizji, że nawet klasowy kapuś się nie zorientował i był przekonany, że to oficjalny program.

Żadnych zatem przemilczeń plus zero emocji, taka była dewiza Jaśka.

Terminologię zaczerpnął z Jacksonowskiego prologu *Drużyny* – cóż, obłęd rodzinny i jego nie ominął! – i podzielił sobie całokształt na historię, legendę i mit.

A dalej już poleciał według sprawdzonej na lekcjach religii metodyki analizy biblijnej, wedle której uczniowie bezbłędnie rozszyfrowywali znaczenie dosłowne, symboliczne i teologiczne.

Zatem najpierw z lekkim znudzeniem, a niezwykle skrupulatnie przedstawiał przebieg wypadków, posiłkując się Gallem. To była historia i znaczenie dosłowne. Potem przerzucał się na Kadłubka i Wincentego z Kielczy, czyli do legendy, i nawijał o symbolu zjednoczonej Polski podzielnicowej (mama ani chybi zaczęłaby w tym momencie wrzeszczeć, że dwóch Wincentych zrobiło sobie z ósmego przykazania spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością). Wreszcie lądował miękko na kardynale Wyszyńskim, papieżu i komunie, czyli micie i teologii. A na sam koniec dysponował powstanie i modlitwę przez wstawiennictwo świętego Stanisława w intencji króla Bolesława.

– Jak Stanisław był w porządku, to w naturalny sposób będzie się modlił za swojego prześladowcę. A jak wręcz przeciwnie, to ma wyrzuty sumienia i tym bardziej będzie się modlił – tłumaczył młodszej siostrze ze swoistym wdziękiem, a kiedy nieprzekonana kręciła głową, dodawał:

– Więcej wiary w świętych obcowanie!

Sam się prosił, drań, żeby go spalili na stosie!

Powróćmy jednakże do muzycznych wyczynów Jaśka, które na lekcjach religii się nie kończyły. Razu pewnego dano mu zastępstwo na angielskim; gdyby to było przed świętami, pośpiewałby z dzieciakami kolędy, ale że pora roku temu nie sprzyjała, z marszu nauczył je hymnu Szkocji. Czemu Szkocji, a nie Wielkiej Brytanii po prostu? Bo z właściwą sobie dezynwolturą uznał, że szkocki jest fajniejszy. (I miał rację, Ela też wolała *Flower of Scotland*, no ale w jej przypadku, po czerwcowej eskapadzie, było to oczywistością. Chociaż może przydałoby się jej też poćwiczyć *Hen Wlad Fy Nhadau*, czyli hymn Walii).

Innym razem katechecie wepchnęli polski. Wszyscy, dyrektor i uczniowie, traktowali zastępstwo literalnie, czyli że ksiądz posiedzi i popilnuje bachorów, żeby nie rozniosły szkoły. Tymczasem Janek zerknął do dziennika, zobaczył, że na ostatniej lekcji mieli początek Mickiewicza, w genach mu zagrało i zapytał:

– A *Pieśń filaretów* Odyńca też omawialiście? – a ponieważ w oczach dzieciątek zobaczył tylko osłupiałe pytajniki, niezwłocznie przeszedł do działania. Nie minęło pół godziny, jak ksiądz nauczył młodzież śpiewać:

Precz, precz od nas smutek wszelki,
Zapal fajki, staw butelki;
Niech wesoło z przyjacioły
Słodko płynie czas! […]
Hej panowie! W górę szklanki!
Każdy zdrowie swej kochanki!
Biedne chłopcy, którym obcy
Jest miłości wdzięk!

Powoli wszyscy przyzwyczaili się, że kiedy zza drzwi słychać śpiew, może to oznaczać tylko jedno: zastępstwo ma ksiądz Janek. Nawiasem mówiąc, ciekawe, na jakiej lekcji repertuar by mu się wyczerpał, bo przecież swego czasu na geografii prezentowali z Merrym w sposób literacki erozję wody. Fizyka, chemia? Bo na biologii nauczył dzieciary *Piosenki naiwnej o ochronie środowiska* i *Przypowieści o jeżach* Kelusa. Aż strach pytać, co by mu przyszło do głowy na WOS-ie, bo przecież mógłby sięgnąć po Kazika, i to tego rzucającego mięsem… Jest taka śliczna piosenka o wyborach:

Głosuj na mnie wtedy dostaniesz
prawie za darmo każde śniadanie.
Człowiek na odpowiednim miejscu
powiedzie ciebie ku szczęściu! […]
Czy wierzysz w słowa te?
Ja nie wierzę w nie!
Czyż one prawdziwe są?
Nie wierzę im kurwom jak psom!

Rzecz jasna, na matmie też ciężko byłoby śpiewać, ale z matmą to już inna historia. Otóż razu pewnego Janek, przyszedłszy na religię, zauważył dziwne, nerwowe ruchy. Szeleściły zeszyty, krążyły kartki.

– Co się dzieje? – zapytał rzeczowo.

– Bo, proszę księdza, nie umiemy rozwiązać zadania domowego, a pani profesor powiedziała, że postawi wszystkim pały na semestr! – zaraportowali z przejęciem.

Jasiek miał na końcu języka „Spoko, wszystkim nie postawi!", ale nawiązując do dobrej części tradycji rodzinnej, postanowił autorytetu nauczyciela nie podrywać i zadysponował:

– Pokażcie!

Zadanie było paskudne, z gatunku tych obrzydliwych ostrosłupów, które zamiast stać sobie symetrycznie na trzech lub czterech łapkach z czubkiem pośrodku, wyginają się jak paralityk na różne strony. W dodatku zamiast normalnych, ludzkich danych, jak to umiał układać Fred, były same niewiadome do wyliczenia algebraicznego. Jasiek westchnął.

– Dajcie mi dziesięć minut, a w tym czasie proszę przeczytać przypowieść o robotnikach w winnicy. I gumę do żucia poproszę.

Dzieciątka skwapliwie prośbę spełniły, chociaż jako żywo nie widziały związku.

Jasiek wsadził sobie gumę do gęby i zabrał się do roboty. Po chwili powiedział:

– Już, możemy zaczynać. Ale w domu napiszecie w punktach analizę, jasne?

– Dobrze, proszę księdza! – przyrzekli ochoczo, zaskoczeni i uradowani, że po pierwsze, Jankowi chce się ratować im tyłki, a po drugie, że potrafi to zrobić.

Jasiek podszedł do niejakiego Maciusia.

– Zapałki poproszę – rzucił lekko.

Maciuś sięgnął do kieszeni, mamrocząc jednak pod nosem coś, co brzmiało jak „tajemnica spowiedzi".

– Co ty bredzisz, chłopie? – oburzył się Janek. – Jedzie od ciebie fajkami, że aż się niedobrze robi, więc mi tu nie chrzań!

Wytrząsnął zapałki na stolik, wyjął gumę z ust i metodą MacGyvera błyskawicznie sporządził model rzeczonego ostrosłupa. Faktycznie był paskudny, ostrosłup, nie ksiądz wikary.

– Zróbcie sobie w domu z tektury kilka modelików, byle jak, nie muszą być ładne – zadysponował pragmatycznie Jasiek, bo pamiętał doskonale, jak w piątce pani od matematyki dokuczała mu raz, że

jego model cały lepi się od kleju. – I nitkami poprzeciągajcie wysokości. Przyda się wam. A teraz proszę uważać. – I wyłożył, co trzeba, a dzieciny skwapliwie zapisywały do zeszytów. Zdążyli równo z dzwonkiem, a po następnej lekcji Janek był świadkiem, jak w pokoju nauczycielskim pani od matematyki mówiła do koleżanki:

– Ta twoja klasa nareszcie wzięła się do roboty, pierwszy raz mieli zrobione zadanie!

Sytuacja powtórzyła się jeszcze dwukrotnie, ale wtedy Janek zaprotestował:

– Nie, kochani, tak nie można. To trzeba zorganizować porządnie, nie na ostatnią chwilę w ciągłych nerwach – i tak właśnie zaczęły się tajne komplety w składzie mieszanym męsko-damskim na plebanii, celem pobierania nauk matematycznych. Dzieciaki były szczęśliwe, a Jankowi coś tam widać ze szkolnych sentymentów zostało, bo przykładał się do tych lekcji z ochotą i satysfakcją.

W czwartkowe popołudnie też przesiedział z nimi solenne dwie godziny nad kombinatoryką i upiornymi zadaniami o windzie, która zatrzymuje się na kolejnych piętrach albo nie i wysiadają z niej poszczególne osoby albo nie. Na koniec brzmiało zawsze idiotyczne pytanie w rodzaju: „Oblicz prawdopodobieństwo, że wszystkie osoby wysiądą wcześniej niż na siódmym piętrze". Brrr. Ale oni z Jankiem jakoś sobie radzili.

Kiedy proboszcz wrócił na plebanię po wieczornej mszy, młódź właśnie wychodziła, żegnając się elegancko. Jasiek instruował ją jeszcze z progu:

– I pamiętajcie, że w tym zadaniu o orle i reszce trzeba zastosować metodę zdarzenia przeciwnego, bo inaczej zarobicie się na śmierć!…

Ksiądz Tadeusz popatrzył, podumał i przy kolacji zagadnął Janka:

– Ty naprawdę nie chciałbyś się doktoryzować?

– Uchowaj Boże! – wykrzyknął szczerze Jasiek. – Po co mi to?

– Synu, masz łeb do wszystkiego, mógłbyś zostać wykładowcą, przekazywać wiedzę innym… – dość niezbornie próbował wyartykułować swoje odczucia proboszcz.

– Właśnie to robię! – stanowczo uciął Janek. – Matma tych dzieciaków jest tak samo ważna, a oni nie mają forsy na płatne

korepetycje.

– Nie chcesz się rozwijać, iść naprzód?

– Ależ, proszę księdza, ja się rozwijam każdego dnia! W szkole nie umiałem rozwiązać zadania o siatce dyfrakcyjnej, a teraz już umiem!

Proboszcz osłupiał.

– Zadania o czym?

– No wie ksiądz, jaki będzie osiągalny maksymalny rząd widma światła czerwonego długości fali siedmiuset nanometrów i ile prążków zobaczymy na ekranie, jeżeli siatka ma pięćset rys…

Ksiądz Tadeusz otarł pot z czoła.

– Przecież to nie matematyka!…

– Ale oni z fizyką też mają problemy…

Proboszcz chwilę myślał.

– I ty twierdzisz, że doktorat nie dla ciebie, tak?

Teraz zastanowił się Janek.

– Proszę księdza – powiedział najzupełniej poważnie – jakbym miał to robić na serio, a nie dla papierka, to naprawdę nie starczyłoby mi czasu. Więc muszę wybrać. A że jestem prostym Niziołkiem, więc wybieram matmę i fizę na poziomie licealnym.

„Wybierasz ludzi, którzy ci zaufali” – pomyślał proboszcz, ale nic już więcej nie powiedział, bo zdawał sobie sprawę z tego, że jego wyszczekany wikary o paru rzeczach jednak wstydzi się mówić głośno.

Następnego dnia zaufanie do Janka okazała od rana pani od angielskiego. Ledwo nieszczęsny przekroczył szkolne progi, skoczyła do niego jak harpia.

– Czy wiesz, co widziałam w kąciku religijnym twojej byłej szkoły?

– Której? – zapytał słodko Jasiek.

– Liceum! Pogłupieli wszyscy!

– Słuchaj, Ewa, ja już tam nie chodzę od jakiegoś czasu – próbował łagodnie perswadować Janek. Z panią od angielskiego byli na ty mimo różnicy wieku.

– To była gazetka „Wiesz, co nosisz?” o amuletach i innych niebezpieczeństwach, jak to wdzięcznie ujęli! I co się można było z tego dowiedzieć? Że krzyż celtycki to atrybut boga Odyna! I wywodzi się z wierzeń pogańskich, a współcześnie nawiązują do

niego neopoganie i nacjonaliści jako do substytutu swastyki! Co za kretyn to nasmarował!

Jasiek westchnął rozdzierająco.

– Jak powiem, że ten ktoś chciał dobrze, to i tak ci to nie pomoże, prawda?

– Prawda! Te dzieciaki może teraz wezmą to za dobrą monetę, chociaż wątpię, licealiści nie są aż tak durni! Za to po kilku latach, jak sobie coś poczytają albo po prostu pojadą do Anglii, dojdą do wniosku, że każdy ksiądz to idiota! Chcesz tego?! – A widząc, że Jasiek kręci głową, bo cóż innego mógł uczynić, dodała: – To zrób coś!

– Ewa, ale wiesz, że ja dopiero co byłem na dywaniku? Mam znowu podpaść?

– Wiem! Trudno, ktoś musi!

Jak musi, to ksiądz wikary zaraz po czwartej lekcji wyruszył do swojego liceum w nadziei, że mimo piątku jeszcze tam kogoś złapie. Motoru już nie miał, a z Krzesin na Pamiątkową jechało się paskudnie, z dwiema przesiadkami, ale Jasiek po swojemu uznał, że to bardzo dobrze, bo przynajmniej według wykładni Cejrowskiego będzie miał okazję do ewangelizacji. Jakoż okazja zdarzyła się już w drugim środku lokomocji, przy czym pamiętajcie, że Jasiek występował jak zawsze w stroju służbowym. Pewien młody człowiek opowiadał o czymś całkowicie neutralnym swojej dziewczynie, używając sami–wiecie–czego już nie jako przecinków, ale po prostu jako szkieletu słowotwórczego przy dodaniu przedrostków i przyrostków, przez co jego wypowiedź nie nadawała się nawet do wykropkowania, bo pozostałyby w niej tylko spójniki. Janek zapatrzył się w niego jak na bardzo ciekawe zjawisko, aż wreszcie młodzian nie wytrzymał i warknął:

– Coś ci się nie podoba?!

– Nie to, kurwa, że nie podoba, ale żebyś ty wiedział, jak się chujowo słucha! – obwieścił pogodnie Jasiek.

Dziewczyna parsknęła śmiechem, młodzian spłonął, a Jasiek, rzuciwszy „szczęść Boże”, wysiadł na rondzie Starołęka. I tak dobrze, że pomiędzy „szczęść” a „Boże” nic dodatkowego nie wstawił.

W piątce zastał, kogo trzeba, i widać roztoczył przed nim całą paletę swoich wdzięków, bo obiecano mu, że gazetka zostanie zmieniona. Rozgrzany postanowił zatem kontynuować tak dobrze rozpoczęte dzieło i zapukał do rodzinnego domu. Zastał tylko młodszą siostrę, bo reszta rodziny jeszcze nie dotarła z roboty. Ela miała niepowtarzalną okazję wysłuchania relacji z wizyty w kurii, a potem Janek przeszedł do rzeczy:

– Mała, czy w Szkocji robiliście też jakieś zdjęcia?

Elka zignorowała to „też" ponad miarę zaakcentowane – można gadać do debila, a on i tak swoje! – i sięgnęła do własnych zasobów, zastrzegając się jednocześnie:

– To są zdjęcia robione komórką, musiałbyś skontaktować się z Davidem, on miał normalny aparat i fotografował jeszcze w Walii.

– Dobra, ale twoja komórka też może być, ona ma dobrą rozdzielczość – nie zraził się Janek, pogrzebał w folderze, przerzucił na pendrive'a zdjęcia z Glen Coe i paru innych miejsc i zapytał:

– Mogę je wykorzystać?

– Pewnie, ale nie możesz znaleźć w necie lepszych? – zdziwiła się Elka.

– Nie, chcę takie zwykłe, poza tym sama rozumiesz, kwestia praw autorskich. Ciebie wymienię, nie martw się!

Ela nie martwiła się prawami autorskimi, tylko żeby Janek znowu w coś się nie wplątał. A tymczasem wrócił tata, Jasiek zaczął z nim konwersować i wtedy wyszło na jaw, że chce napisać o krzyżach celtyckich do „Przewodnika Katolickiego". Tata grzebał na półkach, wyszukując mu książki, między innymi *Iroszkotów* Strzelczyka, i w pewnym momencie zagadnął:

– A czemu do „Przewodnika", a nie do „W drodze"?

Och, ten tata, po ośmiu latach ciągle to samo: Janku, czemu nie do dominikanów!

– „W drodze" jest dla elfów, za wysokie progi dla zwykłego Niziołka – zakpił Janek, po czym dodał już poważnie: – Zależy mi na czasie, tato. „W drodze" będzie się certolić pół roku i dłużej, a w „Przewodniku" mam kumpla z seminarium. Ja mu pisałem konspekty, a on mnie karmił takim pasztetem ze wsi, że do dzisiaj pamiętam ten smak!

Przez weekend machnął krótki, ale bardzo sensowny tekst o Celtach i Kościele iryjskim, ilustrując go zdjęciami Elki i Davida. Przemycił też jedno stare swoje, z urokliwej wsi Westmeston pod Brighton, przedstawiające jedenastowieczny kościół z celtyckimi krzyżami na cmentarzu.

W poniedziałek poprosił panią od angielskiego, żeby go zastąpiła na dwóch ostatnich lekcjach – stał się cud pewnego razu, ktoś miał zastąpić księdza Janka, a nie odwrotnie! – i podskoczył do redakcji na Chartowie. Oj, brak motoru pewnie zaczynał wychodzić mu bokiem, byłby tam z Krzesin w dziesięć minut, a tak musiał kombinować.

W redakcji spotkał go zawód. Okazało się, że specjalistę od pasztetu oddelegowali gdzieś na bliżej nieokreślone misje, a jego stanowisko przejął nie kto inny, jak ten kolega, który onego czasu wyraził wątpliwości co do stosunków kleryka Niziołka z Wiolą.

Nastąpił moment konsternacji, ale Janek swoją metodą błyskawicznie doszedł do wniosku, że tak jest nawet jeszcze lepiej. Ze szczerością głupiego nomen omen Jasia zwierzył się, jak to katecheta z jego byłej szkoły wyskoczył z durną gazetką, więc on chce teraz sprawy wyprostować.

Koledze oczy się rozjarzyły. Oto sam wlazł mu w ręce ten typ, przez którego kiedyś dostał opieprz od opiekuna. Chce pisać o krzyżach celtyckich? Proszę bardzo, wciśnie go ekspresowo do najnowszego numeru, właśnie ma dziurę, bo taki jeden nawalił z terminami. Nie ma mocnych, żeby ktoś nie poczuł się urażony, że autor smaruje o halloweenowych symbolach pogańskich na samych Wszystkich Świętych! A jakby nawet nikt nie chwycił kontekstu, to zawsze pozostaje ten dzisiejszy, faszystowski… Będzie piękna chryja!

Jak pomyślał, tak z sukcesem uczynił.

A w środę trzydziestego października cała rodzina miała przyjemność przeczytać tekst Jaśka ilustrowany zdjęciem Elki z Glen Coe.

Kamyk pacnął w wodę, kręgi się rozeszły i nastała cisza.

O tym, kto jeszcze ów artykuł przeczytał i jakie były tego konsekwencje, miał się dowiedzieć Jasiek dopiero w przyszłości.

Rozdział V

NPR

Było czwartkowe późne popołudnie. Ksiądz Tadeusz siedział spokojnie w gabinecie i układał kazanie na niedzielę, bo też był poznaniakiem i lubił robić wszystko z wyprzedzeniem. Był tak mniej więcej w połowie, kiedy usłyszał dziwne odgłosy dochodzące z domu parafialnego. „Wydawało mi się" – pomyślał i kontynuował swoje zajęcie. Odgłosy powtórzyły się. Proboszcz nadstawił ucha, bo jako żywo nie pasowały mu one do miejsca.

„Tak jakby ktoś się śmiał. Ale to niemożliwe" – powiedział sobie w duchu. W domu parafialnym odbywała się właśnie prelekcja w ramach kursu przedmałżeńskiego o naturalnych metodach regulacji poczęć, prowadzona przez panią Zuzę, osobę niezwykle zasadniczą i niewzruszoną, która nigdy nie dopuściłaby do tak niestosownego zachowania.

Z salki parafialnej doleciał bardzo już wyraźnie nie jakiś tam zwykły śmiech, ale jego cała nieposkromiona salwa.

Wtedy księdza Tadeusza war oblał od góry do dołu. Uświadomił sobie, że przecież pani Zuza, matka pięciorga dzieci, poprosiła o zastępstwo, bo właśnie któreś z licznego potomstwa zachorowało. I wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zastępował ją w tej chwili ksiądz Janek…

Wstał i energicznie ruszył w stronę salki. Towarzystwo się nie krępowało, drzwi zostawiono otwarte i wszystko było doskonale słychać.

– Proszę księdza, ale przecież to jest cholernie niewygodne! – perorowała z ogniem jedna z uczestniczek. – Mierzenie temperatury, badanie śluzu, zapisywanie! Szału można dostać! Jak wy to sobie wyobrażacie?! Mąż do mnie: kochanie, chodź do łóżka, a ja do niego: złotko, chyba nic z tego nie będzie, bo zapomniałam rano sprawdzić temperaturę!

„Bezpruderyjna ta dzisiejsza młodzież" – pomyślał proboszcz.

– Oj, Haniu, a czy tobie nie wszystko jedno, od czego ci niewygodnie? – zapytał z żelazną logiką Jasiek. – Przy tych drugich też trzeba uskuteczniać pewne rytuały!…

Zgromadzeni zarechotali radośnie.

„Czy on robi jakąś pantomimę?" – pomyślał ze zgrozą ksiądz Tadeusz. Miał zasadniczo trzy wyjścia: odejść i zapomnieć, wkroczyć z interwencją albo postać i posłuchać, bo robiło się coraz ciekawiej.

– Ale przecież naturalne są nieskuteczne, nie gadajcie, że to poziom kilku procent! Czego ksiądz się ze mnie śmieje, może nieprawda?!

– Sorry, Hanka, przypomniał mi się świetny kawał o skuteczności! Otóż do indiańskiego wodza przychodzi chłopczyk i mówi, że chce sobie zmienić imię na John…

Ksiądz Tadeusz podjął bohaterską decyzję, że wkracza. Niewykluczone, że zdopingowała go perspektywa, że musiałby się spowiadać Jankowi z podsłuchiwania pod drzwiami, i to z satysfakcją. Obaj spowiadali się sobie wzajemnie, bo tak było najprościej i najwygodniej, żadnemu nie chciało się ganiać do kolegów po fachu na Starołękę albo do Szczepankowa. Zaraz, on Jankowi, że podsłuchiwał, Janek jemu, że opowiadał… Czy to aby nie kwalifikowałoby się jako współuczestnictwo w grzechu? Tym bardziej trzeba to przerwać!

– Szczęść Boże, czy ja też mogę się trochę pośmiać? – powiedział życzliwie, wchodząc do środka.

Trzeba przyznać, że Jasiek na widok szefa przystopował. Odrobinę.

– Prosimy bardzo! To o Johnie innym razem, a teraz jedziemy dalej. Proszę księdza, właśnie dyskutujemy o sposobach zapobiegania ciąży. Ja się na tym nie bardzo znam, ale państwo

wspierają mnie z całych sił. Bo na czwartek przypada grupa ekspresowa, sami eksperci w tej dziedzinie.

Proboszcz był bystry i aluzję chwycił w lot, tym bardziej że jedna z pań miała wyraźny brzuszek.

– O, przepraszam! – oburzyła się Hania. – Ja nie jestem ekspresowa, nam po prostu zwolnił się termin w restauracji na Boże Narodzenie!

Towarzystwo pokładło się na stoły w ataku śmiechu. Ksiądz Tadeusz z ochotą zawtórował.

– Na czym to żeśmy stanęli? Ach, na skuteczności. Proszę, Haniu, kontynuuj!

Hania oszacowała wzrokiem proboszcza, uznała, że jest spoko gość, i zgodnie z prośbą wikarego kontynuowała:

– To wszystko jest nieżyciowe i z księżyca! Mam pracę, nie chcę jej stracić i muszę mieć gwarancję na sto procent!

– Hanka, na sto procent to ja ci mogę zagwarantować, że umrę, ale mi tu nie truj, że środki hormonalne są takie komfortowe! Raz się pomylisz i leżysz! Zapytaj tu obecnego księdza proboszcza, ile razy nie pamiętał, czy już brał insulinę czy jeszcze nie – zripostował Janek, a ksiądz Tadeusz w poczuciu własnej słabości tylko pokiwał głową. Ani myślał się oburzać na wplątanie w dyskurs jego osoby, ciekawy, jaki będzie finał pyskówki.

– Insulina to lek dla inteligentnych, którzy umieją naciągnąć sobie strzykawkę – wtrącił nagle narzeczony pani z brzuszkiem – a pigułki są dla blondynek, popakowane w przegródki, wystarczy znać siedem dni tygodnia i już samo poleci!

– Tak?! – zauważył inny facet, adorujący czule swoją dziewczynę bez widocznego brzuszka co prawda, ale po oczach widać było, że też przy nadziei. – To czemu Kazikowi w sklepie *vis-à-vis* plebanii tak dobrze schodzą testy ciążowe?

Kursanci zawyli, Hania wściekłym okiem zerknęła na sojusznika nie w porę, drugim spiorunowała faceta dziewczyny bez brzuszka. Niewykluczone, że jej samej również zdarzało się nabywać testy ciążowe, chociaż niekoniecznie u Kazika.

– Proszę księdza, dość tych żartów, ja nie mogę sobie pozwolić na żadne niespodzianki!

– Oj, czym byłoby życie bez niespodzianek – westchnął nostalgicznie Jasiek.

– Mówię o niespodziance w postaci rezultatów stosowania naturalnych metod! – ani myślała odpuścić Hanka.

– Ja też – uśmiechnął się od ucha do ucha Janek. – Można się w ten sposób pozbawić okazji napotkania ciekawych osób.

– Zawracanie głowy! Zaraz mi ksiądz o Beethovenie będzie opowiadał, co to był piątym dzieckiem alkoholika i syfilityka, i powinien się w ogóle nie rodzić!

– Drugim – sprostował Jasiek, jak by nie było absolwent szkoły muzycznej.

– Wszystko jedno, stary numer, niech ksiądz wymyśli coś innego!

– Do usług – odpowiedział Janek, wstał i ukłonił się w pas zgromadzonym, a ponieważ i Hanka, i pozostali z proboszczem włącznie zdawali się nie rozumieć, dodał:

– Przedstawiam wam owoc naturalnych metod regulacji poczęć. Gdyby zadziałały, nie mieliby państwo przyjemności odbywania tej jakże miłej prelekcji w mojej obecności. Zatem raz jeszcze powtórzę: cóż warte jest życie bez niespodzianek? Albo inaczej – dajmy Panu Bogu szansę na ostatnie słowo…

Towarzystwo zaczęło bić brawo, a Hanka roześmiała się i powiedziała:

– Dobra, wygrał ksiądz! Dla księdza jestem gotowa całkowicie się przerzucić – zgromadzeni znowu zachichotali – ale załóżmy coś takiego: ja się namęczę, a za kilka lat papież Franciszek odpuści i ogłosi, że teraz to już można! Ale do tego czasu będę na bezrobociu z trójką nieplanowanych dzieci!

– To nie jest wcale takie głupie, co mówi Hanka – przyszedł jej w sukurs narzeczony. – W ciągu ostatnich lat Kościół zmienił swoje zdanie w dwóch kardynalnych kwestiach: dzieci nieochrzczonych i samobójców, nie mówiąc już o poście piątkowym, bo to przy nich drobiazg. Czemu nie miałby zmienić swojego podejścia do antykoncepcji?

Na krótką chwilę oczy Jaśka i proboszcza się spotkały. Nie tak dawno do nocy im zeszło na podobne tematy, a było to zaraz po tym, jak papież zabronił franciszkanom odprawiać mszę trydencką.

Co ciekawe, stary ksiądz był skłonny obdarzyć papieża Franciszka ograniczonym kredytem zaufania, za to młody pokrzykiwał, że Kościół systematycznie odcina się od kolejnych reperów.

„Dalej, synu, ciekawe, jak teraz z tego wybrniesz!" – powiedział sobie ksiądz Tadeusz.

– Panie Adamie… – zaczął Jasiek z namysłem.

– Adamie po prostu – podpowiedział mu narzeczony Hanki.

– No to słuchaj, stary, załóżmy, że nie cierpisz karpia, grzybowej i makowca. Zjadłbyś po angielsku pieczonego indyka, ale twoja mama upiera się przy tradycyjnej Wigilii. Co teraz? Bo ja tu widzę trzy opcje: zjadasz pokornie to, co ci matka daje, i robisz dobrą minę do złej gry; jesz trochę, a potem idziesz do chaty utrwalić się indykiem, ale się do tego nie przyznajesz i nie klepiesz kumplom na lewo i prawo… Albo zaczynasz awanturę, ogłaszasz, że matka ma sklerozę, i na jej oczach robisz swoje.

– Proszę księdza, za kogo mnie ksiądz ma! – oburzył się Adam.

– A teraz załóżmy, że latka minęły, twoje dzieci podrosły, a babci zmieniła się optyka. I na stole wigilijnym stawia bez żadnych oporów już nie tylko indora, ale pizzę, hot-dogi i coca-colę. Co teraz poczniesz? Bo ja znowu widzę trzy opcje: cieszysz się, że mama zmieniła zdanie i radośnie razem z dziećmi wpieprzasz nieortodoksyjne dania; dusisz w sobie wściekłość, że ciebie matka tresowała, teraz wnukom odpuszcza, a wszystkie twoje cierpienia poszły na marne… Albo jak wyżej, robisz awanturę, że ty sobie życzysz karpia, grzybowej i makowca, bo w domu ma być normalna Wigilia, a nie jakieś cudactwa!

– Ale ksiądz wykręcił, że już naprawdę nie mam żadnych argumentów! To niby mamy słuchać matki-Kościoła, nawet jak jest zesklerociała, bo w głębi ducha przyznajemy jej rację, tak?

– No widzisz, Adamie, jak to ładnie powiedziałeś, nic dodać, nic ująć – z satysfakcją zauważył Janek.

„Brawo, synu!" – pomyślał proboszcz. Ale Janeczek miał jeszcze w zanadrzu ostatnie słowo.

– Tyle że jak tak sobie tu rozmawiamy, to mi wychodzi zupełnie inny problem. Czemu wy wszyscy, na rany boskie, jesteście tacy cholernie spięci i smutni, jak tylko zaczynacie gadać o seksie? Czemu

tak mało w was radości? Haniu, ty powiedziałaś na samym początku, że Kościół przymusza cię do współżycia w takiej fazie cyklu, kiedy ty może wcale nie masz na to ochoty. To ja cię zapytam: a próbowałaś?

No cóż, trzeba oddać Janowi Peregrynowi, że nawet wygadaną Hanię potrafił przyprawić o konfuzję. Kursanci śmiali się bez skrępowania, z Adamem włącznie.

– Och, Hanka, ksiądz proboszcz swój chłop, oszczędź mi rumieńców! Z góry przyjęłaś za pewnik coś, co wyczytałaś w internecie! Popatrz na obecnego tu Adama, połóż rękę na sercu i przyznaj: jakie przymuszanie?!

Ksiądz Tadeusz ryczał razem z wszystkimi.

– Zatem, słuchajcie, kochani, musimy to załatwić inaczej. Tu trzeba fachowców, a ja naprawdę się na tym nie znam, słowo! – Wszyscy obecni byli też w swoim czasie na festynie, więc zakwiczeli radośnie. – Co najwyżej przez analogię mógłbym wam opowiedzieć, jak to kiedyś dawno temu na początku seminarium straszyli mnie, że kapłaństwo to cierpienie. I co? Nic. Może jeszcze nie dorosłem, ale jak na razie, to użyłbym raczej antonimu, czego i wam w udanym małżeństwie życzę. – Ksiądz Tadeusz uśmiechnął się tym razem tylko sam do siebie i w głębi duszy.

– Dlatego wymyśliłem sobie, że może na jutro udałoby mi się ściągnąć moją siostrę… starszą siostrę – powiedział Janeczek z naciskiem, czym wywołał nową salwę śmiechu – z mężem, żeby wam opowiedzieli o tym i owym. Możecie jutro? Trzy godziny i macie wszystkie papierki podpisane!

Wszyscy zgodzili się ochoczo, świadomi, że za tydzień znowu wpadliby w ręce pani Zuzy.

Przy wychodzeniu Adam zwrócił się do Janka:

– Dziękuję księdzu, Hanka mnie tu na siłę zawlekła, myślałem, że trzeba będzie odsiedzieć kilka pokutnych godzin, ale nigdy bym nie przypuszczał, że prelekcja o naturalnych metodach może być taka miła!

„Ja też” – powiedział sobie w duchu ksiądz Tadeusz. I wspomniał z pewną, że tak powiem, ambiwalencją panią Zuzę, będącą żywą antyreklamą głoszonych przez siebie idei…

Kiedy wracali do siebie, proboszcz uznał za stosowne zapytać o coś Janeczka.

– Wtedy w seminarium, jak ci powiedzieli, że kapłaństwo to cierpienie… Jak to przyjąłeś?

Jankowi oczy zajarzyły się jak psu z bajki Andersena.

– Powiedziałem, że nie szkodzi, bo od dziecka jestem z natury masochistą.

„I po co ja pytałem?" – pomyślał ksiądz Tadeusz. „Trzeba było żyć w nieświadomości".

– Stoisz tu obok mnie, więc nie wyleciałeś z hukiem, wobec tego wyjaśnij mi, jak ci się to udało?

– A bo, proszę księdza, ja to powiedziałem takiemu kapusiowi, a dopiero on doniósł profesorowi. Ale to był profesor od liturgii i nie mógł mnie wywalić, bo tylko ja jeden umiałem zaśpiewać chorał gregoriański…

– Kapusiowi, powiadasz?

– No tak…

– To ilu ich było, na Boga? – Z zadanego pytania można było wywnioskować, że Jasiek zdążył już był zrelacjonować proboszczowi, podobnie jak niegdyś Gośce, swoją autorską metodę na wymiganie się od posady sekretarza.

– Niech policzę… Pięciu… może sześciu.

– Sześciu na twoim roku?!

– Nie, bez przesady. Sześciu w całym seminarium. Mój rok był w porządku, u nas był tylko jeden. I to można miłosiernie uznać, że nie miał donosicielstwa we krwi, tylko po prostu za długi ozór.

Proboszcz już niczego więcej wiedzieć nie chciał. Aż za dobrze zdążył do tej pory poznać stosunek Janka do kapowania. A Jasiek, cóż, był w tym nieodrodnym synem swoich rodziców. Szczególnie mama słynęła w szkole z Łysiakowego cytatu, którym ucinała z punktu wszelkie próby skarżenia: „Kablowanie to charakter, więc ja zamierzam połamać ci ten charakter!".

Janek poszedł prosto do kuchni, pokrzątał się przy kolacji, a potem zadzwonił do Gośki. Tak się złożyło, że Ela właśnie siedziała u niej na Saperskiej i miała wgląd w sytuację z pierwszej ręki.

Jagódka kończyła tego dnia trzy miesiące, co dwie panie ochoczo celebrowały – Elka popijała Redd'sa, a Gośka sok pomidorowy. Obrzydliwość, ale twierdziła, że pomarańczowy czy jabłkowy szkodzi, jak się karmi. Zdaniem młodszej siostrzyczki potężnie przesadzała, tak wariować można przez pierwszych kilka tygodni, ale nie miesięcy! A Gośka dokładała do tego drakońską dietę, jakiej nigdy w życiu nie stosował ksiądz Tadeusz na cukrzycę, chociaż właśnie on powinien: wszystko tylko gotowane, nic smażonego, nic ostrego, zero warzyw wzdymających, kawa tylko *latte*, herbata tylko owocowa, jogurt tylko naturalny bez cukru… Wydzielała sobie nawet mandarynki i czekoladę!

„Rany boskie, to tak wszystkie baby muszą?!" – myślała ze zgrozą Elka, obserwując siostrę. Chciała mieć dzieci, oczywiście, ale przecież od takiego żarcia można paść!

Tymczasem Gośka wydawała się zupełnie tym nie przejmować, a Jagódka kwitła i była dzieckiem spokojnym i uśmiechniętym. Darła się w nocy tylko na samym początku, ale mama bardzo szybko rozszyfrowała przyczyny tych wrzasków.

– Gosiu, a może za ciepło ją ubierasz? Może ona jest po wujku? Janek też strasznie wył po nocach, a ja chodziłam po ścianach do momentu, kiedy raz przez pomyłkę zapomniałam go przykryć. I spał wtedy jak trusia! Potem zaczęłam bardzo, bardzo ostrożnie eksperymentować i rzeczywiście okazało się, że on jest zimnego chowu. Leciutki kocyk i otwarte okno, tego mu trzeba było. Spróbuj!

Gośka posłuchała, spróbowała i okazało się, że mama miała rację. Więc tym bardziej przesadzała przy karmieniu, Jagódce nic by nie było! Tyle tylko, że to nie dieta była dla Gosieńki ciężarem.

Ciążyło jej zupełnie co innego. Wpieprzanie się wszystkich dookoła w ich sprawy.

Nie, nie mamy i taty, broń Boże, starzy Niziołkowie byli ekstra, mieli dobrą pamięć i właściwe wyważenie proporcji. Mama przychodziła do Gośki w środy, swój wolny dzień, i tak jak zaraz po urodzeniu Jagódki, dostosowywała się do jej życzeń: Wychodne? Zrobić ci obiad? Posprzątać? Idziemy razem na spacer i poplotkujemy? Elka obsługiwała albo czwartkowe, albo piątkowe popołudnie, bo w czwartek kończyła wcześniej, a w piątek miała

tylko warsztaty krawieckie. Przeważnie Gośka z Fredem szli do kina, a ukochana siostrzyczka brała dzieciaka do wózka i jechała z nim na Pamiątkową. Tam do obsługi wnusi dołączał tata, a robił to w sposób, nie da się ukryć, specyficzny i charakterystyczny dla siebie, a mianowicie uczył ją czytać. Tak, dobrze przeczytaliście. Otóż pokazywał jej trzymany w jednej ręce napis, drukowany na czerwono – bo ponoć tak jest lepiej dla dzieci – odczytywał go na głos, potem brał następny i tak przez godzinę. Najśmieszniejsze, że Jagódce bardzo się to podobało.

– Ona po prostu lubi głos taty – mówiła mama.

– Lubi, lubi, pewnie, że lubi, ale przy okazji uczy się czytać! – upierał się tata.

A kiedy jego trzy kobiety się śmiały, dodawał:

– Przestańcie mi zawracać głowę, Elkę uczyłem tak samo i co? Zaszkodziło jej?

– Elka miała trzy lata!

Tak, tak, też dobrze przeczytaliście. Trzy lata. Tylko że w przypadku jego najmłodszej latorośli był to element terapii.

– No to co? Nie można poeksperymentować? Przeszkadza wam to? W najgorszym razie dziecko jest spokojne!

Raz Gośka i Fred nie chcieli iść do kina, tylko pobyć sobie razem w domu bez zakłóceń. Proszę bardzo, Ela ani myślała im się wtrącać. Tyle tylko, że kiedy ona z Jagódką wybyły, a tamci właśnie zaczynali cieszyć się wolną chatą, zapukała do drzwi babcia. Dalszego ciągu musiała wysłuchać mama.

– Do czego to podobne, żeby oddawać dziecko smarkuli – to niby o Elce było – żeby sobie pożywać jak młode małżeństwo! – To co, oni teraz już byli starzy? W pięć lat po ślubie? A co mieliby powiedzieć mama z tatą? Szlaban na wszystko? – Jak się decyduje na dziecko, trzeba ponosić konsekwencje i być chociaż trochę odpowiedzialnym! – Babcia prezentowała męczeńską koncepcję macierzyństwa, zupełnie jak profesor liturgii Jaśka miał męczeńską koncepcję kapłaństwa.

– Skończy się to tak, że za chwilę wzbogacisz się o drugiego wnuka na karku! – dorzuciła jeszcze ponure proroctwo.

Mama była niespotykanie spokojnym człowiekiem, ale wtedy pokazała zęby.

– Czy sugerujesz, że w swoim czasie narodziny Janka były nie w porę? – zapytała zimno i z żelazną logiką. A kiedy babcia się zatchnęła, dodała: – Nie mam nic przeciwko temu i nie mam zamiaru wtrącać się mojej córce w jej intymne sprawy!

Niedaleko pada jabłko od jabłoni, chciałoby się rzec. To jest odwrotnie, wiadomo, po kim złapała geny Elanor Piękna. W danym momencie jednakowoż ta ostatnia siedziała z tatą w kuchni jak trusia, popatrując tylko na niego i nie wychylając głowy.

„Kurczę, tchórze, zostawiliśmy mamę na pożarcie" – gryzły ją wyrzuty sumienia. Chociaż Róża poradziła sobie całkiem dobrze, tyle tylko, że potem nastąpił cichy tydzień zakończony dopiero na Wszystkich Świętych.

Akt trzeci miała okazję poznać Elka w kolejny czwartek. Freda nie było, bo posłali go gdzieś tam z jakimiś instalacjami, miał wrócić dopiero następnego dnia. Gośka wykorzystała to na siostrzane zwierzenia. Najmłodsza Niziołkówna miała zawsze do swojego starszego rodzeństwa pretensje o szepty za plecami, ale teraz, kiedy jej dorosłość została doceniona, poczuła w pełni jej ciężar.

Gośka dobrą chwilę się męczyła, zanim zdecydowała się wyrzucić, co jej leżało na wątrobie.

– Poszłam do spowiedzi do Janka…

„Zgłupiała?! Do Janka?!" – Elkę po prostu zatkało.

– I co?! – spytała bez tchu.

– Nawrzeszczał na mnie, że zgłupiałam… – No właśnie! – …że co ja sobie wyobrażam, w całym Poznaniu innego księdza nie ma?!…

„Święta racja!" – pomyślała Elka. Ona sama nigdy w życiu nie poszłaby do spowiedzi do Jaśka! Chyba tylko *in articulo mortis*!

– I co?…

– Powiedziałam mu, że ma się zamknąć… – O Jezu! Starsza siostra, nie ma co! – …i robić swoje, bo nie ma prawa odmówić mi sakramentu.

– Gośka, ale dlaczego?…

– Bo on był jedynym księdzem już nie tylko w Poznaniu, ale na całym świecie, który był w stanie zrozumieć, jak mu powiedziałam,

że miałam ochotę zabić babcię na miejscu…

Ela wiedziała doskonale, że jak teraz ryknie śmiechem, to będzie miała u siostry przechlapane na wieki, więc tylko w popłochu pomyślała sobie: „Co zrobiłby David?!".

Skoczyła, objęła ją i przytuliła z całej siły.

– Gosia, nie przejmuj się, mama już z babcią wszystko załatwiła. – No chyba można to tak nazwać? – Będziecie teraz mieć spokój. Wyluzuj i róbcie swoje!

Gośka roześmiała się – jak to dobrze – pocałowała Elkę i zapytała:

– Wiesz, jaką ten drań mi zadał pokutę? Mam odszukać na Allegro i kupić dla babci *Bartłomieja Farrara* Josephiny Tey, bo ktoś jej podprowadził, a to był jej ukochany kryminał. Ale musi być koniecznie pierwsze wydanie z serii Srebrny Kluczyk, i to w dobrym stanie. I czasami nie mam brać od mamy, tylko sama zdobyć.

Cały Jasiek! No i właśnie dlatego: *in articulo mortis*! Wyłącznie!

Gośka miała jeszcze coś do dodania.

– Wiesz, Elka, żeby to była tylko babcia. Babcię kocham, nawet jak w porywach mam chęć zatłuc ją ubijakiem do kotletów. Ale to głupie gadanie koleżanek z pracy! To ustawianie mi życia! Najpierw na samym początku były co krok głupie uwagi, że jestem w ciąży. A kiedy miałabym być, po czterdziestce? Teraz z kolei na okrągło dobre rady: że zaraz jak mi się skończy macierzyński, mam wracać i zmusić męża, żeby to on wziął urlop dodatkowy. Kurczę, niech się odpieprzą! Fred przynosi teraz tyle kasy, że aż miło, cenią go, powierzają trudne zadania!… A ja mam dla dyktatu durnych bab uziemić go w chacie? – Gośka dmuchnięciem odgarnęła włosy z czoła i powiedziała desperacko:

– Wiesz, co one jeszcze wymyśliły?

– Gadaj, siostra, może ci ulży!

– Przylazły tutaj, kawusię sączyły i zaczęło się: „Jak tylko wrócisz do pracy, to musisz pomyśleć o porządnej antykoncepcji, żeby ci już na pewno nic nie przeszkodziło!…" Kurczę, rozumiesz, przeszkodziło! Jagódka mi przeszkodziła!

– A co ty na to?

– Że karmię piersią i absolutnie nie mogę używać żadnych środków hormonalnych. „No, ale przecież jak wrócisz, to karmienie

przerwiesz, mąż może dawać małej z butelki!” Szlag mnie trafił, ale ciągle byłam miła. Odpada, mówię, przeszkody światopoglądowe. „No wiesz”, roześmiały się. „Chyba żartujesz! Z kalendarzykiem i termometrem daleko nie zajdziesz!” Wtedy skończyła mi się cierpliwość…

Gośka na chwilę przerwała.

– Opieprzyłaś je?

– Tak jakby. Powiedziałam, że urlop wykorzystam maksymalnie na siebie, a potem już nie wracam. I w ogóle to nie mam nic przeciwko kolejnym dzieciom.

Teraz już z czystym sumieniem można rzec: niedaleko pada jabłko od jabłoni. Brawo, Gośka!

– Założę firmę, będę robiła tłumaczenia… i wiesz… – Gośka uśmiechnęła się do siostry nieśmiało. – Coś ci powiem, ale to na razie tajemnica, dobrze?

– Jasne!

– Zaczęłam pisać książkę. Historyczną. O bracie Mieszka Pierwszego.

Elkę zatkało.

– Gośka, to fantastycznie! O Czciborze?

– Nie, o tym drugim, nieznanym z imienia. Nazwałam go Światopełk, Swentopełk właściwie.

Ela błyskawicznie przypomniała sobie zawirowania ojczystych dziejów, przywołując w sukurs Bunscha, ściślej sam początek *Dzikowego skarbu*.

– Ale w takim razie on będzie na straty…

– Trudno, historii nie zmienię. Obmyślę mu śmierć bohaterską…

„Zaraz ryknę” – pomyślała Elka. „Nie wytrzymam!”

Jak pamiętacie, Gośka uwielbiała tworzyć fanfiki o tragicznych zakończeniach, a młodsza siostrzyczka na miarę swoich umiejętności ochoczo jej w tym pomagała. Raz wyprodukowały niezwykle łzawą historię alternatywną o tym, jak Merry’ego i Pippina nie udało się odbić i wpadli oni w ręce okrutnego Sarumana. Trzy dni trwały tortury, dzielni hobbici nie zdradzili ni słowa, przy czym szczególnym męstwem wykazał się Pippin, bo miał wizję Boromira, który wspierał go w cierpieniu. Kiedy wreszcie Gandalf z Aragornem i spółką

nadeszli na czele Entów z odsieczą, było za późno, bo obaj pomarli im na rękach. We dwie były wtedy opuchnięte od płaczu, tata pukał się w głowę, a mama coś mu tam na boku tłumaczyła o kobiecej specyfice. Więc dopiero teraz Gośka może pokazać pełnię możliwości!

W tym momencie zadzwonił telefon. Był to Jasiek. Wiedział, kiedy trafić. Zawsze wiedział, ciekawe skąd.

– Cześć, braciszku, co powiesz? – zagadnęła swobodnie jakby nigdy nic Gośka, pstryknęła na głośno i zamachała do Elki, żeby też sobie posłuchała.

Janek bardzo obrazowo opowiedział o dzisiejszym kursie przedmałżeńskim, co spowodowało, że obie dziewczyny mało się nie posikały. Wycie sióstr musiało mu sprawić dużą przyjemność, bo z mety przystąpił do rzeczy:

– To co, załatwione? Przyjdziesz jutro z Fredem?

– Słuchaj, stary, ale ta pani Zuza się nie obrazi, że wchodzimy jej w paradę? Bo to już zakrawa na nepotyzm!

– Nic się nie martw, ja wszystko załatwię. Pani Zuza ma tyle problemów ze swoim licznym potomstwem, że chętnie weźmie urlop.

– Licznym? Jak licznym?

– Pięcioro i szóste w drodze.

Gośka chwilę milczała.

– I ona wykłada o naturalnych metodach regulacji poczęć?

– No tak. Jest bardzo ofiarna…

Gośka niezwykle starannie dobierała słowa, szczególnie w kontekście własnych deklaracji sprzed godziny.

– A, braciszku… czy ona… eee… jest wiarygodna w tym, co robi?

– Siostra, ty zawsze tak kawę na ławę! Pomyśl lepiej, co zrobić, żebyś ty była wiarygodna, bo kursanci są ostrzy i byle czym ich nie zadowolisz.

– W porządku, załatwione. Najpierw ja będę miała wykład dla pań, a Fred dla panów, a potem się zamienimy. Ja opowiem facetom, czego kobiety od nich oczekują, a Fred *vice versa*.

Trafił swój na swego. Teraz ty, Janeczku, zobaczysz swoją siostrę w akcji. Brawo, Gośka, raz jeszcze!

Ela dorwała się do słuchawki.

– Janek? A ja też mogę przyjść?

– Ty? Masz ochotę?

– Przecież i tak musimy załatwić sobie nauki przedmałżeńskie. David chodzi do swojego proboszcza, a ja mogłabym u was…

– Dobra, nie ma sprawy, czekam!

Jasiek odłożył słuchawkę i poszedł do pokoju, który, tak jak duży pokój na Pamiątkowej, pełnił funkcje wszelakie – jadalni, biblioteki, gabinetu i parę innych, usiadł z boku przy starym keyboardzie i zaczął grać. Janek nigdy nie narzucał się ze swoją muzyką, umieszczał ją dyskretnie w tle, ale wiadomo było, że wkłada w to całe serce. Teraz też grał z leciutkim uśmiechem, coraz bardziej wyciszony, coraz bardziej skupiony, z przymkniętymi oczami.

Ksiądz Tadeusz, myślami będąc jeszcze przy końcówce kazania, rzucił machinalnie:

– Janku, zrobiłbyś nam herbaty?

– Już, tato – odpowiedział automatycznie Jasiek, wstając i wtedy oprzytomniał, otworzył oczy i uśmiechnął się z odrobiną zawstydzenia.

– Pomyliłem się – powiedział najzwyczajniej w świecie i ruszył do kuchni. Nie dodał „przepraszam”, bo doprawdy nie było za co przepraszać.

A ksiądz Tadeusz bardzo starannie udawał, że wypatruje czegoś przez ciemne okno, bo jak Nel spociły mu się oczy.

Rozdział VI

Wy jeszcze nie wiecie

Wszystko było prawie tak samo jak dwa dni wcześniej. Proboszcz czytał nowego *Wiedźmina*, Janek grał, na stole parowała herbata w kubkach. Zwykły sobotni wieczór po ostatniej mszy. Już nic się nie wydarzy.

Jak wiele może zmienić jeden telefon.

Zadzwoniła komórka Janka. Sprawił ją sobie w końcu, a właściwie został do tego przymuszony po ostatecznym zadomowieniu się na Krzesinach, kiedy niezbędnym się stało, żeby wikary był pod ręką w razie wyjścia do chorego. Proboszcz popatrzył ze współczuciem; jemu samemu niezwykle ciężko przyszłoby się teraz ruszyć z domu, a nieraz już tak bywało, że Janeczek ledwo żywy po całym dniu zabierał się jakby nigdy nic i jechał do ludzi. No, dawniej jechał, teraz chodził. Raz tylko, jak piorunem trzeba było dotrzeć na dalekie Pokrzywno, wziął golfa proboszcza.

Jasiek spojrzał na wyświetlacz, pstryknął, powiedział:

– Cześć, Merry, co słychać? – i proboszcz wyłączył uwagę, zatapiając się w *Sezonie burz*; wiedział, że to przyjaciel jego wikarego i teraz pewno będą gadać z pół godziny. Nagle zelektryzował go ton głosu Janka, więc zdumiony podniósł głowę i zamarł.

Tak bezbronnego, obnażonego, tak całkowicie odartego z wszelkiej samokontroli Janka jeszcze nie widział.

– A dziecko? – pytał Jasiek głosem, który wiązł mu w krtani. – Dobrze, już jadę, już jadę, Merry!

Odwrócił się i zaczął mówić do proboszcza:

– Wiola… żona Merry'ego… zna ją ksiądz… przejechali ją na przejściu dla pieszych… samochód na drugim pasie się nie zatrzymał… Merry prosił, żebym przyjechał… tam nie ma w tej chwili kapelana, długi weekend… żebym… – nie był w stanie wydusić z siebie prośby przyjaciela.

Ksiądz Tadeusz porwał się na równe nogi.

– Już, synu, zawiozę cię! – Doskonale wiedział, że w takim stanie Jasiek za kierownicę siadać nie powinien. – Dokąd? Na Kurlandzką?

– Nie, na Lutycką… tam jest też oddział noworodkowy…

W dwie minuty byli już w zakrystii. Jankowi ręce tak dygotały, że nie mógł sobie poradzić z kluczykiem od szafki, w której przechowywane były oleje. Ksiądz Tadeusz odsunął go stanowczo, otworzył szafkę, wydobył ampułki, a potem złapał Jaśka za ramiona, odwrócił do siebie i powiedział twardo:

– Janku, tak nie można! Pamiętaj, że to jest sakrament namaszczenia chorych!

Jasiek spojrzał mu prosto w twarz, oczy miał jak dwa czarne, wypalone żużle.

– Tak, wiem – powiedział chrypliwie. – Bo nawet Kościół boi się słowa „ostatnie".

Zacisnął ręce na krawędzi szafki i wtedy coś się w nim przełamało. Opanował się, błyskawicznie zaczął pakować torbę: komża, stuła, olej, woda święcona…

– Bierzesz wiatyk?

– Nie, Wiola jest w śpiączce, ale trzeba też ochrzcić dziecko, zrobili cesarskie i jeszcze żyje. – Janek mówił teraz krótko i sucho.

Ruszyli. Proboszcz gnał trasą katowicką do ronda Rataje, nie przejmując się ograniczeniami.

– Przyszedł po nią do piątki – powiedział nagle Janek sam do siebie i sięgnął po komórkę.

– Wujek? Słuchaj, wujku, sprawa pilna, będę się streszczał. Skontaktuj się z marszałkiem, poproś go, żeby zadzwonił do szpitala wojewódzkiego na Lutyckiej i zapytał o zdrowie Wioli Szczęsnej

z intensywnej terapii, powtarzam, zapisz sobie… Ach, pamiętasz ją, dobrze. Tylko niech zapyta, to wystarczy, rozumiesz? Wiem, że to może potrwać. Dziękuję, potem wszystko wytłumaczę.

Skręcili w Jana Pawła, proboszcz przeleciał na późnym żółtym przez światła na krzyżówce z biskupa Baraniaka.

– Prosto do obwodnicy – zadysponował Janek. – O tej porze nie będzie korków. – I dodał tytułem wyjaśnienia: – Wujek był z marszałkiem na jednym roku.

Nacisnął skrót na dwójce.

– Gośka? Prześlij mi zaraz esemesem numer Renaty Pawłowskiej, ten tajny, dobrze? Dzięki, potem wyjaśnię, cześć!

Proboszcz zerknął w bok.

– Nie powiedziałeś siostrze?

Janek zacisnął szczęki.

– Na złe wiadomości zawsze jest czas. Ona karmi piersią. Jeszcze nie teraz.

Zapikał esemes. Jasiek odebrał i kliknął w podany numer.

– Dzień dobry, Renatko, tu Janek Niziołek, jeżeli mnie jeszcze pamiętasz. Tak, cieszę się. Przepraszam, że jestem tak po chamsku obcesowy, ale kiedy masz dyżur? Teraz? O, jak dobrze! Mogę być u ciebie za godzinę? Dziękuję!

– Lekarka? – zapytał lakonicznie proboszcz.

– Tak, przyjaciółka Gośki z liceum. Pracuje na neonatologii. Z prawego pasa, proszę księdza, bo wyrzuci nas na Serbską!

„Pozbierałeś się, to dobrze” – pomyślał ksiądz Tadeusz. „Trzymaj się tylko, najgorsze przed tobą!”

Z wizgiem skręcił z Lutyckiej w Juraszów w kierunku szpitala. Janek już odpinał pas.

– Proszę księdza, ja nie wiem, kiedy wrócę.

– O nic się nie martw, synu, wróć, jak będziesz mógł!…

Spojrzeli sobie po męsku w oczy. Proboszcz nie dodał, że będzie się modlił, bo to było oczywiste. I nie powiedział, żeby Janek zadzwonił, jak coś będzie wiedział, bo to też było oczywiste.

Jasiek już wbiegał do środka. Sutanna służyła jako przepustka, portier od razu wskazał mu drogę na OIOM na drugim piętrze.

Przed szklaną taflą tkwił jak wmurowany Merry.

– Wyrzucili mnie – powiedział łamiącym się głosem. – Krzyczeli, że można tam być tylko dziesięć minut… Nie chcieli nic powiedzieć…

– Pięknie, jak dziesięć minut, to wchodzimy – powiedział stanowczo ksiądz i nacisnął dzwonek, jednocześnie nasuwając komżę i zakładając stułę.

W drzwiach pojawiła się pielęgniarka.

– Z sakramentem namaszczenia do chorej! – zakomunikował Jasiek i bez wahania wszedł do środka, ciągnąc ze sobą Merry'ego.

– Chwileczkę, a pan? – zaoponowała pielęgniarka.

– Potrzebny do asysty – uciął Janek i dodał: – Szybciutko, siostro, proszę nas prowadzić.

Sam zapach OIOM-u i popiskiwanie aparatury, nawet bez widoku chorych, każdego normalnego człowieka przyprowadza na krawędź omdlenia, ale Jasiek w tej chwili nie dał sobie cienia szansy na słabość. Doskonale wiedział, że w tej grze to on musi podjąć rolę twardziela, czy mu się to podoba, czy nie.

– Przystępuję do obrzędu, a pani przez ten czas będzie uprzejma poprosić lekarza dyżurnego – zadysponował.

– Lekarz dyżurny jest na wewnętrznym – odpowiedziała niepewnie pielęgniarka.

– Toteż właśnie mówię, trzeba go zawołać – niecierpliwie powiedział Janek. – A teraz proszę zostawić nas samych.

Pielęgniarka jeszcze chciała coś powiedzieć, ale dała spokój i odeszła do telefonu.

– Chodź tutaj, trzymaj ją za rękę – szepnął Jasiek do Merry'ego.

Czy kiedykolwiek, Janku, choć przez moment pomyślałeś, że będziesz udzielał tego sakramentu Wioli? Nie kiedyś, za pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat, ale teraz, dzisiaj?

– Przez to święte namaszczenie niech Pan w swoim nieskończonym miłosierdziu wspomoże ciebie łaską Ducha Świętego…

Co wtedy czułeś?

Z boku podeszła młodziutka lekarka, pewnie stażystka.

– Proszę księdza, czy mogę w czymś pomóc?

– Chcielibyśmy poznać stan chorej, to jest mąż – pośpiesznie powiedział Jasiek.

Lekarka zaczęła tłumaczyć, zerkając co rusz na kartę, szło jej to dość niezbornie, a oni i tak niewiele rozumieli. A może rozumieli, ale nie chcieli tego dopuścić do siebie.

– …czekamy na transport krwi, są problemy, w centrum krwiodawstwa mają stan krytyczny z grupą zero Rh minus…

– Pani doktor, ja mam zero Rh minus, proszę wziąć ode mnie! – zawołał Janek.

W tej chwili pojawił się lekarz dyżurny, rozmamłany, z opuchniętymi oczami, podobny do Jerzego Stuhra z *Wodzireja*, obrzucając ich niechętnym spojrzeniem. Stażystka zwróciła się do niego nieśmiało:

– Panie doktorze, mielibyśmy dawcę do transfuzji…

Doktor spojrzał w kartę, rzucił okiem z odległości półtora metra na Wiolę i prychnął:

– Ludzie, nie zawracajcie mi głowy, stan agonalny, a wy tu z transfuzją wyjeżdżacie!…

Janek jako muzyk miał słuch doskonały, więc nie umknęło mu, że Merry za jego plecami zaczerpnął ze świstem powietrze.

– Panie doktorze, czy byłby pan uprzejmy wyjść ze mną na korytarz? – powiedział duchowny lodowato i zagarnął delikwenta pod ramię.

Doktor i tak nie miał zamiaru tu dłużej zostawać, więc ruszył bez oporu.

Ledwo znaleźli się za zakrętem korytarza, poza zasięgiem spojrzeń zza szklanych drzwi, Jasiek zmaterializował legendę szkoły muzycznej, całkowicie nieprawdziwie mu dotąd przypisywaną.

Mianowicie ksiądz Niziołek, metr siedemdziesiąt, waga w najlepszym razie lekkopółśrednia, jednym silnym prostym posłał doktora na ścianę i wysyczał:

– W stanie agonalnym to ty zaraz będziesz, jak tylko zawołam swoich chłopców z Krzesin! Zaczną od twojego samochodu, a nie radziłbym sprawdzać, na czym skończą!

Doktor całkowicie ogłupiały próbował się spionizować, otwierając już usta do bliżej nieokreślonych gróźb („Policja!”), kiedy pojawiła się pielęgniarka ze słuchawką w ręku i zawołała:

– Panie doktorze, marszałek wojewódzki do pana!

Doktor posłał Jankowi zabójcze spojrzenie, wyprostował się, sięgnął po słuchawkę i powiedział służbiście:

– Słucham, panie marszałku!

Słuchał i słuchał, na zmianę czerwieniejąc i blednąc, wreszcie powiedział:

– Tak, panie marszałku, robimy, co w naszej mocy! Właśnie zdobyliśmy krew, zaraz zacznie się transfuzja, osobiście dopilnuję! Oczywiście, kłaniam się!

Rozłączył się i chwilę patrzył bez słowa na Janka.

– No to do dzieła, drogi panie doktorze, nie ma na co czekać! – popędził go Jasiek.

– Pani Sylwio – powiedział lekarz do pielęgniarki. – Proszę pobrać od księdza krew do analizy i dać na cito do laboratorium! Na cito, powiedziałem!

Jasiek już zdejmował sutannę i zawijał rękawy koszuli.

– Z lewej, z prawej? Pani Sylwio kochana – uśmiechnął się pięknie – jak długo to potrwa?

– Oznaczenie grupy i próba krzyżowa? Do pół godziny, sama dopilnuję, niech ksiądz będzie spokojny. – I ciszej nieco dodała: – Dziękujemy!

– To my teraz polecimy na neonatologię, jakby co, proszę nas tam łapać, dobrze?

Jasiek ruszył do Merry'ego, który znieruchomiały tkwił przy Wioli.

– Chodź, stary, idziemy teraz do małej… czy do małego, bo nawet nie spytałem?

Merry przełknął ślinę i wychrypiał:

– Do małej.

– To chodź, raz-dwa, nic się nie bój, pani doktor nie spuści Wioli z oczu!… Prawda, pani doktor? – Teraz dla odmiany czarował stażystkę, która skwapliwie przytaknęła.

Nie czekali na windę, pognali na czwarte piętro po schodach.

– Do pani doktor Pawłowskiej! – zaraportował pośpiesznie Janek.

OIOM noworodków był jeszcze straszniejszy niż ten dla dorosłych. Jasiek wiedział, że Merry jest na krawędzi.

Szybkim krokiem podeszła do nich Renata.

– Cześć, chłopaki, cześć Janek, punktualny jak zawsze! – Obejrzała go sobie dokładnie, może by się i uśmiechnęła na widok małego brata przyjaciółki w księżowskim przyodziewku, ale okoliczności temu nie sprzyjały. – Już was prowadzę.

Na widok swojej maleńkiej córki, popodpinanej do najróżniejszych przewodów i przyrządów, Merry, o dziwo, wziął się w garść i potrafił zapytać:

– Pani doktor, jakie są rokowania?

Renata obrzuciła go krótkim spojrzeniem.

– Co ty, już mnie nie pamiętasz? Renata jestem. – I dodała: – Trzydziesty piąty tydzień to nie jest źle. Tylko że ona też brała udział w wypadku. Miała trzy punkty w skali Apgar. Czekamy, żeby organizm podjął swoje funkcje.

Merry był dzielny.

– Renata, powiedz wprost. Ile procent? Wiem, że wy nie lubicie tak mówić, ale muszę wiedzieć.

Renata strzeliła oczami na Janka.

– Trzydzieści – powiedziała tylko.

Teraz Jasiek uznał, że czas na przejęcie inicjatywy.

– Renatko, pomóż nam, proszę. Będę chrzcił małą, czy można ją jakoś podnieść?

– A wystarczy, żebym podniosła jej główkę?

– Wystarczy. To będziesz matką chrzestną, zgadzacie się? – Renata i Merry pokiwali głowami. – Merry, jakie imię? – A widząc, że Merry ma oczy pełne łez, dodał szybko: – Jak was znam, to dla chłopaka mieliście przygotowanego Jana. Więc… Janina może być? Już, stary, stań tutaj, Renatko, ty weź dziecko tak, jak mówiłaś…

Tego się akurat spodziewałeś, Janku, czekałeś na to, tylko nie wiedziałeś, że nastąpi w takich okolicznościach.

– Janino, ja ciebie chrzczę w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego…

Podeszła do nich pielęgniarka.

– Dzwonili z laboratorium, mówili, że szukają księdza do transfuzji… To ksiądz?

– Już idę! Merry, zostań tutaj, bądź ze swoim dzieckiem, jak tylko mi pobiorą krew, idę do Wioli i będę czuwał, nie bój się!

Wyszli z Renatą na korytarz. Janek zwrócił się do niej:

– Renata, dobrze zrobiłem? O to chodziło?

– Tak, Janku…

– To teraz już bez cenzury: jakie szanse?

– Ona jest jak bańka mydlana, może pęknąć w każdej chwili.

Jasiek głęboko odetchnął.

– Dobrze, już wiem, na czym stoję. Pilnuj ich tutaj, ja lecę.

– Poczekaj, pielęgniarka ci pokaże drogę, to w innym budynku. I pamiętaj, niczego nie zaniedbam, możesz na mnie liczyć.

Janek uścisnął ją, odwrócił się i poszedł szybkim krokiem za pielęgniarką.

W laboratorium już na niego czekali, ankietę skrócili do minimum, oszczędzili mu pytań o uprawianie niebezpiecznego seksu, błyskawicznie przejechali po chorobach zakaźnych i wyjazdach do Tajlandii, a na koniec padło zdawkowe:

– Czy oddawał ksiądz krew w przeciągu ostatnich dwóch miesięcy?

– Nie – odpowiedział obojętnie Janek. Nie było sensu wspominać o krwiobusie, o który zahaczył na rondzie Rataje pod koniec września. I tak nie sprawdzą, a nawet jak sprawdzą, to będzie już za późno.

Ułożyli go na leżaku, zaczęli pobieranie. Jasiek przymknął oczy.

– Słabo księdzu? – skoczyła ofiarnie jedna z laborantek.

Janek momentalnie podniósł na nią trzeźwe, skupione spojrzenie.

– Nie, skąd, modlę się – odpowiedział po prostu.

Cała procedura trwała nie dłużej niż piętnaście minut. Jasiek ubrał się pośpiesznie i ruszył z powrotem na OIOM na drugim piętrze. Tym razem skorzystał z windy, bo nogi jakoś kiepsko go niosły. Wpuścili go do środka bez dyskusji; młoda stażystka szepnęła:

– Bez zmian, proszę księdza.

Janek ukląkł przy łóżku Wioli, pochylił głowę i nagle naprawdę dopadła go słabość w dosłownym i przenośnym tego słowa znaczeniu: sala zawirowała, a do gardła rzuciły się wszystkie możliwe lęki. „Zaraz tu padnę i jeszcze im się rozryczę do tego!” – pomyślał wściekły na samego siebie.

Wtedy poczuł, że stażystka delikatnie podnosi go z podłogi.

– Proszę księdza, proszę ze mną na chwileczkę – powiedziała stanowczo. – Niech się ksiądz nie boi, zaraz ksiądz wróci. Tu jest

duża kawa i czekolada, proszę wypić i zjeść.

Kochana dziewczyna musiała pójść do automatu i kupić, co trzeba.

Jasiek posłuchał bez szemrania i od razu poczuł się lepiej. Uśmiechnął się z wdzięcznością.

– Dziękuję, pani… – zerknął na jej identyfikator – …Heleno. Co ja bym bez pani zrobił?

Doktor Helena lekko się zarumieniła.

– Doktor Ekert… – Kto? Ach, dyżurny! – …konsultował przypadek pani Szczęsnej z ordynatorem, wspólnie uzgadniali leczenie, proszę być dobrej myśli. A transfuzję właśnie będą podłączać, teraz już tylko trzeba czekać.

Tak, trzeba czekać. We dwóch muszą czekać, on tu, Merry przy Jasi. Jak długo?

Ponownie ukląkł przy Wioli i wtedy nie wiedzieć czemu przypomniał mu się brat Cadfael czuwający w kaplicy świętej Winifredy.

„Jak to kiedyś ksiądz powiedział Gośce? Egzotyczna święta z końca świata?" – pomyślał Janek. „Może i z końca świata, ale to będzie za chwilę świat Elki, a w końcu ona sama zaniesiona została do źródła w Holywell i chyba z dobrym skutkiem…"

Nic już więcej nie mówił, lecz jak Cadfael „modlił się w rytm oddechu, nie formułując słów ani konkretnych próśb, zatrzymując je tylko w swoim sercu".

Ile godzin tak trwał? Trzy? Cztery? Pięć?

W środku nocy poczuł na ramieniu przyjazną dłoń doktor Heleny.

– Przepraszam, proszę księdza – zaszeptała. – Był telefon z neonatologii. Może tam ksiądz podejść?

Te dwa piętra w górę były najdłuższym, najtrudniejszym podejściem w jego życiu.

Zaraz w drzwiach zobaczył zmęczoną, ale promienną twarz Renaty.

– Oddycha samodzielnie – powiedziała pośpiesznie. – Nerki na sto procent, obie.

Wpadł jej w ramiona i wtedy się jednak rozryczał. Poklepała go po plecach trochę jak psiaka, trochę jak młodszego brata.

– No już, Janek, wytrzyj nos i idź do niego. To jeszcze nie koniec, to początek długiej drogi, musisz być dla niego jak dąb. Możecie

teraz iść razem do Wioli, tu już dzisiaj nie będzie niespodzianek.

Zeszli na dół w samą porę. Ledwo usiedli po obu stronach łóżka, powieki Wioli drgnęły i bardziej domyślili się, niż usłyszeli cichutkie:

– Merry…

Poderwali się jednocześnie, Merry dopadł do wezgłowia, a on pognał po doktor Helenę. Zrobił się ruch, po chwili zjawił się też doktor Ekert. Odsunęli ich na bok, coś sprawdzali i komentowali. Janek i Merry nie rozumieli ani słowa. Wreszcie doktor Ekert się do nich odwrócił.

– Początek stabilizacji – powiedział mrukliwie, a potem dodał w kierunku Jaśka, ale unikając jego wzroku: – Gratuluję.

Wtedy rozpłakał się Merry, a Jasiek klepał go po plecach trochę jak psiaka, a trochę jak młodszego brata.

Rodzice z Elą siedzieli rano w niedzielę przy śniadaniu, kiedy zabrzmiał dzwonek u drzwi. Ela poszła otworzyć.

W progu stali Janek i Merry, zmierzwieni, zarośnięci, jeden podtrzymujący drugiego. Przez krótką chwilę błysnął jej absurdalny domysł, że obaj poszli się uchlać i oto wracają z jakiejś pijackiej eskapady. Wtoczyli się do środka, z kuchni ciekawie wyjrzeli rodzice.

– Tato, pomóż mi, proszę, rzucić Merry'ego do łóżka – zadysponował pośpiesznie Janek, utrzymując się w pionie tylko dzięki regałowi ze „Znakami". – Mamo, Elciu, zorganizujcie tam jakąś pościel. – I dodał dla wyjaśnienia: – Doktor Helena dała mu draga, żeby się przespał, a ten kretyn zeżarł to od razu i w efekcie, oczywiście, nie mógł wysiąść z taksówki!…

Siedzieli potem we czworo w kuchni, Jasiek pochłaniał z wilczym apetytem parówki z keczupem i opowiadał wszystko po kolei. Nikt mu nie przeszkadzał, jego relacji towarzyszyło osłupiałe milczenie.

– Słuchajcie, kochani, Merry niech sobie pośpi, kazali mu przyjść o szesnastej. Pójdziecie z nim, prawda? Ja muszę wracać…

„Pewnie, braciszku, nie ma o co pytać!" – powiedziały oczy Elki.

– I jeszcze jedno. Jeżeli wszystko będzie dobrze… Jak już je wypuszczą… Czy oni wszyscy mogliby tu u was trochę pomieszkać? Państwo Szczęśni są w Toronto…

Rodzice Merry'ego, dużo starsi od Róży i Roberta, cieszyli się emeryturą i wyjechali do Kanady, do córki. Niby na pół roku, ale

wszyscy się domyślali, że osiądą tam na stałe.

– Bo wiecie, jeszcze wszystko może się zdarzyć, a oni będą na początku przerażeni, nie powinni zostawać z tym sami. Janeczka była niedotleniona, może mieć problemy podobne do Elki, trzeba by to od razu wyłapać, zaradzić. Zgadzacie się? Dorzucą się do opłat…

– Janku, zgłupiałeś? – żachnął się tata. – Jakich opłat?! Przecież Merry to też nasz syn. Nie ma o czym gadać. A kiedy dziewczyny będą mogły pójść do domu?

– Oj, tato, to trudno powiedzieć! Dwa, trzy tygodnie? Nie mam pojęcia!…

– Jasne, nic się nie martw, teraz my wszystko przejmujemy!

Jasiek uśmiechnął się najcudowniejszym ze swoich uśmiechów.

– Jak tylko wrócę, muszę iść do spowiedzi. Jeszcze nigdy tyle nie nagrzeszyłem w ciągu jednej nocy! Korzystanie z protekcji, wykorzystywanie autorytetu sukienki duchownej do innych celów… Kłamstwa, romansowanie z żeńskim personelem medycznym, pobicie i groźby karalne!

Popatrzyli sobie z Elką prosto w oczy, oboje wiedzieli, że Janek nie wymienił najgorszego: rozpaczy…

– Niechby przedtem zjadł cytrynę – burknęła mama, a na zdziwione spojrzenie córki dodała: – Żeby mu ten uśmieszek satysfakcji zniknął!

„Dobra, mamuśka, nie udawaj harpii!” – pomyślała z rozbawieniem Ela. „Patrzysz w swojego Jaśka jak w tęczę, jak na Faramira ruszającego do szarży! Tata zresztą też. Nie mówiąc o mnie…”

– Janku, a ty się nie chcesz przespać?

– Nie, tato, muszę lecieć, wezmę tylko prysznic i ogolę się.

– No to cię chociaż zawiozę!

Proboszcz o szóstej rano dostał esemesa, który najpierw przyprawił go o łomot serca, a w chwilę później o euforię. Kiedy odprawiał mszę o dziesiątej, zobaczył kątem oka Janka ubierającego się w zakrystii, żeby pomóc przy rozdawaniu komunii. Jakby tej nocy nie było.

Potem zgodnie z zapowiedzią Jasiek poprosił go o spowiedź.

Uśmieszek jakoś zdołał ukryć.

Rozdział VII

Nowy świat

– Na początku byłam na niego wściekła, że mi nic nie powiedział – opowiadała Gośka. – Tak z pięć minut. Potem mi przeszło. W sumie miał rację, do rana bym padła!…

Gośka i Fred z Jagódką zostali zawołani na konsultacje, jak najlepiej urządzić ich stare dwa pokoje na przyjęcie Merry'ego, Wioli i Jasi. Podgórni bardzo się przejęli i byli pełni dobrej woli i dobrych rad: Fred momentalnie zaofiarował się z wszelkimi możliwymi przeróbkami wymagającymi borowania, pukania, rozbierania i składania. Przystąpiono więc do wizji lokalnej.

Dawna Komórka Pod Schodami przeszła za ich czasów metamorfozę w czarowną sypialnię. Jak pamiętacie, wymiary miała trzy metry siedemdziesiąt na raptem metr pięćdziesiąt. Na całej szerokości zatem królowało pod oknem małżeńskie łoże z wszelkimi możliwymi, przemyślnymi wielce gadżetami. Kto pomyślał o jakichś świństwach, niech zmówi zdrowaśkę: po obu stronach pełno tam było po prostu półek na ulubione książki i płyty; dwie wyginane lampki z regulowaną jasnością i dwa odklapywane stoliczki, które mogły służyć do jedzenia i do laptopa. Ze względu na gabaryty Elkowego szwagra łóżko było nietypowo długie, a materac zrobiono na specjalne zamówienie. Drzwi na korytarz Fred zabudował szafą, załatwiając za jednym zamachem gwarantowaną izolację. Nowe drzwi suwane prowadziły do pokoju Gośki, czyli salonu z sofą,

fotelami, dwoma biurkami i oczywiście, czego nie trzeba dodawać, odpowiednią ilością regałów na książki. Do tego własna łazienka.

– Pięknie – uznała Gośka. – To gdzie ustawiamy łóżeczko?

Tu nastąpiła dygresja dość wstydliwie opowiedziana rodzicom i Elce: mianowicie ona i Fred dwukrotnie obmierzali już sobie byli sypialnię w poszukiwaniu najlepszego miejsca na łóżeczko dla dziecka. Fred był wtedy gotów przebudować szafę, aby wygospodarować stosowną wnękę. Potem za każdym razem okazywało się, że przedwcześnie. Nie ma to jak odpowiedzialne traktowanie naturalnych metod…

Tyle tylko, że Gośka bardzo przytomnie zwróciła uwagę na mały problem techniczny.

– Do naszego wyra właziło się od nóg, bo jak inaczej – tłumaczyła. – Nam to nie przeszkadzało, ale jak Wiola ze złamanym obojczykiem miałaby uskuteczniać taką gimnastykę za każdym razem, kiedy tylko dzidziuś zapłacze? Przecież nie da rady!

Wtedy szwagier ruszył głową i wymyślił rzecz po prostu genialną: kołyskę suwaną na zamontowanych u sufitu szynach, w dodatku z regulowaną wysokością. Można ją było przesunąć do łóżka tuż obok siebie i mieć maleństwo pod ręką. I jeszcze bimbała się w dowolne strony według życzenia. Nobla powinien Fred za to dostać w kategorii „zasługi dla rodziny". A do tego przewijak z szufladkami, półeczkami i kubłem na pieluchy. Cud miód.

Elka porobiła zdjęcia i wysłała Davidowi; uznała, że skoro jest na bieżąco z wszystkimi wydarzeniami, niech na to też popatrzy. Dopiero potem zdała sobie sprawę, że w zasadzie w ten sposób uczyniła mu bardzo konkretną propozycję.

„A co mi tam, niech wie!" – pomyślała nadzwyczaj rozsądnie. „Mam się wstydzić tego, że chciałabym mieć z nim dzieci?" Pewnie, dla każdego normalnego, porządnego faceta to komplement, a David niewątpliwie był normalny. I porządny.

„Czasami aż za bardzo" – westchnęła w duchu Ela. „Bo trudno z tym wytrzymać…"

Fred uwinął się z wszystkim w tydzień. Merry spędzał w szpitalu całe dnie i codziennie zdawał Niziołkom raport; było coraz lepiej, ale mieli wypuścić dziewczyny dopiero pod koniec miesiąca.

Przewieziono z Góreckiej wszystkie ciuchy i sprzęty; mama poradziła, żeby na czas pobytu na Pamiątkowej mieszkanie wynająć.

– Po co macie za puste płacić? – zauważyła praktycznie. – Niechby ktoś chociaż za czynsz tam mieszkał, znajdzie się z pocałowaniem ręki.

Rzeczywiście, znalazły się dwie miłe studentki pedagogiki, które desperacko szukały kwatery, bo żyć im nie dawała dotychczasowa gospodyni-superharpia. Między innymi pozwalała się kąpać raz na trzy dni i używać wyłącznie dwudziestowatowych żarówek. Na Góreckiej w mansardowym mieszkanku Wiolki i Merry'ego czekał na nie raj.

Niziołki przedyskutowały[3] jeszcze kwestię, gdzie wstawić Merry'emu pianino, które cały czas było u Eli, czyli w dawnym pokoju Janka – do nich zamiast jednego biurka czy do wspólnego dużego pokoju. Merry zarobkował całkiem zgrabnie muzyką użytkową, jeśli tak można określić muzykę do reklam przede wszystkim, więc niezbędne mu było narzędzie pracy w postaci instrumentu, sprzężonego z wideo, na którym wyświetlał sobie materiał filmowy.

– A nie będzie wam przeszkadzało, gdyby było w salonie? – zapytał nieśmiało Merry. – Na biurku i tak musiałbym postawić keyboard…

– Synku, czy w tym domu komukolwiek kiedyś przeszkadzała muzyka? – Tata wzniósł oczy do nieba.

Przetaszczyli we trzech pianino, Merry je od razu nastroił i teraz już trzeba było tylko czekać.

A tymczasem z wizytą wpadła ciotka Anioł. Z wizytą, nie z wizytacją, ale i tak Ela trochę się jej bała, dlatego unikała rozmów, od kiedy Rafał ponownie wyruszył do Walii. Może miała do niej i Davida pretensje?

Okazało się, że nic podobnego. Ciotka najpierw wycałowała siostrzenicę, potem wypytała o Davida i poprosiła o przekazanie podziękowań. Rafał pracował, robił zdjęcia, regularnie zdawał im relacje na Skypie i wydawał się całkiem zadowolony.

Zadowolony? Czy Beata użyła dobrego słowa? Może raczej powinna była po prostu powiedzieć, że jest dzielny?

Wtedy ciotka zmieniła temat.

– Słuchajcie, kobiety, i ty, szwagrze – zrobiła uroczysty wstęp. – Powiedzcie mi proszę, jeśli to nie tajemnica, jak planujecie wesele Eli. Gdzie ono ma się odbyć? Tu czy w Cardiff?

– Tu, oczywiście! – wyskoczyła mama. – Zgodnie z tradycją, w domu panny młodej.

– A bliższych szczegółów mi nie pożałujecie?

Ela z mamą popatrzyły na siebie odrobinę speszone. Nie dalej jak tydzień temu miały na ten temat małą, hm, dyskusję, przy czym narrator nie będzie wprowadzał czytelnika w jej tajniki.

– Planujemy z Davidem bardzo skromne przyjęcie – zaczęła nieśmiało Elka. – Nie mamy za dużo forsy i wolelibyśmy zamiast wesela pojechać sobie gdzieś po ślubie…

– W te kawałki Szkocji, których jeszcze nie obskoczyliście… – burknął niby to sarkastycznie tata. Zawracanie głowy, Ela doskonale wiedziała, że pod tym względem mają z Davidem jego poparcie. Kiedy starzy się pobierali, zrobili dokładnie to samo: skromny studencki ślub u dominikanów, jak pamiętacie, i to nawet nie w dużym kościele, tylko w kaplicy akademickiej; obiad w domu, a potem od razu wyskok w góry nocnym pociągiem.

– Wysiedliśmy rano w Makowie Podhalańskim i w pierwszej kolejności poszliśmy zdobyć Kotoń – lubili wspominać, a cała domowa młodzież zawsze chętnie słuchała. Elka była już całkiem duża, kiedy dostrzegła niejaką dwuznaczność ich strategii. Mieli poczucie humoru i zmysł do kalamburów językowych, filolog zawodowy do spółki z matematyczką filologiem-amatorem! I dla takiego kalamburu drałowali po górach pięć godzin, nie dziwota, że ich szaleństwa przeniosły się na progeniturę.

– Pierwszy nocleg mieliśmy zamówiony w Zawadce. – W tym momencie zaczynali się uśmiechać do siebie, młodnieli i bez trudu można ich sobie było wyobrazić jako dwudziestolatków. – Zaszliśmy na kwaterę wymęczeni po całym dniu, a tu pani gospodyni skoczyła na nas z pretensjami: „Co to ma znaczyć, miało być małżeństwo!”. – Pewnie, zobaczyła dwoje smarkaczy utytłanych na szlaku, to jej nijak nie pasowało do zaanonsowanych nowożeńców. – Wyciągnęliśmy pośpiesznie dowody osobiste: „Proszę, tu są pieczątki!”. – Za ich czasów dowody osobiste miały kształt książeczki, a po ślubie wbili im

z tyłu pieczątki o zawarciu małżeństwa. – Pani obejrzała je sobie bardzo dokładnie i powiedziała: „To z urzędu, a w kościele ślub był?”. Dopiero jak jej przysięgliśmy, że był, wpuściła nas za próg. I była potem niezwykle miła, po kolacji dała nam jeszcze herbaty z konfiturą i butelkę wina owocowego własnej produkcji… – Tu znowu zaczynali popatrywać na siebie rozanielonym wzrokiem. Miłe to było bardzo; Ela miała nadzieję, że ona i David też tak będą snuć wspomnienia za trzydzieści lat.

– Następnego dnia wróciliśmy zielonym szlakiem w kierunku Osielca i potem już autobusami dotarliśmy do Zawoi. Zrobiliśmy sobie dzień przerwy… – Rychło w czas! Do trasy poślubnej Gośki i Freda po Tatrach to mama miała obiekcje! Dobrze, że nie drałowali do tej Zawoi przez Pasmo Policy! – A kolejnego dnia ruszyliśmy na Babią Górę…

„Cóż, nie ma to jak leksykalna konsekwencja” – pomyślała Ela. „Całkowicie zdublować się tego nie da, ale może chociaż utrzymać styl…” I rzeczywiście mieli zamiar zobaczyć Mallaig, Oban i może pokręcić się po Hebrydach.

Ciotka Beata wysłuchała mętnych wyjaśnień siostrzenicy, ale na nich nie poprzestała, bo była po poznańsku dokładna.

– Ile osób przyjedzie? Mam na myśli rodzinę Davida.

– Z Davidem pięć. Rodzice, siostra i babcia.

– A jak się zamierzacie rozlokować?

„Oj, ciotka, wiercisz dziurę w brzuchu!” – westchnęła w skrytości Elka.

– Najpierw planowaliśmy ułożyć wszystkich tutaj, babcię u rodziców, Brendana z Jennifer w apartamencie, a Unę u mnie – wyjaśniła. – Teraz się to troszkę skomplikowało, bo nie wiadomo, jak długo będą u nas Wiolka z Merrym…

– Niech sobie będą i rok, i dłużej! – wtrąciła mama. – Nie będziemy przecież na dzień dobry ich pytać: „Ale do czerwca się wyniesiecie?”.

Szczerość do bólu. Mama z ciotką tak zawsze.

– …więc porozdziela się ich po obu babciach – zdołała dokończyć Ela.

– Dobra, a gdzie spędzicie noc poślubną?

„Ciotka, no ja wiem, że jesteś bezpośrednia, ale nie przesadzaj!” – chciała powiedzieć odważnie Elka, ale trochę się zawstydziła.

– Gośka i Fred zostawią nam wolną chatę – przyznała się spłoniona. – Sami pójdą do wuja Marka.

– Bez sensu – powiedziała ciotka. – Amatorska partanina. Wiedziałam, że trzeba wkroczyć.

Pozostałe panie nie zdążyły się obrazić, bo Beata przeszła do rzeczy:

– Posłuchajcie, mamy do was ogromną prośbę. Pozwólcie, żebyśmy z Michałem urządzili wam wesele w Gołuchowie. Skromne, jeśli chcecie, ale porządne. Przy parku jest taki milutki hotel, zakwaterowałoby się jak trzeba całą rodzinę, akurat wszyscy się zmieszczą. A dla Eli i Davida apartament gościnny na zamku. Już wstępnie obgadaliśmy to z kustoszem, to nasz kumpel.

„W Gołuchowie? Na zamku? Zbytek łaski!… Przecież to fantastycznie!” – wołały oczy Elki.

Ciotka jeszcze coś mówiła.

– Jak się komuś znudzi siedzenie przy stole, może iść do parku, zobaczyć żubry… Dla tych waszych Walijczyków to będzie atrakcja! *Polish bisons*!

– Wspaniale – powiedziała mama. – Tylko gdzie miałby się odbyć sam ślub? Miało być u Janka na Krzesinach…

– A co to, w Gołuchowie nie ma kościoła?! Janek weźmie sobie delegację i już! W czym problem? Proboszcz to nasz przyjaciel, wszystko załatwimy!

Oni w tym Gołuchowie jak rodzina sycylijska funkcjonowali, sami znajomi. Szefowa hotelu też była ich koleżanką, jak się okazało.

– To co, zgadzacie się? Mogę zaklepać termin? Czerwiec, to wiem, ale dokładnie na kiedy?

„Ale narzuciła tempo! Teraz mam sama decydować?!” – pomyślała w lekkim popłochu Elka.

Wtedy wtrącił się tata.

– Na sobotę dwudziestego ósmego – powiedział zdecydowanym głosem. I dodał pod adresem córki tonem perswazji: – Zdajże sesję spokojnie i miej chociaż tydzień w zapasie!

Jeszcze jeden poznaniak! I miał rację, chociaż dla wszystkich było oczywiste, że Ela wolałaby jak najwcześniej.

Ciotka była niezwykle skrupulatna, popatrzyła w kalendarz, uznała, że należy zarezerwować cztery dni, od czwartku do niedzieli włącznie, żeby towarzystwa nie trzeba było wieźć ekspresowo z Ławicy wprost pod gołuchowski kościół.

Potem przeszła do kwestii jakże istotnej dla każdej panny młodej, szczególnie jeżeli panna młoda jest jednocześnie studentką wzornictwa: jak będzie ubrana.

Elka podskoczyła skwapliwie do siebie, przyniosła szkice, jednocześnie włączając komputer.

– Zobacz, ciociu, to Éowina na progu Złotego Dworu w białej sukni. Chciałabym taką samą, tylko bez złotych lamówek i paska, całą białą. Rękawy mogą być nawet jeszcze bardziej wydłużone.

Ciocia przyjrzała się bardzo uważnie.

– Nie za gruby materiał na lato? – zastanowiła się. – I taka zabudowana, co ty, wstydzisz się pokazać ramiona, nasza Elanor Piękna?

– Oj, ciociu, czy panna młoda koniecznie musi iść do ślubu półgoła i z biustem na wierzchu? – zaśmiała się Elka. – Janek opowiadał, jak raz taka jedna wjeżdżała mu cały czas gorsem w mikrofon, że nie wiedział, jak sobie poradzić!

– Elciu, w to już nie uwierzę! – prychnęła mama. – Janek nie wiedział, jak sobie poradzić? Jak go znam, zasunął coś w stylu: „Jedną chwilę, stanę na schodku, będę miał lepszy widok!”.

„Dobre, jakbym przy tym była!” – zaśmiała się w duchu Ela.

Zdecydowała, że ciotkę trzeba trochę podpuścić.

– Właściwie najbardziej pasowałaby mi taka suknia. – Ciocia pochyliła się ciekawie i osłupiała. Zdjęcie przedstawiało Éowinę na pogrzebie Théodreda, w sukni ze stójką pod samą szyję. – Tylko musiałabym ją przerobić na białą…

Ciotka ochłonęła i dzielnie postanowiła ratować sytuację.

– Fryzura piękna – powiedziała rzeczowo. – To może idź na kompromis: pierwsza sukienka, a włosy upięte jak przy drugiej. Welon przewidujesz?

– Jak już, to taki szczątkowy, pasek tiulu z boku białej cieniutkiej przepaski, z jednym białym kwiatkiem – skrupulatnie wyjaśniła studentka wydziału artystycznego. – O, coś takiego, tylko białe, oczywiście. – I zademonstrowała Arwenę, która żegnała Drużynę wyruszającą w siną dal. Arwena wyglądała koszmarnie, jak wystraszona dziewczynka. Ładna była tylko tiara.

Ciotka miała dość, rodzinne upodobania Niziołków zawsze ją bulwersowały. Wobec tego Ela postanowiła nie dobijać jej wyznaniem, że do bukietu ślubnego najbardziej pasowałyby jej simbelmynë. Gdybyś, drogi czytelniku, nie był świadomy, co zacz, albo nie miał Wikipedii pod ręką, narrator śpieszy donieść, że białe te kwiatki porastały kurhany władców Rohanu. I po co Elunia miałaby się drażnić z ulubioną ciotką? Poza tym zawsze w odwodzie miała elanory, a w ich roli mogłyby wystąpić nawet zwykłe bratki, gdyby nie udało się pokombinować ze złocią żółtą – cóż to za nazwa, swoją drogą!…

Ciocia, jakby czując pismo nosem, wolała całkowicie zmienić temat i zainteresowała się przedślubną biurokracją, szczególnie skomplikowaną w inkryminowanym przypadku. Pod tym względem na pewno Elka z Davidem przebili rodziców.

– David na Boże Narodzenie już oficjalnie będzie przyjęty do Kościoła katolickiego i bierzmowany – zaczęła tłumaczyć szczęśliwa narzeczona. – Od swojego nowego proboszcza dostanie odpowiednie świadectwa. Ja nauki już zrobiłam…

– Tak? – zainteresowała się ciotka. – Sama, bez Davida? A gdzie? U dominikanów?

– Nie, co ciocia. U dominikanów to tak trują, że wszyscy na to mówią „kurs antymałżeński” – odpowiedziała beztrosko Elka. – U Janka. Akurat załapałam się na takie… szkolenie błyskawiczne. – Ciotka zachichotała, ale darowała sobie komentarze, i dobrze, bo Ela za bardzo nie miała ochoty wtajemniczać jej w szczegóły prelekcji uskutecznionej przez Gośkę i Freda. Uszy miała wtedy czerwone jak piwonie, ale dowiedziała się mnóstwa bardzo ciekawych rzeczy.

– David zrobi to samo u siebie. Przyleci tu w lutym, to załatwimy wszystkie formalności. – Oj, było tego, a było! Jeszcze Ela dobrze nie zaczęła, a już ją zatkało! – Najpierw w USC dostajemy kwitek do

ślubu konkordatowego i David musi przedstawić… ojej, jak to się prawidłowo nazywa!… zaświadczenie zdolności prawnej, tłumaczone przysięgle, oczywiście metrykę, też tłumaczoną, paszport… – Elka przeleciała w myślach całą tę papierkologię – …i dowód miejsca zamieszkania. Ja tylko dowód osobisty, bo urodziłam się w Poznaniu.

– Dobre i to – mruknęła ciotka. – Oszaleć można z tą biurokracją!

– Poczekaj, to nie koniec – z rozbawieniem powiedziała mama.

– Deklaruję nazwisko dla siebie i dzieci…

– No i?… – zaciekawiła się ciocia.

– Bach oczywiście, a jak inaczej – prychnęła Ela.

– Ja tylko tak pytam – powiedziała ciotka pośpiesznie. – Niektóre dziewczyny chcą mieć podwójne.

– Ciociu, litości, na Niziołku Walijczycy połamaliby sobie język! – zauważyła trzeźwo Mrs Bach *in spe*.

– Poza tym męża bierze się z całym dobrodziejstwem, także z nazwiskiem, nieprawdaż, błogosławiony Aniele? – powiedziała słodko mama i obie z ciocią się roześmiały.

Ela popatrzyła na nie z czułą sympatią; były do siebie podobne, obie ciemnookie i ciemnowłose – no, teraz oczywiście wspomagały się sztuką fryzjerską – z wyraźnymi czarnymi brwiami, które to cechy odziedziczyły po Kotoniach wszystkie ich dzieci z wyjątkiem Gośki.

„Ciekawe, co wyjdzie z tej mieszanki w przypadku moim i Davida" – pomyślała Ela i twarz jej się rozjaśniła. David też miał ciemne włosy i oczy jak Brendan, ale ciotka Jennifer i Una przeciwnie, były jasnorude i bardzo sympatycznie piegowate.

Kiedy Elka chodziła do liceum, pani profesor od biologii niezwykle skrupulatnie ćwiczyła z uczniami krzyżówki genetyczne, a ona to nawet lubiła. No i w domu, tak dla jaj, zaczęła sprawdzać dziedziczenie u Potterów i Weasleyów. Weasleyowie byli w porządku, sami rudzi. Gorzej było z Harrym, który po ojcu, owszem, przejął dominujące czarne włosy, ale skąd mu się wzięła cecha recesywna w postaci jasnozielonych oczu? Ciemne oczy Jamesa powinny wygrać z oczami Lily. A już kompletnie niemendlowsko musiało się dziedziczyć cechy mugolstwa i czarodziejstwa. No bo tak: załóżmy, że dominujące jest bycie mugolem. Zapisujemy to jako duże M. Przyjmijmy z kolei, że fenotypowi tata mugol Mm i mama mugol Mm

mają w genotypie recesywny allel niemugolstwa, czyli czarodziejstwa, oznaczony przez małe m. Jest to warunek podstawowy, bez tego nie mamy o czym gadać. OK, układamy krzyżówkę i faktycznie w jednej czwartej wychodzi nam recesywny czarodziej taki jak Hermiona, mm. Do tej pory pięknie się zgadza. Ale, kochani, skąd w takim razie w rodzinach dwojga czarodziejów brali się charłacy? Skoro czarodziej musi być mm, jak, nie przymierzając, biała świnka morska? Aha! Konia z rzędem temu, kto to rozgryzie! No, chyba że charłactwo było cechą sprzężoną. Czytelnik chciał coś powiedzieć? Że narratorowi też odbija? Kto z kim przestaje, takim się staje…

A co powiecie wobec tego na dziedziczenie grup krwi? Mama miała A dodatnią, a tata B ujemną; Gośce i Eli posprawdzali krew w szpitalu i obie wiedziały, że odziedziczyły ją po mamie. Na zdrowym Jaśku w klinice zaoszczędzili, grupy krwi mu nie oznaczyli, a delikwentowi wiedza ta nie była do niczego potrzebna i tak się uchował aż do późnoseminaryjnych czasów, kiedy to razem z innymi klerykami wyprawił się raz do centrum krwiodawstwa na Marcelińskiej – fajnie musieli wyglądać, tak nawiasem mówiąc. No i przy którejś kolejnej wizycie Janek wspomniał, że ma zero Rh minus.

Reakcja była oczywista, wszystkie spojrzenia skierowały się na mamę.

Mama zachowała zimną krew.

– Córciu, weź karteczkę, złotko, zrób tabelkę. – Ela skoczyła ochoczo. – Tylko podwójną, dla dwóch cech naraz. – Oj, to już było trochę dla Elki za trudne, właśnie dlatego wzięła sobie na maturze geografię. – Ja fenotyp A, genotyp A0, tata odpowiednio B i B0, masz? Teraz czynnik Rh, nie, nie tak, to się zapisuje dużymi literami DD na plus i małymi dd na minus. Już? No to sprawdź. I co wyszło?

Ela popatrzyła niepewnie na mamę.

– Że Jasiek to nie twoje dziecko i tata zrobił go sobie na boku z jakąś ujemną…

Zgromadzeni przy stole ryknęli śmiechem. Mama uśmiechnęła się z satysfakcją.

– Otóż to. – I mruknęła do córki dyskretnie: – Dla mnie musisz wpisać genotyp duże D małe d, to się będzie zgadzać…

Zgadzało się. Z charłactwem pewnie podobnie.

Tymczasem ciotka dalej drążyła temat przedślubnej gimnastyki biurokratycznej:

– To wszystko?

– W urzędzie tak. Teraz idziemy do naszej parafii, David składa wszystkie swoje papiery, świadectwo chrztu, anglikańskiego oczywiście, ale ze świeżą datą, i całą resztę z parafii katolickiej… Ja znowu mam łatwiej, bo jestem stąd i wszystkie namiary na mnie są u nich w teczce. Świadectwo szkolne tylko muszę pokazać ze stopniem z religii. I może jeszcze potrzebne będzie jakieś dodatkowe, wspólne spotkanie z proboszczem.

– Po jakiemu?

– Co takiego?

– No, jak będziecie się porozumiewać w urzędzie i w parafii? Robert, ty z nimi pójdziesz jako tłumacz przysięgły?

– Jasne, Beatko, nie martw się, będzie dobrze – wtrącił optymistycznie tata, pomny własnych perypetii. Akcja z Brendanem się kłania! – A ślub da im Janek po angielsku i już.

– To tak można?

– A czy Janek kiedykolwiek kogoś pytał o pozwolenie? – westchnął realistycznie tata.

– Metoda faktów dokonanych…

– O, przepraszam – wtrąciła mama, sprawiedliwa jak zawsze. – A kto cię pytał o zgodę na pobyt Mery'ego, jak nie twój syn?

– Właśnie – raz jeszcze zmieniła temat ciotka. – Rozumiem, że to delikatna kwestia, ale… Wytłumaczcie mi coś. Rodzice Merry'ego pojechali do Kanady, to wiem. I wiem, że te dzieciaki są wam drogie jak własne, więc nieba byście im przychylili, nie tylko chaty. Ale co z rodzicami Wioli? Nie odezwali się w ogóle, nie zainteresowali, co z córką i pierwszą wnuczką?

Mama zacisnęła usta, a tata błysnął groźnie oczami.

– Nowakowie rozwiedli się, kiedy Wiola była jeszcze w liceum. Ojciec znalazł sobie nową kobietę i tyle go widzieli. – Głos taty zmienił się, pojawiły się w nim twarde nuty. Jak można przypuszczać,

z wysiłkiem powstrzymywał niecenzuralne określenia, co myśli o panu Nowaku.

– A matka była od zawsze wysoce specyficzna – dołączyła cierpko mama. – Typ *businesswoman*, która nie zajmuje się takimi drobiazgami jak dziecko, a tym bardziej wnuczka. Siedzi w Londynie, prowadzi firmę. Jak ma humor, potrafi być hojna, sypnąć groszem, to fakt. Dołożyła się do mieszkania na Góreckiej. Tylko że nigdy jej nie ma. O dziwo, Wiolka jest całkowicie normalna, świetna dziewczyna, nie skazili jej ani tatuś, ani mamusia!

– Wiola praktycznie chowała się u was, to miała pozytywne wzorce – zauważyła ciotka. I dodała po namyśle: – Mam nadzieję, że jej mąż nie okaże się podobny do ojca, bo dziewczynom zdarza się popełniać takie błędy i dobierać sobie facetów według identycznego klucza!

Ela spojrzała zdumiona na ciotkę.

– Ciociu, o czym ty mówisz?

– Wiesz, teraz jest jeszcze wszystko w porządku, ale za kilka lat… albo może wystarczy i kilka miesięcy… Jakby się okazało, że dziecko jest chore i wymaga szczególnej opieki, pan artysta może dojść do wniosku, że musi z tym skończyć, bo jemu też się coś od życia należy!

Elka wstała, bo zaczęło się dziać z nią coś dziwnego: nie mogła zaczerpnąć oddechu.

– Ciociu, co ty, na Boga, sugerujesz?! Merry miałby porzucić Wiolę z dzieckiem? Chyba go nie znasz! Merry?! On jest jak rycerz z baśni dzieciństwa, jak… Ketling, jak Atos! Nie zdradzi, nie zawiedzie, nie złamie danego słowa! Ciociu, ja znam Merry'ego od zawsze, jakby był moim drugim bratem, razem z Jaśkiem uczyli mnie grać i malowali dla mnie Komórkę Pod Schodami… – Język jej się plątał, zaczynała gadać głupoty, co ma do tego Komórka Pod Schodami? – Nigdy się z Jankiem nie pokłócili, przez te wszystkie lata! Zawsze się wspierali, najpierw we dwóch, potem we troje! Merry poza Wiolką świata nie widzi! Co ty sobie wyobrażasz, że przysięga składana w mojej obecności to było ot, takie sobie gadanie na wiatr, żeby rodzina miała satysfakcję?! Byłam przy tym i widziałam, widziałam, jak na nią patrzył i jak mu się głos trząsł, i jak ją potem trzymał za

rękę! A jak ci mało, to zapytaj Janka, nich ci opowie o wypadku i co było w szpitalu… – Nie mogła skończyć, bo zatkało ją całkowicie.

Ciotka popatrzyła na siostrzenicę z mieszaniną uznania i litości.

– Elciu, kochanie, ja tylko u siebie w pracy za dużo się napatrzyłam. Gdybym zaczęła opowiadać, w połowę byś nie uwierzyła, więc nie będę ci osłabiać serduszka. Słowo i przysięgę łamie każdy jeden na lewo i prawo, jak leci, mężowie i żony, księża i zakonnicy! Ty sobie zupełnie nie zdajesz sprawy, czym oni wszyscy mogą cię jeszcze zaskoczyć, Merry i Wiola, i Janek…

O, nie, tego już za wiele! Dłonie same zwinęły się Elce w pięści.

– Co takiego?! Janek?! Jak ty w ogóle mogłaś o czymś takim pomyśleć! Co on ci takiego zrobił? Niech zgadnę, no tak, twojego ojca godnie na spoczynek odprowadził i potem cały rok za to pokutował, upał nie upał, mróz nie mróz! A może powiesz, że leci na forsę? Też nie bardzo pasuje, prawda?! Jedną rzecz cenną miał i oddał z marszu i z uśmiechem! A wiesz, że jak był ze swoimi dzieciakami w górach, to połowę płacił z własnej kieszeni, ale tak po cichu, że Kasia spostrzegła się dopiero w drodze powrotnej w Krakowie, bo już mu nie starczyło nawet na hot doga na peronie! – Ela dygotała, ręce jej latały, łzy stanęły w oczach, chciała krwi, w tej chwili zmiotłaby sama jedna całą potęgę Mordoru, a nie tylko ciocię Anioł, która dopiero co ofiarowała się urządzić jej wesele.

– I co, według ciebie Jasiek zrzuciłby sutannę, bo by mu się odechciało, tak?! Wydaje ci się, że Janek po piętnastu latach w kapłaństwie, nie licząc seminarium, po dwudziestu latach wiktu i opierunku, nauki, doktoratu i habilitacji, mógłby zabrać swoje zabawki, napluć na śluby i iść w diabły?! A potem jeszcze klepać na każdy gwizdek w telewizji, że Kościół to system totalitarny?! – Elka zadusiła się, wszystko jej się myliło, nie wiedziała już, kogo broni, a kogo atakuje. A to, że w zasadzie przywołała konkretną sylwetkę pewnego eks-księdza, to był, oczywiście, przypadek. – Naprawdę myślisz, że Janek mógłby to zrobić? Facet, którego mało nie zatłukli, bo bronił dwóch sakramentów naraz?! Powiedz jeszcze, że za dupą poleci, jak tylko mu się jakaś nawinie, no powiedz tak, powiedz! – Miała mgłę na oczach, nie widziała twarzy taty i nic, absolutnie nic jej nie obchodziło, co on sobie teraz myśli.

– To ja ci powiem jedno: choćby cały świat się skończył, choćby wszyscy się zaparli, z papieżem Franciszkiem włącznie, choćby została tylko kupa zgliszczy, to jeszcze na tych zgliszczach będzie stał Janek, jasne?! Więc przestań tu, kurwa, pierdolić!

Czy każdy z Niziołków musi przez to przejść? Każdy musi mieć swój moment na bluźnierstwo?

Mama i tata siedzieli jak wmurowani, nie byli zdolni wydobyć głosu.

Ciocia wstała, podeszła do siostrzenicy, wyciągnęła ręce i wtedy Elka wpadła jej w ramiona, rycząc na całego i wycierając sobie nos w jej bluzkę. Ciocia głaskała ją po głowie i mówiła:

– Przepraszam, Eluniu. Nie wolno mi było tak mówić. Przepraszam. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo to dla ciebie jest ważne.

Wyjęła chusteczkę jednorazową, wcisnęła ją Elce do ręki i mruknęła:

– Wytrzyj się, mała, bo twoja matka będzie musiała mi znaleźć jakieś inne ciuchy, a z tym zawsze problem, jestem od niej grubsza o cztery rozmiary… Już dobrze? Wiedziałam, że go kochasz, ale nie spodziewałam się, że aż tak bardzo. Ich obu – dodała po chwili namysłu.

– Myślę, że trzech – powiedział tata, patrząc uważnie na Elę.

– Czterech – powiedziała mama, patrząc na tatę.

[3] Słucham? Powinno być „Niziołkowie przedyskutowali”? To niech czytelnik zajrzy sobie na początek rozdziału X części pierwszej.

Rozdział VIII

Priorytet

Piąty wieczór z kolei Jasia darła się jak oszalała. Podczas każdego takiego seansu swoim krzykiem wykańczała kolejną osobę. Dzisiaj wzięła na celownik mamę, ostatniego żołnierza na pokładzie, przynajmniej na Pamiątkowej, jeżeli nie liczyć rezerw dochodząco-telefonicznych z Saperskiej i Jarosławskiej.

Pierwsi w kolejce byli oczywiście Merry z Wiolką. Janek jak zawsze z wyprzedzeniem wszystko przewidział i nie bez kozery prosił rodziców o pomoc, bo Szczęśni naprawdę rozsypaliby się ze strachu po takiej dawce emocji, jaką zaaplikowali im doktorzy i własna rodzina.

Wiolka jeszcze leżała na oddziale, kiedy Merry z ociąganiem opowiedział przebieg akcji edukacyjnej przeprowadzonej przez doktora Ekerta. Była ona swoistą reakcją na ponawiane prośby Wioli, żeby wypuścić ją już do domu.

– Wtedy zapytał, czemu tak bardzo rwie się do niańczenia dziecka wysokiego ryzyka – relacjonował Merry, a Niziołkom otwierały się noże w kieszeni. – „Przecież zdaje sobie pani sprawę, czego się można spodziewać", tak właśnie powiedział ten… – Merry zmełł w ustach brzydki wyraz – i wymienił całą litanię: niedosłuch, niedowidzenie, porażenie, zaburzenia rozwojowe… Wyobrażacie sobie, jak się Wiolka dobrze po tym poczuła?

– Ale jak to, on to zrobił tak poza plecami Renaty, bez jej wiedzy i konsultacji? – nie mógł zrozumieć tata.

– A tak, wujku, ze swoistej nadgorliwości. Rychło w czas – powiedział z goryczą Merry.

Merry mówił od zawsze do rodziców przyjaciela „ciociu” i „wujku”, a potem tę formę przejęła Wiola. Podobnie do państwa Szczęsnych zwracał się Janek, ale tylko on; Ela i Gośka były z nimi na „pan” i „pani”.

– Robert, co się głupio pytasz – warknęła mama. – Wiadomo, chciał się odegrać. Za mało jeszcze dostał… – Teraz mama z kolei powstrzymała się od co bardziej soczystych epitetów.

W ostatni czwartek listopada dziewczyny wreszcie zostały wypisane i przewiezione triumfalnie na Pamiątkową, ale wszyscy troje, mama, tata i Ela, zauważyli od razu, że Wiola, choć dzielnie się uśmiecha i trzyma głowę do góry, cała dygoce z nerwów. Tym razem puściła farbę osobiście, bo Merry, wychowany równie dobrze jak Jasiek, czułby się niezręcznie, nadając na teściową.

– Rozmawiałam z mamą – przyznała się. – Chciałam jej… opowiedzieć o wszystkim – chyba miała na końcu języka „wyżalić się”. – Najpierw wyskoczyła z pretensjami, że od dziecka nie mogła mnie nauczyć, jak należy przechodzić przez jezdnię. „Jak się nie uważa, to potem są takie konsekwencje!” – tak mi powiedziała…

No nie, stara kretynka! Przecież wiadomo, że Wiolkę przejechał bandzior, który wbrew wszelkim przepisom, jadąc wewnętrznym pasem, nie zatrzymał się przed przejściem dla pieszych, tak jak samochód obok. Ciekawe, jak ona sama by w takiej sytuacji uważała! Uch, ją tak by stuknąć, żeby frunęła! A nawet gdyby, gdyby naprawdę Wiola nie uważała i stało się to z jej winy, w końcu, do kata, od tego jest rodzina, żeby się wspierać! Narrator przeprasza czytelnika za ten wybuch, ale on też ma swoje skryte idiosynkrazje.

– … a potem jeszcze wyraziła obiekcje, jak to możliwe, że wujek i ciocia mają ochotę nas gościć – dokończyła Wiola. – Bo ona nigdy w życiu nie wzięłaby sobie na kark czegoś takiego!…

Pewnie, ona nie! Wiolka powinna była jej odpyskować, jak Rose na Titanicu pani DeWitt-Bukater!

Mama z tatą reanimowali Wiolkę niezwykle gorliwie całe popołudnie i prawie się udało, tylko że po wieczornym karmieniu

Jasia zaczęła koncert. Po trzech godzinach z młodej mamuśki została kupka trocin.

Następnego wieczora do dzieła przystąpił Merry. Wykąpał małą tak jak kiedyś tata Jaśka i zabrał się do karmienia, uprzednio odizolowawszy Wiolę, której nastawił na wideo ku radości ducha *Nietykalnych*. Nie karmił oczywiście piersią, bez przesady; Janeczka niestety pozbawiona była mleka naturalnego i dostawała takie z butelki. Nawiasem mówiąc, to też był efekt nadgorliwości doktora Ekerta, który w pewnym momencie zlecił Wioli specyfik na zatrzymanie pokarmu i było po herbacie.

Jasia łapczywie wypiła swoją porcję i zaczęła krzyczeć. Merry bardzo skrupulatnie stosował się do instrukcji mamy: prawidłowo małą odbijał, nosił ją w pionie, kołysał, masował brzuszek, poił herbatką koperkową, ale po kilku godzinach miał w głowie tylko wizję ropnego wyrostka albo czegoś równie paskudnego. Oczywiście Wiola z *Nietykalnych* obejrzała jedynie czołówkę, a potem asystowała mężowi, chociaż jak się przyznała, też miała ochotę ryczeć z poduszką na głowie.

Wtedy wkroczyła Ela. Uznała, że metody mamy są przestarzałe, a poić koprem włoskim to można było za komuny. Obejrzała sobie instruktaż na YouTube, kupiła w aptece nową butelkę z antykolkowym smoczkiem i espumisan dla niemowląt. Podczas robienia tych zakupów czuła się bardzo ważna, ale niestety, kiedy padło pytanie „czy pani karmi piersią?”, musiała się przyznać, że to dziecko przyjaciółki.

Karmienie butelką antykolkową poszło zgrabnie, przy pierwszym skowycie dzieciątko dostało espumisanu, ale po następnych trzech godzinach, co tu ukrywać, Ela zaczęła wątpić, czy aby naprawdę nadaje się na matkę i czy jej dotychczasowe deklaracje były dorosłe i dojrzałe.

Czwarty dzień należał do taty. Postanowił on połączyć stare z nowym, teorię z praktyką. Z jednej strony dużo pamiętał, z drugiej przekonsultował to i owo z Gośką. Jak wiadomo, na Jagódkę bardzo dobrze działało świeże powietrze. Wobec tego rytuałem stał się dla Podgórnych wieczorny spacer, jak z psem, nie przymierzając, podczas którego maleństwo szybko padało i był z nim święty spokój.

Dobra, tylko że oni uskuteczniali swoje metody we wrześniu, a było wtedy ciepło i przyjemnie. Teraz za oknem miało się wszelkie atrakcje najwstrętniejszego miesiąca roku: kiedy Elka była zupełnie mała, określała ten stan słowami „jest padadeszcz". Nijak nie można było wyjechać wieczorem w taką pogodę, na dodatek z wcześniakiem!

Wobec tego tata zadysponował inaczej i na świeże powietrze postanowił wysłać rodziców.

– Merry, synku, bierz kluczyki, wywieź Wiolę w jakieś fajne miejsce, na wał w Rogalinku chociażby, i nie wracajcie wcześniej jak za dwie godziny.

Rogalinek nad Wartą był dla Niziołków miejscem zaczarowanym. Urokliwy drewniany kościółek, lepszy chyba nawet od Jankowego, otoczony był wraz z cmentarzem wałem przeciwpowodziowym jak rycerskie grodziszcze. Szczególna atmosfera panowała tam właśnie po zmroku, kiedy na grobach pełgały światełka. Razu pewnego wybiegł im na spotkanie tajemniczy kot, który najpierw oprowadził towarzystwo po cmentarzu, cały czas oglądając się, czy za nim podąża; pokazał zapomnianą furtkę, a potem zniknął. Wiola z Merrym nawet nie musieliby łazić, wystarczyło posiedzieć na parkingu i popatrzeć, żeby się zregenerować.

W tak zwanym międzyczasie tata zaopiekował się Jasią. Najpierw kazał Eli ją nakarmić „tym nowoczesnym wynalazkiem", a potem przechwycił w swoje ręce. Szło mu o wiele lepiej niż Merry'emu, cóż, praktyka czyni mistrza. A może po prostu, jak już ich spławił i nie czuł na sobie czujnych spojrzeń, potrafił się wyluzować i przekazywał swój spokój małej. Kiedy zmęczył się łażeniem po pokoju, po prostu położył ją sobie na piersiach w pozycji na brzuszku. Niestety, pomogło to tylko na trochę, a ściślej do momentu, kiedy Wiola z Merrym wysiadali z samochodu i już przez okno usłyszeli dziki krzyk swojego dziecięcia.

Na szczęście w tejże samej chwili golfem proboszcza nadjechała kawaleria w osobie Jaśka. Janek jak zawsze wyczuł kryzys i wiedział, kiedy się pojawić. Teraz też błyskawicznie pokrzepił młodych rodziców dobrym słowem, a potem zluzował zlanego potem tatę i przechwycił imienniczkę w swoje ręce.

Ela miała straszliwą ochotę cyknąć mu zdjęcie, bo wyglądał niesamowicie: w sutannie, z flanelową pieluchą zarzuconą na ramię, żeby Janeczki nie zainfekować jakimś kościelnym wirusem, ale też w celu ochrony sukienki duchownej przed ewentualnym obrzyganiem. To byłby hit Facebooka, drugie dziecko księdza Janka! Dwieście wejść w pierwszy wieczór! W końcu jednak dobra siostra uznała, ze nie może bratu tego zrobić, tym bardziej że dzidziuś padł wreszcie w jego ramionach i zapadła błoga cisza.

Janek długo nie siedział, uściskał Wiolę i Merry'ego, a potem wyszeptał jeszcze w progu:

– Coś mi mówiło, żeby tu podskoczyć chociaż na chwilkę! Kochani, przepraszam, że tak zwaliłem wszystko na was, ale…

W tym momencie tata kategorycznie mu przerwał:

– Janku, o czym ty w ogóle mówisz! Od tego jesteśmy!

A mama dodała:

– Syneczku, ty rób swoje, a my będziemy robić swoje. O nic się nie martw!

Zgodnie z deklaracją piąty wieczór należał do mamy. Fachowca było widać w każdym calu, co z tego, jak skowyty dzieciątka szły chyba do drugiego piętra.

– Ale dlaczego ona płacze zawsze wieczorem? – bezradnie dopytywała się Wiola.

– Nie wiem, kochanie – westchnął fachowiec. – Lekarze też nie wiedzą. Kolka to przypadłość tajemnicza, ale po jakimś czasie przechodzi.

– Po jakim czasie? – dopytywał Merry.

Mama spojrzała na nich niepewnie, ale jako rodzicielka swego syna skłamać nie mogła:

– Po czterech miesiącach na pewno…

Wyobrażacie sobie, jakie miny mieli szczęśliwi młodzi rodzice? Cztery miesiące! Zgroza!

Ale wtedy mama coś zauważyła.

– Wiolciu, kochanie, od jak dawna Janeczka ma tę wysypkę?

Wiola i Merry przyjrzeli się uważnie.

– Od kilku dni – zawyrokowali, a Wiola dodała szybko: – Ja ją smaruję oliwką tak jak ciocia kazała!

– Kotku, wiem przecież, że o nią dbasz, to nie o to chodzi! Tylko wydaje mi się, że to może być skaza białkowa, wtedy robią się takie brzydkie liszaje. Elka też tak miała.

Mama dokonała jeszcze z nimi niezwykle behawioralnych konsultacji na temat koloru i konsystencji kup; Ela słuchała tego z typowo mieszanymi wrażeniami: poczuciem obowiązku, obrzydzeniem i podziwem dla młodych rodziców, którym nawet powieka nie drgnęła, kiedy objaśniali mamie tę delikatną materię.

No i dzięki temu mama wpadła na pomysł. Zaraz z rana zadzwoniła do Renaty; poprowadziły jakąś bardzo fachową dyskusję, w której padały nieznane Elce nazwy typu Bebilon Pepti, Isomil i Nutramigen, a wreszcie mama powiedziała:

– Dziękujemy, Renatko, ktoś podskoczy do ciebie po receptę!

No tak, skoro mama podejrzewała nietolerancję mleka krowiego, to faktycznie przetrenowała sobie temat na swojej najmłodszej córeczce. Najpierw karmili ją preparatami zastępczymi, a potem przeszli na mleko i jogurty kozie. Wszystkie te mleczka i papki były obrzydliwe, chociaż mama starała się jak mogła dosmaczać je bananami i innymi owocami. Stąd Elka przypuszczała, że pewnie dlatego jest taka nieduża, bo nauczyła się od zawsze jeść tylko tyle, żeby nie paść z głodu.

Ktosiem, który miał udać się po receptę, okazała się właśnie Ela, bo mama leciała do szkoły, tata do wydawnictwa, Merry był umówiony z kimś tam od reklam, ona zaś miała zajęcia dopiero w południe. Dawniej dojechałaby na Lutycką bez problemów dziewiątką, ale teraz, przez tę rozrytą Kaponierę, która wyglądała, jakby bomba w nią trzasnęła, musiała się nagimnastykować autobusami „za tramwaj". Wróciwszy, zastała Wiolę jak kupkę nieszczęścia pochlipującą w kącie i przeraziła się. Wiola była twardą sztuką, jak płacze, to źle!

– Co się stało? – zapytała pośpiesznie.

– Boję się!… – zaszlochała Wiolka. – Boję się być sama w domu!…

No, Eluniu, to teraz ty musisz strugać chojraka!

– Toteż właśnie jestem i nigdzie się nie wybieram! – oświadczyła stanowczo. Tak naprawdę powinna za dwadzieścia minut wychodzić do szkoły, ale co tam, odrobi w przyszłym tygodniu. – Zobacz, tu jest

Isomil, po drodze od razu kupiłam, Renata kazała wypróbować, tylko cierpliwie, Wiolka, bez nerwów, tak od pierwszego gwizdka nie zadziała, trzeba będzie kilka dni przeczekać!… Bierz małą do wózka, idziemy do kuchni, zrobimy jej mleko, a sobie kakao z bitą śmietaną. Trzeba umieć dostrzegać pozytywy, jakbyś karmiła piersią, tobyś musiała być na ścisłej diecie, jak Gośka, a tak to możesz nawet strzelić koniaku dla kurażu! – paplała głupoty, żeby tylko Wiolę postawić do pionu.

– Ona chyba nie słyszy! – wyrzuciła na to z siebie Wiolka.

No, ładnie! I co teraz na to powiesz, wojowniczko Rohanu? Obuchem czy perswazją?

– Wiola! – Elka potrząsnęła ją za ramiona. – Wiola, popatrz na mnie! Ja nie słyszę! I co? Takie to straszne? Czego się boisz?!

Do Wiolki dotarło, popatrzyła na nią speszona. Pora na perswazję, powiedziała sobie Ela.

– Stara, zastanów się, jak Jasia krzyczy, to się denerwujesz, że chora, a jak śpi spokojnie i nie reaguje na tupanie po schodach, to też ci źle i zaczynasz szukać dziury w całym! Nic się nie martw, załatwimy jej badanie słuchu… – Zastanowiła się na chwilę. – A właściwie dlaczego nie zrobili tego w szpitalu?

– Nie wiem, widocznie nie mają aparatury…

– Co, dary Owsiaka nie dotarły? Szpital wojewódzki z porodówką i OIOM-em dziecięcym, ale przesiewowego badania słuchu nie robią?!… – warknęła. – Spokojnie, Wiolka, zaraz zadzwonię do mojego audiologa i umówię was!

Odszukała w notesie namiary i wykręciła numer.

– Dzień dobry, mówi Ela Niziołek, czy mogę mówić z panią Marceliną? O, przepraszam, nie poznałam pani po głosie. Pani Marcelino, mam taką sprawę, kiedy mogliby do pani przyjść na badanie słuchu rodzice z takim maleńkim dzieciątkiem? Tak, bardzo mi zależy, to moi przyjaciele i strasznie się niepokoją! Pojutrze o dziesiątej? Jak to dobrze, cieszę się! Wszystko im wytłumaczę, dziękuję, do widzenia!

Odwróciła się do Wioli.

– Słyszałaś naszą rozmowę?

Wiola pokiwała głową.

– No właśnie, słyszałaś, bo mamy specjalnie dobrany taki telefon, żeby mi się z niego dobrze dzwoniło. I przecież wiesz, że nie muszę nawet używać specjalnych przystawek, zwykły aparat wystarczy. Radzę sobie, i chyba nie najgorzej. Więc mówię ci, nie martw się na zapas. Nawet gdyby… Wiolka, nawet gdyby u Jasi było coś nie tak, to im szybciej to wychwycimy, tym lepiej. Dostałaby aparaty i rozwijała się normalnie.

– A kiedy ciocia i wujek się zorientowali, że nie słyszysz? – ośmieliła się spytać Wiola.

– Merry ci nigdy nie mówił? – zdziwiła się Ela.

– Coś tam mówił, ale chyba sam za dużo nie wiedział.

– W sumie racja, jak to wszystko się ze mną zaczęło, byli z Jaśkiem smarkaci i niewiele do nich docierało – mruknęła Elka. – Mama mi opowiadała, że moją wadą było to, że okazałam się za bystra.

– Co takiego? – uśmiechnęła się Wiola. Nareszcie!

– Radziłam sobie w inny sposób, pewnie wzrokiem, dotykiem, to znaczy przez wibracje… Zorientowali się późno, po roku dopiero, jak ciągle nie mówiłam. Wtedy zaczęli bardzo intensywnie ze mną pracować, o tym już na pewno Merry ci opowiadał, przecież on też w tym uczestniczył.

– A tak, racja, mówił, że uczyli cię z Jankiem grać. – Wiolka zawahała się, a potem widać uznała, że ma z małą przyjaciółką godzinę szczerości i może ją o pewne sprawy wypytać bez krępacji. – Zawsze się dziwiłam, jak to było możliwe, uczyć głuche dziecko gry na pianinie?

Cóż, jak godzina szczerości, to na całego, a ty, Eluniu, pełń swą powinność i pocieszaj starszą od siebie o ładnych parę lat przyjaciółkę. Chciałaś dorosłości, to ją masz!

– Wiolka, to przecież nie było takie granie, jak w muzycznej! Chodziło o to, żebym umiała się skupić na dźwiękach, żeby ciągle dostarczać mi nowych bodźców, zmuszać do wysiłku. Nie, zmuszać to przesada – uśmiechnęła się. – Ja to bardzo lubiłam, a oni we dwóch niezwykle mi imponowali, byli dla mnie tacy dorośli…

– A co z angielskim? To znaczy wiem, oczywiście, że wujek cię uczył, ale chodzi mi o… no, twoje możliwości techniczne.

Ela pomyślała rzetelnie nad odpowiedzią.

– Tak naprawdę to język polski też jest dla mnie jak obcy, wyuczony, rozumiesz? Więc jeden czy dwa, to już nie robiło dużej różnicy, oba przecież od dziecka. Po polsku też musiałam się uczyć na pamięć całych zwrotów, wyrażeń, idiomów. I tak z roku na rok, powolutku… Dużo książek, dużo czytania, tak samo po angielsku. A teraz wychodzę za cudzoziemca! – powiedziała triumfalnie.

– I… ty wszystko rozumiesz, co on do ciebie mówi?

E, nie jest chyba tak źle, skoro Wiolkę zainteresowały babskie ploteczki. Bardzo dobrze!

– W zasadzie tak, David wie, że trzeba do mnie mówić wyraźnie, nie za szybko, i lepiej nie używać trudnych wyrazów, zupełnie jak po polsku zresztą. Coś ci powiem – zachichotała – zdążyłam się nauczyć od niego paru fajnych wyrażonek po walijsku. Wiesz, co to znaczy *pen bach*? David tak bluzgał w Szkocji na kierowców, którzy nie zjeżdżali do zatoczek…

Wiola uśmiechnęła się. Świetnie!

– „Bach" to „mały", tyle już wiem, więc domyślam się, że wypominał kierowcom niedostatki anatomii…

Elka spłonęła krwistym rumieńcem. Nie o to jej chodziło!

– To znaczy dosłownie „mała głowa", czyli coś w rodzaju „ty ptasi móżdżku!".

Wiola już otwierała usta do następnego pytania, tym razem chyba jeszcze bardziej intymnej materii, ale na szczęście Janeczka dała znak życia. Pośpiesznie przyrządziły jej nowe mleko, a Ela uznała, że skoro i tak odpuściła sobie zajęcia, to może przygotować obiad. W trakcie tych działań wpadł do domu Merry. Bystry był, całkiem jak Janek, od razu się zorientował, że coś tu się działo. Porwał Wiolę razem z Jasią w objęcia, przytulił i skrupulatnie wysłuchał relacji dziewczyn. W pewnym momencie wbił w Elkę spojrzenie tak wiele mówiące, że ta poczuła się głupio.

„Za dużo jeszcze nie zrobiłam" – pomyślała sobie.

– …wtedy Elka od razu zadzwoniła i jesteśmy umówieni na czwartek, na dziesiątą – kończyła relację Wiola.

Merry się spłoszył.

– W czwartek?… Jezu, Wiolka, przepraszam, nie wiedziałem! Umówiłem się od rana na nagranie… To bardzo dobry kontrakt, będziemy mieli za co żyć przez całą zimę…

Normalnie Ela nawet by nie zwróciła uwagi na subtelności tej reakcji, ale po awanturze z ciotką Anioł była wrażliwa jak kamerton. Merry był niby całkowicie autentyczny, ale… Czy aby nie robi sobie odskoku od tego ciągle krzyczącego dziecka, od domowych upierdliwości i popłakującej bez powodu żony, i ochoczo wykorzystuje w tym celu interesy? A Wiola? Też ma pewnie dość po uszy i zaraz złym okiem spojrzy na zrywającego się ze smyczy męża?

Ale zaraz się zawstydziła, bo Wiola całkiem przeciwnie do jej supozycji pogładziła Merry'ego po ręce i powiedziała:

– Nie przejmuj się, wiem przecież! – co Ela mogła uzupełnić tylko jedną możliwą deklaracją:

– Merry, wyluzuj, ja z nimi pójdę, mnie tam wszyscy znają, stała klientka jak by nie było, będę pilotować Wiolkę od początku do końca!

Ledwo te słowa przebrzmiały, gdy dotarło do niej, że na czwartek przypada ostateczny termin oddania prac z projektowania ubioru. Dzisiaj sobie odpuściła, fatalnie, właśnie dzisiaj mogła popertraktować, że przyniesie, co trzeba, na poniedziałek.

„Trudno, dopadnę facetkę w piątek i załatwię!" – pomyślała w lekkim popłochu, ale wciąż optymistycznie. „Chociaż…"

Projektowanie ubioru było jej ulubionym przedmiotem, a raczej byłoby ulubionym, tylko że prowadząca te zajęcia pani była wybitną indywidualnością i próbowała narzucić studentom swój jedynie słuszny punkt widzenia i jedynie poprawny model estetyczny. A Ela miała własne pomysły i koncepcje.

– Co to jest? – zapytała pani ze zdumieniem, pokazując palcem na wcześniejszy projekt studentki.

– Ornat – odpowiedziała Elunia zgodnie z prawdą.

– Co takiego?

„Po polsku nie rozumie czy nie wie, co to jest ornat?!" – przemknęło zainteresowanej niepokornie przez głowę.

– Szata liturgiczna – wyjaśniła uprzejmie.

– Miała pani zaprojektować ubiór odświętny – powiedziała z dezaprobatą profesorka.

– To jest ubiór odświętny! – zaprotestowała Ela. – Przecież użyłam złota i srebra!

Pani od projektowania chyba nie zrozumiała tej argumentacji, bo upierała się przy swoim:

– Oczekiwałam sukni wieczorowej, a pani mi tu prezentuje jakieś powłóczyste łachy, jak mam ocenić umiejętność dopasowania i kroju, proszę mi wyjaśnić!

– Proszę uprzejmie. – Szkoła taty się kłaniała. – Krój ornatu rzeczywiście wydaje się uniwersalny, ale tylko pozornie, bo przecież możemy nawiązać do formy gotyckiej albo skrzypcowej w co najmniej pięciu odmianach, a nawet jak będziemy się ściśle trzymać rozwiązań posoborowych, to i tak możemy użyć preteksty jak w odmianie gotyckiej zwykłej…

Pani zaniemówiła, tym razem Elka zaliczenie dostała, ale na taki traf więcej liczyć nie mogła, musiała się sprężyć!

Tymczasem wrócili rodzice, wysłuchali nowin, popatrzyli na córkę z akceptacją, a mama zadała zasadnicze pytanie:

– Jak tam dotrzecie? Przecież nie na piechotę?!

Święta racja, z Pamiątkowej do poradni przy Dolnej Wildzie było niedaleko – ale dla Jagódki, nie dla Janeczki.

– Weźmiesz samochód, a ja pojadę do roboty tramwajem – znalazł rozwiązanie tata.

„Dzięki, tatku, za zaufanie!” – uśmiechnęła się Elka. Do tej pory nieczęsto miała okazję siadać za kółko, chociaż prawem jazdy dysponowała już od prawie trzech lat. W całej rodzinie kurs na prawo jazdy był uniwersalnym prezentem na osiemnastkę, przy czym zawarta w nim była klauzula ryzyka: fundator opłacał także wszystkie kolejne podejścia do egzaminów. Gośka i Ela zdały za trzecim razem, Jasiek oczywiście, jakby inaczej, za pierwszym, i to za jednym zamachem kategorię A i B.

– Tylko uważaj! – powiedziała domowa pani Weasley.

– Nie, wjadę pod tira zaraz na pierwszym skrzyżowaniu – mruknęła Elka. – Mamo, litości, to raptem cztery przecznice! Naprawdę prowadzę lepiej niż Natalia!

Pogoń Natalii Borejko za Robrojkiem kradzionym samochodem była jej ulubionym fragmentem ze wszystkich książek Musierowicz, no może *ex aequo* z tym kawałkiem, kiedy kolejni członkowie rodziny wkładali sobie do buzi żarówki. Nie tylko jej, zresztą; mama opowiadała, że musiała raz strasznie nakrzyczeć na dzieciaki w szkole, żeby tego nie próbowały, a w rezultacie uciekła się do szantażu: proszę bardzo, ale jutro sprawdzian z całego materiału od początku roku!

Tego wieczora Jasia płakała tylko pół godziny, następnego symboliczne dziesięć minut. Czyżby mamusine czary podziałały? Błogi wieczorny spokój Merry i Wiolka wykorzystali jak w *Rodzinie Połanieckich*: on grał, ona siedziała obok i patrzyła na niego jak Marynia na Stacha. Wszystko było między nimi w porządku, niepotrzebnie Ela się bała, tak to jest, jak krewni gadają głupoty.

W czwartek zapakowała Wiolkę i Janeczkę do auta i we trzy ruszyły na badanie. Wiola była spięta, ale zmobilizowana, te dwa kolejne spokojne wieczory dobrze jej zrobiły. Dziecina zasnęła jak na zamówienie, dała sobie popodpinać wszystkie elektrody bez protestu i po godzinie nerwowego wyczekiwania pani Marcelina odczytała im wynik:

– W zasadzie wszystko w normie, może minimalny, ale naprawdę minimalny ubytek w prawym uchu, nie trzeba tego protezować…

Wiola wlepiła w przyjaciółkę pytające spojrzenie, proteza skojarzyła jej się z czymś strasznym.

– Zakładać aparatu – szepnęła Ela.

– Tak jest, proszę słuchać eksperta i najlepszego opiekuna – uśmiechnęła się pani Marcelina. Elka poczuła się dumna i zawstydzona odrobinę. – Niech państwo faworyzują lewe ucho, obserwują dziecko i zgłoszą się ewentualnie za rok. Ale, moim zdaniem, nie będzie potrzeby.

– I co, Wiolka, zadowolona? – skoczyła Elka zaraz po wyjściu. – Uspokoiłaś się? Kurczę, znowu będziesz ryczeć? Zgłupiałaś, stara?

– Dziękuję! – chlipnęła Wiola. – Ja się cieszę! Dziękuję! Co my byśmy bez ciebie zrobili! Bez was wszystkich!

Ela wpadła w taką euforię, że niemal zapomniała o konieczności piątkowego polowania na panią od projektowania odzieży.

„A, co tam, poradzę sobie!” – pokrzepiła się w duchu.

W piątek rano zaraz po przekroczeniu podwojów szkoły ujrzała ogłoszenia o wymianie w ramach Erasmusa. Rzuciła dość nieuważnie okiem i nagle war oblał ją od góry do dołu: wśród najróżniejszych uniwersytetów wymienione było Newport School of Art, Media and Design! Niewiele myśląc, kopnęła się w pierwszej kolejności do dziekanatu.

„Później resztę załatwię” – powiedziała sobie.

W dziekanacie potraktowano ją życzliwie; kazali złożyć podanie z deklaracją kierunku i dostarczyć opinię od opiekuna i wykładowcy prowadzącego specjalizację.

„Uff, dobrze, zrobi się” – pomyślała Ela. „Choćbym miała jej zaprojektować i uszyć pięć sukni wieczorowych!”

– Oczywiście, wszystkie zaliczenia i egzaminy musi mieć pani zrobione w pierwszym terminie – dodała *pro forma* pani z dziekanatu.

To dalej, do dzieła!

Wytropienie pani doktor od projektowania zajęło Eli trochę czasu, ale wreszcie ją dopadła w pracowni krawieckiej. Pośpiesznie wyłożyła swoją prośbę.

– Droga pani, data zaliczenia była pani doskonale znana, proszę zgłosić się w drugim semestrze – oznajmiła tamta beznamiętnie.

– Pani doktor, bardzo proszę o zrobienie wyjątku. – Elka była uprzedzająco grzeczna. – Bardzo mi zależy na terminowym zaliczeniu, bo aplikuję do Erasmusa…

– To trzeba było pomyśleć o tym we właściwym czasie, nieprawdaż? – Pani doktor spojrzała koso.

„Nie denerwuj się, nie pyskuj” – przepowiedziała sobie w duchu Ela. „Przecież ci zależy. Pomyśl, Newport!”

– Pani doktor – spróbowała jeszcze raz – z całego serca proszę o wyrozumiałość. Miałam taką nieoczekiwaną sytuację rodzinną… Musiałam zawieźć dziecko przyjaciółki na badanie…

– Na badanie?! A we wtorek też pani była na badaniu?

– Nie – przyznała Ela zgodnie z prawdą. – We wtorek przyjaciółka bała się zostać sama w domu, ma małe dziecko, wcześniaka, ktoś musiał się nimi zaopiekować…

– I to musiała być oczywiście pani we własnej osobie, co? – prychnęła pani doktor. – Droga pani, zawsze się zastanawiałam, dlaczego dziewczęta tak idiotycznie komplikują sobie życie przez układy rodzinne! A to przecież nie jest nawet pani dziecko! Jak chce je pani niańczyć, na co pani studia! Ja tu nie mam nic do dodania, musi pani sama uzgodnić sobie priorytety!

W tej chwili zamiast wściekłości spłynął na Elkę lodowaty spokój.

Bez słowa podeszła do szafy, wyjęła swoją torbę i zaczęła do niej pakować wszystkie dotychczasowe projekty.

– Co pani wyprawia? – warknęła pani doktor.

– Uzgadniam priorytety – powiedziała Ela zimno. – Do widzenia. – I wyszła, nawet nie trzasnąwszy drzwiami. Ojca szkoła.

Droga do domu nadszarpnęła jej popisowy chłód i Elka zaczęła się trząść.

„Co teraz? Bez zaliczenia specjalizacji wyleją mnie. Półtora roku zmarnowane. Priorytetów mi się zachciało!…”

– *Twp slebog!* – warknęła pod nosem pod adresem pani doktor. Nie, tego David jej nie nauczył. Sama znalazła w internecie. Z wymową.

Ulżyło.

„Mam to gdzieś!” – pomyślała. „Do końca roku będę szyła ciuchy, uzbieram forsy, a potem zacznę od początku w Newport. Co to jest półtora roku wobec… priorytetów!”

Ale trochę się bała reakcji rodziców. Aż za dobrze pamiętała ich zdumione, zawiedzione spojrzenia, kiedy Janek ogłosił, że nie idzie na studia i wyjeżdża do Anglii.

Trudno. Ich mała dziewczynka dorosła i poszła mordować ludzi.

Wysiadła na skrzyżowaniu Hetmańskiej i Rolnej i wlokąc torbę większą niemal od siebie, ruszyła do domu. Na rogu z Traugutta usłyszała sygnał esemesa.

Ela postawiła torbę na ziemi, sięgnęła po komórkę. „Jaszczura” – brzmiał napis na wyświetlaczu. Wszystko podeszło jej do gardła, to była ksywka pani doktor. Z determinacją nacisnęła „Pokaż” i odczytała z osłupieniem:

głupia idiotko uzgadniaj sobie co chcesz możesz to potraktować jako mobbing i molestowanie w poniedziałek z kiecką w zębach czekam

Rozdział IX

Zwykły dzień, czyli 12 godzin z życia księdza

Za ścianą zapikała komórka. „Piąta trzydzieści” – zarejestrował ksiądz Tadeusz. Ostatnio miał kłopoty ze snem, budził się nad ranem o dziwnych porach i nie mógł już potem zasnąć. Co nie znaczy, że rwał się do wstawania na równe nogi; czytał wtedy albo słuchał radia. Ale odczuwał też lekkie wyrzuty sumienia, że on się tu wyleguje w łóżku, podczas gdy Janek właśnie zaczyna swój dzień.

Zaszumiało w łazience, proboszcz słyszał ciche pogwizdywanie. Przyzwyczaił się do tego od dawna i nie przeszkadzało mu w żaden sposób, nawet jeżeli jeszcze spał, przeciwnie, lubił, kiedy go wybudzało Jankowe nucenie. „Wstanę, poproszę, żeby mi zrobił kawę” – pomyślał i znowu poczuł wyrzuty sumienia. Jak już i tak nie śpi, to powinien sobie zrobić kawę sam, a nie sępić na chłopaku, który zaraz poleci do kościoła. Poza tym Jasiek był skrupulatny, przed wyjściem nic nie jadł i nie pił, nawet teraz, kiedy wychodził o pół godziny wcześniej niż zwykle, więc o post eucharystyczny mógłby być spokojny.

Jak takie drobiazgi, nawiasem mówiąc, potwierdzają słuszność nakazu celibatu. Gdyby taki Jasiek miał żonę… Jakbyśmy słyszeli sztorcowanie: „Kochanie, na czczo zimą od rana z domu? Wypij coś ciepłego! Przejedz choć kromeczkę chleba!”. Kobiecie racjami wyższymi do rozsądku nie przemówisz. Ksiądz Tadeusz zaś wychodził

z założenia „masz swoje lata, wiesz, co robisz”. Przynajmniej w tym przypadku.

Janek skierował się do wyjścia, wypuszczając po drodze kota. Tajemniczy przybysz przesiadywał na progu plebanii od miesiąca, przyjmował łaskawie jedzenie, ale do środka nie dawał się zaprosić. Wywiad poczyniony w szkole nie dał rezultatu; nikt się do zwierza nie przyznał, mimo iż kot był charakterystycznej urody, cały biały, szczupły jak syjamski, ale z europejską mordką. Dopiero trzy dni temu, kiedy temperatura spadła poniżej zera, przyjął zaproszenie na noc, którą przesiadywał w wymoszczonym dla niego kartoniku pod kaloryferem. Nie był pieszczochem, nie podsuwał się do głaskania i nie wskakiwał na kolana. Nawet nie było wiadomo, czy to kocur czy kotka. Teraz też pobiegł wzdłuż płotu i zniknął na niezabudowanej parceli, a Jasiek ruszył w przeciwną stronę do kościoła.

W ciągu roku pierwsza msza była o siódmej, więc wystarczało, że Janek wstawał godzinę wcześniej. Obsprawiał się z żołnierską dyscypliną, ale bez wyrywania sobie rękawów, bo jako rdzenny poznaniak pośpiechu nie lubił. Wprawdzie Janeczek pokpiwał, że on i Ela przechwycili geny Kotoniów-Podgórzan, ale to było tylko takie gadanie, punktualny był zawsze do obrzydliwości. Po drodze zahaczał o czynną od bladego świtu piekarnię, gdzie kupował na później dwie bułki i jakieś ciacho, perfidnie tylko dla siebie, po kryjomu, żeby proboszczowi nie było żal. O wpół do siódmej już siedział w konfesjonale.

Teraz, w adwencie, roraty zaczynały się piętnaście minut wcześniej, więc i Janek przesunął swój zegar o kwadrans. Szybko się jednak przekonał, że to za mało, bo kolejka do spowiedzi się wydłużała, a Jasiek miał zasady, że ksiądz powinien poświęcić penitentowi proporcjonalnie tyle czasu, ile głędzi kazanie. Nastawiał zatem budzenie jeszcze wcześniej, na wpół do szóstej, żeby o szóstej być już na posterunku.

Kościół krzesiński miał ciekawą historię; przyjechał w klepkach z Norwegii na wystawę światową w 1911 roku, skąd został wykupiony przez miejscowych luteranów, i był w ich posiadaniu aż do czterdziestego piątego, kiedy to koleją losów przeszedł w ręce katolickie. Janek postanowił domknąć ekumeniczny krąg: kiedy

otwierał rano podwoje, ustawiał przed ołtarzem ikonę Matki Boskiej, zapalał świece i puszczał z płyty Akatyst ku czci Bogurodzicy. Pewnie wolałby śpiewać sam, ale sztuki bilokacji jeszcze nie posiadł, więc wspierał się bratnim chórkiem od ojca Góry. Narrator wyraża przy tym nadzieję, że zainteresowani nie mieli pretensji o prawa autorskie.

Czterdzieści pięć minut akurat starczało księdzu wikaremu na oddanie posługi trzem-czterem parafianom, a zdarzało się, że ten i ów czekał u wejścia jeszcze przed szóstą, przy czym przez „owego" rozumieć należy nie tylko statecznych starców, ale też, o dziwo, młodzież gimnazjalno-licealną. Tyle że na przykład Eli wcale to nie dziwiło; gdyby w konfesjonale nie siedział jej rodzony brat, ją też by pociągnął ten klimat. Po ciemku i przy takich śpiewach zawsze łatwiej…

O wpół do ósmej Janek wyruszył w kierunku szkoły; jeszcze się tak nie zdarzyło, żeby szedł sam, więc i tym razem towarzyszyło mu troje ministrantów. Nie, nie ma w tym zdaniu żadnego błędu gramatycznego. Troje, nie trzech, dwóch chłopaków i dziewczyna, bowiem Jasiek był tradycjonalistą specyficznym – złośliwy rzekłby: wybiórczym – z jednej strony msza trydencka i post od północy, a przynajmniej trzygodzinny, z drugiej ministrantki przy ołtarzu. Twierdził stanowczo, że nie ma ku temu żadnych proceduralnych przeszkód, a jak się robi sztuczną selekcję, to rezultaty są takie, że z kolei do scholi nie sposób złapać głosów męskich, bo faceci realizują się gdzie indziej. I że chłopcy wcale nie podglądają ministrantek przy klękaniu.

– Ciekawe, kto tę bzdurę wymyślił, zboczeniec – warczał bezlitośnie. – Czy te dzieciaki nie napatrzą się na siebie dosyć w szkole? Poza tym wszyscy służą w albach, co sobie mają podglądać, pięty?

I dodawał jeszcze, że nieprawdą jest, jakoby służba dziewczyn deprawowała chłopaków, którzy mieliby uznać się w tym momencie za zwolnionych od wszelkich obowiązków. Tak przynajmniej powiadał za jego czasów pewien duszpasterz szkół średnich u dominikanów, który ministrantki pogonił. Janek mówił, że u niego jest dokładnie na odwrót: na skutek zdrowej konkurencji faceci ze skóry wyłazili, żeby

pokazać swoje walory, co im się objawiało w postaci punktualności i żołnierskiej dyscypliny. Być może. Faktem jest, że wikary przekabacił nawet księdza Tadeusza, u którego z kolei na mszy dziecięcej można było zobaczyć przy ołtarzu dwie przemiłe trzecioklasistki, przy czym jedna z nich wyglądała szczególnie fajnie z czterema chudymi warkoczykami spadającymi na ministrancką pelerynkę.

W pokoju nauczycielskim Janek wreszcie mógł skonsumować zasłużone śniadanie. Zaparzył kawę, wyciągnął zakupione bułki, a ze śniadaniówki wydobył masełko i wędlinę. Na miłych tych czynnościach zastała go pani Ewa od angielskiego.

– Co, Janeczku, znowu na boku podjadasz sobie wędzoną kiełbaskę? Żeby tylko proboszcz nie widział?

– Ewa, no przecież wiesz, że on nie powinien jeść tłustego – powiedział Jasiek ze stoickim spokojem, wpychając sobie do ust chrupiącą kajzerkę. – A bułki to już w ogóle śmierć! À propos, znasz taki kawał? Mówi grabarz do grabarza: „Pogoda ładna, nie za ciepło, ciśnienie stabilne… Nie ma co liczyć na sercowców, ciśnieniowców ani cukrzyków…”. „Taaa…” – mówi drugi. „Martwy sezon…”

Pani Ewie od razu zrobiło się lepiej. Pierwszą lekcję miała w wyjątkowo wrednej klasie, w której do tego zaczęły się kradzieże, ale specyficzne poczucie humoru Jaśka zawsze znakomicie jej robiło.

Janeczek już się rozpędził i postanowił jeszcze coś dołożyć.

– A wiesz, co to jest: wisi na suficie i grozi?

Pani Ewa wiedziała i chciała to zwerbalizować, ale na szczęście zabrzmiał dzwonek i oboje wyruszyli na lekcję.

W odróżnieniu od anglistki, Jasiek zaczynał w swojej ulubionej pierwszej b. Z lekkim zdziwieniem tedy zarejestrował, że klasa zieje pustkami, ale winą za ten stan rzeczy obarczył komunikację miejską i jak zwykle na początku przystąpił do repetytorium śpiewów. Do świąt było już stosunkowo niedaleko, więc można było z czystym sumieniem ćwiczyć kolędy. Ćwiczyć w sposób osobliwy, a mianowicie klasa i ksiądz siłowali się, kto szybciej odpadnie i nie będzie umiał zaśpiewać następnej zwrotki. Jak dotąd Jasiek wygrywał zawsze, chociaż on był jeden, a ich trzydzieścioro. Teraz też byli właśnie przy dziewiątej zwrotce *Pójdźmy wszyscy do stajenki*, którą pociągnęły

raptem dwie najbystrzejsze osoby, a ich ksiądz już otwierał usta do następnej, kiedy w drzwiach stanęli zdyszani i przemoknięci spóźnialscy, kajając się ze skruchą:

– Przepraszamy, proszę księdza! Autobus rozkraczył się w Pokrzywnie i musieliśmy lecieć na piechotę!

– Trzeba było poczekać na następny – zauważył trzeźwo Janek.

– To byśmy już nie zdążyli – powiedzieli z urazą. Faktycznie, autobus jeździł tam raz na pół godziny, i to tylko rano, potem co godzinę.

Skoro był już komplet, można było przystąpić do zasadniczej części lekcji, czyli do analizy Biblii. Akurat tego dnia wypadł jakże smakowity fragment z Księgi Daniela, kiedy to proroka wrzucono do jaskini lwów. Etap pierwszy, to znaczy analiza na poziomie dosłownym, szedł profesjonalnie, tyle że dociekliwa młódź jak zawsze przyczepiła się do nielogiczności fabuły.

– Proszę księdza, czy tam aby nie za dużo tego dobrego? – wyskoczył klasowy Pierwszy Sceptyk. – Ja rozumiem lwy, w porządku, raz się mogło zdarzyć. Nażarte były, bo ten król po kryjomu przez pół dnia kazał je karmić po uszy. Albo Danielowe mięso im nie pasowało przez tę warzywną dietę… – Klasa rechotała razem z Jankiem, nad wyraz zadowolonym z uczniowskiej kompetencji, co było widać po każdym zdaniu. – Ale tam co podejście, to cud! Poza tym motyw rozgrzanego pieca wykorzystywany jest bardzo chętnie nie tylko tutaj! Mam uwierzyć, że Pan Bóg nie miał nic innego do roboty, tylko ratował co rusz innego odważnego z płomieni?

– No i o co ci chodzi, wyraźnie jest powiedziane, że „byli dziesięciokroć bieglejsi od wszystkich magów i czarodziejów w całym królestwie”, to rzucili zaklęcie zamrażające i cześć – wtrąciła się Pierwsza Ateistka, jak łatwo zauważyć, fanka *Harry'ego Pottera*.

– Ty mi, Tośka, nie przerywaj! – żachnął się Pierwszy Sceptyk. – Chodzi o to, że taki cud na zawołanie deprawuje. Odwaga tanieje. Co to za świadectwo, jak się i tak wie, że mnie Bóg wyciągnie a to z lwiej jamy, a to z pieca? Jakbym miał dziesięć lewelów! Pyskowanie bez pokrycia, bez odpowiedzialności!

– On ma rację – dołączyła Pierwsza Realistka. – Dlaczego w dzisiejszych czasach takie rzeczy się nie zdarzają? Bo to wszystko baja! Cudów nie ma!

– Są, tylko nie na zawołanie! – mruknął Pierwszy Wierny.

– Dobrze powiedziane – doszedł wreszcie do głosu ksiądz katecheta, a zakład, że przygryzł język, żeby nie dodać „mój lenniku", zgodnie z rodzinnym kanonem filmowego *Władcy*. – Przy okazji zapiszcie sobie to jako zadanie domowe: skąd pochodzi cytat „cudów nie ma; to znaczy są, są, ale nie na zawołanie". Google możecie sobie darować, z góry wam powiem, że tam nic nie znajdziecie. Jak będziecie mieli kłopoty, popytajcie dziadków[4].

– Dobrze, proszę księdza – odezwała się Pierwsza Sprawiedliwa. – Ale dlaczego po wszystkim oni wrzucili do jaskini nie tylko tych drani, ale jeszcze ich żony i dzieci? To niesprawiedliwe!

– No i dlaczego ten niby taki bogobojny Daniel służył po kolei pięciu tyranom, czy może więcej, bo się zgubiłem – dodał natychmiast Pierwszy Lustrator. – Jak, nie przymierzając, PSL; król się zmienia, Daniel zawsze przy władzy!

„I za to was lubię" – pomyślał Janek. „Z krótkiego tekstu wyciągniecie dwa razy więcej smaczków niż przeciętny niedzielny homiletyk! Ale mimo wszystko nie doczytaliście do końca, bo jeszcze nikt nie zahaczył mnie o Zuzannę w kąpieli!"

– A w ogóle dlaczego ten król nie popędził swoich doradców na cztery wiatry? – dodał swoje cztery grosze Pierwszy Logik. – Trzeba im było powiedzieć: „Sss…padać, ja tu rządzę!".

– Pięknie, a potraficie podać mi historyczny albo literacki przykład takiego króla, który nie był niewolnikiem własnego prawa? – dolał oliwy do ognia Jasiek.

– Aragorn! – wyskoczyła Kasia. – Nie skazał na śmierć Beregonda za rozlanie krwi w miejscu uświęconym, a jeszcze znalazł sposób, żeby go nagrodzić!

Janek popatrzył uważnie, zastanawiając się, na ile jego mała siostrzyczka mogła na Lednicy wtajemniczyć Kasię w domowe szaleństwa Niziołków i czy delikwentka wykorzystuje tę wiedzę z premedytacją. W końcu uznał, ze panienka jest po prostu

oczytana, co wynagrodził odpowiednio, jak też wszystkich pozostałych.

– To teraz przypomnijcie mi zasadę, co robimy, jak wyczerpiemy możliwości interpretacji dosłownej?

– Przechodzimy na poziom symboliczny! – odpowiedzieli chórem.

„Za to też was lubię" – po raz drugi rzekł sobie Jasiek, ale do dzieła przystąpić nie zdążył, bo nagle zawibrowała komórka. Nie wyłączał jej zupełnie, żeby pozostać w pogotowiu, ale dotąd raz tylko się zdarzyło, że musiał wyjść z lekcji do chorego, bo proboszcza akurat nie było pod ręką.

– Przepraszam – powiedział do klasy, zerknął na wyświetlacz i ze zdziwieniem odczytał „Renata P". Zawahał się, czy nie odrzucić połączenia i oddzwonić później, ale, jak to w jego przypadku bywało, „coś" kazało mu jednak odebrać. – Cześć, Renata, czym mogę służyć?

Klasa zastrzygła uszami, udając, że interesuje się czymś zupełnie innym. Ich ksiądz umawia się na jutro z jakąś Renatą i jeszcze jej obiecuje, że zwolni się z lekcji! Ciekawe!

Jasiek odłożył aparat; młodzież patrzyła w Biblie tak pilnie, że mało nie wywierciła w nich dziur i tylko Pierwszy Erotoman zagapił się na księdza w sposób niekontrolowany, chociaż pomny przygód gramatycznych swego kolegi sprzed roku, pytania nie śmiał z siebie wydusić.

– Tak, Wojtusiu? – dopomógł mu z westchnieniem Jasiek.

– Kto to był, proszę księdza? – wypalił wobec tego ochoczo Wojtuś.

– Pediatra ze szpitala wojewódzkiego – odpowiedział beznamiętnie Janek. – Miałbym do was prośbę… Jutro mnie nie będzie, przyślą kogoś na zastępstwo. Czy moglibyście pośpiewać kolędy, po angielsku też, dobrze? I tak sobie myślę, dalibyście radę przypilnować drugą c gimnazjalną, oni mają religię na ostatniej lekcji, zaraz po was? Zrobilibyście im konkurs zwrotek albo co, załatwię to z panem dyrektorem…

– Dobrze, proszę księdza! – obiecali ochoczo. Pediatra ze szpitala wojewódzkiego! Bardzo ciekawe!

Z teologicznego znaczenia Księgi Daniela też nic nie wyszło, bo zabrzmiał dzwonek. Przerwa była krótka, a następna lekcja wypadła w wyjątkowo męczącej pierwszej gimnazjalnej, która zatrzymała się na poziomie dziesięciolatków i tak się właśnie zachowywała. Wobec tego Jasiek postanowił dostosować się do ich poziomu i całą lekcję poświęcił na naukę pacierza po angielsku. Niestety, jakieś tam rezultaty osiągnął tylko z *Ojcze nasz*, więc kiedy przyszedł na następną przerwę do pokoju nauczycielskiego, był tak wyczerpany, że pierwsze, co zrobił, to sięgnął po tajne ciacho, żeby podnieść sobie poziom cukru. „Dobrze, że teraz mam okienko" – pomyślał. Nie w porę, bo właśnie w drzwiach pokazał się dyrektor.

– Janku, pójdziesz na polski do trzeciej c, dobrze? – zapytał retorycznie. Jasiek tylko kiwnął głową, przełykając pośpiesznie kęs szneki z glancem. Cóż, miał z dyrektorem swoje interesy do przeprowadzenia, zresztą i tak by nie odmówił, bo nie odmawiał nigdy, chociaż teoretycznie jako katecheta władzy szkolnej podlegał w sposób ograniczony.

– Do trzeciej c? – z powątpiewaniem powiedziała pani Ewa. – To sobie tam nie pośpiewasz, biedaczku, im co innego w głowie. Zagryzą cię na miejscu. Pytanie numer jeden, kontrolne: co sądzisz o rekonstrukcji rządu? Pytanie numer dwa, dobijające: czy po wyborach będzie rządził Tusk z Millerem? I nie próbuj im wciskać, że się nie znasz, bo będziesz miał przechlapane.

Trzecia c była słynna na całą szkołę od próbnej matury z Operonem i „Gazetą Wyborczą", kiedy to po rozdaniu arkuszy z polskiego jeden po drugim wstawali i wychodzili, zupełnie jak w *Stowarzyszeniu Umarłych Poetów*. Poszło o esej do analizy autorstwa Zygmunta Baumana.

– Jak można zrobić maturę na tekście funkcjonariusza KBW, który osobiście wyłapywał żołnierzy wyklętych! – krzyczeli w kuluarach.

– Gówniarstwo! – bezlitośnie ocenił ich postawę historyk. – Tekst był całkowicie neutralny i gdyby nie podpis, można byłoby go przypisać każdemu dziennikarzowi od prawa do lewa!

– No, nie wiem – oponował informatyk. – A co byś zrobił, gdyby na historii sztuki dano do analizy całkowicie neutralny krajobraz miejski pędzla Adolfa Hitlera?

– Ale masz porównania! – oburzył się historyk. – Im po prostu nie chciało się pisać, ot co! Znaleźli sobie pretekst i okazję do demonstracji za jednym zamachem. Idę o każdy zakład, że na prawdziwej maturze byliby pokorni jak baranki, trzy razy by się zastanowili!

Jasiek trzymał pysk na kłódkę na zasadzie, że się nie zna, ale próbował się uczciwie zastanowić, co sam by zrobił, gdyby na ten przykład zobaczył przed sobą na maturze jakiś zręcznie napisany, wczesny felieton Jerzego Urbana.

A teraz miał iść do nich na polski. Śpiewać się nie da? Dobrze. Są inne środki wyrazu.

Pogrzebał w swoich zasobach w szafce; miał tam trochę pism i książek, a także stosik najróżniejszych filmów, które według niego uczniowie powinni obejrzeć, a z których wszyscy mogli korzystać, kiedy wypadło im niespodziewane zastępstwo i nie wiadomo było, co robić. Stały tam też, nawiasem mówiąc, jego prywatne głośniki, które każdy mógł bez pytania wziąć, jeżeli innych nie miał pod ręką.

Ale teraz Janek wydobył jakiś mizerny, ubożuchny tomik i tak uzbrojony wyruszył do trzeciej c.

– Proszę zapisać temat lekcji: Polska proza współczesna. Valdemar Baldhead. – A widząc, że klasa nie łapie, wyjaśnił: – Waldemar Łysiak. Nowela *Śmierć motyla*. – I zaczął czytać jak dzieciom w podstawówce. Jasiek zawsze dobrze czytał, Elka pamiętała to doskonale z dzieciństwa, był w jej prywatnym rankingu zaraz po tacie albo nawet *ex aequo* z ojcem, nie dziwota więc, że stare barany słuchały go z uwagą. Od czasu do czasu zmieniał miejsce, przesiadał się bliżej jakiegoś niespokojnego ducha, kiedy ten zaczynał się wiercić, hipnotyzując go głosem i spojrzeniem. I niespokojny duch przycichał.

Dlaczego wybrał dla rozpolitykowanej klasy właśnie to opowiadanie? Czy miał na to wpływ komentarz historyka, że buńczuczna młodzież uległaby w momencie rzeczywistej, niemalowanej konfrontacji?

Czytał im zatem o człowieku, który się bał, bał się tak bardzo, że utracił w swoich własnych oczach godność – a potem zdobył się na gest heroiczny.

Musiał bardzo dobrze obliczyć czas, bo kiedy kończył tymi znamiennymi słowami:

> Nie chciał patrzeć w jego oczy. Nie dlatego, żeby się bał. Strach pożegnał już wtedy, gdy oddał dziecko matce. Teraz czuł tylko zmęczenie i satysfakcję: odebrał „Pułkownikowi" moc dysponowania ich życiem i tamto swoje przerażenie wepchnął w jego oczy. Ale nie chciał w nie patrzeć, by bandyta nie pomyślał, że błaga

została jeszcze minuta, kiedy wszyscy mogli spokojnie pomilczeć.

– Zadanie domowe – ogłosił równo z dzwonkiem, a wszyscy spojrzeli na niego ze zdziwieniem. – Albo nie, nie trzeba. Chyba już odrobione. – I wyszedł z uśmiechem.

Po drodze zwinął go dyrektor:

– Janku, wpadnij do mnie na dwa słowa, dobrze? – A kiedy już usiedli w gabinecie, zaczął nie bez wewnętrznego oporu: – Wisiał mi nad głową całą godzinę taki jeden gniewny tatuś chłopaka z gimnazjum, strasznie na ciebie pomstował…

– Na mnie? – zdziwił się Janeczek. – To czemu mnie nie zawołałeś?

– A co, najpierw ci wciskam zastępstwo, a potem miałem przerywać lekcję? – oburzył się dyrektor. – Powiedziałem, że jesteś zajęty. Ten bufon wykrzykiwał, że naszczułeś na niego syna i że to niedopuszczalna ingerencja w jego prywatność i władzę rodzicielską!…

– Piotr, litości, ja naszczułem?

– Bo powiedziałeś coś w rodzaju, cytuję: „Księdzu nie wolno pewnych rzeczy, tak jak żonatemu mężczyźnie poszukać sobie nowej kobiety…".

Teraz Jasiek skojarzył. Druga a była dzielna; nie przestraszyli się legendy, że śmiałek, który odważy się zahaczyć księdza o to i owo, będzie przemaglowany z gramatyki, ale pytanie potrafili zadać rzeczowo i kulturalnie:

– Proszę księdza, czy mógłby nam ksiądz wyjaśnić, w jaki sposób potrafi zrezygnować z naturalnych ludzkich potrzeb takich jak pożycie seksualne?

Odpowiedział im wtedy tak samo spokojnie i uczciwie:

– To bardzo proste. Wasi rodzice kiedyś złożyli sobie przyrzeczenie, prawda? Więc od tego momentu nie będą się rozglądać za innym mężczyzną, za inną kobietą. Nie dlatego, że gnębią ich jakieś straszliwe więzy, tylko z własnego wyboru. To nie potrzeby rządzą nami, tylko my potrzebami. Jestem dla mojego męża, dla mojej żony i koniec. Tak samo ksiądz.

– Ale przecież ksiądz nie ma żony! – wyskoczył jeden mniej bystry.

– *Ecclesia*, debilu! – usadziła go natychmiast koleżanka, a debil już nie śmiał pytać, co to za dziwne imię. Na szczęście tamtym razem Jasiek powstrzymał się od żartów à la ojciec Góra, że musi porozmawiać o nim ze swoją teściową, czyli Matką Eklezji. I dobrze, bo jak widać, szkolna łopatologia wystarczyła, by stać się kamieniem obrazy.

– I co mu powiedziałeś?

– Janek, a co mogłem powiedzieć? – westchnął dyrektor. – Że mówiłeś ogólnie, a on całkowicie opacznie wziął to za wycieczkę personalną. Ale trzeba było łobuzowi wygarnąć: uderz w stół, nożyce się odezwą. A on wrzeszczał, że do biskupa z tym pójdzie!…

– Niech idzie, dużo nie zdziała – ze stoickim spokojem stwierdził Jasiek i dodał z uśmiechem: – Na drugi raz mnie jednak zawołaj, chętnie porozmawiam.

– Tym bardziej nie zawołam! Ty go zmieciesz do parteru, on swoje groźby wprowadzi w czyn, biskup cię przeniesie… Muszę w końcu mieć jakiś program ochrony nauczycieli!

W ramach programu ochrony nauczycieli Janek załatwił z nim raz dwa zwolnienie na następny dzień i jeszcze zdążył do końca przerwy poprawić humor pani Ewie, wyjątkowo dzisiaj wściekłej, opowiadając kilka kolejnych hardkorowych kawałów o lekarzach i NFZ. (Przed operacją. Pacjent już po głupim Jasiu, ale jeszcze przytomny. „Bądź grzeczny, to dostaniesz” – mówi chirurg. „Do kogo pan mówi, panie doktorze?” – pyta zdumiony pacjent. „Do tego kota, co siedzi pod stołem operacyjnym…”). Rzecz jasna, oprócz Ewy na stoły pokładło się pół pokoju nauczycielskiego, co w znakomity sposób podniosło wydajność pracy. Następną przerwę dla odmiany przesiedział ksiądz w kącie z drugim anglistą; nikt nic nie słyszał, ale wszyscy wiedzieli, że katecheta reanimuje skutecznie kolejnego delikwenta.

Tak Janek dotrwał do dużej przerwy obiadowej i ochoczo pognał na zasłużony posiłek. Zasadniczo rzecz biorąc, gotowała im pani Teresa-dietetyczka i właśnie dlatego Jasiek doskonale wiedział, co zastanie w domu: pierś kurczaka gotowaną w folii z warzywami na parze lub coś równie zdrowego. Zjadał to oczywiście nie mrugnąwszy powieką, ksiądz Tadeusz również, tylko że potem proboszcz utrwalał się jogurtami, a on wyskakiwał do sklepu Kazia vis-à-vis plebanii po jakiś niezdrowy kontrapunkt. No i właśnie dlatego ochoczo pochłaniał w szkolnej stołówce zakazane przez panią Teresę specjały typu pierogi ze skwarkami czy pyzy z sosem. Spytacie, jakim cudem przy takim systemie odżywiania ksiądz Niziołek utrzymał wagę lekkopółśrednią? Musiał mieć drań świetną przemianę materii, niczym Patrycja Borejko. A może z innych przyczyn, o których za chwilę.

W stołówce Janek wyłowił z tłumu niejaką Asię, patykowate dziewczę z pierwszej a licealnej i zgarnął ją do swojego stolika. Tam bardziej niż zawartością własnego talerza zajął się przypilnowaniem, żeby dziecko nie miało czasu na myślenie i analizę kalorii, a osiągnął to przez dyskusję na temat filmu *Thor: Mroczny świat*. Bóg raczy wiedzieć, kiedy zdążył tę produkcję obejrzeć, a może nie zdążył, tylko posiłkował się opinią proboszcza. Rezultat był taki, że Asia zjadła wszystko, nawet tego nie rejestrując, a potem została przez księdza odprowadzona pod drzwi klasy, żeby czasami nie skręciła do ubikacji.

„Koniec na dzisiaj” – pomyślał z satysfakcją Janek, bo tego dnia miał zaledwie pięć lekcji, i ruszył po swoje manele do pokoju nauczycielskiego. Zastał tam tylko panią od biologii poprawiającą sprawdziany, która z zawodowym chłodem stawiała pałę za pałą. Bez pośpiechu sięgnął po opartą o nogę od stołu torbę i nagle wrzasnął w sposób całkowicie niekontrolowany: to coś, co wybiegło spod krzesła, doprawdy mogło budzić takie, a nie inne emocje. W sekundę potem złapał kosz na śmieci, bez skrupułów wyrzucił na podłogę cały nabój, a do pustego pojemnika załadował bydlaka, i starannie domknął za nim pokrywę.

– Co się stało? – spytała obojętnie dość pani od biologii.

– Nie, nie, nic, pająk – odpowiedział szybko spocony jak mysz Jasiek.

„Biedak” – pomyślała pani. „Nie przypuszczałam, że ma arachnofobię…”

Janek tymczasem bardzo ostrożnie uniósł kosz i starannie przytrzymując wieko, ruszył na drugie tego dnia *tête-à-tête* z władzą szkolną. U pani od biologii nawet nie próbował szukać pomocy, bo wiedział, że jest ona miłośniczką przyrody, ale wybitnie nieożywionej.

– Sorry, Piotr – powiedział z zakłopotaniem do dyrektora – ale mamy problem. Tam w środku siedzi coś takiego bardzo nieprzyjemnego…

Dyrektor miał w oczach dwa wielkie znaki zapytania.

– No, ptasznik chyba na moje wyczucie, za bardzo się nie przyglądałem – dokończył Jasiek.

Dyrektor zastygł ze zgrozy. Obaj z Jankiem wiedzieli, że po pierwsze, kilkoro dzieci naprawdę ma arachnofobię, zaś więcej niż połowa szkoły po prostu boi się zwykłych, polskich pająków, a co dopiero takich. Po drugie, pani biolożka, wielbicielka przyrody nieożywionej, miała słabe serce. Kontakt z jakże żywym przedstawicielem fauny mógł skończyć się tragicznie. Po trzecie wreszcie, informatyk i troje dzieci było alergikami wysokiego ryzyka. Strach pomyśleć, co by było, gdyby taki bydlak je dziabnął. W sumie dobrze, że trafiło na księdza…

– Jak to się stało? – zapytała ostrożnie zwierzchność szkolna.

– Ktoś wpuścił go do pokoju nauczycielskiego na przerwie obiadowej – wyjaśnił Janek.

– Wiesz kto?

Jasiek zawahał się. Oto stanął wobec delikatnego problemu, o który swego czasu uparcie wierciły mu dziurę w brzuchu ukochane siostry, zainspirowane filmem, w którym morderca zamknął księdzu usta, bo przyłapany na gorącym uczynku poprosił o spowiedź.

– Przecież co innego tajemnica spowiedzi, a co innego obiektywna obserwacja! – wykrzykiwały wzburzone.

Janka strasznie ich dywagacje irytowały, choć starał się skrupulatnie tłumaczyć, że to filmowe bzdury i mają się nie ekscytować głupimi pomysłami scenarzystów. Podobno w ten sam

sposób lekarze reagują na doktora House'a, a archeolodzy na Indianę Jonesa. Chociaż nie, Indianę Jonesa wuj Anioł uwielbiał[5].

Wszystko jednakże wskazywało na to, że podobne doświadczenie, choć znacznie mniejszego kalibru, stało się teraz udziałem Jaśka.

– Wybacz, Piotr, ale nie mogę ci pomóc – powiedział wreszcie.

Dyrektor o nic więcej nie pytał, w końcu też był bystry i mógł ruszyć głową sam. Przez kolejne dwie godziny szukał sprawcy, potem w trybie pilnym wzywał na dywanik rodziców, a ksiądz pilnował kubła, symultanicznie korespondując z kimś tam na Facebooku.

W rezultacie Janek ruszył do domu dużo później niż planował. Już w drzwiach obsztorcowała go sprzątaczka:

– A co to ksiądz wyprawiał w nauczycielskim? Kto to widział tak rzucać wszystko na ziemię? Pani profesor Woźniakowa mi mówiła!

Jako rekompensatę za straty moralne nogi same poniosły Jaśka do sklepu przy Jarosławskiej. Już miał w rękach kubełek lodów bakaliowych Zielonej Budki, kiedy zreflektował się, że niełądnie byłoby objadać się nimi na oczach księdza Tadeusza albo, co gorsza, po kryjomu. Wobec tego kupił dwie bardzo apetycznie wyglądające kiełbaski pod hasłem „z fileta". Jak z fileta, to proboszcz też może.

Zgodnie z przewidywaniami, w kuchni znalazł obiad dietetyczny w postaci gotowanych indyczych klopsików ze szpinakiem, więc bez żalu postanowił poczekać, aż proboszcz skończy w biurze parafialnym, i razem z nim zjeść obiadokolację. Potem przyjrzał się podłodze, westchnął, zdjął część uniformu służbowego i zabrał się za odkurzanie całej plebanii z domem parafialnym włącznie, nastawiając po drodze pralkę. Kiedy wreszcie z czystym sumieniem zasiadł w fotelu z *Pokutą brata Cadfaela*, usłyszał miauczenie. Kot domagał się, żeby go wpuścić. Ciekawe, mutował bardzo szybko. Kot, nie ksiądz wikary.

Biały stwór wbiegł dumnie na sztywnych łapach do środka, do dietetycznych klopsików podchodził dwa razy, zanim statecznie zaczął je konsumować, a potem bez ostrzeżenia i bez żadnego wysiłku wskoczył Jankowi na kolana. Miłe to było, a Jasiek do kota był przyzwyczajony, więc jakiś czas siedzieli tak sobie zgodnie, ale w końcu wybiło wpół do szóstej i wikary postanowił nakryć dla szefa

do stołu. Wstał i wtedy pierwszy raz od lat sześciu, czyli od obłóczyn, ucieszył się, że zawczasu zrzucił sutannę, bo czarne spodnie calutkie okłaczone na biało przedstawiały widok i tak zatrważający. Pośpiesznie zaczął się czyścić, kiedy zauważył, że biała zaraza rozłożyła się z uśmiechem na całą długość w ulubionym fotelu proboszcza.

Ktoś wątpi, że kot mógł się uśmiechać? To chyba sam nie miał kota.

Poza tym było powiedziane, że stwór mutował szybko.

[4] A czytelnik wie? Nie? Zatem mała podpowiedź: to z takiego strasznie starego polskiego filmu, chyba z roku 1960.

[5] W tym miejscu narrator pozwala sobie wyrazić nadzieję, że na sposób wuja Anioła będą traktować Janka księża.

Rozdział X

Wigilia

Elka stanęła w lekkim rozkroku z wyciągniętymi po bokach rękami. Pani celniczka robiła jej masaż lotniskowy; z drugiej strony barierki zastygli wierni rodziciele, w każdej chwili gotowi zacząć krzyczeć: „Adyć to nie terrorystka, tylko nasza córeczka kochana!”. Jasne, nie trzeba było zakładać portek z czterema metalowymi guzikami, to dzwonek na bramce by się nie rozszalał, ale to były najwygodniejsze, ukochane dżinsy Elki, a dzięki guzikom w każdej chwili dało się je skrócić do rozmiarów hobbickich. Dobrze, że torby nie ryli delikwentce, mała była, to i ryć nie było czego.

Normalnie przy każdym prawie wyjeździe Niziołki zadowalały się bagażem podręcznym. Wędrówki po górach nauczyły ich harcerskiego pakowania; wiadomo – bierz, co chcesz, ale potem musisz to tachać na własnych plecach. Najtrudniej było wyrzec się książek, dlatego lekturę na szlak planowali zawsze razem, żeby potem robić sztafetę i czytać na zmianę. To przy takim właśnie wyjeździe w ramach wymiany Ela miała okazję zasmakować w *Kwaterze Bożych Pomyleńców*, a mama w *Młodym samuraju*. Tata zabrał wtedy *Viagrę mać* Ziemkiewicza, którą co prędzej panie owinęły w gazetę, bo jak to mamuśka ujęła:

– Kobieta w moim wieku ma czytać publicznie książkę o takim tytule?!

Tym razem Ela wzięła dużą walizkę do odprawy, bo mama i Gośka – nie bez udziału Wiolki – truły jej nieustannie:

– Zabierz odpowiednie ciuchy! Zrób dobre wrażenie! Nie przynieś nam wstydu!

Jak to kiedyś kombinował tata? Bóg mu powierzył honor Polaków? Zatem spolegliwa Elka – Proszę? Czytelnik chce coś powiedzieć? Coś zasugerować? – zabrała starannie wyselekcjonowane rzeczy na każdą okazję, po części samodzielnie projektowane i robione. Miała czym się pochwalić. Walizka spuchła, a podróżniczka musiała przewidzieć miejsce dla kopy prezentów, więc stanęła przed dylematem wykupienia nadbagażu. Wtedy Fred doradził wysłanie prezentów w paczce, i bardzo słusznie, nigdy w życiu by tego Elunia razem nie upchnęła! A na domiar wszystkiego mama zabrała się do gotowania kapusty z grzybami specjalnie dla Brendana. Mała córeczka próbowała protestować, ale rodziciele ją zgasili:

– Chcesz zdobyć punkty u teścia? Weź dla niego wigilijny bigosik, on to uwielbia!

Rzeczywiście, przy każdej okazji Brendan objadał się nieprzytomnie tym polskim specjałem. Konsumpcja zagranicznych delicji wciąga. Chociaż Elce nie dane było spróbować w Szkocji haggisu – najpierw jedli z Davidem tylko kanapki, potem skurczyły im się błyskawicznie fundusze i tylko raz zjedli na stacji benzynowej takie dziwne muffinki z mięsnym farszem, bardzo dobre. Chociaż dobre może z tej prostej przyczyny, że byli wygłodzeni na suchym prowiancie. „Nic straconego, odrobię sobie latem” – pomyślała Ela.

Przepuścili ją wreszcie dalej; machając rodzicom, przeszła do środka i klapnęła maksymalnie blisko bramki, na chwilę przymknąwszy oczy. Jak zawsze o tej porze była nieprzytomna. Poza tym przez ostatnie dwa tygodnie ciągle coś się działo i miała potrzebę zrelaksowania się przed transferem w inny wymiar.

Najpierw ta koszmarna pogoda, wiatry, huragany i śnieżyce. Bilet miała Elka zabukowany po poznańsku od dawna, ale co z tego, jak drżała, czy aby lot nie zostanie odwołany. Tata wiedział doskonale, co gryzie jego Pulcherię, bo w końcu powiedział stanowczo:

– Córeczko, nic się nie martw, jakby samoloty nie latały, to odwiozę cię osobiście drogą lądową, choćby transporterem opancerzonym!

Kochany tatko, od razu zrobiło się Eli lżej.

Potem było urwanie głowy w szkole, a przecież na dodatek Elka produkowała jeszcze te wszystkie prezenty świąteczne, fakt, że częściowo perfidnie wykorzystane jako zaliczenie, dwa w jednym, można powiedzieć. Jaszczura już jej nie dokuczała, podpisała wszystkie potrzebne do Erasmusa papierki i teraz tylko trzeba było czekać.

Dzień przed wylotem wpadł Janek. Jak on to wszystko sobie organizował, przecież bez przerwy musiał teraz jeździć na Szpitalną, gdzie przekierowała go Renata, fakt, że proboszcz każdorazowo użyczał mu auta, ale i tak miał urwanie głowy. Ela widziała się z nim normalnie na mszy w niedzielę, a przyszedł specjalnie się pożegnać, co było bardzo miłe. Przy okazji jak zawsze dopompował Wiolkę i Merry'ego, chociaż ostatnio Jasia przestała wrzeszczeć i wydawało się, że chowa się dobrze, więc i jej rodzice byli spokojniejsi. Mama i tata dyskretnie pilotowali takie delikatne sprawy jak badanie wzroku, zaplanowane na początku stycznia, i dla świętego spokoju konsultacja u rehabilitanta. Nie trzeba się więc dziwić, że Wiolka wyskoczyła nawet z kawałem specjalnie dla Jaśka:

– Posłuchaj, stary, tego. Stoicie sobie z proboszczem w Pokrzywnie przy drodze i na wielkiej tablicy malujecie napis: KONIEC JEST BLISKI. ZAWRÓĆ, NIM BĘDZIE ZA PÓŹNO! – W tym momencie Janeczek już zaczął głupio rechotać, a reszta rodziny razem z nim.

Wiolka radośnie kontynuowała:

– Nagle zatrzymuje się samochód, wysiada z niego jakiś gość i krzyczy: „Zostawcie nas w spokoju, fanatycy religijni!!!". Wsiada z powrotem, dodaje gazu i odjeżdża. Po pewnym czasie słychać straszny huk. Patrzycie na siebie z namysłem i wreszcie twój proboszcz mówi: „A może by po prostu napisać: Orkan Ksawery rozwalił wiadukt na Franowie?".

– Wiola, to jest miód, opowiem jutro w szkole! – obiecał Jasiek.

– To teraz ja – wyrwał się Merry. – Siedzisz sobie w biurze parafialnym…

– Uchowaj Boże! – przerwał Janek. – Ksiądz Tadeusz to zawsze sam załatwia.

– Dobra, załóżmy, że był chory. Poszedłeś na zastępstwo, a tu przyłazi taki jeden wypicowany z narzeczoną i pyta, ile się należy za

ślub. Ty na to, że ma sam ocenić, biorąc pod uwagę wartość osiągniętego szczęścia. Facet patrzy na swoją wybrankę, myśli i wreszcie wykłada na stół pięćdziesiąt złotych.

– I co? – zapytała ochoczo siostra wikarego.

– A Janeczek przyjrzał się jej uważnie, poklepał pana młodego po ramieniu i wydał mu resztę…

Śmiali się wszyscy łącznie z tatą i mamą, szczęśliwi, że Wiolce i Merry'emu żarty w głowie. Jasiek pokręcił się po kuchni, pociągnął nosem, zajrzał do garnka z bigosikiem dla Brendana i zahaczył mamę:

– Ja się tylko pytam… – to było ulubione powiedzonko Elki, kiedy chciała popełnić jakąś niedyskrecję. – Maty, dałabyś dla nas też trochę takiej kapustki? Ja bym zrobił sam, ale nasza dietetyczka strasznie pilnuje i głowę by mi urwała!

– Głowę, za co?! – oburzyła się mama. – To wcale nie jest tłuste, przecież to wigilijna kapusta! Zielone warzywa są dobre dla diabetyków, a z wątrobą chyba proboszcz nie ma problemów?

– Nie, ale ona tak na zapas…

– Bez przesady, czego wy się we dwóch baby boicie? – skoczyła mamuśka całkowicie niepoprawnie politycznie.

– Wiesz, trzeba o nią dbać. Zanim ja się pojawiłem, ksiądz proboszcz miał gospodynię, która gotowała smacznie, ale typowo po poznańsku: kluchy na łachu, szagówki, kluchy na surowych pyrach…

– Ślepe ryby… – rozmarzył się tata, też pilnowany przez mamę, chociaż panią Teresę ośmielała się krytykować.

– …księdzu od tego cukier skoczył, że hej, próbował pertraktować o inne jedzenie, gospodyni się obraziła i tyle ją widział. Zaczął chodzić do bistra i było jeszcze gorzej. Jak wreszcie ochotniczo zgłosiła się pani Teresa…

– …kiedy ci łeb rozwalili – gorliwie dopowiedział Merry.

– …to trzeba na nią chuchać i dmuchać, żeby się nie rozmyśliła.

– Dobrze, synku, kapusty możesz dostać, ale wiesz co?… – powiedziała z namysłem mama. – Może byście przyszli do nas we dwóch z księdzem Tadeuszem na wigilię? Pani Teresie dacie wolne, a jak już koniecznie by chciała, to przy pierwszym święcie może wam zrobić indyka. Indyk to najchudsze mięso.

– Bardzo dobry pomysł – przyłączył się tata. – Elka wyfruwa w świat, Gosia z Fredem jadą do Gorzowa… Przyjdźcie, posiedzimy sobie razem z Wiolcią i Merrym. Na pasterkę zdążycie spokojnie.

– Zrobię kapustę i specjalnie dla proboszcza rybę po grecku, i może jeszcze w galarecie – zadeklarowała się mama. – Grzybową może jeść?

– Może, w zeszłym roku się zajadał. Ale barszczyk też lubi.

– To ja zrobię barszczyk! – skoczyła Wiola. – Poproś go, Janek, będzie fajnie!

Kusili tak Jaśka we czworo, aż im obiecał mediację, a Elka coś zauważyła. Ciekawe, dotąd nigdy na to nie zwróciła uwagi. Nawet Merry i Wiolka nie mówili już do Janka „Pip". Nadane kiedyś Merry'emu przez tatę przezwisko przetrwało i przylgnęło do niego na zawsze, ale wyśniony i skrzętnie zaplanowany Peregryn wydorośłał i przestał być Pipem. Chyba faktycznie Ela jest ostatnia, która się do niego tak zwraca, i to też coraz rzadziej.

Jasiek zapytał jeszcze, czy po Alfie nie został może transporter, bo Biała Zmora zadomowiła się u nich na dobre i powinni ją pokazać weterynarzowi.

– Próbowaliśmy ją wsadzić do torby – opowiadał siostrze, kiedy zeszli razem po klatkę do piwnicy. – Sekundę trwało, jak wypruła pazurami dno i nawiała.

– To macie kota-terrorystę! – zaśmiała się Ela.

– Jakbyś zgadła! Panią Teresę traktuje jak powietrze, mnie toleruje jako obiekt w porywach użyteczny i w sumie szanuje tylko proboszcza. Wyczuwa szefa, ale też się z nim odrobinę siłuje, cały czas prowadzi podstępny bój o fotel. A raz zdobyty fotel jest już praktycznie nie do użytku przez białe kłaki… – Fakt, białe kudły na całym tyle sutanny mogły skutecznie poderwać największy nawet autorytet duszpasterski.

Na odchodnym Janek szepnął jej jeszcze:

– Ucałuj Davida od… siebie, a ode mnie uściskaj!

„Cha, cha, dowcipniś!" – pomyślała Ela. „Zrobię to, nie bój się! Cześć, Pip!"

– Pasażerowie lotu W sześć jeden dziewięć zero jeden do Londynu Luton proszeni do wyjścia numer…! – ogłosiła niewyraźnie pani,

zupełnie jak w *Misiu*. Numer ile? Powtórzyła komunikat po angielsku, o dziwo teraz Ela zrozumiała bez problemów. Nawet nie musiała stosować metody z dzieciństwa, czyli iść za ludźmi.

W samolocie dopadła miejsca przy oknie, nie po to, żeby patrzeć, bo nie było na co, chmury jak mleko, tylko żeby przespać się choć godzinkę nie molestowana przez panie stewardessy, jeżdżące swoim wózeczkiem z piciem, jedzeniem i pamiątkami. Kondycja była jej potrzebna na później. Trochę się bała; trochę to za mało powiedziane, czuła tremę, że hej. Tak bardzo chciała dobrze wypaść! Oczywiście, nie bała się Brendana, Jennifer i Uny, ale została uprzedzona, że zjechała do nich siostra Brendana, słynąca z ostrego języka; z kolei na obiad w pierwsze święto miało przyjść kilka osób z dalszej rodziny. Poza tym mieli pojechać z Davidem w odwiedziny do jego babci do Bangor. No i jeszcze wizyta u proboszcza!

„Nie, chyba jednak nie zasnę" – westchnęła w duchu Elka. „Ale może chociaż zrelaksuję się trochę…"

A wszystko przez to, że jej wizyta miała taki formalny charakter. Mamie i tacie oszczędzony był cały ten rytuał przedstawiania narzeczonej, bo najpierw ładnych kilka miesięcy występowali w charakterze dziewczyny Robercika i chłopaka Różyczki, więc towarzystwo zdążyło się napatrzeć i opatrzyć, a dopiero potem ustrzelili ich wieścią o bliskim ślubie. Cóż, Eli i Davidowi z kolei odpadło zapoznawanie wzajemne teściów. Mama wspominała, jak to zestresowane Niziołki przyszły na wizytę do Kotoniów, a przypadło to na owe fatalne dwa tygodnie, kiedy wszyscy byli przeświadczeni, że rodzina będzie się multiplikować. Dziadek Kotoń stanął na wysokości zadania, spacyfikował przyszłego teścia córki za pomocą koniaczku, natomiast pań pacyfikować nie trzeba było, bo natychmiast znalazły wspólny język, a nawet dwa: szkołę i kryminały. Wszystko dobrze poszło, ale w sumie jak to miło, że Bachowie z Niziołkami znają się od zawsze.

Na Luton Elka miała szczęście, jej walizka pojawiła się jako pierwsza, potwierdzając w ten sposób teorię Freda, że najpierw wjeżdżają bagaże w oczoje…, to jest w jaskrawych kolorach. Bagaż Eli, całkiem jak niegdysiejszy moherowy beret Merry'ego, był w tak krzyczącym odcieniu seledynu, że aż zęby bolały od patrzenia, ale

jak widać na załączonym obrazku, spełnił swoje zadanie. Cna narzeczona mogła gnać do ukochanego.

Czekał zaraz przy wyjściu; Ela dała zadość życzeniu Jaśka, i to dubeltowo, po czym stwierdziła, że brata, i to księdza w dodatku, słuchać trzeba, i powtórzyła zalecane czynności raz jeszcze. David też.

Na parkingu otworzył przed swoją małą dziewczyną drzwi samochodu z prawej strony, a ona zagapiła się, zrobiła ruch do środka… i już było za późno! Siedziała za kierownicą!

– No to jazda! – powiedział uradowany, nie słuchając jej protestów. – Nie piszcz, mała, musisz się nauczyć, im prędzej, tym lepiej. Kupiłem ci ubezpieczenie na te dwa tygodnie. – W Wielkiej Brytanii ubezpieczenie idzie za człowiekiem, a nie tak jak u nas za samochodem. – Nic się nie bój, pogoda dobra, będę cię pilnował – powiedział krzepiąco i na jednym oddechu dodał: – Jak rozwalisz mi brykę, będę się mścił! – Po czym od razu zademonstrował, co rozumie przez zemstę. Nie wiadomo, czy był to odpowiedni pakiet motywacyjny, żeby auto dojechało jednak w jednym kawałku.

Ruszyli na obwodnicę, David cały czas komenderował: – Lewy pas, mała, lewy pas! – bo Elka z przyzwyczajenia co rusz starała się lokować na najszybszym prawym. Podobało jej się to pokrzykiwanie, mówił do niej całkiem jak Janek i Gośka, z tym że on robił to po walijsku, czyli używał słówka „bach”. Fajnie, Ela mogła to potraktować jako własny przedślubny kalambur. Długo nie jechali, kiedy kazał jej skręcić w prawo na Oksford.

– Pojedziemy inaczej, rozkręcisz się na dwupasmówce, a potem już będzie normalna droga – oznajmił. Normalna, tak? Znaczy, dwukierunkowa? Elka chciała protestować, ale ku własnemu zaskoczeniu stwierdziła w duchu: „A co tam! Autostrada jest nudna! Niech będzie normalna!”.

Od Oksfordu jechali zatem normalną szosą, konsekwentnie na przedłużenie, i nie skręcali na autostradę, tylko w Gloucester przenieśli się na prawą stroną rzeki Severn – tak, tej samej! Elce jechało się coraz lepiej, przestała już szukać drążka biegów z prawej strony przy drzwiach; David za każdym razem radośnie rechotał, a ona razem z nim. W końcu jednak z własnej inicjatywy zjechała na

malowniczy parking nad rozszerzającą się w zatokę Severną (taka wersja tłumaczenia zawsze najbardziej jej się podobała), mówiąc dobitnie:

– Przez miasto ty jedziesz! Miejże trochę rozsądku! – I pewnie dzięki temu dojechali jednak cało.

Była dopiero pora lunchu, ale w domu zastali komplet z Brendanem włącznie. Ela była jednak odrobinę speszona, nie wiedziała, jak się do nich odezwać, chociaż i od Davida, i od taty dostała instrukcje, że w brytyjskiej konwencji do teściów mówi się po imieniu. Na szczęście oni sami byli klasa, wyściskali przyszłą synową całkiem nie po brytyjsku i przejście na „Brendan" i „Jennifer" przeszło wręcz niezauważalnie. „Trzeba by to jakoś ujednolicić" – przemknęło Elce przez głowę, bo David z kolei do jej staruszków zwracał się po polsku, mamo i tato. W końcu anglista i żona anglisty nie mieliby chyba nic przeciwko takiej globalizacji?

Na razie przekazała Brendanowi kapustę z grzybami, wprawiając go zgodnie z prognozą mamy w zachwyt. Chciał jeść od razu, ale Una bardzo stanowczo wydarła mu pojemnik z rąk i zabrała do kuchni, przykazując:

– Tato, wytrzymaj, to na kolację wigilijną, prawda, Ella? – Poszukała wsparcia u bratowej i ta *nolens volens* musiała przytaknąć. Cóż, trafił swój na swego, Una miała charakterek!

Przy stole konwersacja szła gładko; prawdę mówiąc buzia się Eli nie zamykała i na jednym oddechu opowiadała o wszystkich: o rodzicach, o Janku, o Gośce, Fredzie i Jagódce, o Merrym, Wioli i Jasi… W pewnym momencie zauważyła, że Brendan i David popatrują na siebie z dyskretnym uśmiechem i czymś w rodzaju… jak by to określić? Satysfakcji? O co chodzi?

Po lunchu Brendan zmył się do szpitala, a Elkę zainstalowano w pokoju Uny.

– W pokojach gościnnych na piętrze ulokowaliśmy ciotkę Mary – zaczął wyjaśniać z lekkim zakłopotaniem David. – Tam jest dużo miejsca, zmieściłabyś się bez problemu, ale uznaliśmy, że będziesz się lepiej czuła tutaj, u Uny… – „No pewnie" – pomyślała Ela. Już tu spała latem, więc czuła się swojsko, bo wszędzie było mnóstwo książek, całkiem jak u Niziołków na Pamiątkowej.

– Tu jest dla ciebie przygotowane łóżko, a ja rozłożę sobie sofę, będzie fajnie, pogadamy, poobgadujemy mojego braciszka – powiedziała zachęcająco Una.

– Z ciotką mogłabyś mieć ciężkie życie – zignorował ją David. – Przyłaziłaby do twojego pokoju, pytlowała bez przerwy. W głowie by ci się zagotowało po dwóch dniach! – Był brutalnie szczery, nie ma co, musiała mu ciotka mocno zaleźć za skórę. „Nie hamuje się ani trochę, młodzianek święty, na moment przed przyjęciem na łono Kościoła”… – przemknęło Eli przez głowę. I nie wiadomo czemu uśmiechnęła się.

– A tu będziesz bezpieczna, bo ona się mnie boi – obwieściła radośnie Una i zaczęła ostrzyć sobie pazury o nogę biurka. To jest, narrator bzdury gada, pomyliło mu się z Białą Zmorą, która ani chybi tak by uczyniła, ale co tu kryć, podobieństwo było zdumiewające. Una miała w sobie koci wdzięk i spokojną pewność siebie, jednocześnie narzucała swoją osobowość i dawała się lubić. No i były podobne, Biała Zmora i ruda Una z bardzo jasną karnacją.

– W Wigilię wpadnie też Rafał i zostanie na noc, to i ja będę miał z kim obgadać ciebie – dorzucił żartobliwie David.

„Rany, zapomniałam o Rafale” – pomyślała z lekkim popłochem szczęśliwa narzeczona, co to tylko jedno miała w głowie. Rafał pomieszkał na jesieni u Bachów przez miesiąc, a potem wynajął sobie jakiś mały domek, ale już nie w mieście, jak za pierwszym razem, tylko gdzieś tam na zachodnim wybrzeżu. Jego kontrakt trwał do wiosny. Cóż, będzie miała okazję pogadać z kuzynem, co planuje dalej.

Bachowie przedstawili świąteczny scenariusz: w Boże Narodzenie miał być oczywiście uroczysty obiad po brytyjsku, z indykiem i puddingiem, ale Ela poczuła się zaszczycona i zawstydzona jednocześnie, bo specjalnie na jej cześć – no, może także na cześć świeżego konwertyty – przewidziano całkiem autentyczną, porządną wigilię z polskimi akcentami! Jennifer zapytała nawet, czy musi być smażony karp czy wystarczy jakaś zwykła ryba, na co Elka przytaknęła gorąco, że tak, tak, wystarczy! *Fish and chips* zawsze jej w Wielkiej Brytanii bardzo smakowały, zresztą skrzętnie skrywaną tajemnicą Niziołków była awersja do karpi. Cała piątka jak jeden mąż

pluła męczeńsko karpimi ościami w talerz i kiedy tylko się dało, podmieniali je na nieortodoksyjne, bezościste filety z różnych tilapii czy po prostu dorszy. Szczytem szczytów natomiast były wyprawy nad Wartę pod hasłem „uwolnić karpia", zainicjowane kiedy jeszcze Gośka i Janek byli zupełnie mali, i konsekwentnie kontynuowane przez wiele lat. Co to znaczy? No po prostu mama kupowała karpia i szło się wypuścić go do rzeki… Bo to nieprawda, że w Warcie ryby zdychają; Herbert był zapalonym wędkarzem i złowionymi własnoręcznie szczupakami obdzielał ochoczo krewnych. Były smaczne, choć też ościste.

– Chciałabyś może pojechać do sklepu po coś ekstra? – zapytał David, patrząc w oczy ukochanej tak niewinnie, że ta o mało co się nie nabrała.

– A suszone grzyby są u was osiągalne? Zrobiłabym zupę – odpowiedziała jednak z błyskawicznym refleksem. Gadanie, grzyby miała jeszcze niewypakowane w walizce, a mamuśka przetrenowała ją skrupulatnie, żeby mogła u teściów błysnąć kulinarnymi talentami.

– W Sainsbury's powinny być – dokończył wymianę zdań David, nie spuszczając z Eli spojrzenia. Wypracowawszy sobie takie alibi, mogli spokojnie poświęcić dwie godziny na poszukiwanie *Polish food* gdzieś w ustronnym miejscu, na przykład nad morzem koło lotniska wojskowego. Może nawet trzy, przydałyby się jeszcze uszka… Po co to wszystko, zapyta czytelnik, nie prościej byłoby zorganizować sobie święty spokój w domu? Najpierw osobne sypialnie, a potem takie podchody? Rany, ale jesteście dociekliwi. A po co wszyscy mają o wszystkim wiedzieć, z czytelnikiem włącznie?

Wieczorem Ela zgromadziła w kuchni komplet wiktuałów, z błyskawicznie wydobytymi grzybami na czele, rzecz jasna. Rolę uszek miały pełnić tortellini, a dodatkowo słodka synowa zobowiązała się upiec pierniczki. Produkty na nie zostały zakupione w pięć minut w sklepie za rogiem. Chodziły jej wprawdzie po głowie jeszcze świderki posypane makiem, pełniące obowiązki klusek, ale postanowiła dać sobie i tutejszej rodzinie spokój. Co ich będzie katować.

Równo z przedsiębiorczą parą pojawiła się siostra Brendana, która naprawdę cały dzień spędziła w galeriach handlowych. Ela została jej

przedstawiona, wymieniły wzajemne grzeczności, nie było tak źle, chociaż ciotka miała koszmarną artykulację i w dodatku w czasie rozmowy nie nawiązywała kontaktu wzrokowego, tylko cały czas miotała się po pomieszczeniu. Jennifer i David po dwa razy powtarzali jej, że ma mówić wyraźnie, ale to było gadanie do ściany. Wreszcie wkroczyła Una.

– Ciociu, Ella już się z tobą pożegna, jest zmęczona, wstała dzisiaj o czwartej rano. – Nawet można powiedzieć, że o trzeciej, biorąc poprawkę na zmianę czasu. Faktycznie, Elka ledwo żyła.

Ciotka asystowała dziewczynom do drzwi sypialni Uny, wyraziła zdziwienie z lokalizacji, tak się przynajmniej Eli wydawało, bo jedną nogą była już w środku. Una coś tam wyjaśniała i wreszcie ciotka dała spokój. Elka wzięła ekspresowy prysznic i wskoczyła do łóżka. „Już nawet nie mam siły na plotki, szkoda, ale to nic straconego" – pomyślała sennie. Una coś powiedziała.

– Chwila!… – Ela sięgnęła do pudełeczka, bo przedtem zdążyła już przysposobić się do snu, czyli zdjąć aparaty. Teraz pośpiesznie nałożyła tylko jeden, lewy, na lepsze ucho.

– Mówiłam, żebyś sobie smacznie spała, ja jeszcze godzinkę posiedzę – powtórzyła Una. I nagle dodała z błyskiem w oku: – Nie zrozumiałaś, co ciotka powiedziała na końcu, prawda? Bo jakoś nie zauważyłam panieńskich rumieńców…

Elce prawie że odechciało się spać. Co, u diabła, ta ciotka powiedziała?

– Pytała, dlaczego tutaj – wyjaśniła Una.

– No wiem, ale już mi się nie chciało tłumaczyć, że wolę u ciebie niż w gościnnym…

– Nie, nie – uśmiechnęła się szwagierka. – Ona miała na myśli, czemu nie jedną sypialnię dalej.

Czyli u Davida. „O nie, ani mi się śni płonąć rumieńcem" – powiedziała sobie twardo Elka.

– I jak ją spławiłaś?

– Dostroiłam się do jej stylu. Z nią tylko tak można. „Droga ciociu, co też ciocia mówi? Za cioci czasów tak było?" I od razu mówiła „dobranoc". – Una mrugnęła porozumiewawczo. – Ella, słuchaj… Ty

zdejmujesz na noc aparaty słuchowe, prawda? I co, zawsze tak będziesz robić?

Teraz naprawdę ogień buchnął Eli do twarzy. Dobrze, że pokój, oświetlony już tylko małą lampką, tonął w półmroku. Z wysiłkiem przybrała żartobliwy ton.

– Jeżeli myślisz o tym samym co ja, to czas pokaże – odmrugnęła. – Co do dziecka, to będzie do niego wstawał David – dopowiedziała jeszcze słodko. Zelektryzowana Una siadła prosto, ale zaraz uznała słusznie, że rozważania są czysto teoretyczne z akcentem futurystycznym.

Ela przykryła się z głową i mogła pozwolić sobie na luz. To było podczas letniej wyprawy z Davidem po Szkocji, w Glenbrittle nad Fairy Pools; śmiali się i żartowali, że woda jest lodowata jak w *Harrym Potterze*, i wtedy ona zaczęła zdejmować aparaty. I zatkało ją. Niby wszystko było jak na najzwyklejszej pływalni, a jednak…

– Jakby co, musisz mi mówić wprost do ucha – obwieściła pozornie obojętnym tonem i chlupnęła do stawu. Ale zdjęcie aparatów przy Davidzie urosło do rozmiarów ultraintymnych. Bardziej niż zdjęcie ciuchów. A potem, kiedy wreszcie wyszli, David zarzucił na nią ręcznik i powiedział zgodnie z instrukcją wprost do ucha:

– Przebierz się spokojnie, poczekam na górze!

Czy właśnie wtedy to się zaczęło?

Dwa kolejne dni upłynęły mile, acz przewidywalnie pod znakiem kuchennej krzątaniny oraz starannego poszukiwania kolejnych niezbędnych produktów, w tym barszczu z kartonika, który David wypatrzył w Tesco na półce dla cudzoziemców. Za to wieczory, spędzane zgodnie z zapowiedzią Uny na plotkach, były nadzwyczaj ekscytujące. Ela dowiedziała się mnóstwa ciekawych rzeczy o wszystkich domownikach, nie tylko o Davidzie. Między innymi został uchylony rąbek pewnej nad wyraz intrygującej tajemnicy sprzed lat… ho, ho, z górą trzydziestu pięciu!

– Tacie strasznie imponował wuj Robert, znajomością języków obcych, Tolkiena, historii Brytanii – opowiadała Una, a Elka puchła z dumy. – Tym, że polski chłopak rwie się do walijskiego, a on sam ledwo potrafi coś tam wydukać. Opowiadał nam jeszcze, że twój tata

zawsze tak idealnie się zachowywał, jak lord; wstawał, kiedy do pokoju wchodziła obojętnie, czy stara baba, czy dziewczyna… No i postanowił sobie zakpić z tak dobrze wychowanego kolegi, niezwykle pieczołowicie nauczył go pewnego walijskiego idiomu, który akurat sam z pewnych przyczyn dobrze opanował. Powiedział mu, że to walijskie pozdrowienie. – Aha, Elunia już wiedziała, co będzie dalej! – Do końca swojego pobytu w Polsce trenował z nim wymowę, a dopiero na schodkach autobusu przyznał się, co to właściwie znaczy. Bał się wtedy trochę, czy nie dostanie na odjezdnym po pysku.

– I co? – zapytała Elka skwapliwie.

– Nic! Twój tata zaczął ryczeć jak głupi i rozstali się w świętej zgodzie.

„A więc tak to było!" – zaśmiała się sama z siebie Elka, bo przecież oceniła tatę gorzej, niż na to zasługiwał. „Moment, trzeba dopytać do końca, jak już jest okazja!…"

– Una, a kto nauczył Brendana najbardziej popularnego polskiego przekleństwa?

Unie oczy się zaświeciły, upewniła się, czy myślą o tym samym, rrr zawarczało jak złoto, i skwapliwie zaraportowała, że kumpel, u którego wtedy jej stary nocował. Tata był niewinny. To Elcia deprawowała rodzinę Bachów, nie on.

– David mi opowiadał…

„Oj, teraz będzie o mnie, już się boję!" – jęknęła w duchu Elka.

– …że to słowo ma kilka znaczeń i może też wyrażać emocje pozytywne, na przykład zachwyt.

„Dzięki, kochany, za tak tolerancyjne potraktowanie mojej osoby…"

W następny wieczór była już wigilia. Przygotowana perfekcyjnie, zarówno od strony obyczaju, jak i kulinarnej. No, ta druga miała elementy nieortodoksyjne, za to entuzjastyczne, na przykład zamiast klusek czy, jak to Elce przemknęło przez myśl, świderków posypanych makiem, miał wystąpić deser w postaci masy makowej z miodem, bakaliami i bitą śmietaną. Ela zrobiła go sama, to nie było z polskiej półki w Tesco! I całkowicie samodzielnie upiekła dwie wersje pierników, małe z kolorową posypką i duży à la murzynek, do krojenia. Należy ją w tym miejscu pochwalić, że ten drugi, napchany

orzechami i figami i pachnący zabójczo, wyszedł imponująco! W ogóle cały dom napełnił się typową mieszanką zapachów, które Elka tak bardzo lubiła: ryba, grzyby, kapusta, cynamon…

Zasiedli do stołu wszyscy w komplecie, łącznie z Rafałem, który pojawił się już wczesnym popołudniem. Nad częścią oficjalną czuwał przejęty David, nawet ciotka Mary przestała na chwilę gadać i dała spokojnie przeczytać Ewangelię. Potem Ela wystąpiła z opłatkiem, a Brendan pośpieszył wytłumaczyć siostrze, o co w tym chodzi. Przez te wszystkie lata Robert wyedukował go idealnie, Brendan wiedział dużo więcej niż przeciętny polski zjadacz karpia. Po prawdzie Elka miała mieszane uczucia co do zdjęcia z jej barków ciężaru konwersacji z ciotką: z jednej strony była wdzięczna, bo ciotka, do imentu niereformowalna, cały czas mówiła niewyraźnie, z drugiej czuła zażenowanie, że może być uznana za niegramotną cudzoziemkę z Europy Wschodniej, co to wysłowić się nie potrafi.

Konsumpcja zaczęła się od Elkowej zupy grzybowej w dwóch wersjach: tradycyjnej i zmiksowanej jako zupa-krem, specjalnie dla ciotki, żeby miała mniejszy szok kulturowy. Cioteczka spróbowała, coś tam powiedziała, Ela uśmiechała się do niej promiennie i potakiwała metodą pana Podgórnego, teścia Gośki, który ogłuchł w wieku mocno pofrodowym, czyli grubo po pięćdziesiątce, siłą rzeczy szkoły takiej jak Elka nie miał, więc mało co przy stole i w innych sytuacjach rozumiał, ale się do tego nie przyznawał.

– Małpa – warknęła Una pod nosem, a to akurat Elunia zrozumiała doskonale. Potem dopiero się dowiedziała, że ciotka na jednym oddechu pochwaliła jej produkcję, dodając po „ale” opis kremu grzybowego konsumowanego w jakiejś wykwintnej knajpie. Niechcący panna Niziołek wyszła na osobę idealnie zachowującą się przy stole.

Po rybie, a przed deserem David przyniósł laptop i przypomniał Eli, że o siódmej miała połączyć się z poznańską rodzinką na Skypie. Fakt, o mało nie przegapiła godziny, straciła poczucie czasu, ale w końcu nie ma co się dziwić, pierwszy raz tutaj, u boku Davida… W Polsce była już ósma, specjalnie tak się umówili, żeby nie wchodzić sobie w paradę. Z jednej strony z uwagi na różnicę czasu – na Pamiątkowej do wigilii siadano zawsze koło piątej, na tutejsze

warunki byłoby to za wcześnie. Z drugiej, co tu ukrywać, Elka z Davidem byli odrobinę zazdrośni o celebrację, chcieli to zrobić sami, a gdyby wigilia odbyła się symultanicznie *on-line*, siłą rzeczy część oficjalna przeszłaby w ręce fachowca, czyli Elkowego ukochanego brata, wspartego przez szefa.

„Niech udzielają się w Poznaniu, a nam dadzą robić swoje!" – pomyślała z odrobiną zawziętości siostra fachowca.

Ale kiedy tylko się połączyła i ujrzała ich wszystkich na ekranie, momentalnie wszelkie tyciuteńkie małostkowości jej przeszły. Tamci byli już po konsumpcji zasadniczej, skubali desery, a wszędzie poniewierały się papierki pozdzierane z prezentów. Przełamano się wirtualnie opłatkiem, wszyscy zaczęli składać sobie życzenia w dwóch językach, nawet ksiądz Tadeusz wyangielszczył się całkowicie poprawnie, a potem już w ojczystej mowie podziękował Eli za prezent. Cała rodzina dostała Elkowe produkcje z warsztatów tkacko-krawieckich w postaci najróżniejszych szaliczków, z tym że dla osób duchownych przewidziana była ich wersja klerykalna, czyli stuły, trochę podobne do dominikańskich, ale tylko trochę. Elka już nie naśladowała niewolniczo podpatrzonych wzorów, starała się myśleć samodzielnie. Dla Jaśka dodatkowo na urodziny przewidziany był prezent ekstra, zrobiony już dawno temu i skrzętnie przechowywany, a mianowicie ornat, ten sam, na temat którego wzorowa studentka odbyła swego czasu dyskusję z Jaszczurą.

„Jak przefrymarczył kapę, niech ma ode mnie coś innego" – pomyślała Elka ze starannie skrywaną w duszy czułością. Kto jak kto, ale brat od pierwszego rzutu oka docenił jej inwencję, bo tak jak wciskała pani doktor, mały antyczny ornat świętego Andrzeja, osobiście podrasowany, to było pół drogi między starą a nową liturgią. Janek zamachał do siostry entuzjastycznie łapką, tyle że zaraz potem zaczął się zwijać, bo jak rodzice wyjaśnili, obiecał wpaść do chorego jeszcze tego wieczora, a proboszcza na pasterkę miał dowieźć tata.

Ela wróciła ciałem i duchem do jadalni Bachów. Ciotka Mary coś do niej mówiła, więc skupiła się maksymalnie.

– Twój brat jest księdzem, ach tak, teraz wiem, skąd ta nagła decyzja Davida, ale przecież brrrm, brrrm… – Już nie rozumiała,

psiakość!

– Nie, ciociu – dał się słyszeć w tym momencie pogodny, ale stanowczy głos Davida. – Krewni krewnymi, ale do pewnych rzeczy dochodzi się niezależnie od tego.

– I to nieraz po wielu latach przemyśleń – dołączył Brendan z naciskiem. Ela przyjrzała się obu panom uważnie.

„Jacy oni do siebie podobni" – zauważyła. „Nie tylko z wyglądu, z charakteru też…"

Ciotka już nie drążyła, popatrzyła jedynie na brata z uniesionymi brwiami, ale dała spokój, przynajmniej jemu.

– Moja droga, powiedz mi wobec tego, jak by to było… – Znowu Ela nie rozumiała!

„Zaraz szlag mnie trafi przy świętej Wigilii!" – warknęła, na szczęście tylko w duchu.

– Kochana ciociu – powiedziała za to na głos tak bardzo uprzejmie, jak tylko córka swego ojca mogła to uczynić – czy mogłabyś łaskawie powtórzyć, a na przyszłość mówić do mnie wyraźnie i twarzą w twarz? Upraszam o twoje względy, jestem głucha!

Ciotce oczy zrobiły się okrągłe.

– Proszę?! To dlaczego nikt mi o tym nie powiedział?

„Jak to nie powiedział, mówili na okrągło, tylko że tobie potrzebny był jeszcze list motywacyjny w punktach i na ozdobnym papierze!" – Taka mniej więcej refleksja była udziałem Eluni. A u spowiedzi przedświątecznej była? Uczyniła tam może jakieś mocne postanowienie poprawy?

– Widocznie wszyscy uznali, że nie jest to cecha dystynktywna Elli – powiedziała Una z profesjonalnym chłodem licencjata nauk przyrodniczych.

Ciotka przyglądała się Eli ciekawie.

– Nie słyszysz od urodzenia? Zdiagnozowano przyczyny?

– Tak, ciociu, od urodzenia – odpowiedziała Elka uprzedzająco grzecznie. – Moja mama chorowała w ciąży na różyczkę.

– Ach, tak – westchnęła ze współczuciem ciotka. – Mama nie wiedziała, co jej jest. – Na końcu tego zdania z całą pewnością nie było pytajnika.

– Wiedziała, oczywiście – powiedziała naiwnie Ela; dała się wpuścić, a przecież mogła się tego domyślić, mając Brendana *en face* i czytając w jego twarzy jak w otwartej księdze.

– Jak to, i nie usunęła ciąży? – zdumiała się ciotka, tym razem nadzwyczaj wyraźnie, jak po szkole dykcji.

Kobieto, czy ty w ogóle rozumiesz, co powiedziałaś?

David zesztywniał, Una i Jennifer nabrały oddechu, Rafał z całym krzesłem odwrócił się w kierunku kuzynki i tylko jeden Brendan miał dziwny wyraz twarzy. Zamiast się wkurzyć, ewentualnie wyjaśnić problem jako lekarz, patrzył na swoją siostrę spojrzeniem tak pełnym litości, że przystopował tym wszystkie Elkowe emocje. Wobec tego w miejsce błyskotliwej riposty typu: „Nic straconego, może ciocia ją wspomóc i dokonać późnej aborcji, jakiś tasak w kuchni się znajdzie!", nieusunięta powiedziała głosem radosnej kretynki:

– To co, rozdajemy prezenty? Bo, proszę cioci, w Polsce prezenty dostaje się w wieczór wigilijny, nie w pierwsze święto!…

Brendan popatrzył na nią z wdzięcznością – tak przynajmniej jej się wydawało. Wszyscy się ruszyli, zaczęli wymieniać paczki i paczuszki, jak zawsze przy takiej okazji atmosfera się rozluźniła; Ela przeglądała świetny przewodnik po Szkocji, sądząc w pierwszej chwili, że to od Davida. Jednak po minie Uny domyśliła się, że to szwagierka robi maleńkie aluzje do ich ostatniej wyprawy, bo książka poprzetykana była wstążeczkami z naklejonymi uśmiechniętymi mordkami i napisami: JESZCZE TU. Od Davida była, jak się okazało, koperta z biletami na drugą część *Hobbita* do Odeon Cardiff Imax. Ela poczuła się w stu procentach jak w domu.

Prezent od Brendana i Jennifer z kolei zachwycił ją i zawstydził: śliczna, delikatna przepaska na włosy z białego złota, coś jak tiara, idealnie pasująca do wymyślonej przez nią ślubnej kreacji! Rzuciła się dziękować, teściowie z kolei komplementowali jej wyroby – David i Una dostali tkane kamizelki, David męską, w dwóch odcieniach granatu, Una śmiesznie pstrokatą, a Rafał i ciotka tradycyjne szaliczki – ten dla Rafała błyskawicznie wycofała Ela z paczki dla Davida, bo przecież zapomniała o kuzynie ze szczętem. Brendan i Jennifer dostali prezent wspólny, tkaną narzutę na łóżko; to była

pierwsza duża Elkowa praca na krosnach i chyba wyszła nieźle, bo teściowie szczerze nad nią cmokali.

– Jakie to piękne! – usłyszeli nagle głos ciotki. Stała koło narzuty, głaskała ją i miała w oczach tęskno-pożądliwe błyski. Bardziej nawet tęskne niż pożądliwe.

Wtedy Brendan zrobił coś, czym w oczach Elki wybił się hen, wysoko na piedestał niedościgłego wzorca, niemal jak tata, mało tego, całkiem jak tata!

– Proszę, Mary – powiedział po prostu. – Przyjmij to od nas. Widzę, że bardzo ci się podoba, a to największy komplement dla twórcy, Ella będzie szczęśliwa. A dla nas – dodał z szelmowskim uśmiechem, całkiem jak David – do ślubu zdąży zrobić drugą. Bo inaczej nie dostanie błogosławieństwa.

„No pewnie, kochany *father-in-law*, zrobię wam taką kapę, że całe Cardiff będzie przychodziło oglądać!" – powiedziały oczy Elki. „Jesteś klasa!"

Kiedy wreszcie kolacja się skończyła, Ela pobiegła do sypialni po tajny, dodatkowy prezent dla Davida. Szalika nie miał powodu żałować. Wyjęła tajemniczy rulon, zawróciła na korytarz i zderzyła się z Davidem. On robił to samo. I też trzymał w rękach podobny rulon.

– To dla ciebie! – powiedzieli jednocześnie.

I po chwili zaśmiewali się oboje, bo kiedy rozwinęli swoje rulony, światło dzienne ujrzały dwie mapy Śródziemia, każda z ponaklejanymi zdjęciami ze Szkocji. Różnice były niewielkie, na przykład Davidowi Fairy Pools kojarzyły się z Rivendell, a Eli bardziej swojsko z Brandywiną. Nie pozostawało im nic innego, jak gorąco pogratulować sobie jednomyślności, jakże dobrze rokującej na przyszłość. Co do metod niech czytelnik się domyśli.

W tym samym czasie, kiedy to czynili, zgromadzone na Pamiątkowej towarzystwo, zamiast bogobojnie śpiewać kolędy, korzystało z okazji, że Jasiek ich opuścił, i pytlowało tylko o nim, jak kółko babek różańcowych, chociaż w istocie składało się z trzech wspaniałych mężczyzn i dwóch jeszcze może wspanialszych kobiet. Ksiądz Tadeusz dowiedział się o swoim wikarym tylu ciekawych rzeczy, że pewnie mu uszy zwiędły, w zamian za co udzielił Niziołkom

i Wiolce z Merrym równie pasjonujących informacji. W każdym razie ocknęli się w ostatniej chwili, żeby proboszcza ekspresowo zawieźć do Krzesin na pasterkę, a jeszcze po drodze tata i mama serwowali mu pożegnalne rewelacje, z wzajemnością.

W godzinę później na katolicką pasterkę do katedry świętego Dawida jechał dwoma samochodami komplet Bachów, Bach *in spe*, kuzyn Bacha *in spe* o archanielskim imieniu i nazwisku oraz – a tak! – Bach *de domo*.

Ogień krzepnie, blask ciemnieje. No i cuda ogłaszają, choć to z innej kolędy.

Rozdział XI

Okiem mamy

– Cicho! – syknął ukochany Robert, chociaż sam miał ochotę parsknąć na cały regulator jak jego Różyczka. Właśnie służbiści elfowie robili krasnoludom rewizję osobistą, a Legolas dociekał, kogo wyobrażają dwa konterfekty znalezione przy Glóinie; osoba z brodą okazała się jego żoną, zaś „odrażającym goblinowatym stworem" – synek Gimli. Nie dziwota, że mama rżała radośnie, Ela robiła to samo w Cardiff.

„Nie spodoba się Eli ten Legolas" – pomyślała mama. „Jest taki… zimny, niezrównoważony. Niepodobny ani do tego z *Władcy*, ani nawet do Willa Turnera z *Piratów z Karaibów*. Co oni mu zrobili z oczami, świecą się jak u wampira jakiegoś! I ciekawe, jak Elcia przełknie Kate z *Lost* w charakterze elficy-komandoski zakochanej w krasnoludzie. Fakt, że ów krasnolud jest niezwykle podobny do faceta, który ani chybi siedzi teraz u jej boku, w niczym nie poprawi sytuacji, przeciwnie, pogorszy".

Mama zerknęła na faceta, u boku którego siedziała ona. Wydawał się zadowolony, nie ruszyła go elfica, zły Thranduil ani Oko Saurona wymutowane z czarnego dymu. Chyba dobrze się bawił. Położyła rękę na jego dłoni; uśmiechnął się i oddał uścisk. „Dobrze, że jesteś" – pomyślała mama. „Lubię cię!" Zawsze miała specyficzne podejście do uczuć: twierdziła, że kochać można z obowiązku, a lubi się dobrowolnie. Ona w każdym razie swojego Roberta kochała i szczerze lubiła. Teraz też jego obecność sprawiała jej dużą radość.

„Daj ci Boże, Eluniu, szczęście z Davidem!” – pomyślała sobie po Sienkiewiczowsku mama. Przeskok myślowy, ale charakterystyczny dla wszystkich mam. Wszystkich rozsądnych mam. Widocznie ten Kíli nastroił ją do takich rozważań.

Jak każda kobieta, mama miała podzielną uwagę, a jako nauczyciel nawet trójdzielną, co teraz wykorzystała do śledzenia akcji – to akurat było niezbyt wyczerpujące, choć w pełni satysfakcjonujące; do głaskania Roberta po ręce i wreszcie do rozważań o młodszej córeczce.

„Ciekawe, czy dobrze jej poszła ta prezentacja u teściów” – myślała. „E, dobrze! Trudno sobie wyobrazić, żeby Brendan i Jennifer byli dla kogoś nieżyczliwi, a tym bardziej dla córki Roberta! Swoją drogą, David jest bardzo podobny do ojca i to nie tylko z wyglądu…” – Jak widać, matka i córka czyniły analogiczne obserwacje, coś więc w tym musiało być.

Mama z lekkim uśmiechem przypomniała sobie pierwsze spotkanie z Brendanem i swoją słynną angielską kwestię. Gdyby Una jej, a nie Elce, poczyniła zwierzenia odnośnie do swojego ojca, musiałaby pewnie stwierdzić, że jej przejęzyczenie było wręcz freudowskie!

„Wiele o tobie słyszałam…” – Cóż, stuprocentowo lojalny Robert nie zakablował przyjaciela nawet przed jedyną, ukochaną Różyczką, ale gdyby to uczynił, druga część zdania byłaby całkiem na miejscu. „Obawiam się, że cię wreszcie poznałam”, zbereźniku jeden, gorszycielu polskiej młodzieży!

Ciekawość to pierwszy stopień do piekła, a opowieść Uny rozpaliła wyobraźnię Eli do czerwoności. Inwokację taty miała przyjemność słyszeć tylko raz i to w specyficznych warunkach, więc nawet nie potrafiłaby jej powtórzyć, a Gośki nie wypadało pytać. I tak by zresztą nie powiedziała, bo chociaż dużo już się zdarzało Elce od niej dowiedzieć (oj, dużo, czasami aż uszy jej płonęły!), to taty przecież Perełka nie obsmarowałaby nigdy w życiu. „Kółko wzajemnej lojalności, kurczę!” – pomyślała Elunia i poradziła sobie sama: weszła na stronę z walijskimi przekleństwami i sprawdziła, co ewentualnie pasowałoby co do długości wypowiedzi i ekspresji. I chyba znalazła, cudne było i wyjątkowo nieprzystojne! Oj, Brendan, teściu ulubiony!

Mama znowu oddała się wspomnieniom. Kiedy brała ślub z Robertem, Brendan był już po drugim roku Cardiff University School of Medicine. Z jednej strony łobuz, z drugiej wydawał jej się poważny i dojrzały. Jak David teraz. No, David jest starszy niż jego ojciec wtedy, ma przecież już prawie dwadzieścia sześć lat. To dobrze, niechby Elka miała w nim oparcie. Chociaż, czy wiek jest istotny? Ona na swoim dwudziestoletnim Robercie nie zawiodła się ani trochę, a w końcu znała paru szalonych czterdziestolatków, na przykład ojca Wioli.

Jaki będzie David? Planuje życie poważnie, chociaż te ekspresowe oświadczyny… „Głupia jesteś" – skarciła się mama. „A co, my nie robiliśmy tego z marszu? Może nie w dwa tygodnie, ale też dużo czasu nam nie zeszło, żeby dać sobie słowo. I ten szalony studencki ślub! Przecież Robert musiał wtedy dostać pozwolenie z sądu, bo mu brakowało pół roku do dwudziestu jeden lat, całkiem jak Tolkienowi! Bez stałych dochodów, w mieszkanku babci. David i Elka przy nas to szczyt przezorności, przynajmniej jedno z nich będzie miało skończone studia…"

Tu mama uświadomiła sobie, że nie wie, gdzie młoda para właściwie zamieszka. Dotąd przyjmowała za pewnik, że w dużym domu Brendana. Ale może oni nie chcą? Może wolą sobie coś maleńkiego wynająć? Tu nie chodzi o to, że z teściami pod jednym dachem. Elka, kochane dziecko, jest taka zgodna, ma taki silny rodzinny instynkt… Mama roztkliwiła się całkiem nie w swoim stylu, a dość byłoby powiedzieć, że Ela swoich *in-laws* bardzo lubiła i nie wyobrażała sobie, żeby mogła się z nimi pokłócić. W końcu Fred z tatą i mamą też nie pożarł się ani razu. Nie ma reguły, a kawały o teściowej należy traktować z przymrużeniem oka. W każdym razie jeżeli jest nią mama czy Jennifer.

„Ciekawe, czy David powiedział Eli, dlaczego powtarzał rok" – rozważała dalej mama. „No, ode mnie w każdym razie się tego nie dowie, to sprawa osobista, tylko on może to zrobić, nikt inny! I co za tym idzie, dlaczego tak bardzo ceni w Eli jej, jak to powiedziałam, rodzinny instynkt. Że nas kocha. Że kocha brata i siostrę. Że chce mieć dzieci. Że potrafi walczyć o swoich bliskich. David to doskonale wie, wystarczy na niego spojrzeć. I dobrze widać, jak go to cieszy.

Kto inny mógłby być zazdrosny, gdyby narzeczona cały czas opowiadała mu o bracie albo przyjacielu. Słyszałam, jak z nim paplała na Skypie, nie, nie podsłuchiwałam, skąd, usłyszałam przez przypadek! A potem… potem już się nie mogłam oderwać… Stałam, słuchałam i patrzyłam, Elka gadała jak nakręcona o Janku i Merrym, o Gosi i Wiolce, o Jagódce i Jasi. O nas też. A David miał takie szczęście w oczach… Dobry chłopak, naprawdę dobry i mądry!”

Hobbit się skończył, wracali powoli na piechotę Dolną Wildą, wieczór był ładny, gwiaździsty, lekki mrozek wcale nie dokuczał.

– Słuchaj, Robert – zagadnęła znienacka mama. – Czy to dobrze, że David tak nagle zmienia wyznanie? Czy tak można? Na gwizdek, do ślubu? Nawet jeżeli bardzo kocha Elę?

Tata nie zdziwił się, sam pewnie o tym myślał, i to nie raz. Popatrzył na mamę pobłażliwie.

– Różyczko, a ty sama? Robiłaś to na gwizdek i do ślubu? – O miłości do niejakiego Roberta nie wspomniał. – Czy dlatego, że coś tam w tobie siedziało od dawna?

Mama pokiwała głową. Miał rację jej ukochany mąż.

Tata się zaśmiał.

– Coś ci powiem, tylko nikomu nie mów. – Tu mama go nie posłuchała, wypaplała młodszej córce przy pierwszej okazji. – Jeżeli on to robi dla kogoś, to nie dla Eli… Albo inaczej, dla Eli, ale tak trochę naokoło. On to robi dla Janka!

– Co takiego? – zdumiała się mama, bo choć syn był jej jak źrenica oka, takiego przypuszczenia nie powzięła nigdy.

– Mówię ci, im obojgu niezwykle zależy na Janku. Daliby się za niego posiekać, jedno i drugie! A że i David, i Brendan od jakiegoś czasu już o tym myśleli, to cóż, łatwo poszło. Jak z tobą, Różyczko.

– A Brendan też, razem z Davidem? – chciała jeszcze wiedzieć mama.

– Może nie razem, ale to kwestia kilku miesięcy, góra roku, zobaczysz. Zresztą dziewczyny tak samo.

Mama namyślała się chwilę.

– Robert, a jaki jest ten proboszcz, do którego mieli iść Ela i David? Wtedy, jak pojechaliście do Rafała… Miałeś okazję go poznać, pogadać?

Tata uśmiechnął się szelmowsko.

– O, tak! Jaki jest? Cóż, jak by to powiedzieć? Specyficzny. Tradycyjny, bardzo zasadniczy, a jednocześnie niezwykle otwarty na ludzi. Jankowi by się podobał. Łazi po domach, gada z parafianami, jak pastor Clement z kryminału Agaty Christie. Wtedy, rok temu, pojawił się u Brendana następnego dnia po naszym przyjeździe, wywiad miał niesamowity! I z punktu zaczął dodawać otuchy nam wszystkim. Ale… – zaśmiał się tata – Elunię z Davidem czeka kilka ciężkich rozmów. Przemagluje ich, przeżuje i wypluje. Kurs antymałżeński u dominikanów to przy nim pestka!

– Aż tak źle? – zatroskała się mama.

– Zobaczysz, jak Elka będzie ci nadawać. – Fakt, uczyniła to niezwłocznie! – Przepyta ich z wszelkich zaszłości i teraźniejszości, a potem postraszy przyszłością. Nasza córeczka wkurzy się maksymalnie, nie cierpi dociekań na okoliczność szóstego przykazania jeszcze bardziej niż Gosia! Zwłaszcza kiedy wszystko na to wskazuje, że te dociekania są bezpodstawne…

Mamie błysnęły w oczach chochliki.

– Kochany, spokojnie, Elcia sobie poradzi, twoja krew! A jeszcze ze wsparciem swojego psychologa! Zacznie mu z szeroko otwartymi oczami zadawać pytania w *Present Perfect*… To oni przeżują i wyplują księdza, a nie odwrotnie, będzie miał ich dość po jednej konferencji!

Tata parsknął śmiechem. Mama była genialna, przewidziała wszystko niemal co do joty. Rzeczywiście proboszcz zadał narzeczonym niedyskretne pytanie:

– A jak tam względem nieczystości?

Na co Elka z lekkim zażenowaniem udzieliła mu słodkiej odpowiedzi:

– Mam prysznic ogrzewany gazem, a cała rodzina segreguje śmieci…

Wtedy David ze śmiertelną powagą zwrócił się do niej twarzą w twarz i z przepięknym oksfordzkim akcentem wyjaśnił:

– Nie, kochanie, ksiądz pyta, czy uprawiasz ze mną seks.

Na co Elunia faktycznie wytrzeszczyła oczy i zapytała w popłochu, inspirując się, jak można przypuszczać, swoją ukochana szwagierką:

– To w Wielkiej Brytanii tak trzeba?!…

Ksiądz odpuścił i rozstali się w świętej zgodzie.

Mama z tatą byli tuż pod domem, gdy zza okien swojego salonu usłyszeli muzykę; dawno już wypadli z rytmu, co najmniej osiem lat, nie, więcej, dziewięć z hakiem, licząc od Jankowego wyjazdu do Anglii, więc nie za bardzo kojarzyli, czy był to Beethoven czy Berlioz. Coś ładnego w każdym razie. Bardzo lubili to granie Merry'ego, nawet nie dlatego, że przypominało dawne czasy. Nie, raczej dlatego, że dzięki niemu można było radośnie patrzeć w przyszłość.

„Dobrze, że z nami mieszkają" – pomyślała mama. „Janek zabiegał o to, bo chciał, żebyśmy się nimi zaopiekowali. Racja, ale tak samo my potrzebujemy ich. Wiem, że nie będą mieszkać bez końca, wyprowadzą się pewnie latem, równo z Elką. Boże, jak będzie strasznie pusto!"

Weszli do środka i ucieszyli się – to grał Janek, nie Merry. Młodzi Szczęśni siedzieli z Jasią w objęciach na kanapie, wyglądali na wyluzowanych; Merry pokpiwał z przyjaciela:

– Gis, baranie, i przyspiesz trochę, nie grasz na pogrzebie, chociaż wiem, że jesteś przyzwyczajony!…

– Posłuchajcie, jak on się odnosi do osoby duchownej! – z wyrzutem w głosie powiedział Jasiek, wstając. – Jak było, podobało się wam?

– Niech ciocia i wujek nic nie mówią! – krzyknęli jednocześnie Wiola i Merry. – Miało być bez spoilerów! – Mama i tata poszli na *Hobbita* pierwsi, a Podgórni i Szczęśni wybierali się na seans sylwestrowy, rodzice obiecali przypilnować obu dziewczynek. Niemal pięciomiesięczna Jagódka wyglądała przy maleńkiej Jasi jak olbrzym, ale wydawało się, że problemy tej ostatniej są opanowane, a ponure proroctwo doktorka Ekertka, pardon, klawiatura się narratorowi skręciła, doktora Ekerta, można włożyć między bajki.

– Żyjesz, Janku? – zatroskała się pani Weasley, czyli mama.

– Co ma nie żyć, jego siekierą nie dobiją, ciociu – zaśmiała się Wiola.

– Ale to już dzisiaj koniec? – nie dawała za wygraną mama.

– Nie, nie odessało im się za pierwszym razem tyle, ile trzeba, ale nie martw się, maty, wszystko pod kontrolą – powiedział beztrosko

Jasiek. – Jutro dokończą.

– Ja ciągle tego nie rozumiem – westchnął tata. – Co się nie odessało?

– Tato, to bardzo proste. W lewą łapkę wbijają jedną igłę, w prawą drugą i podłączają do separatora. – Tata tylko westchnął, był dzielny, ale ta procedura z lekka go przerażała. – Odciągają krew, oddzielają komórki krwiotwórcze… i oddają krew do drugiej łapki. Koniec, kropka.

– Długo to trwa? – dopytywał tata.

– A, tak z kilka godzin – uśmiechnął się Janek.

– Biedaczku! – powiedziała z uczuciem mama. – To co ty robisz, nawet poczytać sobie nie możesz z tymi igłami!

– No co się ciocia za dużo pyta, podrywa pielęgniarki! – wyszczerzył zęby Merry.

– Ewangelizuje – powiedziała surowo i dobitnie Wiola i wszyscy parsknęli śmiechem.

Mama patrzyła na Jaśka, pilnie uważając, żeby nie mieć zbyt wymownej twarzy. Z dwojga złego wolała uchodzić za przewrażliwioną matkę, do której nie dociera, że jej mały synek dawno dorósł. Chciała tylko popatrzeć, to już jej starczało. Doskonale rozumiała swoją młodszą córkę, która swego czasu latała na cmentarz, żeby zobaczyć brata. Też by latała, ale jej nie wypadało. Teraz tak samo wydzielała sobie skrupulatnie niedziele na Krzesinach, nie częściej niż raz w miesiącu, czasem rzadziej, normalnie co tydzień chodzili jak zawsze do ojca Góry na szesnastą. Wiedziała, że nie może się Jankowi narzucać i wisieć mu bez ustanku nad głową; pasterka, na którą dowieźli księdza Tadeusza, musi jej wystarczyć na jakiś czas.

„Nikt z nas nie skojarzył wtedy, prawie dziesięć lat temu, dlaczego Janek jedzie do Anglii” – pomyślała. „Chociaż nie, Gosia chyba domyślała się, tylko nie wsypała braciszka. Boże, jak to było dawno, przecież on miał wtedy raptem osiemnaście lat! A i tak potrafił owinąć sobie całą rodzinę dookoła palca…”

Mama przypomniała sobie swój wyjazd do Lewes. Jasiek wyprosił wtedy u szefa wolne przedpołudnia i poobwoził ją po okolicy.

– Skąd masz samochód? – zdziwiła się w pierwszym dniu na widok zgrabnego fordzika Ka.

– Jane mi pożyczyła – odpowiedział bez skrępowania i dodał wyjaśniająco: – Kelnerka. Pojechała z koleżanką do Hiszpanii, a wiedziała, że do mnie przyjeżdża mama.

On nic więcej nie mówił, a ona nie pytała, nie chciała mu wchodzić z butami do duszy, ale przypuszczała wtedy, że Jane to jego dziewczyna, no, powiedzmy, kandydatka na dziewczynę. Nawet zaczęła się martwić na zapas, co będzie, jak się Janek zakocha i zostanie w Anglii na zawsze. Gdyby wiedziała… Jasiek był taki oszczędny w słowach, pewnie wstydził się mówić o sprawach ważnych, a może do końca nie był siebie pewny. Dzisiaj, z perspektywy czasu, widziała te drobiazgi, okruchy składające się w całość: najpierw na Seven Sisters na jej zachwycone okrzyki Janek powiedział, że tutaj najlepiej mu się myśli o… i zamilkł, uśmiechnął się leciutko, popatrzył porozumiewawczo. Potem zawiózł ją do kościoła do Brighton, usadził w ławce, a sam skoczył na chór. Nie dziwiła się, w Poznaniu też śpiewał razem z Merrym w chórku u dominikanów, było to dla niej normalne. Tylko że gdy wychodzili, ksiądz, żegnając się z wiernymi tak jak westernowy pastor, powiedział do Janka coś w rodzaju: „Cześć, postulancie!”. Myślała, że źle zrozumiała, że chodzi o funkcję w chórze. Potem, po powrocie, podczas zasadniczej wieczornej rozmowy Janek powiedział im, że ksiądz pisał mu opinię. Jasne, wstyd powiedzieć, ale we własnej parafii Zmartwychwstania byli gośćmi; od kiedy tylko dzieci urosły, zawsze chodzili do białych, więc i skąd tutejszy nowy proboszcz mógłby coś sensownego o Janku napisać poza kilkoma komunałami. Drugą opinię miał Jasiek od ojca Gużyńskiego, za jego czasów duszpasterza szkół średnich.

„Ciekawe, czy tej opinii Jasiek się dzisiaj nie wstydzi. Ojciec Gużyński to teraz wojujący przeor, ulubieniec mediów. Na Janeczka takie coś działa jak płachta na byka, więc kto wie…”

Znowu przyjrzała się z upodobaniem, jak jej syn żartuje z Wiolą i Merrym.

– Pamiętacie, jak brałem transporterek dla kota przed Wigilią? – Przytaknęli z zapałem. – Już go nie ma – powiedział grobowo. –

Transportera, nie kota! To był kretyński pomysł! Wsadziliśmy Zmorę do środka, a ta eksplodowała! Drzwiczki wyleciały z hukiem, połamane w drzazgi, a ona nawiała po raz drugi.

– I co, kicia nieszczepiona? – zapytała z troską Wiola.

– Spoko, jak wszystko zawiodło, do akcji wkroczył proboszcz. „Janku" – powiada – „nic na siłę, to trzeba sposobem". Założył na sutannę biały zakopiański sweter, żeby kłaków nie było widać, i zaniósł kocicę na rękach. A ona grzeczna była wtedy jak trusia! I wiecie co, weterynarz ją poznał. Jej właścicielem, to jest jej człowiekiem, był taki jeden gość ze Szczepankowa. Zmarło mu się, jego córka nawet chciała zabrać kota do siebie, ale Zmora poszła w długą i tyle ją widzieli. W końcu wybrała sobie nas…

„Czemu po prostu nie zapytasz, idiotko?" – pomyślała mama. „Jesteś kropka w kropkę jak on, jakże ciężko ci wydusić z siebie najprostsze zdanie!"

W tym momencie Janek odwrócił oczy w jej kierunku i powiedział:

– Tak, maty?

A ona, nawet się nie dziwiąc, skąd wiedział, zapytała zupełnie od rzeczy:

– Dlaczego nie poszedłeś do dominikanów?

Zrobiło się cicho, wszyscy popatrzyli na nią ze zdziwieniem. Jasiek uśmiechnął się i powiedział, przymrużając oko:

– Ideał miłości małżeńskiej po trzydziestu trzech latach: żona upodabnia się we wszystkim do męża! – A potem dodał nieco bardziej serio:

– Jak usłyszysz, że dominikanie są przerasowani gorzej niż elfowie z Lórien, a ja jestem tylko prostym Niziołkiem, to mi dasz w łeb, co?

– Gdzieżbym śmiała dać w łeb księdzu! – oburzyła się mama, ale oczy jej zabłysły z ochotą.

Tata przysłuchiwał się, nie roniąc ani słowa.

– Słuchajcie, to jest tak: ojciec Góra jest jeden jedyny i nie miałem zamiaru go podrabiać. Ale nawet on, jak chrzcił dziecko waszych znajomych, nie za bardzo wiedział, jak się do tego wziąć. Ojciec Andrzej na ślubie wujka Marka w ostatniej chwili stułę spod ornatu wyjmował, bo nie miał wbite w głowę, że takie coś musi leżeć na wierzchu. – Janek się rozpędził, mama starała się nie uronić ani

słowa. – Religii uczą tylko tam, gdzie są dominikańskie parafie, i jeszcze desperują, że muszą to robić… Rozumiecie? Oni mają duszpasterstwa, wspólnoty i tak dalej, ale nie znają zwykłej księżowskiej roboty. A ja chciałem tak po prostu, na co dzień.

– Z ludźmi i dla ludzi – dopowiedział tata i wtedy Jasiek jednak się spłonił, zawstydził, jakby było czego.

Potem, już na odchodne, mama widziała, że Jasiek szepce Merry'emu do ucha coś, co zabrzmiało jak „Nie bądź idiotą!". Merry miał minę nieszczególną; gdyby Elka była na miejscu mamy, to odarta ze złudzeń przez ciotkę już by podejrzewała jakieś świństwa. Dobrze, że mama miała dużo bardziej trzeźwe podejście do rzeczy.

– Co jest, synku? – zagadnęła swojego przysposobionego, kiedy tylko rodzony zamknął za sobą drzwi.

Merry rozejrzał się, upewnił, że Wiola siedzi w kuchni z tatą, dyskutując z nim o posyłanych do szkoły sześciolatkach, i zaprowadził mamę do sypialni, do Janeczki. Tam rozbroił elektroniczną nianię, żeby nie było słychać ich głosów, a potem powiedział konspiracyjnie:

– Mogłaby ciocia poobserwować Jasię? Bo coś mi się wydaje, że ona źle widzi… Nie wodzi oczami, nie skupia wzroku… Tylko tak dyskretnie, niech ciocia nic nie mówi Wiolce, żeby się nie denerwowała!

„Nie bądź idiotą!" – pomyślała mama, a głośno powiedziała:

– Jasne, kochanie, nic się nie bój, załatwione!

W godzinę później, kiedy Merry rozmawiał z tatą o polityce Camerona w Wielkiej Brytanii, Wiolka wzięła mamę na stronę i powiedziała szeptem:

– Ciociu, mogłaby ciocia tak fachowo spojrzeć na Jasię? Bo mnie się wydaje, że ona źle widzi… Nie skupia wzroku, nie wodzi oczami… Tylko żeby Merry się nie zorientował, nie chcę go straszyć bez potrzeby!

„Para młodych idiotów" – pomyślała mama, zawlekła Wiolę do kuchni i doprowadziła do konfrontacji ku chwilowemu przerażeniu zainteresowanych.

– Przestańcie panikować i przestańcie konspirować jedno przed drugim! – powiedziała stanowczo. – Macie się wspierać, a nie zwijać

w kłębek w samotności! Nic nie zauważyłam, a jak mi nie wierzycie, to za tydzień może was okulista przekona! Nie martwcie się na zapas!

Chyba posłuchali, bo zapytali, czy mogą razem wyskoczyć na półgodzinny spacer, na co dostali błogosławieństwo. Poszli, a mama zaczęła przyglądać się Janeczce, która właśnie konkursowo wodziła wzrokiem za tatą, mądre dziecko. „Stara idiotka" – powiedziała sobie mama.

I wtedy ruszyło ją sumienie, całkiem jak don Camilla. Uświadomiła sobie, że przez całe popołudnie i wieczór absorbował ją mąż, młodsza córeczka, syn, dzieci przysposobione, przysposobiona wnusia, ale o własnej pierworodnej córce nie pomyślała ani razu!

Postanowiła nadrobić to natychmiast i nie bacząc, że godzina zrobiła się taka bardziej późnowieczorna, ruszyła do Skype'a. Zobaczyła aktywną Gośkę, więc zadzwoniła. Najstarsza latorośl, dekoracyjnie rozczochrana, objawiła się natychmiast.

– Cześć mamuśka, wszystko w porządku? – O takiej godzinie matka nie zwykła zakłócać miru domowego.

– W porządku, Gosieńko, chciałam ci tylko powiedzieć, że cię kocham, a dzisiaj zauważyłam, że ci to za rzadko mówię! – wypaliła mama, jakby nie była równie wstydliwa w pewnych sprawach, co jej syn.

Gośka popatrzyła na mamę dziwnym okiem.

– Mamo, naprawdę wszystko w porządku? Nic ci nie dolega?

Do mamy dotarło, że jej słowa mogły być wzięte za jakąś deklarację poczynioną ze względów terminalnych. Tak to jest, jak raz przełamiemy zahamowania!

– Gosiu, nic, słowo! Po prostu myślałam sobie o was wszystkich i tak jakoś mnie naszło… Powiedz, co u ciebie?

– U mnie? Cóż, właśnie Światopełk skoczył Mieszkowi do oczu, że nie godzi się oddalać żony po to, żeby ze względów politycznych brać sobie nową kobietę…

Mamę zatkało. Wiedziała, że jej starsza córka jest rąbnięta, ale nie sądziła, że tak bardzo. Rany boskie, czyżby jej najmłodsza Elunia była jedynym normalnym dzieckiem?

– A ten mu dał po pysku, więc Światopełk zabrał się i poooszedł! I wpadł w ręce ludzi Wichmana, ale się nie przyznał, że jest bratem księcia, bo nie chciał, żeby oni mieli narzędzie nacisku na Mieszka… Albo może bał się, że Mieszko powie: „Mam to gdzieś, zabijcie go sobie!”…

Mama słuchała zafascynowana, już skojarzyła, co jest grane, jej też Gosieńka zwierzyła się ze swoich planów literackich. Nie chwyciła od razu, bo myślami była przy dzieciach i wnukach w przyziemnym wymiarze, a tu nagle jej starsza córeczka przeniosła się w czasie z górą tysiąc lat wstecz. I tak ją to pochłonęło, że w ogóle nie skojarzyła pytania o męża i dziecko.

Gośka ocknęła się.

– Sorry, mamuśka, poza tym wszystko w porządku, we wtorek przychodzimy do was po kinie, to pogadamy. I jak, podobało wam się?

– Żadnych spoilerów! – zaśmiała się mama.

– A u ciebie co słychać? – zrewanżowała się Gośka. – Bachory cię nie zagryzły pod koniec semestru?

– One mnie? To ja ich zagryzłam! – oburzyła się mama. – Niewydarzone jakieś te pierwsze klasy – dodała z namysłem. – Ci z mat-fizu wredni, od razu mi powiedzieli, że ich literatura i wiersze nie interesują. No to dostali taki wycisk, że pewnie by się woleli *Promethidionu* na pamięć nauczyć… Pięć pał na semestr! Bez możliwości negocjacji!

– A ci z humana? – drążyła Gośka.

Mama westchnęła.

– Też ich nic nie interesuje i nawet liczyć nie potrafią…

Zza pleców mamy dał się nagle słyszeć krzyk dziecka. Mama zrobiła ruch, jakby się chciała poderwać.

– Wyluzuj, mamuśka – usadziła ją Gośka. – Poradzą sobie bez ciebie.

– Ale oni wyszli na spacer, tata z nią jest!

– Tata też sobie poradzi – powiedziała stanowczo Gośka. – Jak już wyrwałaś mnie z roku dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego, to rozmawiaj, a nie uciekaj.

Krzyk ucichł.

– No widzisz – powiedziała z satysfakcją tatusiowa Perełka. – Mówiłam. Chłopom trzeba dać szansę.

– Genderystka – burknęła mama. Ale wiedziała, że jej starsza córeczka ma rację.

I nagle, niepomna, że miała rozmawiać z nią i o niej, zapytała:

– Skąd wiedziałaś, że Janek myśli o seminarium?

Gośka spojrzała zdumiona, potem lekki uśmiech przemknął jej przez twarz, pomyślała: „Zawsze mamy w głowie tego, kogo najbardziej kochamy. Ale spoko, mamuśka, nie będę zazdrosna, ja też go kocham!”.

– Skąd? Powiedział mi…

Mama zachłysnęła się.

– Powiedział… tobie?!…

Gośka jako filolog wychwyciła ten akcent zdaniowy bezbłędnie, w lot zrozumiała, co mamę ścięło, nie obraziła się, nie poczuła zazdrosna i powiedziała lekkim, beztroskim głosem:

– Mamuśka, to nie tak, nie musisz mieć do niego żalu! Ja tylko zobaczyłam, że wkłada do walizki brewiarz. Zażartowałam: „Co to, Pip, na księdza się wybierasz?”. A on powiedział mi po prostu: „Tak”. To wszystko.

Mama pokręciła głową:

– Nie, Gosiu, ty wiedziałaś już wcześniej, w ten wieczór, kiedy powiedział, że wyjeżdża…

– Oj, mamo, to były tylko takie… drobiazgi, maleńkie epizody. Na Lednicy przy Koronce do Miłosierdzia Bożego, w Tatrach… Kiedy grał, śpiewał… Trudno mi to wytłumaczyć…

– To czemu ja tego nie zauważyłam?

Gośka uśmiechnęła się kpiąco.

– Może byłaś zajęta kimś innym, kto najpierw dostał nieodpowiedni z zachowania na koniec trzeciej klasy, potem zdawał maturę, a jeszcze potem strasznie piszczał na pierwszym roku?…

„Mojaś ty Perełko” – pomyślała mama.

Rozdział XII

O zgubnych skutkach zwykłego przeziębienia

Gdybyśmy żyli w normalnym świecie, można by było powiedzieć, że ksiądz Tadeusz kochał dzieci, a one jego: nawet te autystyczne pakowały mu się na kolana. Jako że jednak nasz świat nie jest normalny, należy sucho stwierdzić, że proboszcz miał wybitny talent pedagogiczny i intuicję terapeutyczną. Tego dnia jednak miał też dość, msza dziecięca tak go wykończyła, że dusiłby te poczwary gołymi rękami.

Za czasów „przed Jankiem" msze niedzielne były dwie, o dziesiątej i dziewiętnastej; ta pierwsza pod hasłem rodzinna, ta druga niby młodzieżowa. Niby, bo i tak młodzież sobie odpuszczała, a parafianie traktowali ją jak zwykłą nyguskę.

Kiedy nastał wikary, przed którym ksiądz Tadeusz początkowo tak się wzbraniał, szybko okazało się, że właściwie nie wiadomo, jak do tej pory ciągnął sam ten wózek. Porządek niedzieli stał się sensowny, a wierni nie musieli gnieść się jak śledzie: wprowadzono mszę o ósmej rano dla osób statecznych, którym dzieci w przeżywaniu liturgii przeszkadzały, to jest, co też ten narrator gada, steranych życiem i o słabych nerwach, a lubiących obowiązek katolika zaliczyć zaraz z rana. (Narrator będzie sobie musiał za karę wyprasować ręce żelazkiem jak Zgredek). Tych załatwiał Janek, przyzwyczajony do pobudki o świcie. Proboszcz obsługiwał mszę o dziesiątej, która

szybko zdryfowała w kierunku dziecięcej, ale bez nowomodnych wynalazków typu łażenie po kościele z przenośnym mikrofonem i sadzanie misiów na ołtarzu. Ksiądz Tadeusz kazanie głosił od pulpitu, bo traktował siebie i dzieci poważnie, a one, o dziwo, zazwyczaj potrafiły te dziesięć minut wytrzymać i wściekały się w sposób umiarkowany.

Zazwyczaj. Dzisiaj złe w nie wstąpiło.

Najpierw jakiś kilkuletni chłopczyk biegał środkiem, tupiąc i wyjąc jak samolot ponaddźwiękowy. Potem po obu stronach kościoła rozdarły się symultanicznie dzieciątka testujące wytrzymałość rodzicieli na zasadzie: kiedy starzy się złamią i wyjdą wreszcie na zewnątrz, skoro nam zupełnie nie chce się męczyć w środku! Na nieszczęście dla celebransa albo oba zestawy rodziców były twarde i postanowiły milusińskich przetrzymać, albo po prostu już tak otępiały, w odróżnieniu od proboszcza, że nie robiły na nich żadnego wrażenia wrzaski progenitury, a nawet walenie głową w pięknie odnowioną drewnianą podłogę. Podczas kazania dziecko płci nieokreślonej zaczęło wspinać się na ołtarz, wieszając się na obrusie. Proboszcz poprosił grzecznie, acz stanowczo o interwencję, a nie doczekawszy się jej, odszedł od ambonki, wziął dzieciątko za szmaty, to jest pod pachę, i zniósł na dół. Dopiero wtedy objawił się zagniewany nieco tatuś, który podjął obowiązki rodzicielskie, mamrocząc coś pod nosem. No i wreszcie tuż przed ofiarowaniem rozległ się huk, bo dziecko płci ewidentnie męskiej (czy jednakowoż cokolwiek może być w tym względzie ewidentne?) zleciało po schodach z chóru i zatrzymało się dopiero na drzwiczkach konfesjonału. Tym razem delikwentem zajął się siedzący w środku wikary, ale proboszczowi huczało w głowie na całego, kiedy dysponował: „Módlmy się, jak nas nauczył Jezus Chrystus!”…

I wtedy podszedł do niego pan Bogdan, aby dyskretnie szepnąć mu coś do ucha.

Proboszcz skamieniał.

Coś takiego zdarzyło mu się pierwszy raz w ciągu trzydziestu trzech lat kapłaństwa!

ZAPOMNIAŁ O PRZEISTOCZENIU.

Skonfundowany przeprosił, wrócił do odpowiedniego momentu, a potem już tylko się modlił, żeby dotrwać do końca. Janek, który przyszedł pomóc przy rozdawaniu komunii, popatrzył na niego uważnym, zatroskanym wzrokiem.

Po powrocie na plebanię Jasiek grzecznie, ale stanowczo nakłonił szefa do zmierzenia temperatury i faktycznie okazało się, że trzydzieści osiem pięć może dużo usprawiedliwić. Proboszcz został zapakowany do łóżka, nakarmiony apapem (nie polopiryną, żeby nie było interakcji z insuliną, chociaż proboszcz marudził, że apap jest do bani i mu nie pomaga), a wikary zaofiarował się, że poleci do apteki po coś solidniejszego. Jak powiedział, tak i uczynił. Jako że apteka za zakrętem była w niedzielę nieczynna, podjechał po prostu do M1, ale trochę mu to czasu zabrało, bo kolejka była długa, a ofiarna pani farmaceutka specjalnie dla niego wywlekła niemal cały przeciwprzeziębieniowy asortyment. (Czy w przypadku Janka podpadało to pod wykorzystywanie powagi sukienki duchownej do innych celów, czy pod ewangelizację, niech rozstrzygnie czytelnik).

Wróciwszy po trzech kwadransach, zastał proboszcza siedzącego w piżamie i boso przed telewizorem i oglądającego TVN24. Janeczkiem zatrzęsło. To on pędzi do apteki, przynosi rekomendowany przez uroczą panią magister citrosept, a proboszcz nie dość, że sobie lekceważy, to jeszcze ogląda TVN! Żeby choć Discovery!

Jak było powiedziane, Jasiek proboszcza szczerze lubił i szanował. Był przy tym człowiekiem dobrze wychowanym, któremu ojciec wpoił, że starszemu uwagi się nie zwraca. No i wreszcie, co tu kryć, bał się odrobinę szefa, chociaż jak, nie przymierzając, Biała Zmora lubił się z nim posiłować. Najlepiej tedy byłoby dać spokój wedle symetrycznej zasady „masz swoje lata i wiesz, co robisz”. Sumienie jednakże nie dawało mu spokoju, więc jakby nigdy nic poszedł po szlafrok, ciepłe skarpety i kapcie, i dyskretnie położył to wszystko proboszczowi pod rękę, a sam zniknął w kuchni, żeby zrobić herbatę z dużą ilością cytryny.

Kiedy ponownie znalazł się w salonie, ku swojemu zdziwieniu skonstatował, że ksiądz Tadeusz siedzi grzecznie ubrany w cały dostarczony rynsztunek, bez oporów też dał sobie zaaplikować

citrosept w końskiej dawce i przyjął do wiadomości, że trzeba to będzie powtórzyć jeszcze dzisiaj ze dwa razy. Wobec tego Janek postanowił pójść na kompromis i zignorować Lożę Prasową. Za chwilę przy Ewie Ewart proboszcz i tak wyprzęgnie, bo takie smutne tematy są nie na jego nerwy. Rychło jednak przyczyna spolegliwości proboszcza wyszła na jaw, kiedy ten z proszącym spojrzeniem powiedział:

– Janku, jak będziesz szykował obiad… Polałbyś kalafior masełkiem z bułką tartą?

Pani Teresa przyrządzała warzywa wyłącznie z wody lub na parze; na dzisiaj przygotowała im dietetyczną pieczeń rzymską, tak suchą, że nie sposób jej było przełknąć bez odrobiny choć majonezu – majonezu, rzecz jasna, trzymanego i spożywanego wyłącznie przez tego bezcholesterolowego młokosa. Do tego mieli sobie ugotować (czytaj: wikary miał ugotować) kalafior i utrzeć (wiadomo kto) marchewkę ze słodzikiem.

Jaśkowi ponowny kompromis przyszedł bardzo łatwo, bo sam uważał, że kalafior bez bułki tartej jest obrzydliwy. Jeszcze fasolka albo brukselka to pół biedy, ale kalafior i brokuły – wykluczone! Zjedli więc zgodnie obiad, a potem Janek przystąpił do pertraktacji:

– Proszę księdza, ksiądz powinien siedzieć w łóżku co najmniej trzy dni.

Na co proboszcz momentalnie skoczył:

– Co to za głupie gadanie! Jak ty to sobie wyobrażasz? Szkoła, biuro, kolęda! Odpraw za mnie wieczorną mszę i będzie dobrze!

– Niech się ksiądz nie martwi, wszystko da się zrobić. Przez trzy dni świat się nie zawali. Bachory się tylko ucieszą, że pójdą szybciej do domu.

– Ale te komunijne! Strasznie głupie… to jest mają braki, nic nie rozumieją, nie można tracić lekcji!

– Komunijne ja załatwię, poprzestawiamy z Piotrem trochę zajęć i już. W biurze posadzi się panią Zofię…

Pani Zofia była szefową rady ekonomicznej parafii i jej aniołem opiekuńczym w jednej osobie; propozycja zdawała się rozsądna.

– Ale we wtorek muszę osobiście! – uparł się ksiądz Tadeusz. Wtorek był dniem załatwiania z proboszczem różnych poważnych

spraw typu ślub.

– To ja pójdę! – zadeklarował bohatersko wikary. Bóg jeden wie, ile go to kosztowało.

– Janku, dobrze, a kolęda? Sam wszystkiego nie obskoczysz!

Jak uważny czytelnik zapewne pamięta, do talentów Janeczka należało to, że bynajmniej nie robił wszystkiego sam. Co to, to nie, był bowiem zdania, że nie sztuka dać się zajechać, sztuka tak wychować innych, żeby im się też zachciało.

– No właśnie, więc tak sobie wykombinowałem: nie ma ksiądz jakiegoś znajomego emeryta, który by pomógł przez te trzy dni? Rezydenta?

To był jakiś pomysł.

– Wiesz, nawet bym miał… Ale to starszy już bardzo ksiądz, mieszka na Bohaterów przy kościele Nawiedzenia i z tego, co wiem, od dobrych paru lat po kolędzie nie chodzi.

– Toteż nudzi mu się jak stąd do Esgaroth. Na Ratajach nie dają mu łazić, bo by padł od drałowania na czwarte piętro tak raz za razem, ale tutaj… Pochodzi spokojnie od domu do domu, pogada z ludźmi. Ja wezmę większą połowę…

Ksiądz Tadeusz zignorował tę prowokację ze strony faceta udzielającego korepetycji z matematyki. Gdyby mu zwrócił uwagę, usłyszałby, że zachodnia połowa Nowotarskiej wcale nie równa się wschodniej, zatem można je traktować jak większą i mniejszą. Po uzgodnieniu szczegółów zdopingowany zadzwonił do swojego starego proboszcza, dziarskiego weterana, który zgodnie z Jaśkową prognozą ochoczo zadeklarował swój akces. Dobrze, niech już będzie, w sumie to miło tak się pobyczyć w wyrze przez kilka dni.

Janek zniknął w kuchni, żeby pozmywać, a proboszcz machinalnie kliknął pilotem i rejestrując częścią swojego jestestwa program *Było nie było*, zatopił się w przyjemnej kontemplacji pieczeni rzymskiej i kalafiorka z bułką tartą.

Duchem przeniósł się lat trzydzieści dwa wstecz, na plebanię w Środzie Wielkopolskiej, kiedy to proboszcz Wincenty surowo przepytywał młodego Tadka – oj, młodego, młodszego niż Janek teraz! – na okoliczność szmuglowanej bibuły. Był początek stanu wojennego, a Tadek nie zamierzał pozostać biernym, zupełnie jak

Robert i Róża; błyskawicznie nawiązał kontakty z kumplami z szóstki i rozpoczął transport bezdebitów pod osłoną sukienki duchownej, która nadawała się do tego procederu znakomicie, może nawet lepiej niż ciążowe ciuchy Róży. Szczególnie że Tadzik był wtedy chudy jak szczapa, a sutannę kupił sobie za radą kolegów na wyrost; czytaj: na wyrost wszerz.

Razu pewnego wyszedł był właśnie z mieszkania przyjaciela przy Armii Czerwonej ze świeżutko zdjętymi z powielacza „Obserwatorami", podwieszonymi pod sutanną w sakwach z grubego płótna. Tak się pechowo złożyło, że wykazał się brakiem proletariackiej czujności i władował prosto w ramiona patrolu, pilnującego, żeby poznaniacy nie kręcili się w okolicy placu Mickiewicza. Byli to młodzi chłopcy, zupełnie nie generujący negatywnych uczuć, zmarznięci i umęczeni.

– Czy ksiądz ma coś niebezpiecznego? – zadali rutynowe pytanie.

Tadek miał swoje zasady i nie kłamał, a trzeba zaznaczyć, że zostało mu to do dzisiaj.

– Od pasa w górę nic nie mam – odrzekł zgodnie z prawdą. – Od pasa w dół może by się coś znalazło, ale muszę się przyznać, że jeszcze nieużywane.

Żołnierzyki roześmiały się i przepuściły go bez dalszych indagacji.

Zziajany Tadzik dopadł w ostatniej chwili ruszającego PKS-u i z westchnieniem ulgi skierował się do pustego miejsca obok sympatycznej pani. Sutanna zaszeleściła kompromitująco, on spojrzał na sąsiadkę nieco spłoszony, a wtedy kobitka posunęła się, robiąc mu miejsce, i też zaszeleściła. Podróż do Środy odbyli w atmosferze pełnego zrozumienia, wymieniając swoje jednoznaczne poglądy na panującą sytuację.

Po powrocie na plebanię zaczął uwalniać się od przywiezionego towaru, posypało mu się wszystko z rąk na podłogę, zaścielając ją nad wyraz dekoracyjnie, i właśnie na ten moment trafił proboszcz. Jednym bystrym rzutem oka ocenił sytuację i zapytał surowo:

– Wiesz, co ci za to grozi?

– Oczywiście! – odparł dumnie Tadeusz, będący na etapie młodzieńczych marzeń o bohaterskim eposie.

– A dostałeś ty kiedyś od ojca zdrowe lanie? – indagował proboszcz. – Albo pobiłeś się z chłopakami, ale tak solidnie, że miałeś gębę całą siną?

Prawdomówny Tadek musiał przyznać, że nie. Od taty dostał klapsa raz w życiu, kiedy ten zdybał go uczepionego rynny na wysokości pierwszego piętra. Bawił się wtedy w Zorro i trochę nie wyszło, a klaps był taki bardziej symboliczny, przynajmniej tak się przerażonemu winowajcy wydawało. Z chłopakami, owszem, tłukł się, ale… hm… prawdę mówiąc, to oni obrywali. No i raz na spływie, kiedy dostał całkowicie przez przypadek wiosłem, zakładali mu na żywca pięć szwów, ale to było z zaskoczenia. Pan doktor spojrzał spod oka na dzielnego młodzieńca i rzucił od niechcenia:

– Będzie jeden szew… To co, robimy po męsku, bez znieczulenia?

Dzielny młodzieniec potwierdził; potem okazało się, że doktor był optymistą, jednakże zainteresowanemu honor nie pozwalał się już wycofać.

– To skąd możesz wiedzieć, jak to boli, kiedy się dostanie milicyjną pałką, że już nie wspomnę o czymś innym? – zapytał twardo ksiądz Wincenty, który świeżo po święceniach miał zaszczyt siedzieć razem z biskupem Baraniakiem w jednym więzieniu.

Męska rozmowa trwała do nocy i skończyła się udzielonym błogosławieństwem z klauzulą dodatkową, że jak się Tadek raz do czegoś bierze, to musi być odpowiedzialny i konsekwentny. Jaką konsekwencję miał na myśli jego proboszcz, zrozumiał Tadeusz dopiero w październiku osiemdziesiątego czwartego. Zaś zrozumienie, że całkiem czym innym jest odpowiedzialność za siebie i strach o kogoś innego, przyszło w latach dużo późniejszych, ściślej – niemal dokładnie rok temu za sprawą pewnego postrzeleńca, dzwoniącego właśnie sztućcami w kuchni.

„Oj, obsmaruje mnie ksiądz Wincenty przed Jankiem” – pomyślał proboszcz obecny. „Będzie miał ubaw ten smarkacz! A, niech tam, nie mam się czego wstydzić…”

Wikary skończył, zajrzał do salonu i westchnął. Jego proboszcz spał smacznie na kanapie, ściskając w dłoni pilota; w telewizji ględziły coś gadające głowy. Jasiek poszedł po koc, delikatnie okrył szefa, a potem zajął się niezwykle precyzyjnym wydłubywaniem mu

z rąk pilota, przy czym należy zaznaczyć, że było to wyzwanie godne mistrza bierek. Odniósłszy sukces, piknął czerwonym guziczkiem i wtedy proboszcz odezwał się z samych głębin ramion Morfeusza:

– Radziłbym nie wyłączać, bo odstrzelę!…

Janek cisnął pilota, jakby go parzył, i zwiał czym prędzej na mszę młodzieżową.

Po powrocie zastał *status quo* z tą różnicą, że w nogach proboszcza rozpanoszyła się z lubością Biała Zmora, przez co ksiądz, dziwnie skulony przy swoim metrze osiemdziesiąt osiem, został zepchnięty na drugi koniec kanapy. Jasiek poprzyglądał się chwilę z mieszanymi uczuciami, wreszcie mruknąwszy pod nosem coś, co brzmiało jak „dobrze ci tak", poszedł przeprowadzić śledztwo co do przyczyn przeziębienia zwierzchności. Nie trzeba było długo szukać: lewy but proboszcza był mokry jak sto pięćdziesiąt.

„Jasne, po co kupować nowe, jak to tylko mała dziurka" – mruknął raz jeszcze niepokorny wikary, zabrał buty, wypchał je papierem toaletowym i ustawił pod kaloryferem, którą to metodę rekomendował był swego czasu z doskonałym skutkiem przemoczonej młodzieży na Markowych Szczawinach. Sam zaś zabrał się przy dniu świętym do preparowania znakomitego domowego impregnatu z woskowej pasty do podłogi. Była to czynność odpowiedzialna: pastę należało podgrzać do pierwszego zabulgotania, niczym murzynka Gabrysi Borejko, ale jeden bąbelek za dużo groził tym, że kuchnia stanie w płomieniach, więc trzeba było uważać. Potem przystąpił do pędzlowania butów.

Smród, jaki rozniósł się po całej plebanii, obudził oboje, Białą Zmorę i proboszcza. Zmora oburzona kazała się wypuścić na zewnątrz, prychając z furią, ale bardzo szybko wróciła, jeszcze bardziej obrażona, bo na dworze padał właśnie wyjątkowo ohydny śniegogradodeszcz. Pewnie dlatego drugi z obudzonych delikwentów podszedł do prac ręcznych wikarego z wyrozumiałością, poprzestawszy na grzecznej prośbie o zrobienie mu kawy. Nawet gdyby Jasiek ośmielił się pyskować proboszczowi, że na kawę już za późno, w tej sytuacji i tak by tego nie uczynił, bo nie miałoby to sensu: szef pił kawę, kiedy chciał, także o jedenastej w nocy. Poza

tym wikary i tak musiał już wychodzić do kościoła, toby za jego plecami proboszcz zrobił sobie sam.

Jasiek poszedł, żeby przed mszą posiedzieć jeszcze w konfesjonale, a ksiądz Tadeusz rozsiadł się wygodnie w swoim fotelu z pożyczonym od Niziołków *Wałęsą* w rękach. Dochodziła siódma, kiedy dzwonek zadzwonił jak na alarm. Zdziwił się przelotnie, ki czort, to jest kogóż to Pan Bóg sprowadza, i owinąwszy się szlafrokiem, poszedł otworzyć.

Do środka wtoczył się pan w płaszczu za pięć tysiaków i z punktu rozdarł się w świętym oburzeniu:

– Może by tak ksiądz zdyscyplinował swojego wikariusza i pouczył go, że oczekuję od niego posługi duchowej, a nie wtykania nosa w nie swoje sprawy!

Na takie *dictum* najbardziej prawidłowa byłaby reakcja à la don Camillo, to jest wykopanie gościa za próg, jednakże proboszcz, wsłuchany w głos sumienia, powiedział uprzejmie:

– Proszę usiąść i przedstawić mi rzecz od początku.

Facet usiadł i wypluł jad: właśnie miał pecha pójść do spowiedzi do Jaśka. Bóg wie, co go do tej spowiedzi skłoniło, może wymagano od niego kartki do chrztu albo ślubu, bo na takiego, co robi remanenty od nowego roku, nie wyglądał. Uskutecznił spowiedziowy standard, jaki, można się domyślać: nie miałem czasu na modlitwę, opuściłem parę razy mszę świętą, mówiłem brzydkie wyrazy, miałem nieczyste myśli… Jasiek, jak to on, zadbał o godziwość sakramentu, przepytał penitenta na okoliczność stosunku do rodziny i bliźnich, i wtedy wyszła rzecz nieoczekiwana, którą delikwent zrelacjonował z żywiołową ekspresją:

– Co taki ksiądz, który nigdy sam o siebie zadbać nie musiał, wie o życiu! Jak to człowiek musi walczyć, ręce po łokcie urobić, żeby wyjść na swoje! Jak go osaczają! Pretensje, że złożyłem raport do skarbówki o nadużycia! I ta pokuta kosmiczna, dziewięć pierwszych piątków i co tydzień adoracja, ja nie mam czasu, ja pracuję, a nie obijam się jak co poniektórzy!… – I znaczącym wzrokiem zmierzył proboszcza od góry do dołu, ze szczególnym uwzględnieniem szlafroka i rozdeptanych kapci.

Ksiądz Tadeusz należał do tego gatunku mężczyzn, którzy potrafią wyglądać godnie i narzucić szacunek nawet w rozdeptanych kapciach.

– Pan pozwoli, że na samym początku uczynię dygresję, że spowiadający pana kapłan przez rok zarobkował za granicą na swoje utrzymanie, zatem potrafi o siebie zadbać. A teraz zreasumujmy. Relacjonuje mi pan dobrowolnie swoją spowiedź i prosi o komentarz, tak?

– Tak jest, ale co to ma do rzeczy? – obruszył się facet.

– Spokojnie, musimy to najpierw uporządkować. – Ze stoickim spokojem proboszcz wziął się za oczyszczanie przedpola. – Spowiednik wskazał panu nieuświadomiony grzech, czyż nie?

– Jaki grzech? – skoczył tamten.

– Rozumiem, że złożył pan donos na swojego konkurenta do Urzędu Skarbowego – powiedział beznamiętnie ksiądz Tadeusz.

– A od kiedy to grzech? – żachnął się Jaśkowy penitent. – Czy ja kłamię? Napisałem wyłącznie prawdę! Niby pod jakie przykazanie miałoby to podlegać?!

– Pod co najmniej trzy grzechy główne: zawiść, gniew i pycha – odpowiedział twardo proboszcz. – A niewykluczone, że w odwodzie jest także nieczystość.

Musiał trafić w czułe miejsce, bo facet skoczył jak oparzony.

– Jeden drugiego wart! – Nie mógł powiedzieć, biedak, „niedaleko pada jabłko od jabłoni". – Pójdę gdzie indziej! – Aha, czyli rzeczywiście o kartkę chodziło!

– Proszę bardzo, ale niech pan pamięta o poinformowaniu drugiego spowiednika, że nie otrzymał pan rozgrzeszenia, inaczej spowiedź będzie nieważna – wypunktował go proboszcz.

– Ja was!… – zapluł się facet, ruszając z hukiem do drzwi, ale ksiądz zastawił mu drogę i wycedził:

– Gdybym nie był księdzem, powiedziałbym panu… – Tu wyhamował w ostatniej chwili, bo uświadomił sobie, że za takie coś Janek kazałby mu jeść kalafior bez zasmażki przez dziewięć miesięcy. – Że jednak nim jestem, powiem: nawracaj się i wierz w Ewangelię!

„Chociaż do ciebie to ta druga wersja bardziej by pasowała" – pomyślał mściwie. Miał na myśli oczywiście „prochem jesteś

i w proch się obrócisz”.

Kiedy wikary wrócił po ósmej, zastał proboszcza w doskonałym nastroju i kondycji. Ten natychmiast zawołał go do siebie:

– Janku, muszę ci coś powiedzieć.

Jasiek wlepił w niego spokojne, niewinne spojrzenie, aż proboszcz się żachnął „ma nerwy, drań!” i kontynuował:

– Ty nie możesz nic mówić, więc usłyszysz wszystko ode mnie – i streścił całą awanturę, dodając zwięźle na koniec: – Tak trzymaj, synu!

Jaśkowi tylko oczy się zajarzyły i w dowód uznania i szacunku poszedł zrobić szefowi herbatę z potrójną cytryną. No i wmusił w niego citrosept.

Następny dzień spowodował, że jego szacunek wzrósł jeszcze bardziej. Dotychczas z lekkim pobłażaniem traktował nauczanie proboszcza w podstawówce, na zasadzie, że steranemu życiem należy się działka łatwiejsza. Dwie godziny w dwóch klasach komunijnych spowodowały przewartościowanie poglądów. To prawda, że jego pierwsza gimnazjalna była na poziomie dziesięciolatków, ale ci tutaj nie wyszli z przedszkola! Całe szczęście, że choć w jednej z klas przy katechezie dobrowolnie towarzyszyła pani pedagog wspomagająca, gros swojego wysiłku poświęcając nie dzieciom z orzeczeniami, tylko piekielnemu Kacperkowi, próbującemu wyłazić na parapet (zewnętrzny, rzecz jasna). Ogłupiały Janeczek zrezygnował z ambitnego planu nauczenia ich pięciu zasad dobrej spowiedzi, ba! – nie próbował nawet z nimi śpiewać, tylko poszedł w księżowski banał, przepytując o najszczęśliwszy dzień życia w celu podprowadzenia do refleksji wyższej. Wszystko szło w miarę dobrze, dzieci nawet chętnie opowiadały o wakacjach w Hiszpanii i kupnie nowego komputera, aż padło na Stefanka, który ochoczo zaraportował:

– Najszczęśliwszy dzień mojego życia był wczoraj!

– Tak?… – powiedział zachęcająco Janek.

– Pani mi pozwoliła zjeść resztki z obiadu!

Jasiek zastygł z przerażenia, pani wspomagająca spłonęła rumieńcem, pozostałe zaś dzieci, o dziwo, przeszły nad wyznaniem kolegi do porządku dziennego.

Po lekcji pani pedagog pośpieszyła z wyjaśnieniami. Stefanek pochodził z bardzo dobrej rodziny i był najstarszy z trójki rodzeństwa. Mama siedziała w domu z młodszymi, siłą rzeczy gotowała im obiady, natomiast chłopczyk marzył o tym, żeby jeść w stołówce z innymi dziećmi, czego rodzicielka konsekwentnie mu broniła.

„Nieszczęsna kobieta" – pomyślał Janek. „Jak to dobrze, że tego nie słyszała! Nie wiedziałaby, co zrobić: zadusić potomka na miejscu czy zagrzebać się ze wstydu pod podłogę!"

Po południu wyruszył z kolędą w towarzystwie księdza Wincentego, zupełnie, ale to zupełnie nie wyglądającego na swoje osiemdziesiąt pięć lat. Ten zgodnie z przewidywaniami zdążył na trasie z plebanii na Nowotarską opowiedzieć kilka dobrych anegdot, jak to na ten przykład Tadzik pierwszy raz w Środzie usiadł do konfesjonału, a potem konsultował ze swoim proboszczem, co to znaczy „chodzić na harendę". Nijak nie mógł zrozumieć, dlaczego chłopaki spowiadają się ze spacerów po Zakopanem. Uświadomiony oznajmił z godnością, że w Poznaniu na Smochowicach chodziło się na skibę.

Janek, uśmiechając się pod wąsem, ruszył obsłużyć swój przydział i tak się złożyło, że w trzecim z kolei domu wpadł prosto w objęcia Stefanka, który zawołał radośnie:

– Mamo, to ten ksiądz, któremu opowiedziałem, jaki był mój najszczęśliwszy dzień w życiu!…

Do końca wizyty duszpasterskiej Janek i mama Stefanka starali się na siebie nie patrzeć, ale rezultat był taki, że ta ostatnia skwapliwie zgłosiła akces na wakujące od dłuższego czasu stanowisko szefowej grupy charytatywnej, z czego proboszcz nadzwyczaj się uradował, zawsze miał bowiem problemy z nagonieniem trzódki do czynów społecznych.

„Zdolny ten Janeczek, proszę, jakie ma wyniki" – pomyślał sobie z satysfakcją. „Miał rację, przez trzy dni świat się nie zawali".

O święta naiwności!

Następnego dnia, we wtorek, większą połowę miał załatwić rozochocony ksiądz Wincenty, tak żeby Jasiek mógł o dziewiętnastej być już w biurze parafialnym. Interesantów zwykłych, od mszy i zaświadczeń, załatwiła wcześniej, ku jego radości, pani Zofia.

Zasiadł tedy pośpiesznie w gabinecie proboszcza i w ciągu godziny zdążył spisać protokół przedślubny z przemiłą parą z Pokrzywna. Już mu się wydawało, że nikt więcej się nie pojawi, kiedy w drzwiach stanęła ona, wykwintna dama w czerni.

Ksiądz Tadeusz spędził wieczór bardzo mile, odświeżając sobie *Imię róży*, potem zjadł kolację ze swoim dawnym zwierzchnikiem, wreszcie przywołał mu taksówkę i pożegnał go, a wikarego jak nie było, tak nie było. Janek pojawił się wreszcie po dziesiątej, przemknął niczym meteor do kuchni, w której dłuższy czas brzękał naczyniami, w końcu przyszedł i usiadł przy wezgłowiu szefa z miną psa, który ostro nabroił.

Proboszcz zastygł w oczekiwaniu, czując nieprzyjemny skurcz gardła.

Janek popatrzył bez zwykłego uśmiechu i wydusił z siebie:

– Zrobiłem coś, czego nigdy bym nie przypuszczał, że może mi się przydarzyć!…

Wszystkie trzewia przewróciły się proboszczowi do góry nogami. Wieczorna lektura była niewątpliwą przyczyną, że przed oczami stanął mu Adso spowiadający się Wilhelmowi ze swoich poczynań z dzieweczką.

Jasiek spojrzał bystro i pośpieszył ze sprostowaniem:

– Nie, nie, niech się ksiądz nie boi, to nie o to chodzi! – I dodał z żalem: – Gorzej…

Proboszcz jęknął.

– Co się stało?!

Janek się przemógł.

– Odmówiłem odprawienia pogrzebu…

Na chwilę zapadła cisza. Proboszcz znał stare sprawki wikarego i doceniał wagę wyznania.

– Umarł Stasik… Wie ksiądz, o kogo chodzi?

Trudno było nie wiedzieć. Stasik był dyżurnym lokalnym antychrystem, z gatunku takich, co to ochoczo podarliby Biblię w miejscu publicznym, sam sobie nadający skwapliwie tytuł osobistego wroga Pana Boga. Nawiasem mówiąc, z żoną rozwiódł się już ładnych parę lat temu, zostawiając ją z dwojgiem dzieci, w tym jednym z porażeniem.

– Przyszła jego… partnerka życiowa – powiedział Jasiek najoględniej jak potrafił – poprosić… – zawahał się znowu – to jest zadysponować pochówek na naszym cmentarzu. Twierdziła, że przyjął sakramenty. – Znowu milczał, przeżuwając w sobie wspomnienia. Proboszcz milczał jak zaczarowany, nie wiedział, jak Jankowi pomóc. – Powiedziałem, że bardzo się cieszę z uwagi na spokój jego duszy, ale pogrzebu nie mogę odprawić ze względu na możliwość zgorszenia publicznego.

Jasiek mógł dalej nie mówić, scenariusz był przewidywalny, po wymianie zdań pani wyleciała z furią, rzucając równie przewidywalne pogróżki.

Chwilę siedzieli obaj w milczeniu. Jeden myślał o dziadku, drugi o tym, że właśnie jego wikary przekroczył smugę cienia.

– Janku – powiedział wreszcie proboszcz – pozwól, że już jutro wstanę… Czuję się dobrze, słowo!

„To nie dlatego!" – mówiły jego oczy. „Zrobiłeś dobrze i wiesz o tym. Po prostu, jeśli mogę, chciałbym ci zaoszczędzić takich sytuacji…"

„Dziękuję" – odpowiedział wzrokiem Janek. „I przepraszam, bo nigdy nie pomyślałem, ile ksiądz załatwia przez zwykłe siedzenie w biurze".

Następnego dnia funkcjonowali ramię w ramię aż do wieczora, kiedy to dzięki księdzu Wincentemu, którego nie wypadało spławiać, kolęda skończyła się szybciej. Wstąpili do kościoła odnieść przyodziewek, proboszcz robił remanent w zakrystii, a wikary, którego ciągle widać gryzło sumienie, bez naganiania zabrał się za porządki w prezbiterium, bo igliwia od choinki było tam na palec grubo. Coś huknęło, runął wazon z kwiatami, porządki zapowiadały się coraz lepiej, a skruszony Jasiek wlazł ze szmatą za ołtarz. Smukły był na szczęście, więc uskutecznić to mógł bez większych wysiłków, jak Wawrzuś z *Historii żółtej ciżemki*.

Wtedy na progu pojawiła się Martynka.

Martynka była archetypem dziecka niewinnego. Miała blond włoski, a oczy tak intensywnie niebieskie, że kiedy się w nie za długo patrzyło, człowiek zaczynał się zastanawiać, czy aby sobie nieco nie przyćpał. Przeszła przez kościół, stanęła w drzwiach do zakrystii

i poczęła wpatrywać się z namysłem w proboszcza, który długo tego nie wytrzymał.

– Słucham, Martynko? – zagadnął życzliwym, choć zmęczonym nieco głosem.

– Proszę księdza – zaczęła solennie delikwentka – jak ja mam pościć, skoro mięsa nie znoszę i piątkowy post to dla mnie nagroda, a nie ograniczenie? To ja się czuję nie w porządku…

Ksiądz Tadeusz prędzej by się udławił, niż odpowiedział chętnemu dziecku: „Daj sobie spokój z postem, nie masz jeszcze czternastu lat!", zatem wyjaśnił życzliwie:

– To zrób jakiś dobry uczynek.

Nie wiedział biedak, że poruszył lawinę.

– Ale, proszę księdza, co to znaczy? – zapytała niewinnie Martynka.

– Nawiedź jakąś samotną osobę – odparł rutynowo, acz ciągle cierpliwie proboszcz.

– No ale to jest u nas normalne – odpowiedziało z zatroskaniem upiorne niebieskookie dziecko. – Jak mama piecze ciasto, jak są owoce w ogrodzie albo jest ogólnie smutno, to ja zawsze chodzę tu i tu, i tu, bo tak już jest od dzieciństwa.

– To pomóż jakiemuś dziecku – wpadł na twórczy pomysł ksiądz Tadeusz.

– Ale wszyscy sąsiedzi wiedzą, że mogą przychodzić po pomoc, i nawet zostawiają nam dzieci pod opieką, jak wyjeżdżają, i to jest normalność, a nie dobry uczynek – zripostowała skrupulatnie Martynka.

Proboszcz, jak wiemy, miał wzrost słuszny, więc ponad głową Martynki doskonale widział, co poczyna jego wikary. Mały drań wciskał sobie pięść do gęby, żeby nie ryczeć ze śmiechu.

– To wiesz co, dziecino? – powiedział desperacko. – Daj spokój jednemu staremu księdzu i idź mi stąd, to ci się też policzy.

– Dobrze, proszę księdza – zgodziła się dziecina, zrobiła w tył zwrot i zniknęła.

Proboszcz stanął oko w oko z na wpół uduszonym Janeczkiem.

– Chcesz posiedzieć w biurze? – zapytał surowo.

I tym krótkim zdaniem opanował sytuację.

Rozdział XIII

Tłumacz przysięgły

Od tygodnia tata znakomicie się bawił. Właśnie jego satysfakcja sięgnęła zenitu: ukochana córeczka wraz z zięciem *in spe* gimnastykowali się w biurze parafialnym u proboszcza ze Zmartwychwstania i na razie wypadało na remis, ale szala mogła się w każdej chwili przechylić na jedną ze stron. W każdym razie polski kler, w odróżnieniu od swojego odpowiednika z Cardiff, przetrzymał osiemnaście pytań protokołu, podczas gdy tamten odpadł w przedbiegach.

David zgodnie z planem miał przyjechać dwunastego lutego, więc tatusina ukochana Elanor Piękna na głowie stanęła, żeby zaliczyć sesję w przedterminie i mieć potem święty spokój do załatwiania, co trzeba. Przy czym „co trzeba" należało rozumieć kompleksowo i wyczerpująco.

Tata był pełen podziwu dla swojej najmłodszej latorośli. Oni też z Różą bardzo starali się podczas swojej pierwszej wspólnej sesji, tuż przed owym pamiętnym lutowym strajkiem. Cała rodzina gadała i krakała, że po ślubie nie będzie im się chciało uczyć, bo będą zajęci czym innym, no a jak jeszcze Różyczka zajdzie w ciążę, to… i podnosili oczy do nieba na znak dezaprobaty. Wobec tego za punkt honoru młodzi wzięli sobie zdać wszystko na piątki. Zdali, ale nie w przedterminie! A Elunia – proszę, nie dość, że wzorowo, to jeszcze z taaakim zapasem!

„Tata mnie przecenia” – myślała sobie skromnie zainteresowana. „W końcu oni uprawiali jeszcze politykę…” Ona sama mogła skupić się na Davidzie, bo aktualna polityka nie leżała w strefie jej zainteresowań. Gdyby żyła w ich czasach, to owszem, ale teraz?! Irytowały ją nawet dowcipasy typu: „Ale polityka interesuje się tobą!”.

Tym razem David został ulokowany w pokoju Elki, a ona sama przeniosła się do rodziców na materac. Oczywiście, nie musieliby się wszyscy tak gimnastykować, bo babcia Niziołek wystąpiła z ochoczą propozycją goszczenia młodszego zięcia, pamiętna tego, jaki to miły i dobrze ułożony chłopiec, który tak ładnie daje się karmić. Nijak to jednak nie pasowało stęsknionym narzeczonym z przyczyn oczywistych, a Davidowi rodzinka Szczęsnych ani trochę nie wadziła, więc babcię nadzwyczaj subtelnie spławiło się pod pretekstem, że z Pamiątkowej będzie bliżej do załatwiania formalności.

W pierwszej sposobnej chwili David wziął Elkę na stronę – tak wychowali sobie rodzinę, że nikt już ich nie tropił i nie pilnował – i powiedział:

– Słuchaj, mała, są trzy sprawy, łatwa, trudna i trudniejsza, od której mam zacząć?

– Od łatwej – odparła Ela wbrew konwencji. Trzeba sobie stopniować.

– To popatrz – powiedział i wyciągnął barwny prospekt. – Wiem, że do bukietu ślubnego chciałaś jakieś drobne, żółte kwiatki, żeby mogły udawać elanory… – W oczach zajarzyły mu się chochliki, znał doskonale wersję drugą, z simbelmynë, ale powstrzymał się od drążenia tej delikatnej materii. – A co byś powiedziała na to? Róża Eleanor. Może o jedno e za dużo, ale… Jakbyś się zdecydowała, wszystko załatwię, jedna hodowla jest koło Shrewsbury.

Elka zobaczyła śliczne, drobne kwiaty o niezwykłym, różowoliliowym odcieniu. A pod spodem napisane było: „zapach – wyjątkowy”. Tylko w jeden sposób mogła wyrazić swoją akceptację. Wyglądało na to, że zarówno jej akceptacja, jak i sposób wyrażenia tejże bardzo się Davidowi spodobały. Wobec tego odważnie przeszedł do drugiej sprawy.

– To teraz to trudne, mała. Czy to ty mogłabyś wyznaczyć best mana? Któregoś z kuzynów albo szwagra? Albo twojego brata przyrodniego? – Tak właśnie ładnie powiedział o Merrym, brat przyrodni. – Jasne, że to powinna być moja działka, ale mamie się zachciało, żeby Una była druhną. Sorry, Elanor, mama jest w porządku, czasami trzeba jej ustąpić…

Ela była całkowicie zgodna, że starym trzeba czasami ustąpić, ale tym razem się spłoszyła:

– Tylko że ja już dawno obiecałam Dominice!…

Błyskawicznie przeleciały jej przez głowę pomysły zdublowanej pary świadków, dwie druhny i dwóch drużbów, David chyba kombinował tak samo, popatrywali na siebie skonsternowani i wtedy Elka wpadła na genialny pomysł:

– A czy to Una nie mogłaby być best manem?

David na chwilę osłupiał, ale zaraz potem, uśmiechnąwszy się szeroko, radośnie zawołał:

– Oczywiście, że mogłaby! Będzie zachwycona! Ona zawsze była samcem alfa!

Hmm… Tak właśnie powiedział: *alpha-male*. Ani Ela, ani narrator by się nie ośmielili, ale skoro sam David…

Nie zdążyli przejść do kwestii trzeciej, bo do drzwi ktoś dyskretnie zastukał. Jak się jednak okazało, była to tylko Wiola, która nieśmiało przyszła powiedzieć, że właśnie wyłączyła gaz pod gulaszem, który, niestety, zdążył się nieco przypalić. Elka popędziła ratować obiad, słysząc jeszcze za plecami, że Wiola mówi promiennie:

– *Hi, David. I have heard a lot about you*…

Parsknęła w gulasz, ale spodziewanego dalszego ciągu nie było. Tamci przyszli za nią do kuchni, Wiolka przyprowadziła też wózek z Janeczką; siedzieli tak razem w dobrej komitywie, a Ela wyjaśniała im przyczyny swojego rozweselenia. I Wiolce, i Davidowi znana była oczywiście słynna rodzinna anegdota, dlatego zaśmiewali się we troje. W pewnej chwili Jasia zaczęła popiskiwać, więc Elka wzięła ją na ręce, ale nie uszło jej uwagi, że Davidowi momentalnie zajarzyły się oczy.

„Patrzy i patrzy, jakby dziecka nie widział!” – uśmiechnęła się Ela do samej siebie.

Potem zaczęła się złazić cała reszta, rodzina zasiadła do stołu i sprawa trzecia uległa odłożeniu. Nawiasem mówiąc, tak jak Brendan kapustę, tak David wcinał na kopy kiszone ogórki. „Dobrze wiedzieć" – pomyślała Elka.

A następnego dnia z rana szczęśliwi narzeczeni ruszyli na bój z biurokracją.

Przygotowani byli perfekcyjnie. To znaczy, im się wydawało, że są perfekcyjnie przygotowani, ale któż to mógł przewidzieć, jakich niespodzianek należy oczekiwać w urzędzie? Termin zaklepała Elka internetowo już przed miesiącem, chciała wcześniej, ale system nie brał pod uwagę takich dogłębnie poznańskich zachowań. Zaklepanie odbyło się nie bez przygód, ponieważ w trakcie tych żmudnych czynności co rusz była straszona, że właśnie zainstalowała superniebezpieczne wtyczki, które w trymiga wygryzą jej komputer. Dlaczego Urząd Miasta Poznania operuje niebezpiecznymi wtyczkami, pozostało dla wszystkich zagadką. W każdym razie narzeczeni mieli stawić się o godzinie dziesiątej, co uczynili w komplecie, czyli oni plus tłumacz przysięgły w osobie taty.

Od samego początku, od pierwszego zdania Ela zauważyła, że obecność taty ma błogosławiony wpływ na załatwianie czegokolwiek. Po pierwsze jako jego samego, osoby o niezwykle ujmującym sposobie bycia. Po drugie okazało się, że kiedy tylko tata nadzwyczaj skrupulatnie przystępował do tłumaczenia każdej frazy każdego najgłupszego nawet zdania, skonfundowany rozmówca zaczynał uważać na słowa, ich logikę i precyzję.

– Dowody osobiste lub paszporty poproszę! – zadysponowała pani.

Tata przetłumaczył, chociaż David doskonale wiedział z kontekstu, co jest grane. Z Elką zgodnie z przypuszczeniami poszło szybciusieńko, David natomiast stanowił urzędnicze wyzwanie. Pani przestudiowała jego akt urodzenia i tłumaczenie sporządzone przez tatę.

– Pan jest tłumaczem przysięgłym wpisanym na listę przy ministrze sprawiedliwości? – zapytała dociekliwie.

To również tata z marszu przetłumaczył.

– Nie, ja mówię do pana! – sprostowała urzędniczka.

– *No, it is to you that I'm talking* – usłyszała swoje echo.

– Tak, oczywiście, ten pan spełnia wymagane warunki – włączył się do gry David, a tata towarzyszył mu z ujmującym uśmiechem.

Pani postanowiła uważać na słowa, postukała w komputer, bez wspomagania znalazła sama na liście tłumaczy Roberta Niziołka i kontynuowała procedurę. Przestudiowała zaświadczenie zdolności prawnej wraz z tłumaczeniem, przezornie nie komentowała i zażądała tylko:

– Proszę o przedstawienie dokumentu poświadczającego miejsce zamieszkania.

Po polsku jeszcze to jakoś brzmiało, ale po angielsku… Na to też dzielna trójka była przygotowana, ale jeszcze w domu uzgodnili, że będą udawać idiotów. Cała rodzinka jak jeden mąż nienawidziła bowiem tych wszystkich cyrków z zameldowaniem; kiedy tylko dyskurs zszedł na te sprawy, mama zaczynała pokrzykiwać, że prekursorem obowiązku meldunkowego była Rosja Sowiecka, tata sekundował jej, przywołując prawo do swobodnego przemieszczania się i pobytu, a Gośka i Fred, czego łatwo się domyślić, wsiadali na Tuska, który meldunki obiecywał znieść jeszcze w poprzedniej kadencji.

– W Wielkiej Brytanii nie ma obowiązku meldunkowego – dowiedziała się pani po przeczekaniu łańcuszka dwustronnych tłumaczeń.

– Jakiś adres przecież muszę wpisać! – palnęła, zapomniawszy na chwilę o rozrywce pod tytułem tłumacz.

– Osiemdziesiąt trzy Marguerites Way, Cardiff – usłyszała po kolejnym nawrocie.

– Ale ja potrzebuję dowodu na piśmie – upierała się, zmęczona już trochę.

David zaprezentował ucieleśnienie obrażonej niewinności.

– Najmocniej przepraszam, czy pani kwestionuje moje oświadczenie? – zapytał z naciskiem, co tata natychmiast skwapliwie przetłumaczył.

Elunia była pełna podziwu dla swoich ukochanych mężczyzn, ale odrobinę zaczęła się niepokoić, czy nie jest to aby zabawa w drażnienie tygrysa. W końcu to jej z Davidem zależało na ślubie, nie pani urzędniczce.

Dziw nad dziwy, ale to ta ostatnia się poddała. Przynajmniej po części.

– Prawo jazdy pan ma? – zasugerowała ugodowo.

Żądany dokument został przedłożony do wglądu, zrobiono z niego ksero i na tym poprzestano. Być może Elka była nadwrażliwa, a może po prostu miała szósty zmysł, ale w oczach obu towarzyszących jej panów zobaczyła zawód i niedosyt. „Szkoda!" – mieli wypisane na czołach. „Zmarnowało się takie piękne tłumaczenie rachunku bankowego i korespondencji z rektorem uniwersytetu!" Bo musisz być tego świadom, miły czytelniku, że upiornie pracowity tłumacz przysięgły i te dokumenty zdążył był wyprodukować, a najdroższy narzeczony Elanor Pięknej trzymał je za pazuchą na czarną godzinę. Jeden wart drugiego… Czy to Brendan miał na obu taki przemożny wpływ?

Dalszy ciąg przeszedł ulgowo, wydali im to nieszczęsne zaświadczenie od ręki, chociaż na stronie wydziału widniały enigmatyczne informacje, że takie coś dostaje się „niezwłocznie, a najpóźniej w 7 dni". Dlatego na wszelki wypadek proboszcza mieli umówionego za tydzień. Teraz mogli ten tydzień spożytkować na różne przyjemności.

Przyjemności polegały między innymi na uzgodnieniu z Merrym repertuaru ślubnego. Na pierwszy ogień poszła jego część oficjalna; we czworo przerzucali się swoimi ulubionymi pieśniami i byli właśnie przy *Alleluja*, próbując różne melodie, kiedy ktoś zadzwonił. Elka poszła otworzyć; to był kurier z paczkami do sąsiadów, którzy z reguły pojawiali się w domu późnym wieczorem i wszyscy się przyzwyczaili, że wszelką pocztę można zostawiać u Niziołków. Wiola, Merry i David dalej zawodzili „Allelujaaaaa", kurier zastygł w drzwiach, szyja mu się wydłużyła jak żyrafie, bo próbował zerknąć dalej i rozszyfrować, czy trafił na zgromadzenie świadków Jehowy czy może mormonów. Elka była w trakcie kwitowania, kiedy tamci przerzucili się na *The Lord is my shepherd, I shall not be in want*. „Mormoni!" – mówiły oczy kuriera. „Ciekawe, a ludzie gadali, że w tej rodzinie jest ksiądz katolicki! Jak to się dziwnie plecie!" Wobec tego Elunia zamknęła drzwi pośpiesznie, acz uważnie, żeby

nieszczęsnemu, nomen omen, listonoszowi nic nie przytrzasnąć, i wróciła do towarzystwa.

Dokończyli część kościelną, a przechodząc do wesela, zainteresowani jednogłośnie zarzekli się: „Żadnej tresury z pierwszym tańcem!”. Merry był spolegliwy, może utkwiła mu w pamięci własna ślubna gimnastyka, kiedy to rozpalona rodzinka skrupulatnie kamerowała ich popisy choreograficzne; zaczął grać fajne jazzowe kawałki i wtedy ponownie zabrzmiał dzwonek. Tym razem drzwi musiała otworzyć Wiola, bo Elka wyobraziła sobie osłupiałą minę pana listonosza i dostała ataku śmiechu.

Dzień przed wyprawą do parafii David z nieszczególną miną przydybał ją w kątku.

– Elanor, musimy porozmawiać… – zaczął oficjalnie jak nigdy. Prawda, została przecież jeszcze sprawa trzecia, najtrudniejsza!

– Bo widzisz, chcę ci wszystko powiedzieć, zanim pójdziemy do księdza… Żeby nie było, że coś przed tobą ukrywałem! – wydusił z siebie.

„Rany boskie, co on ma mi jeszcze do powiedzenia?!” – przemknęło Eli przez głowę w lekkim popłochu. „Myślałam, że już wszystkiego się dowiedziałam?”

– Słuchaj, mała, wiem, że załatwiłaś już sobie wymianę do Newport, ale… może byśmy wspólnie rozważyli coś zupełnie innego…

„Co, na Boga?!”

– Dostałem propozycję… Wstępną propozycję, musiałbym się jeszcze dookoła tego pokręcić… pracy w Edynburgu, bardzo podobnej do tego, co robiłem na praktyce w Cardiff, chodzi o rehabilitację uzależnionych… Co ty na to? W Edynburgu na uniwersytecie jest wydział Art&Design, kurs mogłabyś sobie dobrać, jaki najbardziej by ci pasował, kostium sceniczny na przykład…

W Edynburgu?! Z wrażenia Elka zaczęła się jąkać.

– David, co ty mówisz?! Mielibyśmy pojechać do SZKOCJI?! Naprawdę?!

Musiała mieć wszystkie emocje wypisane na twarzy, bo David rozpromienił się, ale prędko dopowiedział:

– Ale to nie jest jeszcze taka prawdziwa Szkocja, mała…

Doskonale rozumiejąc, co miał na myśli, Elka pośpieszyła z deklaracją:

– Nie szkodzi! Zawsze przecież możemy sobie skoczyć tu i ówdzie! A z Erasmusem to pestka, wszystko załatwię, zamienię się z takim jednym kolegą, on wolał bliżej Londynu, ale się zagapił i został dla niego tylko Edynburg właśnie!

Tym razem naprawdę zostali przyłapani przez tatę w trakcie wyrażania wzajemnego entuzjazmu, ale absolutnie się tym nie przejmując, zaczęli pośpiesznie relacjonować mu swoje plany. Davidowi oczy świeciły jak… Kurczę, narratorowi brak odpowiedniego literackiego porównania! Jak dwie supernowe!

A następnego dnia poszli sporządzać protokół przedślubny. Tak to właśnie się nazywa, strasznie, nieprawdaż? W domu dokładnie sprawdzili w internecie, co ich czeka, i teraz byli zwarci i gotowi. Do dania świadectwa, oczywiście, a cóżeś sobie, czytelniku, pomyślał?

Proboszcz przywitał gościnnie przybyłych, czyli narzeczonych plus tłumacz, i z szerokim uśmiechem zaraz na dzień dobry wyskoczył do tych noszących nazwisko rodowe Niziołek:

– Ale w kościele to ja was już dawno nie widziałem!

Nie przewidział tylko, że tata, a jakże, przetłumaczy natychmiast słowo w słowo. Trochę się speszył.

– Żartuję, żartuję! – zapewnił pośpiesznie. – Wszystko wiem, do dominikanów chodzicie?

Nie trzeba dodawać, co pobrzmiewało jako echo tych słów. Proboszcz postanowił przejść do rzeczy i poprosił narzeczonych o złożenie przyrzeczenia na Biblię, że będą mówić prawdę i tylko prawdę.

– O! – wyrwało się Elce całkowicie spontanicznie. – Jak w amerykańskim dramacie sądowym! – A trzeba przyznać, że obu towarzyszącym jej panom sprawiła tym niezwykłą radość.

Pierwsze pytanie było standardowe, dotyczyło personaliów i wydawałoby się, że do niczego nie można się przyczepić. Kiedy jednak proboszcz zwrócił się do Elki:

– Imię i zawód ojca oraz imię i nazwisko panieńskie matki! – ta, chociaż przyrzekała sobie trzymać pysk na kłódkę i podchody zostawić drażnicielom tygrysów, nie wytrzymała i zapytała słodko:

– A dlaczego księdza nie interesuje zawód mojej mamy?

– Och, to taka rutyna! – zbagatelizował sprawę proboszcz i szybko przeszedł do pytania drugiego. Elę odfajkował błyskawicznie, ale zgodnie z oczekiwaniami zawiesił się na Davidzie, bo nie mógł rozszyfrować dat: chrzest 1988, komunia 2013, bierzmowanie 2013… Nastąpiły dłuższe wyjaśnienia w dwóch językach, poparte odpowiednimi dokumentami, które proboszcz przeglądał, zerkając na Davida z sympatią i zaciekawieniem.

Punkt trzeci wydawał się równie rutynowo nudny jak pierwszy. A jednak, kiedy po zanotowaniu „miejsca i adresu stałego zamieszkania" padło pytanie o „miejsce, czasokres i adres tymczasowego zamieszkania", zaczęła się przepychanka:

– Poznań, od dwunastego lutego, Pamiątkowa dwadzieścia dwa – odpowiedział David prawdomównie i precyzyjnie co do jednego przecinka, jakkolwiek by to nie było absurdalne.

Proboszcz nie byłby sobą, gdyby w tym miejscu nie uczynił tego, co mu służbowy obowiązek nakazywał:

– Państwo mieszkają razem? – zapytał, patrząc może nie z potępieniem, ale z zawodem na tatę.

– Tak – odpowiedział David, a oczy miał niewinne jak marcowe jagnię. – Jestem jeszcze studentem, nie mam pieniędzy na hotel. Rodzice Elanor użyczyli mi gościny.

Teraz już obaj z tatą wbili w proboszcza hipnotyzujące spojrzenie: „No, dalej, śmiało, zadaj wreszcie to nieszczęsne pytanie, my ci nie pomożemy!".

– Ale w osobnym pokoju? – poddał się proboszcz.

– Słucham? – podniósł brwi David. – Oczywiście, jakby inaczej!

Stan cywilny, zawód i wykształcenie nie nastręczyły problemów, za to na punkt piąty narzeczeni czekali niecierpliwie, zastanawiając się, na ile twórczo proboszcz go rozbuduje. W szczególny sposób David czaił się, żeby na pytanie, czy uznaje zasady moralności chrześcijańskiej, zaripostować:

– Chrześcijańskiej czy katolickiej? Bo z doświadczenia wiem, że można znaleźć parę różnic… – a w zanadrzu miał, drań jeden, opowieść o pastorze-lesbijce. Spotkał go jednak zawód, bo proboszcz rozpoczął swobodną rozmowę i nawet się z Elką nie

spostrzegli, gdy relacjonowali mu ze szczegółami, jak wyglądał kościół i msza w Ullapool. Tata nie musiał dużo tłumaczyć, bo mówili z ogniem na zmianę, a potem za jednym zamachem opowiedzieli o organizacji Kościoła w Szkocji i o tym, że w Fort William widzieli polski plakat. Proboszcz uśmiechał się pod wąsem, podobało mu się to bez dwóch zdań do tego stopnia, że katechezie przedmałżeńskiej poświęcił raptem pół minuty i nawet nie chciał oglądać pięknego zaświadczenia Elki z Krzesin. Komitywa pogłębiła się, kiedy zaraportowali mu, że znają się od zawsze, a ich ojcowie od trzydziestu ośmiu lat. I że nikt nie ma absolutnie nic przeciwko. Pewnie właśnie dlatego nie dopytał, ile czasu zajęła im decyzja o ślubie…

Ale prawdziwa trójstronna roz(g)rywka zaczęła się, kiedy przeszedł do przeszkód małżeńskich.

– Czy narzeczony nie ma wątpliwości co do stanu swojego zdrowia? – zapytał ksiądz, a tata natychmiast przetłumaczył, świdrując Davida oczami.

– Wedle swojego rozeznania nie mam – odpowiedział skrupulatnie David.

– Czy uważa, że będzie mógł mieć własne dzieci? – kontynuował proboszcz.

David wbił wzrok w sufit i zaczął się zastanawiać. Przetrzymał tak wszystkich dobre parę minut.

– Cóż – zawyrokował wreszcie – trudno mi powiedzieć, bo dzieci nie mam. Ale jestem pełen nadziei…

Proboszcz spojrzał ciężko, westchnął i zadał kolejne pytanie:

– Czy nie ma wątpliwości co do zdolności do współżycia małżeńskiego?

– *Is there any doubt about the ability to consummate the marriage?* – usłyszał ukochany Elki od swojego przyszłego teścia.

Jak oni to robili, że potrafili patrzeć jednocześnie na siebie we trzech i szachować się spojrzeniami nawzajem, doprawdy nie sposób pojąć!

„Jeżeli on teraz odpowie, że nie ma wątpliwości co do spraw ostatecznych, ale o ziemskich nigdy na sto procent pewny być nie

może, to rozwalę mu łeb kropielnicą” – pomyślała Elunia z determinacją.

– Z pomocą Bożą, nie – odpowiedział David.

Proboszcz odetchnął z ulgą i pośpiesznie przeszedł do kolejnej kwestii:

– Czy nie zawierał małżeństwa z inną osobą?

O, nie ma tak lekko!

– Najmocniej przepraszam księdza – głos Davida był tak układny, jakby brał u wujka Roberta specjalne lekcje – ale dlaczego ksiądz nie pyta o to samo mojej narzeczonej? Zgodnie z kanonem tysiąc osiemdziesiątym czwartym Kodeksu Kanonicznego przeszkody niezdolności fizycznej dotyczą obu stron…

Nie ma co ukrywać, że proboszcz się zatchnął. Tak ze względu na biegłość zainteresowanego, jak i meritum.

– Bo dopuszczamy domniemanie, że pańska narzeczona nie ma doświadczenia, aby na to pytanie odpowiedzieć – wyrzekł z dostojną oględnością.

– Rozumiem, że domniemywa ksiądz moje doświadczenie w tym względzie? – przyszpilił go David.

– Czy chciałby pan porozmawiać o tym na osobności? – podłożył się proboszcz.

Na osobności? Z tym nieskazitelnym teściowym tłumaczeniem?

– Nie mam przed moją narzeczoną nic do ukrycia! – obwieścił dumnie David.

„O, draniu! To dlatego powiedziałeś mi wcześniej o Edynburgu!” – zrozumiała Elka.

– Jestem zdrowa, chcę mieć dzieci i nie mam żadnych wątpliwości co do współżycia małżeńskiego! – wypaliła bezceremonialnie, żeby przerwać łobuzowi jego wyczyny.

Chyba coś zjadła z pośpiechu, bo proboszcz miał dziwną minę. David przeciwnie, kiedy tylko tata przetłumaczył co do jednego znaku interpunkcyjnego jej wypowiedź, oczy zaświeciły mu jak SN 1988 A i B. Nie wiesz, drogi czytelniku, co to jest? To sprawdź sobie w Wikipedii.

W każdym razie przez pozostałe przeszkody przelecieli wraz z proboszczem ekspresowo, docierając w ten sposób do *clou* całego

protokołu, czyli do deklaracji o nierozerwalności małżeństwa, dzieciach i, jak to ujęto, etyce katolickiej w planowaniu rodziny.

Elka ramię w ramię z Davidem, tym razem bez żadnych wygłupów, kwitowali wszystko zgodnym „tak, tak", poza rozwodem, oczywiście, kiedy zakrzyknęli „nie!" i wtedy proboszcz, niewątpliwie już zmęczony, na jednym oddechu, bez ostrzeżenia skomentował ich gorliwość:

– Czy narzeczeni są przekonani o własnym zdrowiu psychicznym?

Szczęka opadła Eli z wrażenia. Tata z kamienną twarzą, tak kamienną, że musiał chyba wyć w środku ze śmiechu, błyskawicznie przetłumaczył to Davidowi, który dzięki tej minucie zdążył zebrać myśli i w odróżnieniu od ukochanej zorientował się, że proboszcz niczego nie insynuuje, tylko po prostu przeszedł do punktu osiemnastego…

Finał przebiegł sprawnie, młodzi wyparli się wszelkiego przymusu, warunków i umyślnego wprowadzania w błąd, proboszcz otarł pot z czoła, jako że z powodu świeżej konwersji narzeczonego całą czwartą część można było sobie podarować, i powiedział pośpiesznie:

– Proponuję państwu rozmowę duszpasterską z księdzem Pawłem, on mówi po angielsku, będzie dla wszystkich wygodniej. Powiedzmy, jutro o szesnastej?

Ela odetchnęła z ulgą, a tata z Davidem popatrzyli dumnie na siebie.

Wtedy do Elki dotarło, że jej najdrożsi mężczyźni przez calusieńki ten czas siłowali się nie tylko z księdzem, ale i między sobą na zasadzie: czego ty nie wydusisz z siebie, będąc świadomy, że ja to zaraz przetłumaczę, i odwrotnie, co ty, kochany teściu, z tego, co powiedziałem, będziesz się wstydził przetłumaczyć?

I struchlała.

Bo na sam koniec proboszcz, uporządkowawszy papierki, wręczył im kartki do spowiedzi z zaleceniem, żeby pierwszą z nich odbyć jak najszybciej.

„Jeżeli teraz David oświadczy, że on może choćby w tej chwili z pomocą tłumacza, to chyba odwołam ślub!" – pomyślała w popłochu i z determinacją. A widziała doskonale to przeciągłe

spojrzenie między nimi: „Dalej, zrób to!”. „Naprawdę? A jak zrobię, to co ty na to?”

Wtedy obaj popatrzyli na nią i uśmiechnęli się. Już była spokojna, że nie będą robić żadnych numerów kosztem godziwości sakramentu. Mogła liczyć na jednego i drugiego.

Do spowiedzi powędrowali, jakby inaczej, do białych, gdzie chyba z pięciu ojców czyniło to po angielsku, w tym ojciec Rafał, który zawsze tak śmiesznie podskakiwał, reklamując ostatni numer „W drodze”. Przed samym kościołem David przejechał po swojej najdroższej dziewczynie od góry do dołu powłóczystym spojrzeniem i wreszcie zdecydował się zapytać:

– A ten kolega, z którym się chcesz zamienić na Edynburg… to dobry kolega?

„Oj, kochany, trzy dni z tym się męczyłeś i dopiero teraz?!”… – W oczach Elki zajarzyły się chochliki.

– Bardzo dobry – zapewniła z uroczym uśmiechem. – Doskonale się rozumiemy, szczególnie przy projektowaniu ciuchów. Bo widzisz, on jest metroseksualny.

Davida zatkało, nie wiadomo do końca, czy z powodu opisanego casusu, czy zdumiał się, że jego niewinna narzeczona zna takie słowa. I potrafi je prawidłowo wymówić po angielsku.

W pięć dni później, kiedy David znikł za bramką w czeluściach lotniska, Ela pomyślała sobie: „Rany boskie, teraz będę musiała czekać do czerwca! Muszę sobie coś wymyślić do roboty, bo zwariuję! Może naprawdę założyć linię produkcyjną kościelnego przyodziewku, jak mi żartem doradzała Gośka?”

I tym sposobem, drogi czytelniku, dotarliśmy do osoby, której imienia narrator, trwając w bohaterskim samozaparciu, ANI RAZU NIE WYMIENIŁ W TYM ROZDZIALE. Do Janka mianowicie. Niewiarygodne! Bo jak czytelnik doskonale wie, narrator jest tak samo stronniczy i tak samo bałwochwalczo kocha księdza wikarego Niziołka Peregryna, jak i jego siostra. I druga siostra. I tata. Nie mówiąc już o mamie…

Ale nie martwcie się, powetujemy to sobie z nawiązką poniżej.

Rozdział XIV

Pokuta

W poniedziałek rano po feriach w krzesińskiej szkole działy się rzeczy straszne, acz nad wyraz interesujące.

Dyrektor jak zwykle jako pierwszy przekroczył progi szkoły o wpół do ósmej. Ledwo to uczynił, skamieniał. Smród, który buchnął z czeluści budynku, był tak potworny, że nieszczęsny funkcjonariusz państwowy siłą powstrzymał chęć natychmiastowej ucieczki gdzie pieprz rośnie. Tak się złożyło, że aby zabić ból istnienia związany z koniecznością pójścia do szkoły, cały miniony weekend – w przerwach pomiędzy jednym złotem olimpijskim Polaka a drugim – poświęcił na lekturę potwornie krwawego kryminału islandzkiej pisarki o imieniu Yrsa i nazwisku niemożliwym do zapamiętania, a tym bardziej do wymówienia. Teraz odpowiednie skojarzenia wręcz waliły obuchem po głowie.

W tejże chwili na horyzoncie pojawił się ksiądz Janek w towarzystwie dwojga ministrantów. Jeszcze dobrze nie doszli do drzwi, kiedy ministrant płci żeńskiej zakrył sobie twarz rękami i z przyduszonym krzykiem „Jezu, zaraz rzygnę!” rzucił się w tył. Ministrant płci męskiej natomiast, zatkawszy nos, ciekawie wściubił głowę do środka. Dyrektor z księdzem katechetą mieli wielką ochotę zrobić to, co pierwszy z nich, ale przykład drugiego i powaga stanu na to im nie pozwoliły. Wzbudziwszy zatem całe swoje męstwo, wkroczyli do szkoły. Podążając za smrodem, rychło dotarli do jego źródła.

Źródłem tym okazał się kosz na śmieci w gabinecie geograficznym, zawierający gnijącą krwawą masę.

„Rany boskie, ja naprawdę pawia puszczę!" – pomyślał dyrektor.

„Tere fere, sutanna mi zaśmierdnie!" – pomyślał ksiądz katecheta.

Jeżeli nie rozumiesz, drogi czytelniku, co oznacza przedziwna fraza przypisana Jankowi, obejrzyj sobie na YouTube *Tłumaczenie* Macieja Stuhra. Chyba że Macieja Stuhra nie cierpisz ze względów obiektywnych i oglądać nie zechcesz, no ale wtedy nie będziesz wiedział, co znaczy tere fere.

Jakie by jednak słowa nie padły, sytuacja była krytyczna. Na szczęście dla władzy szkolnej pojawiła się odsiecz w osobie matematyka, wobec czego dyrektor uznał, że może pozostawić dzielnej młodzieży nauczycielskiej trudną misję usunięcia padła, sam zaś wycofał się celem przeprowadzenia śledztwa.

Poszło mu to raz dwa, bo unoszący się w atmosferze odór działał w sposób zadziwiający: nad wyraz ochotnie rozwiązywał wszystkim języki. Jeszcze zatem nie wybiła ósma, kiedy dyrektor ustalił, co następuje:

W piątek przed feriami, czyli, bagatela, siedemnaście dni wcześniej, pani od biologii przeprowadziła bardzo interesującą lekcję, na której młodzież dokonywała sekcji na podrobach zwierzęcych. Ściślej na wątróbkach, płuckach, żołądkach i sercach, co tam komu udało się zdobyć. Wątpliwości, skąd rzeczone ścierwo wzięło się w gabinecie geograficznym, rozwiał informatyk, a szczerości wypowiedzi chyba nawet tandem księży Wieczorka z Niziołkiem nie miałby mu w tych okolicznościach za złe:

– Aneczka chciała to wszystko zabrać dla psa, ale widocznie się rozmyśliła…

Przy czym, jak było widać na załączonym obrazku, rozmyśliła się, kiedy panie sprzątaczki wybyły już do domu. A przez ferie dyżury odbywały się w podstawówce i do gmachu głównego nikt nie wchodził. Nic dziwnego, że wkraczająca właśnie do pokoju nauczycielskiego pani od geografii, która w swojej świętej naiwności nie skojarzyła zapachów z własnymi działaniami sprzed dwóch i pół tygodnia, napotkała ołowiane spojrzenie szefa oraz całego grona…

W tym samym momencie ksiądz z matematykiem niezwykle ostrożnie wynosili kubeł zawinięty prowizorycznie w płachtę folii malarskiej, bo tylko takie coś udało im się na poczekaniu capnąć z komórki dla sprzątaczek. Szli sztywno, trzymając ręce maksymalnie daleko od siebie, co upodabniało ich do dwóch facetów z *Niewiarygodnych przygód Marka Piegusa*, niosących szybę. Na środku boiska, tak jak ich literackie odpowiedniki, postanowili dokonać zmiany rąk. Trzeba trafu, że zachciało im się to uczynić dokładnie wtedy, kiedy z naprzeciwka nadciągnęła romanistka. Pani Mireczka była za równouprawnieniem, jednakowoż dwóm facetom drogi ustępować nie miała zamiaru, szczególnie że jeden z nich należał do kleru, więc władowała się w środek z siłą tarana.

Trzy rzeczy wydarzyły się jednocześnie.

Panowie nie utrzymali śmietnika, który wysmyknął im się z rąk i rąbnął z hukiem o ziemię, chlustając naokoło zawartością. Pani od francuskiego trafiła swoim piętnastocentymetrowym obcasem w jęzor zmarzliny i noga poleciała jej do przodu. U księdza Janka natomiast doszła do głosu wytrenowana w seminarium podświadomość, która wbrew naukom wpojonym przez ojca, że należy ratować kobietę w opresji, kazała mu zatroszczyć się w pierwszym rzędzie o obronę munduru przed splugawieniem. Jasiek zatem kangurzym susem odskoczył w tył, pozostawiając na placu boju rozpaćkaną padlinę, w którą klapnęła tyłkiem, za przeproszeniem czytelnika, pani Mireczka. Na dodatek ta ostatnia, chcąc chronić swoją cenną odzież, podparła się ręką, która wyczynów takowych nie wytrzymała i chrupnęła.

Wszystko to działo się na oczach ciekawej gawiedzi trzymającej się za nosy i nie mogącej się zdecydować, czy bić brawo, czy może jednak uronić łzę współczucia.

Wezwane pogotowie przybyło, o dziwo, w piętnaście minut, ale problem zaczął się w momencie, kiedy delikwentkę należało zapakować do środka. Ze względu bowiem na upojne zapachy ekipa ratowników starała się robić to z odwróconymi głowami i powarkiwała pod nosem, że właściwie mogliby odmówić interwencji, ponieważ nieuchronnie doprowadzi ona do dekapitalizacji środka transportu. Należy także wspomnieć, że

podczas owych piętnastu minut romanistkę zdążono poinformować, kto stoi za wątróbkową aferą, zatem pani Mireczka odgrażała się koleżance, że ona tego tak nie zostawi. O kolegach matematyku i katechecie na razie zapomniała.

Dyrektor natomiast wydawał szybkie dyspozycje. W odosobnionej podstawówce nie śmierdziało, zatem wypchnięto tam trzecie gimnazjalne, jedną do świetlicy, drugą do stołówki, trzecią do małej sali gimnastycznej. Do dużej sali gimnastycznej kazano iść dwóm klasom maturalnym i tu inwencja dyrektora zdechła. Nie wiedział, co zrobić z jeszcze jedną maturalną i całą resztą.

Wtedy w sukurs przyszedł Janek, któremu sumienie dokuczało w dwójnasób: po pierwsze, że nie rzucił się na pomoc Mireczce, po drugie – i to gorsze – że odczuwał z powodu całego incydentu satysfakcję jak stąd na Halę Miziową, bo romanistka budziła w nim odczucia jednoznaczne, choć mało chrześcijańskie. Był w pełni świadomy, że będzie się musiał z tego spowiadać i dlatego, pragnąc z góry odpokutować, zaproponował dyrektorowi dwie salki w domu parafialnym. Wobec tego na Jarosławską pomaszerowała pani Ewa z trzecią c oraz Jasiek ze swoją pierwszą b. Reszta została rozpuszczona do domu, a dyrektor przystąpił do intensywnego wietrzenia i odkażania szkoły.

Trzeba w tym miejscu odnotować, że pierwsza b poszła z księdzem całkowicie dobrowolnie, mało tego, z entuzjazmem. Janek też się cieszył, że chociaż raz będzie miał wystarczająco dużo czasu na wszystko. Na początek jednak zaprosił gościnnie młodzież do kuchni, gdzie rychło wyszło na jaw, że ksiądz jeszcze dzisiaj nic nie jadł. Siłą rzeczy zaczęli gadać o tym samym co Martynka, okazało się bowiem, że licealiści też mają swoje problemy, a poza tym przydała im się najprostsza repetycja rodem z klasy komunijnej.

– Proszę księdza! – wyrwała się Tosia. – Jak to jest z tym postem piątkowym? Czy jak jestem w Wielkiej Brytanii, to też muszę przestrzegać w piątek wstrzemięźliwości od pokarmów mięsnych? Bo czytałam, że oni już od dawna nie poszczą.

Jasiek z namysłem popatrzył na klasową ateistkę pytającą o post i odpowiedział rzeczowo:

– Fakt, biskupi Anglii i Walii znieśli post w latach osiemdziesiątych, ale teraz całkiem niedawno się przeprosili i go przywrócili. – I z własnej inicjatywy dodał, a szkoda, że nie było przy tym Martynki: – A wegetarianie mają sobie wybrać jeden dowolny pokarm i zrezygnować z niego w piątek. Na przykład z bananów.

– No dobra – włączył się Pierwszy Dociekliwy – a w Szwecji? Albo gdzie indziej, gdzie postu nie ma? Czy grzech zależy od miejsca?

– A od czasu? – dołożył swoje Mateusz-historyk. – Sam ksiądz mówił, że dawniej post eucharystyczny był od północy. To dzisiaj w porządku, ale jak mój dziadek zjadł coś na godzinę przed mszą, to miał grzech?

– Tak – odpowiedział Janek ku zaskoczeniu wszystkich. – Pewne przepisy zależą od czasu i miejsca. – I zaczął im opowiadać o nakryciach głów kobiet, a potem ani się nie spostrzegł, jak skończył na Cejrowskim i mszy odprawianej przez misjonarza ubranego tylko w stułę, czym całą pierwszą b w niezwykły sposób zafrapował. Na bank wszyscy co do jednego bez względu na płeć wyobrazili sobie księdza w takim przyodziewku. Ale to już był Jaśka problem, po co opowiada bachorom o byle czym. Relatywizmu mu się zachciało, to niech ma.

Tak zeszła pierwsza godzina, potraktowana jako lekcja, he, he, wychowawcza, drugą zaś, czyli religię właściwą, poświęcono na analizę Księgi Hioba. Kolejną na historię, a ponieważ ulubieńcy wikarego byli ofiarami reformy, czyli w pierwszej licealnej kontynuowali kurs z gimnazjum i byli właśnie pod koniec wojny, antycypował on odrobinę i pogadał z nimi o tym, jak to komuchy więziły kardynała Wyszyńskiego i biskupa Baraniaka. Z polskim to była czysta przyjemność, bo trafił akurat na Kochanowskiego, mogli zatem pośpiewać sobie do woli *Czego chcesz od nas, Panie*. Reszta już poszła zgodnie z profilem, to znaczy dwie lekcje trygonometrii i zasada zachowania pędu na fizyce. Na tej ostatniej młodzież pokulała się ze śmiechu pod stoły, bo ksiądz wymyślił im zadanie o pewnej damie, która wskakiwała na łódkę, ale nie trafiła i łódka odpłynęła bez niej, a pani chlupnęła do wody; doprawdy nie wiadomo, co ich tak rozśmieszyło, bo przecież do przypadku pani od francuskiego zasada zachowania pędu nie miała zastosowania.

Chociaż kto wie… Gdyby pokombinować, jaką siłę należałoby przyłożyć do ręki pani Mireczki, żeby uległa złamaniu… Narrator nie czuje się tu fachowcem, ale to chyba raczej podpadałoby pod zderzenia niesprężyste.

– Proszę księdza, a jutro w szkole też jeszcze będzie śmierdzieć? – wyskoczyła Tosia. – Bo może my byśmy od razu z rana przyszli tutaj!…

– Sprawdźcie w domu na Facebooku, na pewno będzie komunikat – zadysponował Jasiek. Sam miał nadzieję, że odorek utrzyma się trochę dłużej i będzie można choć jeszcze jeden dzień pouczyć się w sposób niekonwencjonalny. Taką samą nadzieję miała też pani Ewa, która niezwykle produktywnie zdołała przetrenować z pyskatą trzecią c technikę zdawania matury ustnej.

Ku radości wszystkich zainteresowanych następny dzień został potraktowany przez władze szkolne jako kwarantanna. Wobec tego od rana pierwsza b stawiła się na plebanię. Ponieważ i tak dyrekcja starała się o zajęcia tylko dla klas ostatnich, ksiądz poczuł się rozgrzeszony i zamiast męczyć dzieci i siebie trygonometrią, zajął się konkursem biblijnym. Namówiły go do tego właśnie jego ulubione dzieciątka, bo sam Jasiek trochę sceptycznie podchodził do narzuconej z góry, wąskiej tematyki, a mianowicie tylko Ksiąg Królewskich i Ewangelii według świętego Marka, został jednak przegłosowany i, co tu ukrywać, ochoczo zabrał się do roboty.

Koło południa miłe te czynności przerwała im mama Stefanka propozycją, czy młodzież nie pomogłaby w robieniu paczek do noclegowni. Dzieciątka przystały na to z entuzjazmem, mało tego, obiecały przynieść następnego dnia, już do szkoły niestety, najrozmaitsze produkty i w ogóle zaoferowały swoją stałą pomoc. Kształcenie niekonwencjonalne miało na nich zbawienny wpływ. A może raczej kształcenie niekonwencjonalne w wykonaniu księdza Janka.

Kolejny tydzień, wypełniony zatem konkursem biblijnym, produkcją paczek i wizytacją siostrzyczki ze szwagrem *in spe*, minął bardzo szybko. Tak nastał dzień zwany w ludowej tradycji tłustym czwartkiem.

Tego wieczora księża siedzieli sobie w bardzo miłej atmosferze przy kolacji. Miła atmosfera wzięła się stąd, że najpierw wikary przytaszczył ze sklepu Kazika całą zgrzewkę soku bezcukrowego grejpfrut z pomelo, cokolwiek to drugie mogło znaczyć. W każdym razie zawartość węglowodanów miało to cudo bardzo małą, trochę tylko większą od marchwi, ale marchwi proboszcz nie cierpiał. Potem szef zaproponował wikaremu obojętnym tonem ze wzrokiem wbitym w sufit:

– Janku… Nie zrobiłbyś dla nas na kolację jajecznicy? Zostało tyle starej szynki, trzeba by ją jakoś zrewaloryzować…

Żaden z nich nie ośmieliłby się spożytkować starej szynki poprzez nakarmienie nią Białej Zmory. Jeszcze kotkowi by zaszkodziło. Wobec tego Jasiek bez gadania wziął się do produkcji jajecznicy, opowiadając przy tym na cały głos anegdotę, jak to w Lewes jego szef uczył go robienia *bacon and eggs*.

Na koniec rozsiedli się wygodnie w salonie, dyskutując o najnowszym *Hobbicie*. Wybrali się na niego wspólnie do sąsiedniego Kinepolis w ostatni piątek pod wpływem reklamy uskutecznionej przez niejaką Elunię, przy czym proboszcz usiłował przekonać swojego wikarego, że doprawdy mógłby od czasu do czasu wyskoczyć z sutanny i poprzestać na koloratce do krótkiego stroju. Janek, jak to on, kategorycznie odmówił, przytaczając argument nie do odparcia:

– Jeżeli mam się wstydzić pójścia na jakiś film w sutannie, to nie idę na niego także bez sutanny!

Oglądało się za nimi pół kina, ale trzy osoby powiedziały „niech będzie pochwalony”, a z tuzin bardzo sympatycznie się uśmiechnęło. Może i Jasiek miał rację.

Pojadali sobie teraz ze smakiem wprost z patelni; proboszcz poprosił jeszcze Jaśka o kawę i nic by im do szczęścia nie brakowało, tyle że w chwili, kiedy wikary wnosił ostrożnie parujące filiżanki, nastąpiło wejście smoka.

Od strony korytarza do salonu wkroczyła pani Teresa. Właśnie kupiła ona była w Biedronce promocyjne polędwiczki z kurczaków i postanowiła je od razu zanieść na plebanię celem włożenia do zamrażalnika.

Weszła i zamarła.

Jednym wprawnym rzutem oka otaksowała patelnię z resztkami jajecznicy, bułeczki solidnie posmarowane masłem, sok grejpfrutowy, którym proboszcz właśnie popijał lekarstwo, i przyniesioną przez Jaśka kawę. Zawodowy obowiązek za żadne skarby nie pozwalał jej tego tak zostawić. Jako że bała się jednak zaatakować wprost proboszcza, zastosowała znaną, choć mało chwalebną metodę, kiedy to żeby ukrócić dziadkowe mlaskanie przy stole, wrzeszczy się na najmłodsze dziecko: „Jedz po ludzku!".

Rozdarła się na Janka:

– Czy ksiądz już kompletnie sumienia nie ma?! Jak można tak postępować?! Jajecznica, co?! Wie ksiądz, ile to cholesterolu? Patelnia aż ocieka tłuszczem! Bułki?! Z masłem na palec grubo?! A zresztą po co ja to mówię, proszę poić księdza proboszcza sokiem i kawą o ósmej wieczór, jak ksiądz chce go szybciej do grobu wpędzić! Zabije go ksiądz, nie inaczej!

Proboszczowi ogień wstydu buchnął do twarzy. Ostatni raz czuł się tak głupio przed trzydziestu laty, kiedy bezmyślnie zostawił na wierzchu bezdebitowego Kisielewskiego, otwartego akurat na jakimś pikantnym, żeby nie powiedzieć obscenicznym, momencie, a ksiądz Wincenty wziął to do ręki i zaczął na głos czytać.

Teraz miał na wprost siebie Jaśka i widział doskonale, co się dzieje.

Janek zastygł, twarz mu się skurczyła, jakby właśnie po niej oberwał, a oczy jakoś dziwnie zaszkliły; z trzaskiem postawił filiżanki na stole, odwrócił się i tak jak stał, wyskoczył na dwór. Ksiądz Tadeusz miał wielką ochotę zawołać za nim: „Janku, weź choć jubkę, bo cię zamróz chyci", ale nie mógł wydobyć głosu.

Wiedział doskonale, co powinien zrobić. Tak samo jak wiedział, że jeśli to zrobi, znowu zostaną bez gospodyni, a gotować będzie musiał nie kto inny, jak wikary, który i bez tego miał dosyć na głowie.

„Trudno!" – postanowił bohatersko. „Pomogę mu! Będę zmywać i robić zakupy, segregować śmieci i wynosić je do tych głupich kontenerów!"

– Pani Tereso – powiedział surowo – do swojej śmierci mogę się przyczynić ja i tylko ja. Każdy, kto mnie zna choć trochę, wie, jaki

jestem uparty. I powinien też wiedzieć, jeśli jest chociaż odrobinę rozgarnięty, że jestem całkowicie impregnowany na wszelkie prośby i groźby, żebym się pilnował. Ksiądz Janek dba o mnie jak najtroskliwszy syn i pani doskonale jest tego świadoma! Obarczanie go odpowiedzialnością za moje łakomstwo i beztroskę jest absolutnie niesprawiedliwe!

Pani Teresa stała w progu jak wmurowana.

„A w dodatku potrafi tak przyrządzić jedzenie, żeby było jednocześnie zdrowe i smaczne" – chciał jeszcze dodać proboszcz, ale uznał, że wtedy to rzeczywiście tylko zakasać rękawy i brać się samemu do garów.

Przyszła zatem pora na perswazję.

– Droga pani – spróbował nadać swojemu głosowi polubowny ton – Janek to złoty chłopak. Dwadzieścia gatunków różnych soków przerzucił, zanim wygrzebał ten, z którym mnie pani widziała…

– Chodziło mi tylko o to, żeby popijać lekarstwa wodą… – zaszemrała pani Teresa.

– Pilnuje, żebym nie zapomniał o insulinie – mówił cicho i z naciskiem proboszcz – i żebym na czas odświeżył recepty. Opiekował się mną w chorobie. Nigdy nie usłyszałem od niego „później" albo „nie mam czasu"…

– Proszę księdza… – chlipnęła pani Teresa.

– …i jest radością moich oczu – dokończył po biblijnemu niespodziewanie dla samego siebie ksiądz Tadeusz.

Pani Teresa bezwstydnie płakała.

Wszystko było załatwione. Niechby już tylko ten mały postrzeleniec wrócił.

Ale do dziesiątej nie wrócił.

Proboszcz założył płaszcz i poszedł zobaczyć, czy nie ma go w kościele. Nie było.

Motoru Jasiek nie miał, volkswagen stał na swoim miejscu… Gdzie on się podział? Bez kurtki?

Wrócił o jedenastej, targając torbę, z której potem wyjmował jakieś ciuchy, by wepchnąć je do pralki.

– Byłem u Rasty – powiedział, nie odwracając głowy. – Pralka mu padła, więc zabrałem do nas.

Rasta był starym hipisem, starszym nawet od proboszcza. Kiedyś jeździł na harleyu, ale potem wszystko zaczęło mu się sypać: zdrowie, motor, no i teraz nawet pralka. Mieszkał w starym domku na Janowskiej, tuż przy plebanii. Jego pseudonim był nieco mylący, bo z rastafarianizmu wziął tylko czapeczkę i to drugie, a narrator nie ma na myśli dredów, bo Rasta był łysy, ale w duszy pozostał, jak sam o sobie mawiał, dobrym katolikiem. Z wikarym dogadywał się znakomicie, może przez obopólne motocyklowe sympatie i tęsknoty, w każdym razie Jaśkowa ewangelizacja padała na podatny grunt. Taką przynajmniej proboszcz miał nadzieję.

– Janku… – odezwał się cicho.

– Ja wszystko wiem, proszę księdza – odpowiedział szybko Jasiek z głową w pralce.

Nie było po co strzępić języków, wystarczyło postać tak chwilę razem i pomilczeć.

A potem był normalny wielki post, siłą rzeczy jedli mniej i na pewno nie jajecznicę na szynce; pani Teresa przychodziła jak zawsze i była słodka dla wikarego, jakby nic się nie stało. Wikary z kolei był całkowicie normalny, jak to on, pogodny i życzliwy, kawałów może nie opowiadał, no ale w końcu czas pokutny temu nie sprzyjał. Ale ksiądz Tadeusz czasami miał takie wrażenie, że gdyby się szybko odwrócił, przyłapałby Jaśka na dziwnym przyglądaniu mu się. Tylko że nie miał odwagi szybko się odwrócić. A może i miał odwagę, ale nie miał serca.

I tak życie toczyło się z małymi urozmaiceniami, na przykład takimi, że w czwartą niedzielę obaj księża, każdy na swojej mszy, zaprezentowali od ołtarza wyjątkowej urody klasyczny ornat rzymski w kolorze Rose Eleanor, czyli różowym z delikatną domieszką fioletu, i srebrnymi aplikacjami. Innymi słowy, wystąpili jako modele dla pewnej studentki wzornictwa. Jak bowiem wiadomo, dwa razy do roku, w połowie adwentu i wielkiego postu, celebrans powinien wystąpić na różowo. Jednakowoż taki na przykład ojciec Góra twardo zapowiedział, że tego nie uczyni, bo jak powiadał, czy ktoś może go sobie wyobrazić w różowym? Fakt, nawet ksiądz Tadeusz ze swoją klasą w powłóczystej szmacie koloru majtek wyglądałby, jakby się urwał z parady równości. Elka postanowiła zatem coś wymyślić,

i chyba z dobrym rezultatem, bo potem dostała dwa telefony z propozycją od firm handlujących księżowskimi ciuchami, a nawet – uwaga! – maila po angielsku z Korei! Jak później wyjaśnił Jasiek, na mszy młodzieżowej jej produkcja do tego stopnia wzbudziła entuzjazm zagranicznych gości, że nie mógł się ich pozbyć, dopóki nie wyżebrali namiarów na wykonawcę. Speszyło to Elę tak bardzo, że zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna założyć formalnie działalności gospodarczej czy jak to się tam nazywa, ale domowi liberałowie osadzili ją krótko:

– Zgłupiałaś? Za trzy miesiące i tak cię tu nie będzie! – więc dała sobie spokój, skupiając się na rękodziele.

Powróćmy jednakże na Krzesiny, do poniedziałku po czwartej wielkopostnej niedzieli.

Tego dnia, kiedy proboszcz wrócił do domu po wieczornej mszy, zastał na stole kartkę: „Musiałem pójść do Rasty. Ciężka sprawa".

„Biedak" – pomyślał proboszcz. „Przy takim trybie życia… To się i doczekał. Dobrze chociaż, że Janka ma pod ręką" – po czym uświadomił sobie, że Rasta jest praktycznie w jego wieku. A on też prowadzi niezbyt zdrowy tryb życia. Dobrze chociaż, że Janka ma pod ręką…

Oczekiwanie znowu przeciągnęło się do bardzo późnego wieczora, ale ksiądz Tadeusz jakoś nie miał ochoty położyć się spać. Jak zwykle zresztą. Popołudniowa drzemka à la pan Łęcki powodowała, że kusił potem do północka i dłużej[6]. A ponieważ zdarzało mu się, jak wiemy, budzić o piątej, siłą rzeczy wetował to sobie popołudniową drzemką i kółko się zamykało.

Biła północ, kiedy pojawił się wikary. Był jakiś dziwny, nieobecny; powoli odwiesił kurtkę, usiadł w fotelu po Białej Zmorze, zupełnie nie zauważając konsekwencji tegoż, i zaczął wpatrywać się w sufit. Milczał tak z pięć minut, potem automatycznie sięgnął do stojącego na stole koszyka z jabłkami i zaczął chrupać, jakby od tego zależało ocalenie świata.

– Janku… – nie wytrzymał proboszcz. – W porządku?…

– O, tak… – odpowiedział Jasiek po dobrej chwili. – Teraz już wszystko będzie w porządku… – i znowu zagapił się w sufit.

„Umarł” – pomyślał proboszcz. „Ale czemu Janek taki rozstrojony? W końcu to jego rzemiosło…”

– Zajął się nim ktoś? Miał kogoś z rodziny? – zapytał troskliwie.

Janek milczał, patrząc w siną dal. Proboszczowi zrobiło się dziwnie. Janeczek był chłopcem dobrze wychowanym, któremu wpojono, że z odpowiedzią niełądnie jest zwlekać, zwłaszcza kiedy pyta starsza osoba.

– Ksiądz o coś pytał? – ocknął się wreszcie wikary.

Proboszcz był, jak by to głupio nie zabrzmiało, człowiekiem niewinnym, który o pewne doświadczenia wzbogacił się li i jedynie za pośrednictwem literatury i filmu, dlatego tak długo zeszło mu na zrozumieniu najprostszych rzeczy.

Wreszcie jednak zrozumiał.

I zdrętwiał.

Jego wikary był najarany!

– Janku!… – jęknął wstrząśnięty. – Coś ty zrobił?!…

Jasiek popatrzył na niego szeroko otwartymi oczami.

– Co takiego?… A, to… Proszę księdza, sam ksiądz mówił, że prośba umierającego rzecz święta, czyż nie?…

Ksiądz Tadeusz doskonale wiedział, do czego pije wikary, bo nie tak dawno obaj jak jeden mąż zadecydowali, że wydanych pośmiertnie notatek papieża czytać nie będą. Dobra, ale naćpać się dla Rasty to była przesada!

– Janku, tak nie można!… – Głos mu się trząsł. – To nie licuje z powagą twojego stanu!…

Jasiek popatrzył na szefa z pobłażliwym uśmiechem.

– Proszę księdza… Co też ksiądz opowiada? – powiedział łagodnym, życzliwym głosem. – A alkohol licuje? Jakoś ksiądz nie ma oporów, żeby wypić sobie koniaku, prawda?

Proboszcz nawet się nie spostrzegł, jak zajął pozycje obronne.

– Janku, nigdy nie więcej niż… – chciał powiedzieć „dwa”, ale nawyk prawdomówności mu na to nie pozwolił – trzy kieliszki!

Janeczek dalej uśmiechał się anielsko.

– To co przy tym znaczy jeden joint! – powiedział rozkosznie. – Poza tym alkohol uzależnia pięć razy mocniej niż zioło. A może dziesięć… Już nie pamiętam, co mi ten Rasta mówił…

– Ależ, Janku!… – nie ustępował ksiądz Tadeusz. – Marihuana jest…

– Nielegalna?… – wpadł mu w słowo z dziwnym refleksem wikary. – Niech mi tu ksiądz nie dramatyzuje! Ani ksiądz, ani moi rodzice nie mieli w swoim życiu obiekcji przed podjęciem działań nielegalnych!

Proboszczowi z wrażenia zaczął się plątać język.

– To było za komuny! Całkiem coś innego!

– Czyżby? – uśmiechnął się Janeczek, sięgając po następne jabłko. „Jezu, czytałem, że po tym się strasznie jeść chce!" – pomyślał ze zgrozą proboszcz.

– Bo ktoś zadecydował – ciągnął dalej wikary – że jedna używka jest legalna, a druga nie? Przestanie ksiądz pić kawę, jakby ją Unia zdelegalizowała?

– Głupoty opowiadasz!… – żachnął się proboszcz.

– Jakie głupoty? – nie ustępował Jasiek. – Ta kiełbaska, na której robiłem jajecznicę, to była ostatnia wędzona wędlina, której ksiądz smakował! Jak się skończy wielki post, to już będzie nielegalna! I co ksiądz wtedy? Na Wielkanoc uwędzimy w tajnym kątku za domem parafialnym? Czy może Kazik będzie sprzedawał spod lady?

Ksiądz Tadeusz otarł pot z czoła. Strzeliłby sobie lufę, ale w takich okolicznościach…

– Janku – spróbował raz jeszcze. – Dajesz zły przykład! Swoją postawą namawiasz do złego!…

– Kogo, księdza? – zapytał Janek z logiką trochę zbyt żelazną, jak na osobę znajdującą się pod wpływem.

– Młodzież! – jęknął proboszcz.

Jasiek uśmiechał się tak wyrozumiale, jak w swojej pierwszej gimnazjalnej.

– Młodzież, proszę księdza, to może mnie zdeprawować, nie odwrotnie. A czasami taka maleńka deprawacja bywa bardzo przydatna… Myśli ksiądz, że po co Kuba i jego kumpel poszli na dziką posesję, jak nie po to, żeby spalić lufkę?

– Ale ty jesteś kapłanem! – ruszył najcięższe armaty proboszcz. – Spowiednikiem! Katechetą!

Janeczek zamilkł i zaczął refleksyjnie wpatrywać się w kąt regału, pojadając trzecie jabłko.

– W sumie racja… – powiedział wreszcie, westchnął, wstał i ruszył do drzwi.

„Dokąd on idzie?!” – w panice pomyślał proboszcz.

Janek był już w progu, kiedy obrócił się, błysnął całkowicie trzeźwymi oczami i z uśmiechem od ucha do ucha zawołał:

– Prima aprilis!

I zwinął się w jednej sekundzie, bo wiedział doskonale, że gdyby został tam jeszcze przez chwilę, szef by go dopadł i nałożył mu po pysku, ile wlezie.

Proboszcz dłuższą chwilę nie mógł ochłonąć.

„Poczekaj!” – pomyślał mściwie. „Przyjdź ty do mnie do spowiedzi! Dostaniesz miesiąc siedzenia w biurze parafialnym! Oj, zaboli cię to! Raz na zawsze odechce ci się głupich dowcipów!…”

A teraz, drogi czytelniku, odpowiedz sam sobie, w którym miejscu zorientowałeś się, że Janeczek robi z proboszcza lachpolkę, jak to mówiła prababcia Kotoń. Bo musisz wiedzieć, że Elka, tak jak ksiądz Tadeusz, dała się nabrać do ostatniej chwili.

Kiedy w Niedzielę Palmową po mszy młodzieżowej została zaproszona na podwieczorek i przy stole zadała zwyczajowe pytanie: „Co nowego słychać?”, Janek momentalnie wyskoczył:

– Niech jej ksiądz opowie!…

Proboszcz odrobinę się zawahał, ale widząc pełną akceptację wikarego, ochoczo zdał barwną relację z jego poczynań. Elka aż się gotowała, zaś na finiszu miała nieodpartą chęć, żeby braciszkowi dać po gębie. Tylko że jej, w przeciwieństwie do zwierzchności, nie wypadało.

– I co? – zapytała łotra, kiedy odprowadzał ją do autobusu. – Siedzisz w biurze?

– Tak – westchnął Jasiek. – Jeszcze dwa i pół tygodnia… Wywiesiłem taką kartkę – ożywił się. – „Składana ofiara idzie WYŁĄCZNIE na kościół, bo księża dostają pensję w szkole. W zależności od zasobów i poczucia odpowiedzialności jedni dają więcej, drudzy mniej. Puszka na DOBROWOLNE datki stoi w korytarzu, a rada ekonomiczna otwiera ją komisyjnie raz w tygodniu”.

Cały Janek!

– A proboszcz co na to?

Jasiek uśmiechnął się.

– Nic. Chyba jest zadowolony. I wiesz co? – powiedział tajemniczo. – Nie pije kawy po osiemnastej, a koniak trzyma w szafie nieodkręcony. I chyba cukier mu spadł, bo daje sobie o połowę mniejszego strzała z insuliny niż do tej pory…

Czytelnik usatysfakcjonowany? Mówił narrator: cały Janek! Jak tu takiego nie kochać?

[6] Kto dostał kosmatych myśli, niech zmówi zdrowaśkę. Narrator uświadamia w tym miejscu nie-poznaniaków, że „kusić” po naszymu to tyle, co siedzieć do nocy.

Rozdział XV

Dziewicza Góra

Kryzys gospodarczy objawił się w szkole na Krzesinach w ten sposób, że rodzice odmówili finansowania zamiejscowych rekolekcji. Być może przyczyniła się do tego zeszłoroczna decyzja o wyjeździe do Łagiewnik. Koniec świata ostatecznie, więc fanaberia ta nieco kosztowała. Wprawdzie można uznać, iż obejrzenie w naturze Oka Saurona jest bezcenne, ale… Czytelnik ciągle nie wie, o co chodzi z tym Okiem Saurona? To niech sobie wbije w grafikę Google „Łagiewniki nocą" i potem porówna z Jacksonowskim *Powrotem króla*, a wszystko będzie jasne. Pół Krakowa tak mówi.

Oczywiście Jasiek uznał, że to jeszcze lepiej, bo będzie można wdrożyć do udziału pół grona nauczycielskiego. Gdyby nieszczęśni wiedzieli, co ksiądz planuje, pewnie by z własnej kieszeni do tego wyjazdu dołożyli…

Na pierwszy ogień poszło gimnazjum, jak zawsze w przedostatnim tygodniu wielkiego postu. Dla licealistów rezerwowano pierwszą połowę Wielkiego Tygodnia. Jak wiadomo, młodzież gimnazjalna była, delikatnie mówiąc, nieco infantylna, więc Jasiek obmyślił dla niej atrakcje wymagające dużej aktywności fizycznej. Uznał bowiem, że skoro dzieciątka mają ADHD i dysbrainię do tego, należy je wyeksploatować wprost proporcjonalnie do możliwości.

Przy okazji ubawili się też nauczyciele, bowiem, niestety, nie każdemu z nich dana była filozofia kwalifikowanego rodzica, że to dzieci mają się zamęczyć, a nie oni. Jak to działa w praktyce? Otóż

wyobraź sobie, czytelniku, piękny zimowy dzień, śnieg i stok saneczkowy. Rodzic ofiarny, acz niedoświadczony, za każdym razem pomaga dzieciątku wciągać sanki pod górę, no bo jakże to, jeszcze by je ktoś po drodze rozjechał, a potem przecież trzeba potomstwo asekurować przy zjeździe, żeby nie rozwaliło sobie główki na jakiejś twardej przeszkodzie. Ci najgorliwsi wciągają sanki załadowane dzieciątkiem. Nie dziwota, że po przyjściu do domu tak spreparowany rodzic pada na pysk ledwo żywy, natomiast dziecko błyskawicznie się regeneruje i żąda dalszych atrakcji albo choćby zrobienia herbatki. Rodzic przezorny zaś ubiera się ciepło i waruje u podnóża stoku, konwersując z innymi taktycznymi rodzicami, i tylko w razie wyższej potrzeby zeskrobuje potomka z drzewa. Sanki obowiązkowo wciąga dziecko samo. W rezultacie po powrocie do rodzinnych pieleszy progenitura usypia zaraz po przekroczeniu progu, a matka z ojcem mogą zająć się sobą, amen.

Kiedy Gośka i Pip byli mali, tata chodził z nimi na sanki na skarpę przy ulicy Saperskiej, tuż przy obecnej siedzibie Podgórnych, ewentualnie na wał przeciwpowodziowy, ale o tym sza, i stosował dokładnie metody opisane powyżej. Pewnie dlatego Janeczek miał się na kim wzorować.

Wiedział on doskonale, że młódź spędzona siłą do kościoła będzie się wściekać, żadnej konferencji i tak się nie da wygłosić, a ariergarda czmychnie za przedszkole na papierosa albo to drugie, dobrze nam znane z rozdziału poprzedniego. Wymyślił zatem bieg z ogniem Bożym od kościoła świętego Antoniego na Starołęce do Krzesin, wszystkiego raptem pięć kilometrów. Bieg sztafetowy, nie myślcie, że ksiądz był sadystą i kazał dzieciom lecieć cały dystans. Leciały tylko po pięćset metrów jedna grupa, resztę szły normalnym krokiem, co i tak wystarczyło, żeby ich przemęczyć, w tamtą stronę dotarły wszak też w dużej mierze na piechotę. A że matematyk z wuefistą byli ambitni i postanowili towarzyszyć młodzieży przez cały czas, to już ich problem… W każdym razie, kiedy dzieciątka dotarły do krzesińskiego kościoła, miały siły tylko na to, by kornie paść na kolana i odmówić tajemnicę bolesną różańca. Potem ledwo żywe potulnie poszły do domu.

Następnego dnia ksiądz pogonił je na cmentarz parafialny. Czy to tylko na Wszystkich Świętych trzeba sprzątać groby? Kilkadziesiąt par zdrowych rąk bardzo się przydało do usunięcia zbutwiałych liści i połamanych gałęzi, a przy okazji w praktyce młodzież mogła rozważać sobie aspekt świętych obcowania.

Dopiero na trzeci dzień proporcje wysiłku fizycznego i umysłowego się wyrównały, z lekkim może nawet wskazaniem na umysłowy. Mianowicie tym razem pod światłym przewodnictwem pani od plastyki dzieci miały pisać ikony, każde swojego wybranego patrona. Deski dostarczył jeden z ojców, ten sam, który swego czasu impregnował drewno w kościele. Najładniejsze ikony miały być wystawione na aukcji podczas wywiadówki, a dochód zamierzano przeznaczyć na nowy pakiet Office, bo ten stary pochodził chyba z 2005 roku i młódź strasznie pomstowała, kiedy należało robić na ten przykład tabelki w Excelu. Czytelnik pragnie uczynić jakąś uwagę? No przecież ten sposób kwestowania był, zgodnie z obietnicą daną przez księdza biskupowi, całkowicie inny niż na kiermaszu październikowym. Dość powiedzieć, że oprócz pani od plastyki ochoczo uczestniczyło w przedsięwzięciu także dwóch polonistów, historyk, fizyczka, pan od niemieckiego pseudonim Dojczer i pani wicedyrektor.

Należy w tym miejscu odnotować zainteresowanie, jakim całokształt rekolekcyjnego wysiłku obdarzyła pani Mireczka. Przyszła ona mianowicie do szkoły po sześciu tygodniach od epizodu z wątróbką, żeby dostarczyć kolejne zwolnienie, chociaż teoretycznie kończyna powinna się już zrosnąć. Jednakże pani Mireczka twierdziła, że cały czas odczuwa dotkliwe bóle i czeka ją jeszcze długa rehabilitacja, także sanatoryjna. Mówiąc to, patrzyła zawziętym okiem w kierunku Bogu ducha winnych kolegów matematyka i katechety. Pierwszy nie wytrzymał nerwowo i zwinął się na lekcję, drugi akurat miał okienko, a dyrektor nie wlepił mu wyjątkowo żadnego zastępstwa, więc nie pozostało mu nic innego, jak próba ewangelizacji. Na swoją zgubę zaczął opowiadać o planowanych rekolekcjach i wtedy pani od francuskiego postanowiła wkroczyć.

Wygłosiła długie przemówienie, powołując się przy tym na swoje dotychczasowe zasługi, jak to przed studniówką załatwiła dla maturzystów panią od savoir-vivre'u, która miała ich nauczyć posługiwania się sztućcami i zachowania przy stole.

– I teraz też, chociaż jestem inwalidką, będę trzymała rękę na pulsie! – oświadczyła gromko.

„Chyba tę złamaną" – pomyślał Janek, uśmiechając się jak prawdziwy chrześcijanin. To znaczy z bólem męczeństwa, jak chrześcijanin rzucony lwom.

Pani Mireczka sięgnęła po filiżankę pani od angielskiego i zaparzyła sobie w niej kawę. Jasiek przyglądał się ciekawie, myśląc, co to będzie, kiedy za chwilę Ewa wróci z lekcji. Wiadomo było bowiem, że jej filiżanki wolno było ruszać księdzu, polonistce i pani sprzątaczce. Reszta, gdyby po nie sięgnęła, miałaby momentalnie poutrącane łapy.

Na szczęście dla Mireczki pani Ewa miała dyżur na korytarzu, delikwentka zatem mogła epatować do woli swoimi pomysłami nieszczęsnego katechetę („Ja wam tu przyprowadzę wykładowcę z Uniwersytetu Artystycznego!"), który rychło miał dość i wzorem matematyka czmychnął, gdy tylko zabrzmiał dzwonek.

I właśnie teraz, w trzeci dzień rekolekcji, romanistka nawiedziła ponownie szkołę, by zademonstrować własną ofiarność, i ku swemu oburzeniu stwierdziła, że ksiądz nie wykorzystał ani jednego z jej złotych pomysłów, zaś zamiast doktora artysty ściągnął do szkoły z klasztoru w Pokrzywnie jakąś zakonnicę. Tego, że zakonnicą tą była niezwykle i wszechstronnie utalentowana siostra Aniela, oczywiście nie wiedziała i nie chciała wiedzieć. Zaczęła więc zawzięcie szukać katechety celem urządzenia mu karczemnej awantury.

Jasiek w tym czasie zajęty był – pomiędzy doglądaniem jednej a drugiej grupy – pocieszaniem polonistki, która poczuła wypalenie zawodowe w trakcie poprawiania sprawdzianów klasy drugiej, permanentnie mylącej Konrada z Kordianem (Konrad Wallenrod na szczęście wypadł z lektury) i należało ją pilnie zreanimować. Polonistkę, nie klasę drugą. Czynił to w sposób sobie tylko właściwy, klarując koleżance:

– Joasia, o co ci chodzi? Nasza młodzież to intelektualne orły! W szkole mojego wuja facetka od polskiego poszła na urlop dla poratowania zdrowia, jak się jej zachciało zrobić sprawdzian z treści *Lalki*…

– Dlaczego?! – wciągnęła się Joasia, zapominając na chwilę o własnych problemach.

– Bo ci, co nie przeczytali, napisali, że Wokulski się powiesił. A ci, co czytali streszczenie na sciaga.pl, napisali, że Wokulski powiesił się w pociągu…

Joasia nie zdążyła zareagować, bo ją zatchnęło, a w tym momencie ksiądz zwinął się całkowicie bezszelestnie, kiedy tylko ujrzał na schodach panią Mireczkę. Zamierzał zgodnie z planem zajrzeć do kolejnej klasy i przyjrzeć się, jak postępuje twórczość artystyczna, ale w kątku między schodami a schowkiem na miotły (tak właśnie było, choć brzmi to podejrzanie potterowsko) zobaczył Marcina. Marcin na jego widok odwrócił się tyłem, szybkimi ruchami wycierając oczy. Janek jednym bystrym rzutem oka ocenił sytuację, zarejestrował nadchodzących z czterech stron świata intruzów w osobach drugiego anglisty, pani od biologii, siostry Anieli i pani Mireczki, a potem już całą trzecią licealną. Rozumiejąc doskonale, że publiczne przyłapanie na płaczu jest dla młodzieńca szesnastoletniego hańbą, syknął tylko:

– Do klasy! – i pociągnął delikwenta do pracowni fizycznej, tego dnia nie używanej z racji rekolekcji.

Pani Mireczka, która właśnie dotarła na piętro, zdążyła jeszcze zauważyć, jak ksiądz wraz z wczepionym w niego jak w linę ratunkową Marcinem zamykają za sobą drzwi pracowni. Była kobietą energiczną, więc ich sforsowanie nie stanowiłoby dla niej żadnego problemu, ale w tym momencie na jej drodze stanęła siostra Aniela.

Siostra Aniela była, jak sobie powiedzieliśmy, jednostką niezwykle i wszechstronnie utalentowaną. W danym momencie talenty owe objawiły się w ten sposób, że żelazną dłonią ujęła romanistkę pod mankiet i ze słowami:

– Pokażę pani dzieła naszej młodzieży! – pociągnęła ją w drugą stronę, przy czym, co z satysfakcją należy odnotować, delikwentka

miała zerowe szanse wyślizgnięcia się z uchwytu. Chyba że chciałaby sobie z rozmysłem złamać drugą rękę.

Całemu zajściu przyglądali się biolożka i anglista, każde z innego półpiętra. Postali, popatrzyli i w końcu poszli do swoich zajęć. Rozbiegła się też trzecia licealna.

A od poniedziałku zaczęła się druga tura rekolekcji. Pomyślana była niezwykle perfidnie i niewykluczone, czy Janeczkowe pomysły nie podpadały pod swoistą odmianę nepotyzmu. Mianowicie w pierwszym dniu przewidziany był konkurs pieśni i piosenki religijnej: każda klasa prezentowała dwa utwory grupowe i dwa kameralne, to znaczy w wykonaniu solowym lub maksymalnie w kwartecie. Jurorami byli starannie wyselekcjonowani nauczyciele i gimnazjaliści, zaś selekcja w przypadku nauczycieli polegała na tym, żeby nikt się nie zgorszył takim na przykład utworem Kazika:

I powiedz Boże, czy jeszcze chcesz mnie widzieć,

Hej, po tym wszystkim, co w życiu uczyniłem?

Dopóki taka twoja wola, taka moja dola,

Lecz błagam Cię, daj z sobą mi pozostać!

z niezwykłym żarem wykonanym przez zbuntowana trzecią c, za który zresztą bezapelacyjnie zdobyli pierwsze miejsce w kategorii kameralnej, o ile oczywiście Kazik jest kameralny. W kategorii chóralnej z kolei po laur zwycięstwa sięgnęła Jaśkowa pierwsza b, która rzuciła wszystkich na kolana lednickim *Hymnem III Tysiąclecia*, czyli Psalmem XXIII w tłumaczeniu Franciszka Karpińskiego, tego od *Bóg się rodzi*, jakby ktoś nie wiedział.

Na czym polegała perfidia księdza? Poczekajcie, zaraz się dowiecie.

We wtorek miał się odbyć bieg patrolowy po Krzesinach i Pokrzywnie, trochę podobny do gimnazjalnego, ale z dodatkowymi utrudnieniami intelektualnymi, mianowicie przy każdym punkcie ukryta była informacja o następnym, zaszyfrowana w postaci cytatów z Pisma Świętego. Jasna sprawa, że i tym razem nikt nie mógł przebić pierwszej b. Chociaż i tak należy oddać sprawiedliwość całej reszcie, że była dużo lepsza od hogwarckich ateuszy, albo raczej niedouków religijnych (czegóż żądać od poziomu kształcenia w zawodówce dla czarodziejów…) Harry'ego, Rona i Hermiony. Jak

wiadomo, nie wiedzieli oni, jak ugryźć cytaty „Jako ostatni wróg zostanie pokonana śmierć” i „Gdzie jest twój skarb, tam będzie i serce twoje”. Takie drobiazgi młódź krzesińska miała w małym palcu. A ty, drogi czytelniku, spróbuj na ten przykład powiedzieć, dokąd skierowałbyś swoje kroki, otrzymawszy wskazówkę: „Dziecię zaś rosło i nabierało mocy”. Proste: przedszkole, ewentualnie przychodnia. Albo to: „Gdy pościsz, namaść sobie głowę i umyj twarz”. Też oczywiste: zakład kosmetyczny „Ilona”. Potem było coraz trudniej, a do mety dotarli tylko Jaśkowi ulubieńcy, którzy rozgryźli polecenie: „Każdego zaś, kto tych słów moich słucha, a nie wypełnia ich, można porównać z człowiekiem, który dom swój zbudował na piasku”. Wszyscy ci, którzy jeszcze wytrwali na placu boju, udali się pod szyld „JUPITRANS – żwir, piasek, ziemia”, a tylko oni, znający całość, pobiegli na narożnik Kamienieckiej i Piaśnickiej, gdzie czekał na nich usatysfakcjonowany ksiądz. Usatysfakcjonowany, drań, bo nagrodą dla zwycięzców obu konkursów było uczestnictwo w specjalnym nabożeństwie drogi krzyżowej na Dziewiczej Górze w Czerwonaku. To teraz już wiecie, dlaczego działania Janka miały charakter perfidnego nepotyzmu. Chciał tam iść ze swoją klasą, a i tak wiedział, że wygrają…

W środę tedy Jasiek wraz z obojgiem anglistów, to jest wychowawcą trzeciej c i wolontariuszką panią Ewą, eskortowali dwie klasy na trasie od przystanku autobusowego w Czerwonaku w kierunku Dziewiczej Góry. Czytelnikowi niepoznańskiemu spieszy się wyjaśnić, że jest to całkiem pokaźne jak na Nizinę Wielkopolską wzgórze, swoją nazwę zawdzięczające klasztorowi klarysek z Owińsk, gdzie przeoryszą była swego czasu kuzynka króla Przemysła. Wprawdzie Góra Moraska w samym Poznaniu może i szczyciła się większą wysokością bezwzględną, ale na pewno ustępowała Dziewiczej w atrakcyjności podejścia. Atrakcje zaś były Jaśkowi niezbędnie potrzebne. Poza tym Morasko źle mu się kojarzyło, zupełnie jak Indianie Jonesowi, bo kiedyś zaatakował tam Niziołków ogromny zaskroniec. Tata walczył wtedy jak lew, zasłaniając potomstwo własnym ciałem. Walczył oczywiście tak, żeby zwierzątka nie uszkodzić, spokojna głowa, panowie i panie ekologiści.

Młodzież została uprzedzona, żeby po pierwsze ubrać się w gorsze a nieprzemakalne ciuchy, najlepiej jakieś stare ortalionowe dresy z Bema (targowisko na Bema to taki poznański ruski rynek), a po drugie zabrać sobie chlebek, bo spędzą tam cały dzień. Sam ksiądz dla dobrego przykładu założył tę gorszą, codzienną sutannę, która właściwie powinna już odejść do krainy wiecznych sutann. Sutann? Może sutannów albo sutanien? Nie, chyba jednak sutann, chociaż się głupio słyszy i jeszcze głupiej pisze.

Oczywiście dzieci wiedziały swoje.

– Fajne rajstopy, Kasiu – powiedział Janek z mieszaniną uznania i rezygnacji, co miało o tyle sens, że dziewczę było ubrane praktycznie w same rajstopy.

Na parkingu u podnóża Dziewiczej Góry najpierw zadysponował posiłek po benedyktyńsku z towarzyszeniem lektora; lektor profesjonalny w osobie anglisty był na miejscu, więc wszystko szło sprawnie. Tyle tylko, że tak z tuzin młodzieży płci obojga zapomniało śniadania i trzeba się było z nimi dzielić po bratersku. (Mam się z tobą podzielić po bratersku? Nie, po połowie). Ale to już był ich problem, tak się przynajmniej wydawało zahartowanym w boju wychowawcom.

Sam ksiądz przycupnął na boku, oczekując na ewentualnych penitentów. Wprawdzie od samego początku wielkiego postu kładł młodzi do głowy, żeby nie spowiadać się na ostatnią chwilę, bo taka spowiedź jest g…uzik warta, ale jako realista był doskonale świadomy, że po pierwsze, jak było powiedziane, dzieci wiedzą lepiej, a po drugie, że istnieje pewna pula alergików na odór kruchty. Tacy wolą spowiadać się w miejscach ekstraordynaryjnych, na ten przykład na Polach Lednickich albo w schronisku na Rysiance. Nie pochwalał tego do końca, ale akceptował na zasadzie pierwszego kroku.

Wreszcie procesja została sformowana i wszyscy podeszli do przygotowanego specjalnie na ten dzień krzyża. Był to normalny, duży krzyż, zbity dość topornie z dwóch ciężkich belek. Taki, jak dwa tysiące lat temu.

Jasiek zaintonował „Ojcze, w twe ręce, Ojcze, w twe ręce powierzam ducha mego” i jako pierwszy wziął krzyż na ramiona.

Ręce mu zadrżały, a na czoło wystąpiły żyły. Dużo trudu wkładał w to, żeby się nie zataczać. A to był dopiero początek podejścia, stok był tu jeszcze całkiem płaski.

Chłopcy przyglądali się swojemu wiotkiemu księdzu z pobłażliwym politowaniem, dziewczyny z macierzyńskim współczuciem. Wreszcie Wojtuś nie wytrzymał nerwowo i dość nonszalancko przejął od Jaśka krzyż.

I momentalnie przygniotło go niemal do ziemi, przy czym przemilczmy, co zupełnie spontanicznie wyrwało mu się z ust. Inni też udawali, że nie słyszeli. Trzeba zaś w tym miejscu powiedzieć z brutalną szczerością, że Wojtuś był wyższy od księdza lekko licząc o kilkanaście, a może nawet i dwadzieścia centymetrów, no i proporcjonalnie solidniej zbudowany. Teraz na własnej skórze poczuł w absolutnie dosłowny sposób, co to znaczy dźwigać krzyż, i to pod górę. Miał dość już po kilku krokach, ale honor nie pozwalał mu odpuścić, więc przemęczył się tak z piętnaście metrów, po czym z westchnieniem ulgi przekazał brzemię kolegom.

Ci byli już mądrzejsi. Lepiej wyważali ciężar, szeroko rozstawiali nogi. Dziewczyny niosły zgodnie z umową we dwie. Ale im dalej w las, im podejście stawało się coraz bardziej strome, tym robiło się gorzej. W dodatku zaczął padać drobny, dokuczliwy deszczyk, a ścieżkę momentalnie pokryły kałuże.

Pierwszy przewrócił się maturzysta, rozmazując błoto na kolanach, łokciach i twarzy. Potem prosto w kałużę poleciały dwie piękne dziewczyny, a jedna z nich, Kasia, dokumentnie zniweczyła urok swoich rajstop, w których w dodatku zrobiły się dziury. Wreszcie Pierwszy Sceptyk, potknąwszy się o korzeń, rozorał sobie dłonie do krwi. W drugiej połowie podejścia już nie nieśli, ale wlekli ciężar, odpoczywając co dwa kroki. Jak zbawienia wypatrywali każdej kolejnej stacji, żeby odetchnąć. A Jasiek twardo nie pozwalał brać krzyża w więcej niż dwie osoby naraz.

Kiedyś, jeszcze chyba jesienią, ktoś sprowokował na lekcji rozmowę o *Pasji* Gibsona, potem zeszło na wyobrażenie Męki Pańskiej w ikonografii; chcieli wiedzieć, czy Jezus niósł cały krzyż czy tylko belkę poprzeczną, i oględne odpowiedzi katechety („nie

wiadomo”, „zdania są podzielone”) mało ich satysfakcjonowały. Chcieli wiedzieć i już.

No to teraz wiedzieli. Doświadczyli na własnej skórze. Nigdy, przenigdy żadna lekcja, żadna konferencja nie dałaby im tyle do myślenia, co te raptem sześćdziesiąt metrów wysokości względnej do pokonania. I nikt, absolutnie nikt się nie zaśmiał, kiedy przy stacji X (Jezus z szat obnażony) Wojtuś odczytywał swoje dość nieporadnie zapisane rozważanie o pornografii w sieci.

Ile trwa droga krzyżowa w kościele? Trzydzieści, czterdzieści minut? Oni wchodzili pełne dwie niekończące się godziny, cały czas ze śpiewem. Niemal od początku towarzyszyła im para emerytów z kijkami i trzech sportowców, a w połowie dołączyła jeszcze jakaś rodzina. Przy przedostatniej stacji pani Ewa oparła się o drogowskaz z napisem „Wielkopolska Droga Św. Jakuba – Santiago de Compostela 3486 km”, patrząc na niego z dziwną nostalgią.

Na szczycie wreszcie osadzili krzyż w przygotowanym dole, umocnili porządnie kamieniami, a u jego stóp Jasiek odprawił po żołniersku krótką mszę, bo inaczej wszyscy padliby pokotem. Na szczęście przestało padać i wyjrzało słońce, bo dygotaliby nie tylko ze zmęczenia, ale i z zimna. A tak droga w dół była czystą przyjemnością, nawet jeżeli znowu ten i ów klapnął tyłkiem w błoto.

Na dole czekała ich niespodzianka w postaci postnej strawy dostarczonej przez uczynnego pana leśnika. Początkowo proponował on grochówkę, ale wiadomo, grochówka dobra tylko z boczkiem, co do Wielkiego Tygodnia nie pasowało, więc stanęło na pyrach z gzikiem, pochłoniętych, o dziwo, z entuzjazmem. Tylko dzięki temu dali radę przejść jeszcze te trzy kilometry do przystanku, a kiedy wreszcie, już niemal o zmroku, nastąpiło na Śródce rozpuszczenie towarzystwa do domów, wszyscy ledwo trzymali się na nogach. Trzeba jednak odnotować, że gwardia przyboczna w osobach sześciorga ministrantów odprowadziła księdza na samą Jarosławską. Ksiądz musiał więc strugać chojraka do końca, ale ledwo przekroczył próg, padł bez życia. Oj, niby taki rozsądny, a też dał się zamęczyć. Wieczorną mszę poszedł odprawić pełen zrozumienia proboszcz.

Następnego dnia były już ferie, do szkoły iść nie było trzeba, do biura parafialnego z uwagi na Wielki Czwartek też nie; wywiesili tylko

karteczkę, żeby w sprawach pilnych kierować się na plebanię. I po co im to? Jakby ktoś umarł, toby ich odszukano. A tak nie dane im było nawet spokojnie omówić detali Triduum Paschalnego, kiedy przyszedł interesant, bardzo nobliwy, odziany w odlotowy garnitur i z dyplomatką pod pachą.

Gdyby interesant ów zachował się obyczajnie, włos by mu z głowy nie spadł. To jest odwrotnie, włos by się go nie tknął. Ale tak to się już jakoś dziwnie działo, że w ostatnim czasie goście wpadali na plebanię z pyskiem. Co należy rozumieć przez „ostatni czas”? Zaraz, policzmy, kiedy to Janeczek nastał na Krzesinach? Jakieś niecałe dwa lata wcześniej, prawda? No to właśnie o to by nam chodziło.

Pan wszedł i nawet się nie przedstawiwszy, wyłożył od progu, co mu na wątrobie leżało:

– Ja jestem bardzo cierpliwym człowiekiem i dużo wytrzymam, ale tym razem żeście przesadzili!

Janek już otwierał gębę, ale proboszcz był szybszy i posunął w lansadach do faceta:

– Pan będzie łaskawy spocząć i spokojnie przedstawić wszystko po kolei! – Wskazał gościowi fotel.

Jasiek się przymknął i chciwie począł obserwować szefa w akcji.

Facet rozsiadł się i zaczął:

– Jestem za rozdzielnością Kościoła od państwa…

– Doskonale pana rozumiem – wszedł mu w słowo ksiądz Tadeusz, który był fanatycznym wręcz przeciwnikiem podatku kościelnego i pensji płaconej księżom przez państwo. Nie mówiąc już o tym, że uszami mu wychodziło wysyłanie zawiadomień o ślubie do Urzędu Stanu Cywilnego.

– Uważam, że katechizacja powinna odbywać się poza szkołą… – kontynuował pan w garniturze.

Jasiek nie spuszczał wzroku z ust proboszcza.

– Tu pana zdziwię, bo ja też! – prawdomównie zadeklarował się ksiądz Tadeusz.

– Kiedy syn oświadczył mi, że będzie chodził na religię, nie zgłosiłem żadnych zastrzeżeń, chociaż zasadniczo do momentu osiągnięcia przez niego pełnoletności o takich sprawach decydują rodzice…

– No, nie wiem – z zastanowieniem powiedział proboszcz. – Przecież, jak domniemywam, nie miałby pan nic przeciwko deklaracjom syna co do jego orientacji seksualnej?

Wikary powolusieńku zaczął wycofywać się pod osłonę regału. Wolał w razie czego nie być na widoku, gdyby przyszło mu zatykać sobie paszczę jak podczas incydentu z Martynką.

Pan łypnął gniewnie.

– Właśnie dlatego mówię, że nie miałem nic przeciwko jego decyzji – uciął stanowczo. – Szanuję jego wybory! Nawet w zeszłym roku uczestniczyłem w jego bierzmowaniu…

– Jak to miło z pana strony – powiedział szarmancko ksiądz Tadeusz. – Może kawki?

„Oj, czy ja nie za blisko!" – zastanowił się pan Kmicic, kiedy wysadzał kolubrynę. Ksiądz Tadeusz winien sobie rzec coś bardzo podobnego…

– Poproszę – zdecydował się facet, co spowodowało, że Janka zassało do kuchni w mgnieniu oka.

– Uważam, że w szkole młodzież powinna się uczyć, wykorzystywać każdy dzień, w końcu cykl kształcenia skrócono z czterech do trzech lat… – drążył gość.

– Znowu jesteśmy całkowicie zgodni – uśmiechnął się serdecznie proboszcz. – O, ksiądz wikary zrobił kawę, proszę się częstować! – Ciasteczek nie proponował, bo to był dom diabetyka i wikary musiałby po nie dopiero polecieć. No i w końcu był Wielki Tydzień.

– …więc nie powinno się lekką ręką tracić trzech dni na działania pozorne – wykładał swoje kredo poirytowany ojciec. – Przecież do kościoła można pójść po południu!…

– Doprawdy nie wiem, w czym leży problem – powiedział słodko ksiądz Tadeusz. – Między nami nie ma żadnych rozbieżności!

– Jednak skoro tak się dzieje w całym kraju, uznałem, że powinienem to akceptować… – Pan upił łyk, bo zaschło mu w ustach.

– Otóż to – zdążył wtrącić proboszcz.

– …ale wasz sposób przeprowadzenia rekolekcji przeszedł wszelkie dopuszczalne normy! – doszedł wreszcie do sedna gość. – Jakieś średniowieczne metody! Zmuszanie dzieci do wysiłku ponad ich

możliwości! Bez jedzenia! Na deszczu! Jeszcze tylko orszaku biczowników brakuje! – Pan odebrał, jak widać, staranne wykształcenie w czteroletnim liceum.

Ksiądz Tadeusz uśmiechał się dobrotliwie.

– Drogi panie, ile lat liczy pana pociecha?

– Za miesiąc kończy siedemnaście – przyznał pan.

– Ależ to już dorosły mężczyzna! – wykrzyknął radośnie proboszcz. – Zapewne chodzi na siłownię? Uprawia jakiś sport?

Facet musiał przyznać, że owszem, dziecko trenuje kajakarstwo.

– No to chwalić Pana Boga, krzepy mu chyba nie brakuje? Pogratulować tylko takiego syna! – Ksiądz Tadeusz entuzjastycznie potrząsnął dłonią gościa.

– Tylko po diabła ten post?! – żachnął się pan. – Mogli zemdleć po drodze!

– A syneczek zabrał ze sobą śniadanko, jak miał przykazane? – zapytał dociekliwie proboszcz, widząc zaś, że panu tym razem brakuje słów, dołożył jeszcze: – Bo chyba siedemnastolatkom nie trzeba tego zapisywać w dzienniczku?

– Ale ubranie w strzępach! – Pan chciał mieć ostatnie zdanie. – Brudne, zniszczone!…

– Proszę pana!… – Ksiądz Tadeusz uśmiechnął się porozumiewawczo. – O czym pan mówi? Pan przecież chyba w Pepco zaopatrywać się nie musi? – Chciał powiedzieć „w lumpeksie”, ale uznał, że to jednak byłaby przesada. – Dziecko rośnie, to i kupi mu pan nowy dresik… Co to za problem dla pana? A w wakacje – pochylił się konfidencjonalnie do ucha gościa – sugerowałbym dla niego obóz przetrwania w Bieszczadach, zobaczy pan, jak po nim zmężnieje! Chociaż, bo ja wiem… – Zastanowił się frasobliwie. – Ksiądz wikary planował medytacje w klasztorze zamkniętym, może to byłoby lepsze?… – Faktycznie, Jaśkowi chodził po głowie tydzień w Tyńcu plus drugi w Gorcach albo odwrotnie.

– To ja już pójdę! – poderwał się ojciec. – Dziękuję za wyjaśnienia i kawę! Na przyszłość prosiłbym tylko nieco więcej powściągliwości…

– I widzi pan, jesteśmy zgodni od początku do końca – oznajmił radośnie ksiądz Tadeusz, jowialnie ujmując gościa pod rękę i holując go do wyjścia. – Proszę serdecznie pozdrowić syna!…

Jeszcze nim za facetem definitywnie zamknęły się drzwi, obaj księża zdążyli zachłannie przyjrzeć się odrażającemu kłębowisku białych kocich kłaków przyczepionych z tyłu markowego garnituru…

– Ile za to dostanę? – mruknął proboszcz do swojego wikarego.

– Trzy zdrowaśki – zawyrokował wikary.

I spojrzał na szefa z szacunkiem.

Rozdział XVI

Punkt zwrotny

Uroczystość bierzmowania dobiegała końca. Niby wszystko szło dobrze, dzieciaki pod okiem Janka śpiewały jak w natchnieniu. Przy *Amazing Grace*, specjalnie na ich życzenie w dwóch wersjach, po angielsku i po polsku, płakało pół kościoła, zaś duet wiodący sopranistki Dorotki-wolnej słuchaczki i basisty Wojtka-erotomana wprawił w zachwyt drugą połowę. *Te Deum* natomiast ryknęli Jankowi podopieczni jak husaria pod Wiedniem. Biskup wydawał się zadowolony, ale ksiądz Tadeusz wiedział, że odetchnie dopiero, kiedy to wszystko definitywnie się skończy. To znaczy, kiedy wielebny gość sobie pojedzie.

W zeszłym roku, przed pierwszym bierzmowaniem Janka, przyszła instrukcja co do przebiegu liturgii. Jasiek przeczytał, żaden muskuł na twarzy nawet mu nie drgnął, ale jak wiemy, proboszcz już wtedy na tyle poznał swojego wikarego, że wiedział doskonale, co kryje się pod tym jego prostolinijnym spojrzeniem. Janeczek cały dygotał ze śmiechu, a on nawet nie mógł go opieprzyć, bo za co, za patrzenie? Zaczął czytać sam, dojechał do tego samego momentu co Janek, zacisnął zęby i powiedział ni z gruszki, ni z pietruszki:

– Jako admirator nadzwyczajnej formy rytu rzymskiego wiesz najlepiej, że przemyślane szczegóły liturgii podkreślają jej sens.

– Tak jest – powiedział słodko Jasiek. – Przemyślane szczegóły liturgii podkreślają jej sens. – A on znowu nie mógł go opieprzyć, bo za co, za akcent zdaniowy?

I zeszłoroczna, i obecna uroczystość przebiegała punkt po punkcie w zgodzie z instrukcją. Punkt po punkcie, czyli od wyjścia z probostwa zaczynając, co w przypadku nietypowej parafii krzesińskiej było dość problematyczne: plebania znajdowała się nie w dworku tuż przy kościele, zajętym przez przedszkole, tylko w zwykłym domu przy odległej o kilkaset metrów ulicy Jarosławskiej. Potem tak samo trzeba było wrócić, zgodnie z literą w towarzystwie młodzieży, co spowodowało zatarasowanie ruchu na Tarnowskiej i Jarosławskiej niemal jak na procesji Bożego Ciała. Wszystko według starych zasad Janeczka, że jak już ma coś robić, to dokładnie.

Biskup jakoś tak dziwnie nie spuszczał z niego oka, chociaż ten nie rozrabiał, tylko dwoił się i troił przy śpiewach, kartkach i procesji darów, cały zziajany i promienny. *Przybądź, Duchu Święty* w każdym razie było „delikatne, nie wrzaskliwe", odpowiednio do zaleceń z punktu szesnastego, a *Apelu Jasnogórskiego*, bardzo pięknie zaśpiewanego na zakończenie, nie można było przecież wziąć za afront i wycieczkę osobistą?

No i kiedy biskup już miał nareszcie jechać, a proboszcz chciał odetchnąć, zwierzchnik pochylił mu się do ucha i powiedział dyskretnie:

– Czy mógłby ksiądz przyjść do mnie… powiedzmy w środę o piętnastej? Mam pewne sprawy, które chciałbym z księdzem omówić.

„Skończyła się idylla" – pomyślał sobie proboszcz. I przez najbliższych kilka dni żył w nieustannym napięciu. Jak było powiedziane, nie dlatego, żeby wikary lub ktokolwiek inny coś specjalnego zbroił, chociaż siłą rzeczy rachunek sumienia uczynił ksiądz Tadeusz skrupulatnie: napalony ojciec, któremu przyczepiły się kocie kłaki do garnituru od Cardina, sprawa tamtego pogrzebu, wkurzony penitent… Dobrze chociaż, że o primaaprilisowym wygłupie Janka wiedziała tylko Elka.

Instynkt mu podpowiadał, że szykują się zmiany, ale Jasiek, swoim zwyczajem, niczym się nie przejmował, łaził uśmiechnięty i opowiadał kawały, on zaś nie miał siły go ofukać, bo się martwił, że panująca sytuacja długo się nie utrzyma.

W środę, kiedy proboszcz zjawił się punktualnie na Tumie, po wstępnych rewerencjach, kawusiach i tak dalej, podczas których mówił sobie w duchu niekanonicznie „zacznij, waść, nerwów oszczędź”, zwierzchnik przeszedł do rzeczy.

– Może ksiądz opowie mi o tej idei księdza Niziołka z religią i mszą po angielsku? Kto wpadł na ten pomysł, on czy młodzież? A ksiądz nie miał żadnych wątpliwości? Dał ksiądz bez obiekcji zgodę?

Pytania były nawet dość przewidywalne, ale i tak wystarczyły, żeby proboszczowi ciśnienie skoczyło na sto pięćdziesiąt. O religii dowiedział się po jakichś trzech miesiącach, ot tak, mimochodem, od dyrektora, który nowego katechetę bardzo chwalił. Tak samo było z mszą, kiedy przez przypadek wpadł mu w ręce mszał po angielsku. Zapytał, co to znaczy, otrzymał zwięzłą odpowiedź, zawahał się, a wtedy Jasiek dopowiedział:

– Msza ma być odprawiana w języku narodowym, tak? No to jest. Czy Anglicy to nie naród?

Dał wtedy spokój, nigdy na mszy młodzieżowej nie było takiej frekwencji, a jeszcze ci cudzoziemscy goście, w zasadzie co niedzielę… Teraz tylko trzeba to wszystko sensownie wytłumaczyć. Tak, żeby nie kłamać, ale za dużo nie powiedzieć.

– Ksiądz Niziołek zna angielski od dziecka, ma rodzinę w Wielkiej Brytanii… – No ma, oczywiście, że ma, szwagra przecież! Przyszłego szwagra. Nie mówiąc już o przyszywanym wuju. – Jest urodzonym psychologiem, czy raczej trzeba by powiedzieć, że ma dar wyczuwania potrzeb innych ludzi. Zauważył rzecz na pozór banalną, oczywistą: młodzież wstydziła się mówić o swoich przeżyciach religijnych. Więc zaczął prowadzić lekcje po angielsku, nasza szkoła jest przecież dwujęzyczna. Wie ksiądz biskup, jak człowiek się skupi na konstrukcji gramatycznej zdania, to i on, i audytorium przestaje się krępować…

– Ksiądz Jan ma chyba dużą wiedzę o Wyspach Brytyjskich? – wtrącił biskup. – Tak profesjonalnie napisał artykuł o obrządku celtyckim, widać, że z pasją…

– O, tak! – skwapliwie potwierdził ksiądz Tadeusz. – Ma bardzo szerokie zainteresowania, z historią na czele!

„Dobrze mi idzie, biskup kiwa głową, o mszę już nie wypytuje!” – pomyślał proboszcz. Odrobinę przedwcześnie, bo następne pytania były bardziej dociekliwe, a dotyczyły jak najbardziej mszy, tym razem trydenckiej.

– Cóż, tu mogę wypowiadać się tylko teoretycznie – odpowiedział ostrożnie. – Nie miałem okazji obserwować go podczas sprawowania liturgii, odbyliśmy tylko parę rozmów… – O tak, do piątej nad ranem, podczas której on sam na przemian aplikował sobie koniak i środki uspokajające, bo Janek się nie krępował i pokrzykiwał jak rasowy lefebrysta. Na sam koniec co prawda, rzuciwszy okiem na zbulwersowanego zwierzchnika, uczynił znamienną deklarację:

– Proszę księdza, niech się ksiądz o mnie nie martwi, nie wywinę księdzu żadnego numeru! Kiedyś dawno temu moja mama zapytała: „Jak ty sobie poradzisz ze ślubem posłuszeństwa?”. To do dziś nad tym pracuję bardzo solidnie…

„Może by tak biskup zmienił temat?” – pomyślał proboszcz. I znowu w złą godzinę, bo władza duchowna weszła na teren zaminowany.

– Jak wyglądają kontakty księdza Jana z młodzieżą płci obojga? Nie było żadnych kontrowersyjnych sytuacji? Jak zorganizowane były noclegi, kiedy wędrował z nimi po górach?

Proboszcz chętnie rozluźniłby koloratkę, która zaczęła go jakoś cisnąć, w dosłownym tego słowa znaczeniu. Starając się o jak najbardziej rzeczowy ton, zwięźle opowiedział o beskidzkiej wyprawie, ani słowem nie wspominając o koszulce z nadrukiem JESTEM KSIĘDZEM! i o tym, że na Markowych Szczawinach spali wszyscy razem w wieloosobówce, żeby było taniej. Potem szybko zwekslował na korepetycje z matmy, paczki do noclegowni i drogę krzyżową na Dziewiczej Górze. „Janek winien mi tydzień w biurze parafialnym za tę reklamę” – powiedział sobie w duchu.

– A czy ksiądz Niziołek jest punktualny? Bo doszły mnie słuchy, że nawet na pasterkę się spóźnił i ksiądz musiał go pouczać?

Ksiądz Tadeusz poczuł narastającą irytację. Skąd u diabła, to jest na świętego Jana Ewangelistę, patrona wikarego, biskup wie o takich rzeczach? Wywiad doskonały, nie ma co! Jasiek rzeczywiście wbiegł na pasterkę w ostatniej chwili, a on zapytał dyskretnie:

– Wieczorek umarł?

Zbiegiem okoliczności chory, u którego Janek spędził cały wieczór, nazywał się tak jak proboszcz.

– Nie – odszepnął Jasiek i dodał ze skruszoną miną: – Staraliśmy się ze wszystkich sił, ale nic z tego nie wyszło.

Wysyczał wtedy Jaśkowi do ucha reprymendę za wygłupy przy ołtarzu i na tym się skończyło. Nawiasem mówiąc, Wieczorek wydobrzał i żyje do dzisiaj.

– Ależ skąd! – oburzył się teraz szczerze. Też Wieczorek, ale duchowny. – Jest nadzwyczaj punktualny, przez te dwa lata, kiedy go znam, spóźnił się tylko raz, właśnie wtedy, a ściślej nawet się nie spóźnił, tylko przyszedł równo z wybiciem zegara, bo czuwał przy chorym i nie chciał go zostawiać samego!

Biskup popatrzył na niego z lekkim półuśmiechem i przesunął wajchę o kolejny ząbek.

– Proszę mi jeszcze wyjaśnić, o co chodziło z tym naturyzmem?

„Zaraz pęknę" – pomyślał proboszcz. „Gdzie ja jestem, w maglu?! A wszystko przez tego małego drania i jego głupie dowcipy!" Miał rację, raz między Jaśkiem a pewnym parafianinem na kolędzie odbył się taki dialog:

– Wie ksiądz, ja jestem wierzący, ale niepraktykujący.

Riposta Janka była błyskawiczna:

– Doskonale pana rozumiem. Ja jestem naturystą, ale też nie praktykuję.

– A to tak można? – zdziwił się parafianin.

– No przecież pan sam tak powiedział – odparł Janek.

Jak teraz wytłumaczyć biskupowi wygłupy tego małego kretyna?

– To była tylko taka moralizatorska parabola, bez żadnych odniesień do rzeczywistości – pośpieszył zapewnić ksiądz Tadeusz.

– Rozumiem, ale wobec tego, czego dotyczyły pewne… hmm, aluzje kolegów nauczycieli o obnażaniu się?

Tego było już za wiele! Proboszcza trafił szlag.

Janek miał być dawcą szpiku, w szkole o tym rzecz jasna wiedzieli i raz w pokoju nauczycielskim pokpili sobie z księdza, że ma jedyną w życiu okazję poświecić gołym tyłkiem przed kobietą. Sęk w tym, że Jankowi w ogóle nie pobierali szpiku przez nakłucie kości biodrowej,

czemu pewnie napatrzyli się co poniektórzy w *Housie*, tylko robili mu aferezę krwi obwodowej, co z tyłkiem nie miało nic wspólnego.

Kto z nauczycieli kapował w tak złośliwy i odrażający sposób, przeinaczając perfidnie przyjacielskie żarty? I jak biskup mógł dać mu posłuch?!

Proboszcz wychował się na *Bonanzie* i uważał, że sukienka duchowna nie zwalnia mężczyzny od obowiązków stanu takich jak obrona honoru. A wreszcie przebywanie z Janeczkiem pod jednym dachem wyostrzyło jego i tak jednoznaczny stosunek do wszelkiego delatorstwa. Nie będzie tego słuchał i nie pozwoli na swoje uczestnictwo w tym procederze!

– Z całym szacunkiem, ale jak wasza ekscelencja może nakłaniać ucha dla takich plugawych, oszczerczych, ewidentnie w złej wierze czynionych pomówień?! Od osoby o tak niskiej kondycji duchowej, mówmy sobie prosto w oczy, od donosiciela? To się nie godzi! Ja nigdy bym się nie ośmielił czynić podobnych supozycji względem osoby poddawanej na ten przykład zabiegowi kolonoskopii!

„A właśnie to zrobiłem" – pomyślał z satysfakcją, bo o zdrowiu biskupa krążyły różne opowieści. „Teraz możesz mnie zabić" – dodał sobie jeszcze dumnie w duchu.

Ku swojemu zdumieniu zobaczył na twarzy biskupa uśmiech ukontentowania.

„Podpuścił mnie! Chciał sprawdzić, jak daleko się posunę, broniąc tego małego kretyna!" – pomyślał skonsternowany. W sumie dobrze, że biskup był człowiekiem mądrym i wiedział, kiedy przerwać, bo następna kwestia, którą ksiądz Tadeusz już miał na języku, była następująca: „Niech mi ekscelencja przyśle swojego zaufanego na plebanię, to mu opowiem szczegóły epizodu, kiedy widziałem księdza Niziołka nago, mało tego, sam go rozbierałem! A potem wybiję konfidentowi zęby!".

Biskup przyjrzał się proboszczowi uważnie, oceniając stopień jego wzburzenia, i wreszcie postanowił odkryć karty.

– Pozwoli ksiądz, że wyjaśnię mu sens i cel całej naszej rozmowy…

„Rychło w czas! Mało nie padłem!" – pomyślał ksiądz Tadeusz.

– Otóż poproszono mnie właśnie o zarekomendowanie jakiegoś księdza do Szkocji, do Kirkcaldy. W tym mieście działają polscy

salwatorianie, ale jeden z nich zachorował, drugi chciałby przejść na emeryturę, nie czuje się już na siłach, a tam ciągle przybywa nowych parafian, bo Szkocja to teraz cel polskiej emigracji. Pytałem, rozglądałem się i cóż, ksiądz Niziołek ma wszelkie potrzebne kwalifikacje: młody, energiczny, zna język i kulturę, ma poważanie wśród młodzieży. Moralność, jak ksiądz powiada, bez zarzutu. A do tego idealnie nadawałby się do posługi w kościele świętego Piusa, gdzie stosowana jest nadzwyczajna forma rytu rzymskiego, bo to stara parafia, jeszcze z czasów emigracji andersowskiej…

Już w połowie kwestii biskupa panika buchnęła proboszczowi do głowy i do serca. Rany boskie, przedobrzył i zabiorą mu Janeczka na zawsze! Odchrząknął i z wysiłkiem, próbując utrzymać spokojny, wręcz protekcjonalny ton głosu, powiedział:

– Ale on jest jeszcze bardzo młodzieńczy, trzeba go nieustannie pilnować!…

Biskup uśmiechnął się z wdzięcznością.

– Bardzo się cieszę, że ksiądz sam to powiedział! Pozwolę sobie wobec tego zapytać, jak u księdza z angielskim?

Do proboszcza dotarło, co zrobił. „Cokolwiek dziś uczyniłem, na złe się obraca!” – jęknął sobie w duchu jak Aragorn nad Parth Galen. Dalsze słowa biskupa docierały do niego niczym zza szklanej szyby:

– Będę wdzięczny, jeżeli ksiądz nie będzie zwlekał z przemyśleniem moich sugestii. Powiedzmy, tydzień?…

Na korytarzu proboszcz spróbował zaczerpnąć oddechu i uspokoić się choć trochę, ale niewiele z tego wyszło.

„Mam rzucić wszystko i jechać z cukrzycą i nadciśnieniem gdzieś tam do… Jak to miasto się nazywa? Kirkcaldy? Gdzie to w ogóle jest? Bliżej Edynburga czy Glasgow? Przecież jestem starszy, i to o ładnych parę lat, od rodziców Janka! Co z tego, że nawet trochę znam język, jeszcze coś mi z rozszerzonego profilu w szóstce zostało, ale Jankowi i tak do pięt nie dorastam. Boże, musiałbym głosić kazania po angielsku! Nie chcę! Boję się!”

Przez chwilę tkwił w jednym miejscu, zbierając myśli. „Mam postawić weto? Na siłę mi Janka nie zabiorą, nie mają powodu! Choć na kilka lat niech zostanie tak, jak jest!”

Ale czuł, że zachowuje się jak baba, nie jak mieszkaniec Virginia City.

„Dobrze, pomyślę, zastanowię się. Jutro, teraz nie mam siły. Koniec na dzisiaj".

Ruszył do drzwi, kiedy wyszedł mu naprzeciw… nie, to źle powiedziane – kiedy zastąpił mu drogę jakiś facet, to jest ksiądz. Nie wiedział, nieszczęsny, że do końca dnia było jeszcze daleko, a facet, to jest ksiądz, miał wystąpić w roli drugiego ubeka, w sumie nie wiadomo: lepszego czy gorszego.

– Szczęść Boże, ksiądz Tadeusz Wieczorek z Królowej Korony Polskiej, prawda? – zagadnął przyjaźnie nieznajomy. – Krzysztof Górny, byłem opiekunem Janka w seminarium. – Wymienili uściski rąk. – Proszę go pozdrowić ode mnie. A może wpadłby ksiądz do mnie na godzinkę? Chciałbym księdzu coś pokazać.

Ksiądz Tadeusz dał się zgarnąć, nawet nie wiedząc jak. W mieszkaniu opiekuna tyle miał przytomności, że odmówił kolejnej kawy, pomny na nadciśnienie, i soku, bo wyglądał na słodzone świństwo z Biedronki, i poprzestał na wodzie mineralnej. Ksiądz Górny kręcił się przy komputerze z zapałem nastolatka, otwierając plik „prezbiterat2011".

– O, proszę spojrzeć na to zdjęcie – powiedział zachęcająco, podsuwając proboszczowi wygodny fotel. – Lekko poruszone, więc nie ma go na żadnej oficjalnej stronie.

Zdjęcie przedstawiało Janka, któremu opiekun zakładał ornat. Ksiądz Tadeusz zapatrzył się jak zaczarowany: Jasiek miał na twarzy najcudowniejszy ze swoich uśmiechów.

– Ciągle jeszcze się tak uśmiecha? – zagadnął od niechcenia ksiądz Górny.

– O, tak! – odpowiedział natychmiast z całego serca, a że patrzył w monitor, a nie na rozmówcę, nie zarejestrował błysku satysfakcji w jego oczach.

– Coś księdzu opowiem – zaczął z namysłem opiekun. – Widzi ksiądz, do seminarium przychodzą różni ludzie i różnie się zachowują. Niektórzy na siłę chcą dodać sobie powagi. Niektórzy bardzo pracują nad tym, żeby na każdym kroku okazywać entuzjazm. A Janek… Raz, pamiętam, widziałem, jak wychodził

z kaplicy; poszedłem wtedy sprawdzić, co się dzieje, bo słyszałem muzykę, bardzo ładną, nie powiem, tylko może odrobinę nietypową w tym kontekście. To było zaraz na początku, na pierwszym roku. Janek… Jak by to powiedzieć… On się nie śmiał, nawet trudno powiedzieć, że się uśmiechał. On po prostu… promieniał. Tego nie można udawać. To się ma albo się nie ma. A Janek to miał. I jak ksiądz mówi, ma do dzisiaj.

Proboszcz stopniał jak wosk. Przed oczami stanęło mu coś bardzo podobnego; było to wtedy, kiedy pobitego Janka przynieśli na plebanię. Kiedy ciekawy, acz wierny tłumek (czy też może wierny, acz ciekawy) dał się wreszcie wypchnąć na zewnątrz, on jako pierwszy poszedł po rozum do głowy, zadzwonił do znajomego lekarza i wymógł na nim jak najszybszy przyjazd. Potem pomógł Jankowi przebrać się w piżamę, bo ofiarna trzódka rzuciła wikarego na łóżko tak jak stał, nawet nie zdjąwszy mu butów i koloratki. Wreszcie powiedział z całą powagą:

– Janku, pozwól, że ci udzielę sakramentu namaszczenia chorych.

Był gotowy warknąć na niego, gdyby Jasiek zaczął jakieś wygłupy w rodzaju „widzę, że ksiądz wziął pana Bogdana na serio", ale ten powiedział tylko ze spokojnym, delikatnym uśmiechem, dziwnie kontrastującym z jego obitą gębą: „Dobrze". I teraz, kiedy proboszcz odtwarzał tamten epizod, zobaczył analogię do spostrzeżeń opiekuna; to on Jankowi powinien był wtedy dodawać otuchy, a było odwrotnie, bo Jasiek całym sobą promieniał – tak, to dobre słowo! – radosnym spokojem, jakąś dziecięcą ufnością.

– I właśnie dlatego przez całe seminarium chroniłem go jak mogłem, łobuza, za wszystkie jego wyczyny! – usłyszał w tym momencie twardy głos opiekuna, co definitywnie wybiło go z błogostanu.

– Czego on nie naopowiadał kolegom! O dziewczynach, o chłopakach, o Radiu Maryja… Nawet o kardynale Dziwiszu… Prawdę mówiąc, wyglądało to, jakby specjalnie chciał ich podpuścić.

„Bo chciał" – pomyślał ksiądz Tadeusz, ale nie czuł się upoważniony, żeby Jaśka i jego taktykę wsypywać.

– Potem co rusz mnie ktoś o niego wypytywał, bo ksiądz wie, uczył się wzorowo, no i jeszcze te muzyczne talenty, więc siłą rzeczy

różnym osobom przychodziły do głowy pomysły typu studia w Rzymie, kancelaria… No i do znudzenia musiałem wysłuchiwać, co sądzę o kleryku Niziołku, bo ponoć… I tu recytowali mi długą listę mniej lub bardziej wydumanych obiekcji. A ja to musiałem dementować, tłumaczyć. Chyba nie za bardzo mi wierzyli, bo z tych projektów nigdy nic nie wychodziło.

Ksiądz Tadeusz tylko pokiwał głową nad przenikliwością Janeczka, po czym dolał sobie do wody mineralnej soku z Biedronki. Odrobinę.

– Ale tak w ogóle był bardzo lubiany, wszyscy koledzy chcieli z nim dzielić pokój. Był taki Rysiek spod Czarnkowa, miał problemy z zaliczeniami. Janek poprawiał mu notatki, robił konspekty, przepytywał. Po nocach siedzieli, musiałem ich gonić. Rysiek zdał na czwórki, co mogło kłuć w oczy takich, co to chcieli mu okazać swoją wyższość.

Proboszczowi znowu zrobiło się przyjemnie. Powinien był sobie zamiast fantasy poczytać Suworowa, toby był świadomy, jak wygląda klasyczna strategia przesłuchania: najpierw twardy podkład – to uczynił biskup, potem rozmiękczenie, wreszcie atak zasadniczy. Ksiądz Górny był na etapie rozpylania mgły i rozmiękczania.

– Inny kleryk rwał się na misje, ale kulał w językach obcych. Janek obwiesił pokój etykietkami, męczył go straszliwie, cały czas gadał z nim tylko po angielsku. I Marceli pojechał na te swoje misje gdzieś tam do Afryki, wybrano właśnie jego, nie starszego diakona, który angielski miał w małym palcu, tylko… jak by to powiedzieć… charakterek trochę nie tego. Bo widzi ksiądz, przeważnie chętnie pomagamy drugim w biedzie, bo czujemy się przez to lepsi. Ale pomóc komuś w odniesieniu sukcesu… Własnymi rękami wyprodukować sobie konkurencję… Zaakceptować, że ktoś jest lepszy od nas… O, to już zupełnie coś innego! A Jankowi było wszystko jedno, pomagał jak leci, nie patrzył, czy na tym zyska czy straci.

– Dziękuję księdzu za dobre słowa – powiedział serdecznie proboszcz. – Miło tego słuchać.

– Miło? To niech ksiądz zabiera go sprzed oczu pewnym ludziom, im szybciej, tym lepiej, i wyjeżdża, bo za chwilę zrobi się mniej miło!

Atak się zaczął.

– Co takiego?!

– Sam ksiądz mówi, że on jest ciągle taki sam. To i drażni mnóstwo osób.

– Czym, na Boga?!

– Niech ksiądz nie udaje naiwnego. Cały czas docierają do mnie o nim słuchy. Drażnił od swojego pierwszego dnia na cmentarzu, bo każdego zmarłego traktował jak własną rodzinę. A już kompletnie niestosowne było, jak całą forsę, którą mu dawali w kopertach, oddawał proboszczowi.

– Zawsze tak robi – pośpieszył zapewnić ksiądz Tadeusz. Co prawda, to prawda. Raz Janek z rozpędu dał mu nawet kopertę z wziątką od babci Kotoń.

Opiekun popatrzył na swojego rozmówcę jak na ciekawy okaz fauny.

– Jasne, tylko że prostoduszny Janeczek nie widział różnicy między ofiarą przed pogrzebem, a banknotem wsuniętym w kieszeń po pogrzebie, i oddawał wszystko. – Ksiądz Górny miał wywiad nie gorszy od biskupa.

– To było dwa lata temu!

– Pewnych rzeczy się nie zapomina. Opowiadał co nieco księdzu o tamtych czasach? – Proboszcz pokiwał głową. – To wie ksiądz, że w niedzielę wyznaczyli mu mszę o siódmej, w końcu jak przyzwyczajony do wczesnego wstawania, to i w niedzielę może. A on zamiast piszczeć, to uśmiechał się i robił swoje, a potem bez pytania siadał na całe przedpołudnie do konfesjonału. – O tym Jasiek nie mówił, ale ksiądz Tadeusz wyczytał to między wierszami.

– Czy zdaje sobie ksiądz sprawę, jak to może wkurzać, kiedy w dwa lata później, dokładnie jak było powiedziane, ciągle jeszcze ktoś pyta: „A tego fajnego młodego księdza już nie ma? Szkoda!”. On się nie zmienił, więc drażni cały czas. Dzisiaj też, jak słyszałem, o szóstej rano już w kościele zaczyna.

– I to aż tak bardzo irytuje? – Proboszcz pozostawał na etapie negocjacji, cały czas według protokołu Suworowa.

– Nie tylko to. – Opiekun był brutalny. – Także to, że ma komplet na religii. Że dzieci go lubią. Że jego uczniowie roznieśli innych w konkursie biblijnym, i to tak, że nie można było zakombinować

nawet na ustnych, żeby przepchnąć swoich protegowanych. Chyba jest ksiądz świadomy, co się dzieje, kiedy dzieciak wytknie jurorowi błąd merytoryczny i dopowie jeszcze słodkim głosem: „A ksiądz Niziołek nam mówił, że…”?

Proboszcz otarł czoło. O tak, jakby przy tym był!

– Mam mówić dalej? – ciągnął bezlitośnie opiekun. – W króciutkim artykule do popularnego pisma potrafił zawrzeć więcej niż jeden z drugim w naukowej dysertacji, a ludziom to się podoba i przysyłają listy do redakcji z podziękowaniem. Bo ma łeb, a przy tym nie jest nadętą ropuchą, co to skrywa puste myśli pod pseudonaukowym bełkotem.

„Kogo on ma na myśli?” – zastanowił się proboszcz, bo co najmniej kilka nazwisk przyszło mu do głowy.

– Jak ciekawski wejdzie na jego Facebooka, to zobaczy coś takiego: „Jeśli masz czas na Facebooka, to możesz też znaleźć czas na modlitwę”. – Dokładnie tak się przydarzyło samemu proboszczowi.

– On służy innym i to w dosłownym tego słowa znaczeniu! – pośpieszył wyjaśnić, a może i usprawiedliwić, jakby tu było co do usprawiedliwiania i wyjaśniania.

– I denerwuje, bo porusza sumienia – bezlitośnie podsumował ksiądz Górny.

– Janek nigdy ludzkim gadaniem się nie przejmował! – To był kolejny punkt strategii Suworowa: próba przejęcia kontroli. O święta naiwności!

– Ale ksiądz powinien. – Opiekun nie zamierzał odpuścić ani o cal. – Jak mu zaczną wywlekać, że zamknął się z uczniem w klasie na wielogodzinną rozmowę, a przedtem go przytulał i coś mu szeptał do ucha…

Jezu, co on gada?!

– To nieprawda, zawsze otwiera drzwi na korytarz, sam mi mówił! – A jakże, proboszczowi też się Janeczek zwierzał ze swoich dylematów.

– Zawsze? To chyba nie znam Janka. Otworzyłby drzwi, żeby wszyscy słyszeli intymne szczegóły rodzinnej tragedii?

W obliczu oczywistości proboszczowi zaczął się plątać język.

– W tym nie było nic złego!

– To wiemy ja i ksiądz. A jak zaczną gadać o romansie z lekarką, to co wtedy?

Tego już było stanowczo za dużo.

– Co takiego??!!

– A po co jeździł tyle razy do szpitala na Lutycką i przesiadywał godzinami u młodej pani doktor?

Punkt siódmy: desperacka ofensywa.

– Ksiądz też powtarza te bzdury?! Dopiero co tłumaczyłem księdzu biskupowi! Bo zawołała go, żeby oddał komórki krwiotwórcze z krwi obwodowej dla dziecka z białaczką! Ma rzadką grupę krwi! Taka jest procedura, najpierw przez kilka dni zgłaszał się na zastrzyki mobilizujące komórki macierzyste, potem dwa razy na zabieg aferezy i każdy z nich trwał cztery godziny. Poza tym nie na Lutycką, tylko na Szpitalną!

Opiekun patrzył już nie jak na ciekawy pojedynczy okaz, ale niczym na całą menażerię.

– Ksiądz, widzę, jest specjalistą. Ale to nic nie pomoże, jak księdzu zjedzie TVN pod plebanię i zacznie przepytywać parafian. Wyjdzie i sprawa dziecka…

– Jakiego dziecka? Siostrzenicy!

Za szybki refleks!

– Jak ksiądz dobrze wie, co ja mam na myśli!…

– To nie przejdzie! Wszyscy się za nim ujmą! On oddał swój motocykl wart piętnaście tysięcy dla chorego chłopca! – Proboszcz wstał, bo w pionie lepiej mu się walczyło, zupełnie jak Eluni Niziołek.

– Niech ksiądz uważa, to broń obosieczna. Zaraz padnie pytanie, kogo obłupił, że miał na taki sprzęt?

– Bzdura, zarobił te pieniądze zaraz po maturze! Niech się odczepią, oni kasują taką gażę w pół miesiąca! Nie wygrają z nim!

– Może i nie wygrają, ale zetrą mu z twarzy ten uśmiech. Tego ksiądz chce?

Trzeba było siedzieć, a tak musiał proboszcz wczepić się w oparcie fotela, bo pokój mu zawirował.

– Proszę księdza, niech ksiądz będzie mężczyzną! Za kudły go wziąć i wywieźć! Jak się będzie stawiał, to polecenie służbowe

i koniec! On ma charakterek, ale jak mu się coś każe, to posłucha.

– A nikt inny nie ma na ten wyjazd ochoty? Nie będzie zazdrościł, intrygował? – Powtórnej próby negocjacji Suworow nie przewidział, ale spróbować zawsze można. Przy czym proboszcz walił bezpośrednio, bo nie miał już nawet siły na subtelne aluzje.

– Do Kirkcaldy? Nie, dla tych, co maja chrapkę na Wielką Brytanię, zejście poniżej Londynu, no, powiedzmy Edynburga, jest degradacją. To nieduże miasto, maksymalnie pięćdziesiąt tysięcy. W sam raz dla Janka. Dobrze radzę, niech się ksiądz długo nie zastanawia!

Proboszcz nie wiedział, jak i kiedy znalazł się na dworze. Dobrze, że jazda samochodem zawsze go uspokajała, bo inaczej mogło być nieciekawie. Na Jarosławską zajechał już po siódmej; Janek poszedł odprawić wieczorną mszę. Nawet było mu to na rękę, musiał zebrać myśli. Jechać, nie jechać? Bał się wyjazdu i jednocześnie wstydziłby się uciekać przed intrygami, ale może tak trzeba?

Wikary wrócił, spojrzał z pogodnym zaciekawieniem, a on zebrał się w sobie i powiedział:

– Janku, musimy porozmawiać. – I maksymalnie zwięźle zaczął mu referować propozycję biskupa. O opiekunie na razie nie wspominał.

Jasiek słuchał uważnie, siedział spokojnie, ale ksiądz Tadeusz był bardzo wyczulony i nie umknęła jego uwadze ani odrobina napięcia mięśni, ani błysk w oku Janeczka, szczególnie kiedy opowiadał o kościele świętego Piusa.

– Co powiesz na to? – zapytał wprost.

Janek popatrzył ze skruchą i powiedział cichutko:

– Zawsze o tym marzyłem…

Jak Maćko z Bogdańca zdumiał się, że ze Zbyszkiem i Jagienką tak łatwo mu poszło, podobnie i proboszcz był zaskoczony spolegliwością Jaśka, choć przecież o jego ciągotach dobrze wiedział.

– O mszy trydenckiej? Myślałem, że to tylko takie teoretyczne gadanie! Trzeba mi było powiedzieć, coś byśmy wymyślili…

Janek uśmiechnął się serdecznie.

– Proszę księdza, chyba bym sumienia nie miał. Mało ma ksiądz ze mną innych kłopotów? Jak trzeba sobie powiedzieć stop…

„Kochany chłopak” – pomyślał proboszcz, a głośno zapytał:

– Mam rozumieć, że prymicja to była jedyna stara msza w twojej karierze?

– No, nie… Jak byłem z dzieciakami w górach, to odprawiałem w takiej kapliczce pod Zwardoniem, samo się prosiło, bo tam nawet nowego ołtarza nie ma.

– Tak bez mszału?

– Zabrałem sobie na wszelki wypadek kieszonkowy.

– Janku, nie truj, z góry w takim razie wiedziałeś, że to zrobisz!

– W sumie tak. Potem jeszcze na Mładej Horze, bo tak dobrze poszło, dzieciakom się podobało. – Janeczek podumał chwilę. – I na Rysiance pod krzyżem. W bazie namiotowej na Hali Górowej… Na Głuchaczkach… Na Babiej Górze, na samym szczycie… I w kaplicy Matki Boskiej Opiekunki Turystów. No, tam to ołtarz był nowy, ale stanąłem sobie po staremu. W Brighton na Upper North Street też tak robili.

Proboszcz patrzył przez chwilę w milczeniu. Jasna sprawa, Jaśka ciągnęło jak wilka do lasu.

– Czemu ja nic nie wiem o takich ciekawych rzeczach?

– A co miałem za dużo gadać? To nie grzech. Jeszcze.

– Więc trzeba się pośpieszyć?

– To księdza słowa…

„Jak on mnie, ten drań, deprawuje!” – pomyślał sobie proboszcz. „Ale to upraszcza wiele rzeczy”.

– Nie będzie ci żal stąd wyjeżdżać? – zapytał otwarcie. – Szkoły, młodzieży, twojej pierwszej b?

Jasiek spojrzał mu prosto w oczy.

– Pewnie, że będzie – powiedział szczerze. – Zawsze nam czegoś żal. Myśli ksiądz, że nie było mi żal rodziców, kiedy jechałem do Anglii i potem, kiedy szedłem do seminarium? Ale nawet mała Elka wiedziała, że tak trzeba, ryczała, ale nie protestowała.

Pomyślał chwilę, a potem zaczął z lekkim oporem:

– Chciałem się do czegoś księdzu przyznać… Wtedy w listopadzie, kiedy… – odchrząknął… kiedy Wiola umierała, a ja modliłem się przy niej… Jak by to powiedzieć… – Ciężko szło Jankowi wyznanie takiego kalibru, pewnie wolałby mówić po angielsku, ale dzielnie kontynuował: – Nie, nie targowałem się z Panem Bogiem, może być

ksiądz spokojny, wiem, że tak nie można. To nie był targ, tylko… zawierzenie. I potem, po wszystkim, zacząłem się szykować, na wypadek, gdyby… No, gdybym musiał pójść gdzie indziej. Tak ustawiałem wszystkie sprawy, żeby były podomykane i żeby bez problemu mógł ktoś inny mnie zastąpić. Pierwsza b jest wyszkolona, da sobie radę i potrafi zatroszczyć się o młodszych. Sławek pojedzie z nimi w góry, Marysia podszkoli z matmy, a Ewa dopilnuje paczek. Pana Bogdana przekabaciłem, jest życzliwy dla ministrantek i następnemu wikaremu podpowiedziałby, co trzeba…

– Dyrektor będzie wściekły, że traci takiego katechetę – wtrącił przekornie ksiądz Tadeusz, bo czuł się zawstydzony i chciał dopomóc Jankowi żartem.

– A, to już księdza rola! – odparował ochoczo Jasiek. – Jak pójdzie ksiądz za tydzień do biskupa, proszę się za darmo nie sprzedawać! Niech ksiądz wytarguje, żeby dali do szkoły siostrę Anielę od urszulanek, to wilczyca w habicie. Ja jestem takim bardziej kumplem, a ona będzie miała autorytet, żaden bachor jej nie podskoczy, zagryzie wszystkie.

„Nie chrzań, Janku, też masz autorytet” – pomyślał proboszcz. „Będą ryczeć po tobie jak Elka”.

– W końcu jest jeszcze Skype, zawsze można pogadać – powiedział Jasiek, jakby usłyszał jego myśli, i ciągnął dalej: – No i wie ksiądz, byłem gotowy, ale co tu dużo gadać… Bałem się, żeby nie wymyślili jakiejś kościelnej administracji… czy czegoś w tym rodzaju… – I na jednym oddechu, pozornie nie do rzeczy, dodał: – I żeby znowu księdzu nie skoczył cukier i tak w ogóle…

Wtedy wreszcie proboszcz zrozumiał, co właściwie jego wikary cały czas starał się wyjęczeć. Nie chodziło tylko o mszę u Piusa, ten drań cieszył się, że mają tam jechać we dwóch!

– No to jedziemy! – powiedział energicznie. I zaraz dodał w popłochu:

– Ale co zrobimy z Białą Zmorą?

Rozdział XVII

Droga do Achtoty

Był czwartek, dwudziesty szósty czerwca. Dwie pary… Nie, tak nie może to zabrzmieć! Dwa zestawy ludzkie… Jeszcze gorzej! Dobra: Ela i David oraz księża Wieczorek i Niziołek docierali do zakrętu drogi.

Tata z filozoficznym spokojem odnosił się do pandemonium pod tytułem ślub młodszej córuni, cierpliwie i pracowicie wnosząc swój wkład. Najpierw zholował z Ławicy rodzinę Bachów w składzie czteroosobowym, bo babcia ze względu na stan zdrowia postanowiła jednak odpuścić sobie rozrywki na końcu świata, przekazując niemniej na rzecz państwa młodych sowity ekwiwalent.

Z zaciekawieniem zerknął na bagaż podręczny zięcia, który ani chybi zarówno na Luton, jak i na Ławicy musiał budzić sensację. Było to bardzo zgrabne, plastikowe, przezroczyste pudełko z uchwytami i dziurkami, o wymiarach zgodnych z parametrami Ryanaira, czyli 55 na 40 na 20 centymetrów. Pudełko oczywiście miało te wymiary, nie dziurki. Dziurki służyły do tego, żeby krzaczek Rose Eleanor miał czym oddychać przez drogę. Wszystko zgodnie z regulaminem przewozu. Kwiaty nie były zakazane. A jak mu powiedziano, w samolocie David trzymał cenny bagaż pod nogami, nie wpychał go broń Boże na półkę, jeszcze by mu go przygnietli jak kapelusz Jana Marii Rokity i co by było.

Po obiedzie całe towarzystwo zostało upchnięte do samochodów i przetransportowane do Gołuchowa. Samochody były trzy: jednym

tata zabrał swoją ukochaną Różyczkę oraz państwa młodych, drugi należał do Aniołów i tym Gabriel przewiózł Brendana z Jennifer i Uną, trzeci zaś, świeży nabytek Szczęsnych, czyli stare dość volvo, posłużyło zasadniczo z racji pokaźnych rozmiarów jako bagażówka. Oczywiście plastikowego pudełka z Eleanor narzeczony z rąk nie popuścił, Wioli i Merry'emu powierzone za to zostały walizki ze ślubnymi kreacjami, które dojechały na miejsce szczęśliwie, bez plagiatów z Laury Pyziak.

Park był w pełni swojego rozkwitu; zachwycone kobitki z dzieckiem wypchnięto na spacer, a panowie na chwilę przycupnęli w kątku, w pełni świadomi, że za chwilę mogą zostać pogonieni do czynności takich jak skręcanie stołów lub coś w tym rodzaju. Tata kątem oka zauważył, że Elunia z Davidem najpierw zajęli się wypakowaniem róży, a potem gdzieś znikli. „Bóg z nimi, wiedzą, co robią" – pomyślał tata, który od września przeszedł diametralną metamorfozę, jeżeli chodzi o stosunek do ich poczynań.

Jak się wkrótce okazało, jego zaufanie nie zostało nadużyte. Powracająca z parku szwagierka wtajemniczyła go w maleńki problem o charakterze logistyczno-lingwistycznym. Mianowicie narzeczonych czekała jeszcze przedślubna spowiedź i właśnie konsultowali z ciotką, gdzie mogliby ją odbyć. Co prawda następnego dnia miał się pojawić w Gołuchowie ksiądz niewątpliwie władający angielskim, ale cóż, jak można się było domyślić, był on ostatnim spowiednikiem, z którego posługi mieliby ochotę skorzystać. Przynajmniej panna młoda, ale tata domniemywał, że pan młody, mimo całej swojej odwagi, też. Tu jednak przyszła w sukurs błogosławiona ciotka Anioł, która jakże przezornie naraiła przemiłego księdza Piotra z kaliskiej bazyliki. „Beata jest bezkonkurencyjna" – pomyślał tata. „Przewidziała każdy detal!" On sam zaczynał się leciutko gubić w tej krzątaninie.

W tym samym czasie podobne nerwowe działania miały miejsce na Krzesinach. Tak naprawdę to gorączka przygotowań ogarnęła proboszcza i wikarego już dobry miesiąc wcześniej, zaraz po tym, jak podczas drugiej wizyty u biskupa ksiądz Tadeusz ostatecznie potwierdził ich gotowość wyjazdu.

Na pierwszy ogień poszła repetycja z angielskiego. Proboszcz miał wtedy niepowtarzalną okazję doświadczyć talentów pedagogicznych Jaśka. Jego wikary wziął się do roboty niezwykle solidnie, a jednocześnie nauka z nim była samą przyjemnością! Nawet się nie obejrzał, jak przełamał opory i konwersacja przestała mu sprawiać problem. Przed Jankiem po prostu nie było się czego wstydzić, bo z serdecznym uśmiechem poprawiał błędy, a każdą lekcję zaczynał od kawału po angielsku. Raz, pamiętał, kiedy był maksymalnie zamęczony pierwszą komunią tych rozkosznych dzieciątek i naprawdę nie chciało mu się siadać do roboty, Janek ni stąd, ni zowąd opowiedział pikantny kawał o Arabie przekraczającym granicę. Powinien go był ochrzanić, ale nie wytrzymał, zaczął się śmiać i dydaktyczny smrodek diabli wzięli. Następnego dnia to on, odrobiwszy skrupulatnie zadanie domowe, poczęstował wikarego osobiście wymyślonym dowcipem o treści następującej:

> *Gandalf and Pippin are standing on the balcony in Minas Tirith. Pippin is sad. 'What's the matter, Pippin?' Gandalf asks. 'I've got a terrible migraine,' Pippin says. 'Lady Galadriel may have a terrible migraine. Lady Arwen, maybe even Éowin, may have a terrible migraine. As for you, Peregrin Took, it's just your fucking head that is killing you…*[7]

Jasiek zwinął się ze śmiechu, a on nawet nie miał wyrzutów sumienia o współuczestnictwo w grzechu. Jaki grzech? Do radosnych ludzi diabeł nie ma przystępu.

Potem trzeba było ogarnąć cały ich dobytek. Okazało się, że przez, bagatela, dwadzieścia lat pobytu w Krzesinach obrósł w tyle klamotów, że doprawdy nie wiedział, co z tym wszystkim zrobić. Ale z Jaśkiem selekcja poszła szybko, a przy okazji uzgodnili sposób transportu do Szkocji: zamierzali wysłać wszystko w paczkach, identycznie zresztą jak siostra wikarego, wyznaczając sobie limit sześciu kartonów na twarz. To i tak było dużo, ale cóż: ciuchy zwykłe jeden karton. Ciuchy służbowe drugi karton. Trzeci z najrozmaitszymi paramentami. Usłyszał wtedy od Janka historię pochodzenia jego ikony ze świętym Józefem i zdumiał się, bo nie przypuszczał, że ta mała jest tak wszechstronnie uzdolniona.

Najgorzej było z biblioteką, bo wszystkich książek było mu żal, ale jednocześnie wstydził się przed Jankiem swojej zachłanności. Ten jednak wykazał bardzo dużo zrozumienia, cóż, pamiętał doskonale, jak to tata odmówił likwidacji kolekcji „Znaków" i „Więzi".

– Niech ksiądz podzieli je na cztery kupki – doradził pragmatycznie. – Na pierwszej Miesiące Zatajone… – domyślał się, co to znaczy, chociaż Janek musiał mu tłumaczyć pochodzenie nazwy; kiedy się dowiedział, że to z babskiej literatury, poczuł się rozgrzeszony ze swojej ignorancji. – Potem te, których żal, ale ulży księdzu, jak je podrzuci moim staruszkom. Powiedzmy, że na przechowanie, a po trzech latach ksiądz zapomni. – Fakt, święta racja, Janeczek znał go doskonale. – Trzecią kupkę da się do szkoły, niech bachory poczytają sobie trochę fantasy. A Dary Księżycowe zostawi ksiądz w bibliotece parafialnej i spokój – zakończył z niewinnym spojrzeniem.

Kolejną troską było przekazanie parafii nowemu proboszczowi; kiedy tylko dowiedział się, kto ma nim być, podzielił się nowiną z Jankiem:

– Przyszło pismo od biskupa… Jakiś Rzepka…

Janek spojrzał z niedowierzaniem:

– Rzepka, mówi ksiądz? Rafał Rzepka?

– Rafał – potwierdził proboszcz wpatrzony w list. – Bo co? Znasz go?

Jasiek roześmiał się.

– Znam, jak byłem zupełnie mały, to on był wikariuszem w Zmartwychwstaniu. Świetnie śpiewa. Zawsze śpiewał z nami na zakończenie mszy o arce Noego.

– O arce Noego? – nie skojarzył proboszcz. – A jak to leci?

Janeczek nie kazał sobie dwa razy powtarzać, wyskoczył na środek pokoju i machając rękami, zaczął:

Tu stoją krokodyle i orangutany,
dwa malutkie wężyki i królewski orzeł,
i kot, i mysz, i bardzo duży słooo-ooo-ooo-ooń!…

– A dorosłym, jak kompletnie nie mógł z nich głosu wydobyć, to kazał śpiewać *Szła dzieweczka do laseczka* – dodał jeszcze z leciutką zadyszką. – Żeby się rozruszali…

– I co?… – spytał gorliwie zafascynowany ksiądz Tadeusz.

– Rozruszali się… I potem zawsze śpiewali *Bracia, patrzcie jeno* na dwa głosy, bez naganiania.

Nie dziwota, że taka osobistość była idolem Jaśka.

Ostatnim w kolejności, co nie znaczy, że ostatnim w sercu, przeciwnie, był problem, co zrobić z Białą Zmorą.

Można ją było od biedy zabrać ze sobą, ale tanie linie zwierząt nie przewoziły i musieliby jechać samochodem przez cały kontynent i Wielką Brytanię. Poza tym nie byli pewni, czyby im jej nie porwali na jakąś bestialską kwarantannę.

Można ją było zostawić nowemu proboszczowi, ale zawsze istniało ryzyko, że Zmora się obrazi i znowu wyruszy w świat. A jakby się, nie daj Boże, okazało, że ksiądz Rafał jest alergikiem?!…

Można było podrzucić ją Niziołkom albo Podgórnym. Tyle że oni mieszkali przy dość ruchliwych ulicach, a Zmora była wolnym kotem i w mieszkaniu by się męczyła.

Wreszcie wpadli na jedynie słuszny pomysł:

– Zabierzemy ją do Gołuchowa! Jeżeli tam nie będzie szczęśliwa, to nigdzie!

Z tej to przyczyny już w piątek po południu w kierunku Kalisza podążało auto wiozące dwóch księży w strojach służbowych. Prowadził młodszy z nich, a starszy na kolanach zabezpieczonych białym flanelowym kocykiem czule piastował uśpioną Zmorę. Panowie bowiem poszli po rozum do głowy i napoili kota syropkiem Stresnal, zaś już ululanego dodatkowo ubrali w szeleczki. Sęk w tym, że wprawdzie stwór chłeptał miksturę nadzwyczaj łapczywie, ale oni bali się przedawkować, więc koło Pleszewa preparat przestał działać i zaczął się cyrk.

Zmora ocknęła się, oceniła opresję, w której się znalazła, prychnęła i wydarłszy się z objęć proboszcza, czmychnęła na tylne siedzenie. Proboszcz za bardzo nie walczył z prostej bardzo przyczyny: zakopiańskiego swetra na sobie nie miał, bo dzień był bardzo ciepły, więc bał się, że nie doszczotkuje okłaczonej sutanny, w której miał w końcu wystąpić na ślubie. Zmora zaś w akcie odwetu zaczęła ostrzyć sobie pazury o tapicerkę, miotając się z kąta w kąt i wlokąc za sobą smycz. Nie dziwota, że w trakcie tego wściekania

się oplątał ją pas, im bardziej zaś kocica szalała, tym bardziej się zawijała.

Proboszcz nie wytrzymał nerwowo.

– Janku – powiedział prosząco – zjedź gdzieś na bok, trzeba ją uwolnić!

Janeczek, nie zwlekając, zastosował się do polecenia zwierzchności, a że Zmora zaczynała charczeć, przydusił gaz po motocyklowemu, nie patrząc na boki. Trzeba trafu, że uczynił to w miejscu, gdzie stał piękny biało-czerwony znak z czterdziestką w środku. I trzeba trafu, że w przecznicy przyczajeni byli radarowcy, którzy skwapliwie na nich zamachali.

Trudno, stało się, a jak wiemy, Janeczek uważał, że kto narozrabiał, powinien zapłacić, zatrzymał więc wóz i z rozdzierającym westchnieniem sięgnął po dokumenty, starając się nie patrzeć na proboszcza. Proboszcz zaś starał się nie patrzeć na wikarego.

Pan policjant z zawodowym, wytrenowanym uśmiechem pochylił się do środka, mówiąc:

– Dzień dobry, aspirant Karol Pawlicki, prawo jazdy i dowód rejestracyjny popro… – I zamarł w pół słowa.

Zmora bowiem wykonała konkursowe khhhhh! z uszami płasko przyklejonymi do czaszki i z rozwartym pyskiem, tak że można jej było obejrzeć szczegóły anatomiczne przełyku. Aspirant zerknął, zatchnął się i gwałtownie wycofał.

Jak wiemy, było bardzo ciepło, zatem obie szybki były odkręcone. Wobec tego i proboszcz, i jego wikary usłyszeli doskonale, jak aspirant podnieconym głosem mówi do swojego kolegi:

– Ty, chodź szybko, zobacz, tu jadą dwaj księża i białego kota w pasach wiozą!

Jak czytelnik może się łatwo domyślić, skończyło się tylko na życzliwie wygłoszonym pouczeniu z jednej strony i radośnie udzielonym błogosławieństwie z drugiej.

W kwadrans później wjeżdżali na podwórko Aniołów. Uwolniona z ciasnej puszki Zmora wyprysnęła prosto pod nogi wujowi Michałowi. Wuj delikatnie wyplątał ją z półszorków, przemawiając uspokajająco głębokim męskim głosem. I wtedy stał się cud. Kocica

przestała prychać, przestała się wściekać, a już po chwili razem, w świętej zgodzie, kot i człowiek wyruszyli na spacer do parku. Zmora biegła za wujem jak pies.

Ksiądz Tadeusz patrzył za nimi z dziwną nostalgią, w oczach miał jednocześnie ulgę i odrobinę zazdrości.

– Tak to już jest, proszę księdza – powiedział pocieszająco Jasiek, ocierając pot z czoła. – Istoty żeńskie nie są dla nas. Nawet w postaci kociej. – Po czym radośnie wyściskał Wiolę, demonstrując jednocześnie proboszczowi z dumą swoją imienniczkę, która od Wigilii zmieniła się nie do poznania.

Skoczyli potem jeszcze z Merrym na wizję lokalną i próbę generalną, a następnego dnia o tej samej porze…

Przed kościołem zgromadziła się rodzinka, czekając na hasło „wchodzimy do środka". Pierwszy nie wytrzymał nerwowo pan młody, zajmując posterunek przy ołtarzu, a best man, bardzo piękny w swojej złotej sukni i delikatnym naszyjniku z pereł, oraz urocza druhna zajęły stanowiska po bokach. Jakkolwiek by to zdanie nie zgrzytało gramatycznie, było właśnie tak, a nie inaczej. Wobec tego pozostali też zaczęli mościć się w ławkach. Nawet ksiądz Ryszard, tutejszy proboszcz, rozpalony do białego z ciekawości, przytaił się w konfesjonale, wykorzystując go jako doskonały punkt obserwacyjny.

W tym samym czasie w domu ciotki Anioł tata zwrócił się do swojej ukochanej młodszej córeczki:

– Gotowa?

Córeczka pokiwała głową, jednocześnie dygocąc i dzielnie się uśmiechając. Tata przyjrzał się jej uważnie; ocenił, że Elunia wygląda bardzo ładnie, ale takie detale jak wysoko upięte w warkoczyki włosy, delikatny welon spływający z cienkiej opaski, cudowne, wydłużone rękawy sukni, pantofelki numer trzydzieści cztery kupione na Allegro i różowoliliowy bukiecik pozostawały poza zasięgiem jego męskiej percepcji.

– Masz chustkę? – zapytał dyskretnie.

– Tato! – oburzyła się córeczka. – Ja mam płakać?! To najszczęśliwszy dzień mojego życia! Poza tym gdzie mam ją trzymać, pod podwiązką czy za gorsem?!

Wobec tego tata podał jej ramię i razem ruszyli przez park do kościoła.

„Nie pamiętam, jak to było na moim ślubie” – pomyślał. „Chyba teść nie prowadził Różyczki do ołtarza, weszliśmy razem po tych niekończących się schodach do kaplicy akademickiej. Ona też się trzęsła i uśmiechała, tak samo jak Ela…”

Przeszli przez nawę kościoła pod ciekawymi spojrzeniami zgromadzonych. Merry grał jakąś delikatną, słodką melodię.

„Jak to dobrze, że dzieciaki mają jak trzeba ułożone w głowie i żadne nie chciało tych głupich kamer” – pomyślał tata. Fakt, tylko Herbert i Miłosz dostali pozwolenie na cykanie zdjęć. Reszcie położyło się kategoryczny szlaban.

Tata, dopełniwszy misji, przekazał oblubienicę oblubieńcowi i klapnął w ławce obok swojej Różyczki, ściskając ją porozumiewawczo za rękę. Kątem oka zarejestrował jakiś dziwny ruch z tyłu. Ciotka Edyta próbowała zatrzymać Wisię, która wyraźnie gdzieś się wybierała.

– Muszę iść do spowiedzi! – zadeklarowała na cały głos delikwentka.

Ciotka znowu coś zaszeptała jej do ucha, pewnie to, że przecież spowiadała się całkiem niedawno, przed swoją pierwszą komunią.

– Ale ja mam mnóstwo grzechów! – oznajmiła Wisia z mocą trąby jerychońskiej i dodała: – Poza tym wujek Janek mi mówił, że się spowiada co tydzień! – Wisia nigdy nie ośmieliłaby się mówić starszemu o dziewiętnaście lat kuzynowi, i to księdzu w dodatku, na ty i ten „wujek” brzmiało w jej ustach jak „najjaśniejszy pan”. – On też musi strasznie grzeszyć… – dołożyła jeszcze refleksyjnie i przez nikogo już nie zatrzymywana, pomaszerowała do konfesjonału, absorbując sobą księdza Ryszarda, który, nie będąc kobietą, nie miał niestety podzielnej uwagi. Jego strata, bo właśnie zabrzmiały organy i księża Wieczorek z Niziołkiem, obaj odziani w ornaty produkcji panny młodej, rozpoczęli sprawowanie liturgii w języku pana młodego. To jest po angielsku oczywiście, po walijsku to jednak byłaby przesada.

Tata wiedział, że Merry specjalnie dla swojej małej przybranej siostrzyczki skomponował części stałe mszy. *Chwała na wysokości*

Bogu pomyślane było na wzór *Bolera*: czterokrotne wezwanie *Gloria*, srebrzyste jak dzwoneczek, radosne jak skowronek i ochocze jak pobudka, powtarzane coraz głośniej siedem razy. Jako pierwsza, cichutko i delikatnie zaczęła Wiola. Potem odrobinę głośniej, ale ciągle jeszcze spokojnie dołączył Merry. Wreszcie w trzecim nawrocie przyszła kolej na Janka, hymn nabrał ognia, muzyka wypełniła kościół…

Wtedy tata z rozbawieniem i odrobiną satysfakcji skonstatował, że jeszcze msza się na dobre nie zaczęła, a jego Elunia już ryczy jak bóbr. „I co teraz, mała?" – pomyślał przekornie. „W co się wytrzesz, w swoje długie rękawy?" Sięgnął za pazuchę, żeby rycersko usłużyć córce, ale zobaczył, że już nie trzeba, bo właśnie oblubieniec z chochlikami w oczach podawał oblubienicy solidną białą chustkę. Oblubienica zatrąbiła solennie, wykorzystując moment, gdy Merry włączył właśnie do akcji chór, a celebrans zamachał do zgromadzonych, zachęcając ich do współudziału, na ułamek sekundy zawahała się, co zrobić z chustką, wreszcie po prostu zacisnęła ją w garści na czarną godzinę.

Tata natomiast usłużył nie córce, lecz najdroższej żonie, która bezwstydnie szlochała wpatrzona jak w święty obraz w swoje wyruszające za morze dziecko. Czytelnikowi zaś niech pozostawiony zostanie osąd, w które mianowicie z wyruszających za morze dzieci się wpatrywała. Ostatecznie można miłosiernie przyjąć, że w oboje…

Do pierwszego czytania powstał pan młody, a tata przysiągłby, że zięć mrugnął do niego, zanim podszedł do pulpitu.

– A gdy Raguel ociągał się i nie dawał żadnej odpowiedzi proszącemu, rzekł mu anioł: „Nie bój się dać jej Tobiaszowi, bo właśnie jemu, bojącemu się Boga, ma się dostać za żonę twoja córka, i dlatego nikt inny nie mógł jej mieć"… – z namaszczeniem odczytywał David historię zaślubin Tobiasza z Sarą. Elunia wpatrywała się w niego jak w słońce, ani myśląc o płaczu.

Kiedy Janek, zgodnie z prośbą panny młodej sprzed sześciu lat („Braciszku, na moim ślubie też zaśpiewasz?"), zaczął śpiewać psalm, tata zaniepokoił się przelotnie, czy nie nadchodzi nowy kryzys. Ale nie, zarówno Różyczka, jak i jej córka, otarłszy łzy, zdążyły się już zamienić w wojowniczki Rohanu, a młodsza z nich

rychło powstała do drugiego czytania. Wszyscy się spodziewali, że będzie to *Hymn do miłości*, ale ku swojemu zdziwieniu usłyszeli:

– Jeżeli Bóg z nami, któż przeciwko nam? Ani śmierć, ani życie, ani aniołowie, ani zwierzchności, ani rzeczy teraźniejsze, ani przyszłe, ani potęgi, ani co wysokie, ani co głębokie, ani jakiekolwiek inne stworzenie nie zdoła nas odłączyć od miłości Boga…

„Zaprawdę, wojowniczka Rohanu!" – pomyślał tata, ale nie zdążył się wzruszyć, gdy wszyscy zostali zaskoczeni po raz drugi, bowiem wbrew wszelkiemu przewidywaniu do ambonki przystąpił nie Janek, tylko ksiądz Tadeusz, który całkowicie poprawną angielszczyzną wygłosił krótkie, zwięzłe i zapadające w pamięć kazanie:

– Davidzie i Elanoro, niech wasza miłość staje się z każdym dniem większa, a przyjaźń będzie radością w pomyślności i ostoją w trudzie. Bądźcie dla siebie nawzajem pierwszą i najważniejszą osobą na ziemi. Davidzie, wracaj zawsze ochoczo do domu, a ty, Elu, niecierpliwie na niego czekaj. – Ksiądz Tadeusz był całkowicie niepoprawny ideologicznie; panna młoda patrzyła na niego z czułością. – Niech towarzyszy wam w życiu szczęście, nie za dużo jednak, byście w sytym dobrobycie nie zapomnieli o Bogu, i nie za mało, byście w wielkiej niedoli nie zaczęli Mu złorzeczyć. A kiedy urodzą wam się dzieci, pamiętajcie, że one kiedyś pójdą swoją drogą, a wy zostaniecie ze sobą…

Mama wyciągnęła do taty rękę i w tej samej chwili on też to uczynił.

– …pamiętajcie, że jesteście winni rodzicom szacunek i miłość, ale współmałżonek i lojalność wobec niego zawsze muszą wziąć pierwsze miejsce – kontynuował ksiądz Tadeusz, a Jasiek z satysfakcją uśmiechał się pod wąsem, bo w przeciągu miesiąca proboszcz przeszedł od „Boże, będę musiał głosić kazania po angielsku; nie chcę, boję się!" do spokojnego profesjonalizmu.

– I żebyście starzeli się razem – zakończył ksiądz Tadeusz, a tata przysiągłby, że wuj Anioł otarł oczy. Jemu samemu też zrobiło się miękko.

Na szczęście wszyscy zwrócili wzrok na państwa młodych, bo wreszcie zaczęło się *clou* programu.

– *And so, in the presence of the Church, I ask you to state your intentions* – mówił Janek z namaszczeniem. – *David and Elanora, have you come here freely and without reservation to give yourselves to each other in marriage?*…[8]

Nastąpiło trzykrotne skwapliwe przytaknięcie, Jasiek zaczął śpiewać hymn do Ducha Świętego, mama ponownie skorzystała z mężowskiej chustki, ale tata widział, że jego córeczka wpatruje się w brata wzrokiem ze stali. Chustki w każdym razie przy sobie nie miała, pewnie zostawiła ją na klęczniku. Albo pod klęcznikiem.

Jasiek obwiązał stułą ręce oblubieńców.

– *I, David* – zaczął – *take you, Elanora, to be my wife*…[9]

David powtarzał skrupulatnie słowo po słowie, nie spuszczając szwagra z oczu.

Wtedy do taty dotarło, co się dzieje. Najpierw jego zięć, a zaraz potem córka składali przysięgę małżeńską… Jankowi! Nie patrzyli na siebie, tylko na niego, i to z taką mocą, jakby chcieli go przewiercić spojrzeniami na wylot.

„Jeszcze u Elki to zrozumiałe, że szuka wzrokiem kontaktu z rozmówcą, jeśli tak można powiedzieć" – pomyślał tata. „Ale David tak samo! Mówi: *I promise to be true to you in good times and in bad, in sickness and in health*… i patrzy na Janka, jakby mu chciał do duszy wskoczyć!"

– *I will love you and honour you all the days of my life*…[10] – zgodnie ze spostrzeżeniami taty mówiła panna młoda, a dziw, że celebrans wytrzymywał stalową siłę jej wzroku.

„Co to będzie?!" – przemknęło Robertowi przez myśl w nagłym, a rozpaczliwym przebłysku jasnowidzenia. „Przecież oni za chwilę zaczną zakładać obrączki Jankowi!"

Porwał go tak przemożny atak śmiechu, że w popłochu zdążył tylko pomyśleć: „Elka mnie zabije! Boże, ratuj! Już lepiej niech ja się skompromituję!" – i ukrył twarz w dłoniach, pochylając się do przodu; ramiona drżały mu w nieopanowanym paroksyzmie.

Babcia Niziołek ze wzruszeniem obserwowała syna.

„Jaki ten Robert uczuciowy!" – pomyślała z matczynym afektem. „Nic się nie zmienił! Płacze całkiem jak na własnym ślubie!…"

W tym samym momencie obrączki lądowały na właściwych palcach do wtóru z *take this ring as a sign of my love and fidelity*[11] wygłaszanym w kierunku celebransa, można więc uznać, że ofiara taty została przez Pana Boga przyjęta w połowie. Powiedzmy, że w większej połowie.

Dalszy ciąg przeszedł bezproblemowo, a chyba tylko panna młoda i jej brat zauważyli, że kiedy Merry zaczął grać na komunię cudowne, uskrzydlające, jak z górskiej hali wzięte *O Christe, Domine Jesu*, po chustkę sięgnął ksiądz Tadeusz. Ale może miał tylko alergię, był to przecież miesiąc kwitnienia najrozmaitszych roślin. Mimo wszystko dopiero w ogrodzie u ciotki Anioł, gdzie z racji przepięknej pogody ustawiono stoły, tata mógł się odprężyć i bez skrępowania roześmiać. Oto bowiem swoje obowiązki postanowił odpracować urodziwy best man, która powstała, zadzwoniła łyżeczką w kieliszek i zagaiła w te słowa:

– *Dear Elanor, dear David, dear guests*! Wybaczcie proszę, że słowa przychodzą mi z trudem, ale ciągle jeszcze nie mogę uwierzyć, że mój brat jest już żonatym mężczyzną. Chcę wszystkim tu zgromadzonym opowiedzieć, jak to się zaczęło…

„Aha, siostrzyczko, tobie słów brakuje, gadaj to komu innemu!" – pomyślała panna młoda. „Dasz nam teraz popalić!"

– Dokładnie rok temu Elanor i David wyprawili się do Szkocji – kontynuował best man. – Pojechali i wrócili, nie puściwszy pary z ust. Ale tak koło dwudziestego sierpnia mój najdroższy brat mówi: „Ojcze, lecę do Poznania poprosić o rękę Elanor". Tata zbladł. Nie, to za mało powiedziane, on zzieleniał…

Może i onegdaj Brendan zzieleniał, ale teraz był w kolorze dojrzałego pomidora. Tata patrzył na niego z satysfakcją.

– Nie sztuką było policzyć, ile czasu minęło od czerwca do sierpnia, i dojść do wniosku, że dwa miesiące to najbardziej odpowiedni czas, aby pewne fakty stały się oczywistymi i niemożliwymi do zatajenia przed światem – opowiadała ze swadą Una. – Co wuj Robert sobie o nim pomyśli?! „Synu, przecież obiecałeś!" – zakrzyknął tata z wyrzutem. A na to mój brat: „Obiecałem, że jej nie uwiodę. O ślubie nie było mowy". Logika zbijała z nóg, bo mój braciszek, czego by o nim nie powiedzieć, zawsze był logiczny. Ojciec osłabł,

mama się popłakała, a ja uznałam, że David nie mógł lepiej trafić. – Best man mrugnęła do brata i zakończyła uroczyście: – Elanor, Davidzie, żyjcie szczęśliwie i zaludniajcie Highland!

Zaraz po konsumpcji zasadniczej biesiadnicy rozdzielili się jak, nie przymierzając, na żydowskim weselu, ściślej jak na weselu w *Skrzypku na dachu*, to znaczy panie osobno, panowie osobno, a młodzież najpierw trochę potańczywszy, przerzuciła się rychło na śpiewy. Na parkiecie, czyli drewnianym podeście zainstalowanym na trawniku, pozostali praktycznie rzecz biorąc tylko Gabriel z best manem i Miłosz z Dominiką.

Tata tak posterował, żeby wylądować w głębokim cieniu nie lipy co prawda, ale zwykłego orzecha, za to przy przemiłym stole z grubych belek, i zasiadł tam w towarzystwie Brendana i księdza Tadeusza. Ten ostatni z początku odrobinę wstydził się swojej konwersacji, ale już po godzinie język mu się rozwiązał, tym bardziej że ostatnie tygodnie obfitowały w ciekawe wydarzenia polityczno-kulturalne, więc było o czym gadać. O dziwo, nie miało to nic wspólnego z receptą daną przez Kaczmarskiego w *Spotkaniu w porcie* („Po ichniemu nie rozumiem, on po ludzku też, lecz jest wódka, więc jest tłumacz, przy niej mów co chcesz…"), bowiem panowie niezwykle nobliwie sączyli jedynie bardzo dobre portugalskie czerwone wytrawne. Brendanowi ostatnio zaczęła dokuczać wątroba, tata miał w pamięci swoją kompromitację na ślubie starszej córki, ksiądz Tadeusz zaś… No cóż, chyba wziął sobie do serca ostatni wygłup wikarego i na jego intencję postanowił ograniczyć legalne używki. W każdym razie nieotwarty koniak zostawił w darze księdzu Rzepce.

W pewnym momencie przysiadł się do nich miejscowy proboszcz i zagadnął do taty:

– Ten młody człowiek, który tak pięknie grał dzisiaj na organach, to pana drugi syn?

A gdy tata wyjaśnił zawiłości rodzinne, ksiądz Ryszard skrupulatnie wypytał o moralność i zobowiązania Merry'ego, po czym z uśmieszkiem satysfakcji oddalił się na stronę, celem osobistego pochwycenia delikwenta. Tata był bystry, w lot zrozumiał, co się tu szykuje, i posmutniał. I tak było wiadomo, że lada chwila Szczęśni

się wyprowadzą, ale… Resztę dopowiedział mu w przelocie wuj Michał:

– Rysiek wypieprzył organistę, kiedy go nakrył na romansie z mężatką, i teraz się ostro gimnastykuje, żeby złapać nową siłę roboczą. Tak naprawdę – dodał dyskretnie – to miał go powyżej uszu już od dawna, ale nie miał pretekstu i ten romans spadł mu jak z nieba…

Ksiądz Tadeusz tylko pokiwał głową. Ich krzesiński organista namiętnie uprawiał sacro polo i był głuchy na wszelkie perswazje, żeby na ten przykład *Być bliżej Ciebie chcę* grać *adagio*. Janek radził sobie w ten sposób, że o ósmej podsuwał organiście repertuar superklasyczny, niemal niemożliwy do spaprania, a na mszy młodzieżowej śpiewał chórek. On sam najbardziej cierpiał na mszy dziecięcej, raz bowiem, kiedy organista zagrał *Pan Jezus już się zbliża* w rytmie walca, dwoje maleństw poczęło tańczyć na samym środku głównej nawy. Pozostawała nadzieja, że ksiądz Rafał z problemem sobie poradzi.

Dokładnie w tym samym momencie państwo młodzi przy wsparciu Jaśka wykonywali z ogniem *Flower of Scotland*. Ksiądz Tadeusz patrzył, słuchał i dziwił się.

– Panie Robercie – powiedział wreszcie nieśmiało. – Jak to jest, że Ela śpiewa? Że umie śpiewać?…

– Śpiewa, kiedy coś dobrze zna i lubi – odpowiedział tata. – I ma się na kim wesprzeć – dodał, patrząc na Brendana, który znowu pokraśniał, ale tym razem z dumy.

Zgodnie z umową, o dziesiątej państwo młodzi zwinęli się do zamku, przy czym słodka oblubienica miała wypisane na czole: „Niech no któraś z ciotek spróbuje wyskoczyć z dowcipem »oj, nie puścimy jeszcze państwa młodych, muszą swoje odpracować!«, to poleje się krew!”. Tata tylko się uśmiechnął, pamiętał rajd na Kotoń i nocleg w Zawadce…

Brendan ruszył się wreszcie zatańczyć z Jennifer, a do księdza Tadeusza i taty dołączyła dopiero co wspominana przez tego ostatniego Różyczka. Było ciepło, przyjemnie, cieniusieńki księżyc już zaszedł, ale niebo było tak rozgwieżdżone, że kiedy człowiek się w nie wgapił, zaczynał robić rachunek sumienia, czy może tego

czerwonego wytrawnego nie było za dużo. Niemal identyczny księżyc świecił im w Zawadce, a i gwiazdy pchały się wtedy przez mansardowe okno jak szalone…

Więc za dużo się już nie wgapiali, tylko porzuciwszy politykowanie, gadali sami–wiecie–o–kim, dorabiając sequel do wigilii. Głównego bohatera tego sequelu, zajętego dla odmiany z Merrym i Wiolą rozważaniem niespodziewanej propozycji gołuchowskiego proboszcza, musiały mocno palić uszy.

– Proszę księdza – ośmielił się koło północy tata. – A kto na Janka donosił?

Proboszcz zawstydził się odrobinę.

– W sumie nikt…

– Jak to?! – zdumiał się tata. – To skąd biskup miał taki dobry wywiad, a opiekun jeszcze lepszy?!

W każdych innych warunkach tak obcesowe sformułowanie przez usta by mu nie przeszło, ale to była okazja jedyna w swoim rodzaju.

– To bardzo skomplikowane – westchnął ksiądz Tadeusz. – Bo wiedzą państwo, u nas w parafii jest kółko różańcowe, męskie i żeńskie, a wszyscy lubią sobie pogadać…

„Tak jak my teraz" – pomyślał tata. „I stawiam butelkę portugalskiego czerwonego wytrawnego przeciwko zgniłym orzechom, że o tym samym!"

– To wszystko bardzo porządni, dobrzy ludzie – gimnastykował się proboszcz. – Opowiadali o tym, co im sprawiało radość i przyjemność…

„No właśnie!" – powiedział sobie w duszy tata. „Dokładnie tak jak my!"

– Każdy miał w zanadrzu jakąś własną anegdotę – kontynuował ksiądz Tadeusz. – A to o pasterce, a to, co im powiedzieli ministranci, którzy z Jankiem po kolędzie chodzili…

„Już rozumiem!" – ucieszył się tata i roześmiał w duchu, bo wyobraził sobie, jak pan Bogdan na ten przykład słyszy od przejętych chłopców rewelację: „A ksiądz Janek powiedział, że jest naturystą!".

– Jeden z panów ma szwagra nauczyciela, który mu opowiadał, co się dzieje w pokoju nauczycielskim, a że naturę ma pana Zagłoby, to

i opowieści były barwne – rozkręcał się proboszcz. – A jeszcze inny jest bratem kanonika…

Dalej nie musiał mówić: pan przekazywał przefiltrowane i zebrane w kupę wieści bratu, ten z kolei relacjonował je biskupowi…

– W ostatnią niedzielę, po uroczystym pożegnaniu przyszedł do mnie i powiedział: „Co my teraz bez was zrobimy! Żebym wiedział, tobym bratu tyle o księdzu i o księdzu Janku nie mówił! A teraz zabierają was gdzieś na koniec świata!” – zakończył efektowną puentą proboszcz.

Siedzieli tak do głębokiej nocy, a gwiazdy świeciły i właziły jak szalone przez zamkowe okna…

Dokładnie w dwie i pół doby później Ela i David dojeżdżali do Tongue.

W poniedziałek wieczorem wylądowali w Edynburgu. Spędziwszy tylko jedną noc w podnajętym do września mieszkaniu na Kirkhill Gardens – jak tylko zacznie się rok akademicki, muszą znaleźć sobie coś innego – we wtorek zaraz po śniadaniu ruszyli w drogę.

David był niezwykle tajemniczy, gnał jak szalony naprzód wbrew swoim inklinacjom najprostszą, główną trasą przez Inverness i Lairg, nic nie mówił, tylko oczy mu świeciły, a Elka nie dopytywała się za bardzo, nie chcąc psuć jakiejś niespodzianki.

„Może popłyniemy na Orkady?” – domyślała się.

W samym Tongue David zamiast na groblę skręcił w prawo, kwadrans jeszcze jechał slalomem między żółto-zielonymi pagórkami, aż wreszcie zatrzymał się przed drogowskazem z nazwą jakiejś wioski.

– Przeczytaj! – powiedział krótko.

– Áktoti – wymówiła Ela najładniej, jak potrafiła.

– Nie, nie! – roześmiał się jej ukochany mąż. – Przeczytaj po polsku!

Szczęśliwa młoda żona nareszcie zrozumiała.

– Ach, to ty! – zawołała radośnie.

– Teraz zamknij oczy – przykazał David. – I nie otwieraj, aż ci powiem!

Elka posłusznie zrobiła, co kazał, płonąc z ciekawości. Rzuciło ją raz i drugi na boki, chyba zawrócili, potem kluczyli jeszcze chwilę…

– Już! – usłyszała. – Możesz otworzyć!

Stali przed małym, prześlicznym białym domkiem z czerwonymi drzwiami i ramami okiennymi; wszędzie było mnóstwo kwiatów w koszach i doniczkach, na niewielkim maszcie powiewały trzy flagi: polska, walijska i szkocka, a na furtce…

Na furtce widniał napis: TAKTOJA.

Ela miała swój własny, najprawdziwszy, najpiękniejszy w świecie kalambur ślubny!

„Tym razem puenta należy do mnie” – pomyślała radośnie.

I od razu dodała:

„Co ja gadam – do nas!”

[7] Czytelnik wybaczy, ale ten kawał tłumaczony nie będzie. Jeżeli ksiądz Tadeusz potrafił go ułożyć, to i czytelnik potrafi go zrozumieć.

[8] Zatem w imieniu Kościoła pytam was, jakie są wasze postanowienia. Davidzie i Elanoro, czy chcecie dobrowolnie i bez żadnego przymusu zawrzeć związek małżeński?

[9] Ja, David, biorę ciebie, Elanoro, za żonę…

[10] Rota angielska jest nieco inna od polskiej. Po polsku byłoby tak: „i ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz że cię nie opuszczę aż do śmierci”.

[11] Przyjmij tę obrączkę jako znak mojej miłości i wierności.

Spis treści

Drzewo genealogiczne rodziny Niziołków

Who is who

Rozdział I
Na dobry początek
Rozdział II
Czy zostanie gwiaździsty dyjament
Rozdział III
Owszem, zechcę
Rozdział IV
High cross
Rozdział V
NPR
Rozdział VI
Wy jeszcze nie wiecie
Rozdział VII
Nowy świat
Rozdział VIII
Priorytet
Rozdział IX
Zwykły dzień, czyli 12 godzin z życia księdza
Rozdział X
Wigilia
Rozdział XI

Okiem mamy
Rozdział XII
O zgubnych skutkach zwykłego przeziębienia
Rozdział XIII
Tłumacz przysięgły
Rozdział XIV
Pokuta
Rozdział XV
Dziewicza Góra
Rozdział XVI
Punkt zwrotny
Rozdział XVII
Droga do Achtoty